JULIAN APOSTATA

Druk Warszaw. Towarzystwa Akcyjn. Artystyczno-Wydawniczego.

D. Mereżkowski.

JULIAN APOSTATA

Przełożył

Józef Czekalski

Wydawnictwo „Tygodnika Illustrowanego"

WARSZAWA

Nakład Gebethnera i Wolffa

1901

Дозволено Цензурою
Варшава, 7 Мая 1901 года.

CZĘŚĆ I.

I.

O dwadzieścia stadyów od Cezarei, w Kapadocji, na lesistych stokach góry Argeus, w pobliżu wielkiego rzymskiego gościńca, wytryskało znane ze swych własności leczniczych źródło gorące. Granitowa płyta, przyozdobiona niezgrabnemi rzeźbami, z napisem w języku greckim, świadczyła, że źródło to było niegdyś poświęcone braciom Dioskurom: Kastorowi i Poluksowi. Nieuszkodzone dotychczas postaci tych dwu półbogów pogańskich uważano obecnie za wizerunki świętych: Koźmy i Damiana.

Po drugiej stronie gościńca, naprzeciwko źródła świętego, stała niewielka, słomą kryta „taberna," mająca po bokach brudną oborę i szopę, pod którą szukały pożywienia stada kur i gęsi. W oberży, utrzymywanej przez chytrego Ormianina Syrofeniksa, można było dostać koziego sera, chleba czarnego, miodu, oliwy i dosyć cierpkiego wina miejscowego wyrobu.

Taberna podzielona była na dwie części; jedna z nich służyła dla pospólstwa, druga — dla znakomitszych gości. Pod zczerniałym od gryzącego dymu pułapem zwieszały

się szynki wędzone i wonne pęki ziół górskich, świadczące, iż Fortunata, małżonka Syrofeniksa, znakomitą była gospodynią. Zakład ten nie zażywał dobrej sławy; nocą nie ważył się zatrzymać przed nim żaden uczciwy podróżny. Krążyły wieści o wielu nieczystych sprawkach, uknutych w tej chacie — ale przebiegłemu Syrofeniksowi, który wiedział kogo przekupić, dotychczas wszystko uchodziło bezkarnie.

Przegrodę tworzyły dwie cienkie kolumienki, oraz przewieszona między niemi, nakształt kotary, stara spłowiała chlamida Fortunaty. Kolumienki te, okazujące naiwną pretensyę do stylu doryckiego, stanowiły przedmiot dumy Syrofeniksa i jedyny zbytkowny szczegół w oberży. Snadź niegdyś były złocone, zdawien dawna jednak stały już porysowane i obdarte.

Sukno chlamidy, dawniej jasno fijoletowe, obecnie brudno-sine, pstrzyło się mnóstwem łat i plam, pochodzących od wszystkich śniadań, obiadów i kolacyi, które zachowała pamięć skrzętnej Fortunaty w ciągu lat dziesięciu pożycia małżeńskiego.

Po poczesnej stronie, za zasłoną, na jedynem wązkiem łożu, w wielu miejscach porozdzieranem, za stołem, na którym stał dzban cynowy i kubki, leżał dumnie rozciągnięty Marek Skudillo, trybun rzymski 16-go legionu. Był to elegant prowincyonalny, z twarzą w rodzaju tych, na których widok pewne siebie niewolnice i tanie hetery z przedmieść wykrzykiwać zwykły w rzetelnym zachwycie: „Co za śliczny mężczyzna!”

U stóp jego, na tem samem łożu, w pozycyi bardziej uniżonej niż wygodnej, zasiadł starzec gruby i sapiący, o czerwonej twarzy i wielkiej łysinie z małymi kosmykami siwiejących włosów, zaczesanych na skronie — setnik 8-ej centuryi, Publiusz Akwila.

Opodal, na podłodze, dwunastu żołnierzy legionistów grało w kości.

— Na Herkulesa!—zawołał Skudillo—wolałbym być ostatnim w Konstantynopolu, niż pierwszym w tej mysiej dziurze. Czy to jest życie? Publiuszu, odpowiedz sumiennie: czy to jest życie? Pomyśleć, że poza koszarami i obozem nic się nie zapowiada w przyszłości, że przyjdzie zgnić w tem cuchnącem bagnie, nie widząc świata!

— Zapewne, — potwierdził Publiusz — nie można powiedzieć, żeby życie tutaj było wesołe, ale za to, jaki spokój!..

Starego centuryona zajmowały kości. Partya była nader zajmująca. Udając, że słucha prawienia zwierzchnika, i potakując mu, śledził ukradkiem przebieg gry i myślał: „Jeżeli rudy zręcznie wyrzuci, wygra z pewnością."

Jednakże, dla zachowania pozorów, zapytał trybuna, udając zaciekawienie:

— Przez cóż to ściągnąłeś na siebie, jak powiadasz, gniew prefekta Helwidyusza?

— Przez kobietę, przyjacielu, wszystko przez kobietę...—odparł Marek Scudillo.

I w przystępie gadatliwej szczerości szepnął tajemniczo do ucha centuryonowi, że prefekt, „ten stary cap Helwidyusz," uczuł ku niemu zazdrość z powodu względów szczególnych, jakie mu okazywała pewna zalotnica, przybyła z Lilibeonu.

Ale Skudillo pragnie przez jaką ważną usługę zdobyć nanowo życzliwość prefekta. I ma już plan gotowy. W pobliżu Cezarei są zamknięci w twierdzy Macellum Julian i Gallus, bracia stryjeczni panującego cesarza Konstancyusza, a bratankowie Konstantyna Wielkiego, ostatni potomkowie nieszczęsnego rodu Flawiuszów.

Wstępując na tron, Konstancyusz w obawie swych rywalów zamordował wuja swego, Juliusza Konstancyusza, brata Konstantyna, a ojca Juliana i Gallusa. Wielu wtedy innych jeszcze padło ofiarą. Julianowi jednak i Gallusowi darowano życie, osadziwszy ich jedynie w ustronnym zamku Macellum. Z tego powodu prefekt Cezarei, Helwidyusz, miał kłopot nie lada. Wiedząc, że nowy cesarz nienawidzi sierot, którzy mu jego zbrodnię przypominają, zarazem pragnął, ale i obawiał się przeniknąć zamiary swego władcy. Julian i Gallus żyli pod ustawiczną grozą śmierci.

Obrotny trybun Skudillo, marzący o dworskiej karyerze, odgadnął ze słów swego naczelnika, iż ten nie śmie wziąć na siebie ciężkiej odpowiedzialności i drży na samą myśl o zamierzonej jakoby ucieczce spadkobierców Konstantyna. Postanowił przeto Skudillo udać się do Macellum, na własną odpowiedzialność owładnąć więźniami i uprowadzić ich do Cezarei pod strażą swych legionistów, przypuszczając, że niema się czego obawiać dwóch nieletnich sierot, porzuconych od wszystkich i znienawidzonych przez cesarza.

Przez taki czyn waleczny zamierzał Skudillo odzyskać utracone z powodu rudowłosej Lilibeonki względy prefekta Helwidyusza.

Zresztą Publiuszowi część tylko swych planów z zachowaniem wszelkiej ostrożności odsłonił.

— Cóż więc uczynisz, Skudillo? Czy otrzymałeś jakie wskazówki z Konstantynopola?

— Nie otrzymałem żadnych, gdyż nikt nic nie wie na pewno. Ale, widzisz, te setki pogłosek, to oczekiwanie, niedomówienia, pogróżki, napomykania, tajemnice, o! tajemnice bez końca!.. Lada głupiec potrafi wykonać to, co mu rozkażą. Należy umieć odgadnąć nieme życzenia

swego pana. Za to przedewszystkiem dają nagrody. Patrzmy, szukajmy, próbujmy. Rzecz główna, by działać zwinnie i śmiało, pod znakiem krzyża świętego. Zdaję się na ciebie, Publiuszu. Kto wie, może już wkrótce będziemy pili z tobą wino lepsze od tego — na Dworze...

Przez małe zakratowane okienko sączyło się mdłe światło pochmurnego zmroku. Deszcz padający szemrał jednostajnie. Popękana ściana z gliny odzielała izbę od obory. Czuć było stamtąd silnie gnój i słychać gdakanie kur, pisk kurcząt i pochrząkiwania świń. Mleko, cienkim strumieniem dźwięcząc, spływało do naczynia; widać, że gospodyni doiła krowę. Żołnierze, posprzeczawszy się przy grze, kłócili się przyciszonym głosem. Przy samej podłodze, przez przepierzenie z prętów wierzbowych, zaledwie obrzuconych gliną, mały prosiak wetknął ryjek delikatny i różowy, a nie mogąc go napowrót z ciasnej szpary wyciągnąć, kwiczał żałośnie.

Publiusz pomyślał:

— Bądź co bądź, do tej pory bliżsi jeszcze jesteśmy bydlęcego podwórza, niż Dworu cesarskiego!

Zaniepokojenie jego przeszło. Trybun, po chwili nieumiarkowanej gadatliwości, posmutniał również. Popatrzał przez okienko na szare, ociekające wodą niebo, na głupi ryj prosiaka, na gęsty osad wina w ołowianym kubku, na brudnych żołnierzy—i nagle opanował go gniew.

Uderzył pięścią w stół, chwiejący się na nierównych nogach.

— Hej, ty, łotrze, Syrofeniksie! sprzedawczyku Chrystusa! Chodź-no tutaj. Jakież to wino, nędzniku?

Nadbiegł oberżysta. Miał on włosy kędzierzawe, czerne jak smoła i tak samo czarną brodę, z niebieskawym nawet odcieniem, poskręcaną w mnóstwo drobnych pierścieni. W chwilach czułości małżeńskiej Fertunata porównywała

ją do dojrzałego winnego grona. Oczy również miał czarne o niezwykle słodkim wyrazie, a z purpurowych warg nie schodził mu uśmiech miodowy. Wyglądał jak karykatura bożka wina, Dyonizosa, i całą swą postacią wywierał wrażenie czegoś czarnego i słodkiego. Oberżysta począł się świadczyć Mojżeszem i Dyndymeną, Chrystusem i Herkulesem, jako wino jest wyborne, ale trybun oświadczył, iż wie, w czyim domu niedawno zabito Glabryona, bogatego kupca z Pamfilium, i nie zaniedba kiedykolwiek wyświetlić wszystkich sprawek jego, Syrofeniksa. Przelękły Ormianin pędem skoczył do piwnicy i przyniósł stamtąd tryumfalnie butelkę dziwnego kształtu, szeroką, spłaszczoną u dołu, o wązkiej szyjce, i całkowicie szacowną pleśnią i mchem pokrytą—niby sędziwą od starości. W pewnych miejscach przez pleśń przeświecało szkło, nie przezroczyste wszelako, ale tęczowe, a na tabliczce cyprysowej, zawieszonej u szyjki, można było rozpoznać pierwsze litery wyrazu: „Anthosmium," poniżej zaś: "Annorum centum."

Syrofeniks jednakże zapewniał, że jeszcze za panowania cesarza Dyoklecyana wino to więcej niż setkę lat liczyło.

— Czarne wino?.. — zapytał Publiusz z szacunkiem.

— Jak smoła, a wonne, jak ambrozya. Hej, Fortunato! Daj-no do tego wina puhary letnie, kryształowe! A przynieś także z lodowni czystego białego śniegu.

Fortunata przyniosła dwa puhary. Twarz jej miała zdrową, matową, nieco żółtą cerę, przypominającą najtłuściejszą śmietankę; zdawało się, jak gdyby wiało od niej całą świeżością wsi, mlekiem i gnojem.

Oberżysta z lubością obejrzał butelkę, westchnął, ucałował ją w szyjkę, a następnie ostrożnie zdjął pieczęć woskową i odkorkował. Na dno puharów położono nieco śniegu. Trysnęło gęstą strugą czarne, wonne wino, roztа-

piając śnieg, a kryształ puharów zamglił się i pokrył parą od chłodu.

Wtedy Skudillo, mający pretensyę do erudycyi (chociaż właściwie Hekuby od Hekaty nie umiał odróżnić), wygłosił z dumą jedyny wiersz Marcyalisa, jaki mu został w pamięci:

„Candida nigrescant vetulo crystalla Falerno!"

— Poczekaj, będzie jeszcze coś lepszego...

Mówiąc to, Syrofeniks zanurzył rękę w głębokiej kieszeni, i wyciągnąwszy z niej drobniutki flakonik oniksowy, z uśmiechem smakosza wpuścił do wina kroplę drogocennego cynamonu arabskiego. Kropla spadła, niby perła kremowa, i roztopiła się w czarnym płynie. W pokoju rozeszła się woń dziwnie odurzająca.

Trybun pił, rozkoszując się zwolna, a Syrofeniks, mlaskając językiem, mruczał:

— Niech się schowają przed tem wina z Biblosu, Maroneńskie z Tracyi, Laceńskie z Chios, Ikaryjskie...

Zapadła noc, i Skudillo dał rozkaz wyruszenia w drogę. Żołnierze przywdzieli pancerze i hełmy, przypięli śpiżowe nagolenniki na prawej nodze, ujęli tarcze i włócznie. Gdy przechodzili przez pierwszą izbę, siedzący u ogniska pasterze isauryjscy, do zbójów podobni, powstali z uszanowaniem na widok trybuna rzymskiego. Pełen poczucia własnej wartości, Skudillo uczuwał, że krew kipi mu w żyłach, jak ogień, a w głowie szumi pod wpływem szlachetnego napoju.

W progu przystąpił do niego człowiek w niezwykłym wschodnim ubiorze, składającym się z białego płaszcza w szerokie pasy czerwone i z wielkiego na głowie pilśniowego kołpaka — tyary perskiej, do wielopiętrowej wieży podobnej. Skudillo zatrzymał się.

Pers miał twarz wyrazistą, podłużną i chudą, cerę ciemnożółtą, prawie oliwkową. Oczy wązkie i przenikliwe błyszczały mu przebiegłością, ruchy były pełne majestatycznej powagi. Był to jeden z owych wędrownych kuglarzy i astrologów, którzy zwali się dumnie Chaldejczykami, magami, pyretami i matematykami. Bez zwłoki oznajmił trybunowi, że się nazywa Nogodares i że zatrzymał się u Syrofeniksa w podróży, którą przedsięwziął z dalekiej Adiabeny na wybrzeża morza Jońskiego, do słynnego filozofa teurga, Maksyma z Efezu. Mag prosił o pozwolenie pokazania swej sztuki i wywróżenia przyszłości trybunowi.

Zamknięto okiennice. Pers czynił jakieś przygotowania na podłodze. Nagle dał się słyszeć lekki trzask, i śród powszechnego milczenia długim czerwonym językiem wybuchnął płomień z pośród kłębów białego dymu, które napełniły pokój. Nogodares przytknął do bladych warg piszczałkę podwójną, a ta wydała jęk żałosny i rozpaczliwy, przypominający pogrzebowe śpiewy lidyjskie. Jakby pod wpływem tego tęsknego śpiewu, płomień żółkł i przygasał, by po chwili błysnąć smutnem, bladoniebieskiem światłem, Mag przyrzucił do ognia garść trawy suchej, która wydała woń przenikliwą i miłą. I ona również zdawała się sprowadzać jakiś smętek nieokreślony: tak pachną trawy napół uschłe w mgliste wieczory śród martwych pustkowi Arachozyi i Drangiany.

Posłuszny dźwiękom żałosnym piszczałki, olbrzymi wąż zwolna wypełzał z leżącej u nóg wieszczbiarza czarnej skrzynki, i począł z chrzęstem rozwijać swe giętkie pierścienie, w których płomień zapalał metaliczne błyski Wtedy mag jął śpiewać cichym i przeciągłym głosem, zdającym się dochodzić z wielkiego oddalenia, i powielekroć powtarzał jedno tylko słowo: „Mara, mara, mara!” Wąż

owinął się dokoła jego chudego ciała i pieszczotliwie, z cichym szmerem, przysunął swój łeb płaski, zieloną okryty łuską z oczyma, błyszczącemi jak karbunkuły, do samego ucha czarownika: rozległ się syk, mignęło długie rozdwojone żądło, jak gdyby gad szepnął coś do ucha magikowi, ów zaś rzucił piszczałkę o ziemię. Płomień znowu przepełnił izbę gęstym białawym dymem, który tym razem szerzył zapach ciężki, odurzający, niby wyziewy mogilne—i zagasł nagle.

Zapanowały mrok i trwoga, i udzieliły się wszystkim obecnym. Ale gdy otwarto okiennice, i do izby wdarło się znowu ołowiane światło dżdżystego zmierzchu, z węża i skrzyni czarnej nie było już śladu. Twarze były śmiertelnie blade.

Nogodares podszedł do trybuna:

— Ciesz się!.. Wkrótce już oczekuje cię wielka łaska ze strony miłościwego Augusta, cesarza Konstancyusza!

Przez parę minut bacznie przyglądał się dłoni Skudilla, poczem, nachyliwszy się do jego ucha, szepnął tak, ażeby go nie słyszał nikt prócz trybuna:

— Na tej dłoni jest krew... krew... wielkiego cezara.

Skudillo przeląkł się nie na żarty.

— Jak śmiesz, przeklęty psie chaldejski! Jam wierny niewolnik!..

Ale ten utkwił w nim badawcze spojrzenie chytrych oczu i drwiąco prawie przemówił:

— Czego się obawiasz? Za wiele lat... A czyż może przyjść sława bez rozlewu krwi?

Duma i radość przepełniały serce Skudilla, gdy na czele żołnierzy opuszczał tabernę. Podszedłszy do świętego źródła, przeżegnał się nabożnie, napił cudownej wody i w gorącej modlitwie wzywał świętych — Koźmę

i Damiana, z tajemną nadzieją, że przepowiednia Nogodaresa ziścić się może. Potem skoczył na dzielnego rumaka kapadockiego i dał legionistom znak do wymarszu. Chorąży, draconarius, wzniósł w górę sztandar w kształcie smoka z materyi szkarłatnej.

Nie mogąc przemódz chęci popisu przed tłumem, zgromadzonym u drzwi oberży, podniecony winem i dumą, pomimo świadomości niebezpieczeństwa, trybun wyciągnął miecz w kierunku zamglonego wąwozu i zakomenderował donośnym głosem:

— Do Mecellum!

Szmer zdumienia przebiegł śród tłumu, ktoś wymówił imiona Juliana i Gallusa. Znajdujący się na czele kolumny trębacz zadął w zakręconą kilkakrotnie ku górze nakształt baraniego rogu „buccinę,” i dźwięk surmy rzymskiej rozległ się śród dalekich jarów górskich, które mu odkrzyknęły przeciągłem echem.

II

Głęboka ciemność panowała w wielkiej sypialni zamku Macellum, dawnej rezydencyi królów Kapadocyi.

Dziesięcioletni Julian spoczywał na twardem łożu; był to tapczan drewniany, skórą pantery nakryty. Tak sobie życzył sam chłopiec, nie napróżno wychowany w surowych zasadach filozofii stoickiej przez starego nauczyciela swego, Mardoniusza, zapalonego wielbiciela mądrości starożytnej.

Julian nie mógł usnąć. Co czas jakiś zrywał się wicher i wył, jak uwięziony zwierz pomiędzy szczelinami murów. Potem nagle nastawała zupełna cisza.

Wtedy, śród przerażającego spokoju, słychać było grube, rzadkie krople dżdżu, ze stukiem spadające ze znacz-

nej widać wysokości na dźwięczne płyty kamienne. Julianowi się zdało, że chwilami chwyta śród ciemnego mroku szmer skrzydeł szybującego pod sklepieniami nietoperza.

Łowił uchem regularny oddech brata, który, rozpieszczony i zniewieściały, spał na miękkiem posłaniu pod starym i zakurzonym baldachimem, ostatnim śladem przepychu królów Kapadocyi. Z sąsiedniej komnaty dolatywało ciężkie chrapanie. Nagle ukryte w ścianie drzwi od schodów tajemnych otwarły się cichutko, promień światła oślepił na chwilę oczy Juliana. Weszła stara niewolnica, Labda, z metalową lampą w ręku.

— Boję się, nianiu... Nie wynoś światła...

Staruszka umieściła lampę w półokrągłej niszy kamiennej u wezgłowia Juliana.

— Nie śpisz?.. Czy cię aby główka nie holi? Może ci się chce jeść? Ten stary grzesznik Mardoniusz głodem was morzy. Przyniosłam ci placuszków z miodem.. Smaczne, skosztuj tylko.

Karmić Juliana było najulubieńszem zajęciem Labdy; nie śmiała mu się jednak oddawać w ciągu dnia z obawy przed Mardoniuszem; za to nocą, w wielkiej tajemnicy, znosiła chłopcu łakocie. Napół ślepa, ledwie powłócząca nogami, Labda ubierała się stale w czarne szaty mnisze. Jakkolwiek była nabożną chrześcijanką, uważano ją za czarownicę tesalską. Najbardziej mgliste przesądy, starożytne i nowoczesne, zlały się w jej mózgu w jakąś dziwaczną religię, mało różniącą się od szaleństwa. Łączyła razem modlitwy i zaklęcia, bogów olimpijskich i biesów z kozimi rogami, obrzędy kościelne i gusła. Pełno było na niej krzyżyków, czarodziejskich amuletów z kości trupich i szkaplerzy z relikwiami męczenników. Dla Juliana czuła staruszka przywiązanie, połączone ze czcią przesąd-

ną, uważała go bowiem za jedynego prawego spadkobiercę Konstantyna Wielkiego, Konstancyusza zaś — za mordercę i przywłaszczyciela.

Labda lepiej niż ktokolwiek inny znała drzewo genealogiczne i odwieczne tradycye rodzinne domu Flawiuszów; pamiętała nawet dziada Julianowego, Konstancyusza Chlorusa. Krwawe tajemnice dworu przechowały się nienaruszone w jej pamięci; nieraz też śród nocy opowiadała o nich nieopatrznie Julianowi, który wobec rzeczy niepojętych dla mózgu dziecinnego, począł uczuwać, iż mu scrce zamiera z nieokreślonego przerażenia i odrazy. Ze wzrokiem zamglonym, głosem jednostajnym i obojętnym ciągnęła te okropne, nie mające końca opowieści, tak, jak inni opowiadają dawne baśnie.

Ustawiwszy lampę w niszy, Labda przeżegnała Juliana, sprawdziła, że ma na piersi nienaruszony amulet z bursztynu, i wymówiwszy kilka zaklęć dla odpędzenia złych duchów, znikła.

Julian wpadł w ciężki stan półsnu. Było mu gorąco; drażniły go duże krople deszczu, z wysokości padające w ciszy, niby na dno dźwięcznego naczynia. Nie wiedział, czy to sen, czy jawa, czy to wiatr tak świszcze, czy też Labda, do Parki podobna, poszeptuje mu do ucha przerażające podania rodzinne. Wszystko, czego się od niej dowiedział i czego sam był świadkiem w dzieciństwie, zlało się w jakieś potworne widzenie.

...Oto trup wielkiego cesarza na wspaniałym katafalku. Zmarły jest uróżowany i upudrowany, głowę zdobi mu wymyślna, wielopiętrowa fryzura, z fałszywych włosów wykonana przez najzręczniejszych perukarzy. Malutki Julian, sprowadzony, aby po raz ostatni ucałował dłoń wuja, boi się; purpura, dyadem z iskrzącymi się od blasku świec brylantami, rażą mu oczy. Śród ciężkich kadzideł arabskich raz

pierwszy w życiu odczuwa trupią woń rozkładu. Ale dworzanie, biskupi, rzezańcy, wodzowie—oddają cześć cesarzowi, jak gdyby żył. Posłowie chylą się przed nim i składają dziękczynienia z zachowaniem uroczystego ceremoniału; urzędnicy ogłaszają edykty, prawa, dekrety senatu, wyjednywając zezwolenie nieboszczyka, jak gdyby mógł ich jeszcze słyszeć—i szmer pochlebny unosi się nad tłumem: ludzie zapewniają, iż on tak jest wielki, że przez szczególną łaskę Opatrzności, nawet po zgonie rządzić nie przestaje.

Chłopiec wie, że ten uwielbiony człowiek zabił własnego syna, młodego bohatera, którego jedyną było winą, że był zbyt przez lud ukochany. Syn padł ofiarą oszczerstwa macochy, która go kochała miłością występną i zemściła się na nim, jak Fedra na Hipolicie. Następnie żonę Konstantyna, przekonaną o związek cudzołożny z niewolnikiem ze stajni cesarskich, uduszono w wannie, rozpalonej do białości. Trup po trupie, ofiara po ofierze. Aż wreszcie trapiony wyrzutami sumienia, monarcha błaga hierofantów o odpuszczenie zbrodni. Odmawiają mu. Ale biskup Ozyusz przekonywa go, iż jedna tylko jest religia, mająca władzę zmazywania podobnych czynów niecnych... I oto obecnie kosztowne *labarum*, sztandar z wysadzanym drogimi kamieniami monogramem Chrystusowym, świeci nad katafalkiem synobójcy.

Napróżno Julian usiłuje obudzić się, otworzyć oczy...

Dźwięczące krople spadają wciąż, niby łzy ciężkie a rzadkie, i wiatr huczy po dawnemu, jemu zaś zdaje się, że to Labda, Parka zgrzybiała, mamrocze bezzębnemi usty straszliwe opowieści o domu Flawiuszów.

I widzi się znowu w zimnych, wilgotnych lochach podziemnych Konstancyusza Chlorusa, pośród sarkofagów z porfiru, mieszczących popioły królewskie. Labda ukry-

wa go w najciemniejszym kącie, pomiędzy grobowce, i otula w swe szaty dygocącego w gorączce Gallusa. Nagle, nad icb głowami, w pałacu, z komnaty do komnaty, pod kamiennemi arkadami rozgłośnych i pustych sklepień przebiega przedśmiertny jęk.

Julian poznaje głos ojca swego, chce mu odpowiedzieć krzykiem, pobiedz do niego, ale Labda wstrzymuje dziecię kościstemi rękoma, szepcąc: „Cicho, cicho, bo i tutaj przyjdą”—i nakrywa go z głową. Po schodach tętnią kroki pośpieszne, coraz bliżej a bliżej. Labda znaczy dzieci krzyżem i wymawia zaklęcia. Z trzaskiem pękają podwoje, i przy świetle pochodni do lochów wdzierają się żołnierze cesarza, za mnichów przebrani. Na ich czele Euzebiusz, biskup Nikomedyi. Z pod czarnych habitów przeświecają stalowe kolczugi.—„W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, odpowiadajcie: kto jest tutaj?” I tak po trzykroć. Z obnażonymi mieczami w dłoniach, mordercy szperają po kątach. Labda pada im do nóg, wskazuje chorego Gallusa, bezbronnego Juliana: „Boga się bójcie! Co może uczynić cesarzowi niewinne pięcioletnie dziecię?” A legioniści zmuszają wszystko troje do ucałowania krzyża, który im podaje Euzebiusz, i złożenia przysięgi na wierność nowemu cesarzowi. Julian pamięta wielki krzyż z cyprysowego drzewa z emaliowanym wizerunkiem Zbawiciela; poniżej, na ciemnem tle starego drzewa, widać jeszcze świeże ślady krwi, odbicie dłoni mordercy, który krzyż trzymał.

Może to krew ojca Juliana, albo jednego z sześciu stryjecznych braci, Dalmacyusza, Hanibaliana, Nepocyana, Konstantyna Młodszego, lub innych? Siedmiu trupami zbrodniarz usłał sobie drogę do tronu, a wszystko to było dokonane w imię Ukrzyżowanego... I dalej wciąż ofiary, których niepodobna wyliczyć, ani spamiętać...

Julian zbudził się w przerażeniu. Deszcz ustał; wiatru słychać nie było, lampa równem światłem płonęła w niszy. Julian siadł na posłaniu, słuchając bicia własnego serca śród ciszy martwej i nieznośnej. Raptem na dole rozległy się głosy i kroki, z pokoju do pokoju przechodzące, rozbrzmiewając donośnie pod wysokiemi dźwięcznemi sklepieniami arkad Macellum, jak ongi brzmiały w lochach Flawiuszów. Julian wzdrygnął się, sądząc, że wciąż jeszcze marzy.

Ale kroki się zbliżały, głosy stawały się wyraźniejsze.

Wtedy krzyknął:

— Bracie, bracie, ty śpisz? Mardoniuszu, czy nic nie słyszycie?

Zbudził się Gallus. Mardoniusz bosy, z rozczochranymi siwymi włosami, w krótkiej nocnej tunice, z obrzękłą, żółtą, pomarszczoną twarzą rzezańca, podobną do twarzy starej baby, rzucił się ku drzwiom tajemnym.

— Żołnierze prefekta! Ubierajcie się... Musimy uciekać.

Ale było już za późno. Rozległ się szczęk zatrzaskiwanych drzwi wchodowych. Na kamiennych słupach wielkich schodów zajaśniały pochodnie, a w ich świetle—purpurowy sztandar drakonaryusza i błyszczący krzyż z monogramem Chrystusa na hełmie jednego z legionistów.

— W imieniu prawowiernego i miłościwego Augusta cesarza Konstancyusza! Ja, Marek Skudillo, trybun legii Fretenzyjskiej, biorę pod straż swoją Juliana i Gallusa, synów patrycyusza Juliusza.

Mardoniusz z mieczem w dłoni stanął w pozycyi wojowniczej przed zamkniętemi drzwiami sypialni, zagradzając drogę żołnierzom. Miecz to był zardzewiały, niezdatny do użytku. Służył on staremu nauczycielowi jedynie do okazywania podczas lekcyi Iliady na żywym przy-

kładzie, w pozach klasycznych, jak Hektor zwalczał Achillesa. W tej chwili Mardoniusz, jakkolwiek niezdolny do zabicia kury, potrząsał mieczem tuż pod nosem Publiusza według wszelkich reguł sztuki wojennej z czasów homerycznych.

Pijany Publiusz uniósł się:

— Precz z drogi, pęcherzu, padlino, miechu kowalski! Umykaj, mówię ci, jeśli nie chcesz, ażebym cię przekłół i wiatr z ciebie wypuścił!

I uchwyciwszy Mardoniusza za kark, odrzucił go do ściany. Skudillo, podbiegłszy ku drzwiom, otworzył je. Nieruchome światło lampki zachwiało się i zbladło w czerwonej łunie pochodni.

Po raz pierwszy w życiu ujrzał trybun ostatnich dwu potomków Konstancyusza Chlorusa. Gallus wydawał się wielkim i silnym, ale płeć miał delikatną, białą i matową, jak dziewczyna, a bladoniebieskie oczy patrzały leniwo i obojętnie. Jasne jak len włosy — cecha rodu Konstantyna—opadały mu w kędziorach na gruby i zdrowy kark. Pomimo ciała męskiego, lekkiego puszku na brodzie i lat osiemnastu, Gallus wyglądał w tej chwili jak dziecię, tyle naiwnego zdumienia i dziecinnej trwogi malowało się na jego twarzy. Wargi mu drżały, jak gdyby za chwilę miał zapłakać; bezradnie mrużył ociężałe od snu różowe powieki z bardzo jasnemi rzęsami i, żegnając się bez ustanku, szeptał: „Panie, zmiłuj się nade mną.”

Julian był dzieckiem mizernem, wątłem i bladem, o rysach twarzy nieregularnych, o włosach twardych, gładkich i czarnych, z nosem zbyt długim i wydatną dolną wargą. Ale oczy miał uderzające, które nadawały mu wygląd, wrażający się w pamięć, oczy wielkie, niezwykłe i zmienne, pełne nie dziecinnych, wytężonych, jakby chorobliwych blasków, chwilami wyglądające jak obłąkane.

Publiusz, który w młodości nieraz widywał Konstantyna Wielkiego, pomyślał, patrząc nań:

— Ten chłopak będzie podobny do stryja.

Wobec żołnierzy trwoga Juliana zniknęła, czuł tylko gniew. Z zaciśniętymi zębami, ze ściągniętą z łoża skórą pantery, zarzuconą na ramię, uparcie z podełba wpatrywał się w Skudilla, a dolna warga drżała mu z hamowanej wściekłości. W ukrytej pod futrem prawej ręce ściskał rękojeść cienkiego sztyletu perskiego — daru Labdy — którego ostrze było napojone silną trucizną.

— O, to wilczek!—rzekł jeden z żołnierzy, wskazując Juliana towarzyszowi.

Skudillo miał już przekroczyć próg pokoju, gdy Mardoniuszowi przyszła do głowy myśl zbawcza. Odrzuciwszy nieużyteczny oręż, uczepił się płaszcza trybuna i zaczął krzyczeć przenikliwym głosem kobiecym:

— Co zamierzacie uczynić, łajdaki?.. Jak śmiecie znieważać wysłannika cesarza Konstancyusza? Mam polecenie zawieźć na dwór tych dwu młodzianów cesarskiego rodu. Miłościwy August wraca im łaskę swoją. Oto rozkaz z Konstantynopola...

— Co on mówi?.. Jaki rozkaz?..

Skudillo zaczął się przyglądać Mardoniuszowi. Niepodobna było wątpić na widok tej twarzy zwiędłej i pomarszczonej, że musiał być rzezańcem, a trybun, choć po raz pierwszy w życiu spotkał się z Mardoniuszem, wiedział, jakimi szczególnymi względami cieszyli się u cesarza eunuchowie...

Tymczasem Mardoniusz wyciągnął pośpiesznie zwitek pergaminu z głębokiej szafy bibliotecznej, zarzuconej zwojami Hezyoda i Homera, i podał go trybunowi, który, rozwinąwszy go, pobladł natychmiast... Przeczytał zaledwie kilka pierwszych wyrazów, gdy ujrzał imię cesarza, który

się w edykcie mianował „nasza wiekuistość" (nostra aeternitas)—na datę jednak nie zwrócił uwagi.

Gdy spostrzegł zawieszoną n pergaminu na złoconych taśmach znaną sobie wielką pieczęć cesarską z ciemnozielonego wosku, pociemniało mu w oczach, i uczuł, że kolana chwieją się pod nim.

— Wybacz... to pomyłka...

— A, nikczemnicy! Precz stąd natychmiast! Tak napaść, i to po pijanemu! O wszystkiem dowie się cesarz!—krzyczał Mardoniusz, wyrywając pośpiesznie dekret z drżących rąk Skudilla.

— Nie gub mnie!... Wszyscyśmy bracia, wszyscy grzesznicy!.. Zaklinam cię w imię Chrystusa!..

— Wiem ja wszystko, co wyprawiacie w imieniu Chrystusa! nicponie! Wynoście się natychmiast!

Biedny trybun dał rozkaz odwrotu. Mardoniusz nanowo wnet pochwycił oręż i stanął w klasycznej pozie starożytnego wojownika. Pijany centuryon uparcie wyrywał się ku niemu, krzycząc:

— Puśćcie mnie! Niech go przekłóję! Chcę zobaczyć, jak pęknie—stary pęcherz!

Musiano go uprowadzić pod ręce.

Gdy odgłosy kroków umilkły, Mardoniusz, przekonawszy się, że wszelkie niebezpieczeńswo minęło, począł się śmiać śmiechem rozgłośnym, który wstrząsnął całem jego niedołężnem, niewieściem ciałem. Zapomniawszy o powadze i godności nauczycielskiej, starzec w nocnej tunice skakał na swych słabych i gołych nogach, wykrzykując radośnie:

— Dzieci moje, dzieci! Chwała Hermesowi!.. Tośmy ich w pole wywiedli!.. Edykt odwołany już trzy lata temu! O, głupcy, głupcy!..

Przed wschodem słońca Julian zasnął twardo.

Zbudził się późno, wypoczęty i wesoły, gdy już w wielkiem okratowanem oknie sypialni błyszczało jasne błękitne niebo.

III.

Rano odbywały się lekcye katechizmu, który wykładał aryanin *) o bezbarwnych żabich oczach, z kościstemi, wiecznie wilgotnemi rękoma, długi i wyschły jak szczapa. Mnich aryański Eutropiusz miał niemiłe przyzwyczajenie pośliniwszy z lekka dłoń, szybko gładził rzadkie siwe kosmyki na skroniach, poczem niezwłocznie składał ręce i z lekka trzaskał stawami palców. Julian wiedział, że jedno nieuniknienie musi nastąpić po drugiem, i to w nim wywoływało męczące rozdrażnienie.

Eutropiusz chodził w czarnym habicie, łatanym i popiamionym, utrzymując, że czyni to z pokory; w istocie jed-

---

*) Aryanie, heretycy, którzy przeczyli bóstwa Jezusa Chrystusa, twierdząc, że uie jest on równy Bogu Ojcu i nie wieczny, lecz stworzony z woli Bożej, jak inne stworzenia, chociaż wyższy od wszystkich stworzeń. Poglądy założyciela sekty, Aryusza, były potępione 318 r. na synodzie w Aleksandryi, ale doktryna jego znalazła oddźwięk wśród ludu i pewnej części duchowieństwa. Walka z aryanizmem trwała długo. Niektórzy cesarze sprzyjali heretykom. W epoce, której obraz wystawia niniejszy romans, aryanizm, zmodyfikowany cokolwiek, panował na dworze konstantynopolitańskim, i urzędową formułą było twierdzenie, że Chrystus jest podobny, ale nie identyczny z Bogiem Ojcem. Dopiero za Teodozyusza Wielkiego, na synodzie konstantynopolitańskim 381, przyjęto t. zw. „symbolum Nicaeno-Constantinopolitanum,” gdzie uznano identyczność Ojca i Syna, i to zadało cios aryanizmowi, który osłabł w państwie Rzymskiem, ale odżył wśród ludów germańskich. W romansie niniejszym przedstawicielami chrześcijaństwa są aryanie i duchowieństwo aryańskie.

nak był to sknera. Takim był przewodnik, wybrany przez opiekuna duchownego Juliana, Euzebiusza z Nikomedyi.

Mnich posądzał swego ucznia o „tajemne skażenie moralne,” które, według niego, miało na Juliana sprowadzić wieczne potępienie, gdyby się nie poprawił.

To też Eutropiusz mówił mu niezmordowanie o uczuciu wdzięczności, jakie chłopiec powinien żywić dla dobroczyńcy swego, cesarza Konstancyusza, i wyjaśniając słowa Pisma, lub dogmat aryanizmu, albo alegoryę proroctw biblijnych, niezmiennie sprowadzał wszystko do tego jednego celu, do „tego źródła świętego posłuszeństwa i uległości synowskiej.” Religia pokory i miłości, ofiary męczeńskie— wyglądały jak szereg stopni, po których tryumfator Konstancyusz wkraczał na tron. Chwilami jednak, kiedy mnich aryański rozwodził się nad dobrodziejstwami, których Julian doznał od cesarza, chłopiec wlepiał w oczy nauczyciela spojrzenie głębokie i nieme. Wiedział, co w owej chwili myślał mnich, jak i ten również wiedział, o czem myśli jego uczeń, nigdy przecież nie wyrzekli do siebie słowa w tym przedmiocie. Tylko jeżeli potem Julian zacinał się, zapomniawszy jakiego bądź tekstu, albo kolei chronologicznej patryarchów Starego Zakonu, lub niedobrze wyuczonej modlitwy, Eutropiusz, milcząc, z rozkoszą wpatrywał się weń żabiemi swemi oczyma i z lekka chwytał go dwoma palcami za ucho, niby z pieszczoty—ale dziecko czuło, jak dwa twarde i ostre paznogcie zwolna wpijały mu się w ciało.

Pomimo posępnego wyglądu, Eutropiusz odznaczał się ironicznie wesołym temperamentem. Obdarzał swego ucznia najczulszymi epitetami, a jednocześnie drwił z jego cesarskiego pochodzenia.

Za każdym razem po takiem uszczypnięciu w ucho, gdy Julian bladł nie z bólu, lecz ze wściekłości, Eutropiusz przemawiał służalczo:

— Może twoja wysokość raczy się gniewać na swego uniżonego i ubogiego duchem niewolnika Eutropiusza?

Potem, pośliniwszy dłoń, gładził kosmyki siwych włosów na skroniach, trzaskał stawami chudych palców i dodawał, że nie zawadziłoby czasami wychłostać rózgą złych i leniwych chłopaków, gdyż Pismo Święte często o tem wspomina, jako o środku najodpowiedniejszym do oświecenia umysłów ciemnych i krnąbrnych.

Mówił to jedynie w celu ujarzmienia dyabelskiej pychy Juliana, który wiedział zresztą, że Eutropiusz nie odważyłby się nigdy na wykonanie swej groźby. Mnich w głębi duszy był przekonany, że dziecko przeniosłoby raczej śmierć nad chłostę, pomimo to jednak nauczyciel lubił rozprawiać o tem często i obszernie.

Przy końcu lekcyi, podczas wyjaśnienia jakiegoś tekstu, Julianowi wyrwała się wzmianka o antypodach, o których słyszał od Mardoniusza. Może zresztą umyślnie wspomniał o tem, by podrażnić mnicha. Ten jednak zaczął się śmiać cieniutkim, tłumionym śmiechem, starannie zasłaniając dłonią usta.

— Któż ci to, kochanku, nagadał o antypodach? Toś dopiero rozśmieszył mnie grzesznego! Wiem, wiem, ten stary głupiec Platon gdzieś o tem coś napisał. I tyś uwierzył z całą naiwnością, że ludzie chodzą na głowach?

Tu zaczął piętnować bezbożną herezyę filozofów. Czyż nie oburzającem przypuszczać, aby ludzie, stworzeni na obraz i podobieństwo Boże, mogli chodzić głową w dół, urągając w ten sposób niebu? Gdy zaś Julian, ujmując się za ulubionymi filozofami, wspomniał o kulistości ziemi, Eutropiusz nagle przestał się śmiać i, zaczerwieniony ze złości, zaczął tupać nogami:

— To od tego poganina Mardoniusza nasłuchałeś się pewnie takich łgarstw ateuszowskich!

W gniewie Eutropiusz zaczynał się jąkać i bryzgać śliną, która Julianowi wydawała się jadowitą. I teraz z zaciekłością rzucił się aryanin na wszystkich mędrców Hellady.

Dotknięty do żywego uwagą Juliana, zapominając, że uczeń jego dzieckiem jest jeszcze, puścił się na długie i poważne rozumowanie.

Pitagorasa, który „na starość zidyociał,” oskarżał o bezczelne zuchwalstwo. O bredniach Platona, jego zdaniem, nie było warto mówić; nazywał je wprost „wstrętnemi,” tak jak naukę Sokratesa „niedorzeczną.”

— Czytaj, co Dyogenes Laercyusz pisze o Sokratesie! — mówił złośliwie. — Przekonasz się, że to nie tylko był lichwiarz, ale prócz tego kalał się najohydniejszymi nałogami, o których wstyd nawet wspominać.

Ale najsilniejszą nienawiść żywił do Epikura.

— On nie wart nawet odpowiedzi. Zwierzęcość, z jaką oddawał się wszelkiego rodzaju chuciom, i nikczemność, z jaką czynił się niewolnikiem zmysłowych rozkoszy, są dostatecznym dowodem, że nie był to człowiek, lecz bydlę!..

Ochłonąwszy nieco, wziął się Eutropiusz do wyjaśniania nieuchwytnych scholastyoznyah odcieni dogmatów aryanizmu, z równą zajadłością miotając się na Kościół prawowierny i ekumeniczny, który za heretycki uważał.

Ze wspaniałego, choć zaniedbanego ogrodu, przez okno wdzierał się świeży wietrzyk. Julian udawał, że uważnie słucha, tymczasem zaś myślał zupełnie o czem innem, a mianowicie o swym ulubionym nauczycielu Mardoniuszu. Wspominał jego nauki, czytywanie Homera i Hezyoda. O, jakże to było niepodobne do lekcyi aryanina!

Mardoniusz nie deklamował Homera, ale zwyczajem starożytnych rapsodów, śpiewał go ku wielkiej uciesze Labdy, która utrzymywała, że „stary wyje, niby pies na

księżyc.” Nieprzyzwyczajonemu mogło to w samej rzeczy wydawać się zrazu śmiesznem.

Stary eunuch skrupulatnie skandował każdą stopę heksametru, wymachując takt rękoma, a na żółtej i zwiędłej jego twarzy malowało się poważne skupienie.

Ale z każdą strofą potężniał piszczący głos kobiecy, i Julian przestawał spostrzegać brzydotę starca, a widział jedynie duszę żywą i zapalną, wstrząśniętą zachwytem nad potęgą piękna. Dreszcz rozkoszny przejmował mu ciało, podczas gdy boskie heksametry przelewały się, hucząc, niby fale morskie. Widział przed oczyma pożegnanie Hektora z Andromachą, Ulisesa, wzdychającego do Itaki na wyspie nimfy Kalipso, w obliczu smutnego, pustynnego morza. Jakiś słodki ból targał serce Juliana; była to dręcząca tęsknota do wieczyście uroczej Hellady, ojczyzny bogów i wszystkich kochanków piękna. Łzy czuć było w drżącym głosie mistrza, łzy toczyły się po jego żółtych policzkach.

Innym znów razem Mardoniusz mówił chłopcu o mądrości, o twardej cnocie, o śmierci bohaterów za wolność. O, jakże i te mowy również nie były podobne do nauk Eutropiusza! Mardoniusz opowiadał mu żywot Sokratesa. Dochodząc do apologii przed ludem ateńskim, stary nauczyciel przybierał postawę tryumfującą i recytował z pamięci mowę filozofa z zimną pogardą, zastygłą na twarzy. Zdawało się, że przemawia nie oskarżony, lecz sędzia ludu. Sokrates nie żąda przebaczenia. Wszelka władza, wszelkie prawa państwa niczem są wobec wolności ducha człowieczego. Ateńczycy mogą go pozbawić życia, ale nie potrafią mu odebrać wolności i szczęścia jego duszy nieśmiertelnej.

I kiedy ten barbarzyniec Scyta, dawny niewolnik z nad brzegów Borystenu, wymawiał głośno wyraz: „wol-

ność,” zdawało się Julianowi, iż mieści on taką nadludzką piękność, wobec której bledną nawet obrazy Homera. Utkwiwszy w mistrzu oczy szeroko rozwarte, prawie obłąkane, drżał cały i drętwiał w zachwycie...

Dotknięcie zimnej kościstej dłoni wyrwało Juliana z marzeń. Lekcya skończyła się. Ukląkł, zmówił modlitwę dziękczynną i, uwolniwszy się od Eutropiusza, pobiegł do swego pokoju, aby chwycić książkę i pójść do ustronnego zakątka ogrodu. Tam bez przeszkody odczytywał „Symposion,” dzieło niecnego bezbożnika Platona, ze wszystkich najsurowiej zakazane.

Na schodach spotkał wychodzącego mnicha.

— Czekaj-no, czekaj, kochanie! Co to za książkę niesie twoja wysokość?

Julian spojrzał na niego i spokojnie podał mu książkę. Przeczytawszy na okładce pergaminowej wypisany wielkiemi literami tytuł: „Listy świętego Pawła apostoła,” Eutropiusz oddał mu ją, nie zaglądając do środka.

— To dobrze, dobrze... Pamiętaj, że odpowiadam za twoją duszę przed Bogiem i wielkim cesarzem. Nie czytaj ksiąg heretyckich, a zwłaszcza tych filozofów, których fałszywą mądrość dostatecznie ci dzisiaj wyjaśniłem.

Było to zwykłym podstępem dziecka zawijać niebezpieczne dzieła w okładki niewinne. Od najwcześniejszej młodości nauczył się Julian z niedziecinną doskonałością obłudy i znajdował najżywszą przyjemność w oszukiwaniu innych, a zwłaszcza Eutropiusza.

Nieraz kłamał i udawał bez potrzeby, z przyzwyczajenia, z uczuciem nienawistnej i mściwej radości. Tylko względem Mardoniusza był szczery.

W Macellum nie było końca intryg, potwarzy, plotek, podejrzeń i doniesień śród licznej a niezajętej służby. Cała ta brudna gawiedź dworska, pożądająca łaski pań-

skiej, dniem i nocą śledziła dwu braci cesarskiego rodu, popadłych w niełaskę.

Jak dawno Julian mógł sięgnąć pamięcią, zawsze z dnia na dzień oczekiwał śmierci, aż wreszcie zwolna oswoił się z tą nieustanną trwogą, wiedząc, że ani w domu, ani w ogrodzie nie zdolen uczynić kroku lub poruszenia, któreby uszło uwagi tysiąca ciekawych, choć niewidzialnych oczu. Dziecko słyszało i pojmowało wiele, chociaż musiało udawać, że nie wie o niczem. Raz doleciało do niego kilka wyrazów z rozmowy Eutropiusza ze szpiegiem, od cesarza Konstancyusza nasłanym, w której mnich nazywał Juliana i Gallusa „cesarskiemi szczeniętami.” Innym razem znowu w korytarzu pod oknami kuchni chłopiec usłyszał niespodzianie, jak rozgniewany z powodu jakiejś niegrzeczności Gallusa stary pijaczyna kucharz mówił do swej kochanki, niewolnicy, pomywaczki: „Niech Bóg czuwa nad moją duszą, Pryscyllo—jednak tego pojąć nie mogę, dlaczego ich dotychczas nie uduszono!”

Wyszedłszy po lekcyi z domu i znalazłszy się pośród zieleni drzew, Julian odetchnął swobodniej. Dwa uśnieżone wierzchołki góry Argeus biało się rysowały na błękitnem niebie. W powietrzu czuć było świeży powiew od sąsiednich lodowców. Szły w dal aleje bez końca, migotliwe, ciemnozielone liście południowych dębów „kamiennych” tworzyły nieprzenikliwe sklepienia; gdzieniegdzie tylko przez gałęzie platanów przeciskał się promień słońca. Z jednej tylko strony ogród był pozbawiony muru; zastępowało go urwisko. Na dole, aż do Antitauru na krańcu widnokręgu, drzemała martwa równina, ziejąca skwarem, a w ogrodzie toczyły się ożywcze wody, huczały kaskady, tryskały fontanny i szemrały strumyki w cieniu gęstego gaju oleandrów.

Macellum przed wiekami było ulubionem miejscem pobytu lubującego się w przepychu, nawpół obłąkanego króla Kapadocyi, Aryaratesa.

Julian, z księgą Platona w ręku, skierował się ku znajdującej się w pobliżu przepaści ustronnej grocie, w której stał posąg bożka Pana o nogach koźlich, grają cego na flecie, oraz niewielki ołtarz ofiarny. Z rozwartej paszczęki lwiej tryskała do muszli kamiennej woda; wejście osłaniały krzaki róż herbacianych, przez których gałęzie widać było pagórki w dolinie, otulone siną, falującą jak morze mgłą. Zapach róż przepełniał grotę, której powietrze byłoby ciężkie, gdyby nie strumień kryształowy.

Wiatr unosił żółte płatki róż, zaścielał nimi ziemię i przyprószał wodę w basenie. Brzęk pszczół rozlegał się w ciemnem, ciepłem powietrzu.

Julian, wyciągnięty na mchu, czytał „Ucztę Platona.” Wielu ustępów nie rozumiał; powab książki stanowiło to, że była zakazana.

Skończywszy czytanie, znowu zawinął książkę w okładkę „Listów Apostoła Pawła,” poczem zbliżył się do ołtarza Pana, spojrzał na wesołego boga, niby dawnego powiernika, i odrzuciwszy pęk zeschłych liści, wyciągnął z zaslonionej deszczułką szpary w ołtarzu przedmiot jakiś, starannie tkaniną owinięty. Było to jego dzieło: prześliczna mała galera trójrzędna, „tryrema liburnyjska,” którą też zaraz wpuścił do wodozbioru. Galera zakołysała się na drobniutkich falach. Nic w niej nie brakowało. Miała trzy maszty, reje, wiosła, dziób wyzłacany, żagle sporządzone z kawałka jedwabiu, wyproszonego od Labdy. Pozostawało jeszcze tylko ster umocować, i chłopiec wziął się do roboty.

Strużąc deszczułkę, spoglądał niekiedy na odległe wzgórza, rysujące się jak fale po przez gaj różany. I przy tej zabawie zapominał wkrótce o wszystkich swych udręczeniach, o całej nienawiści i wiecznej obawie śmierci.

W tej grocie wyobrażał sobie, że jest zaginionym śród fal, w jaskini samotnej nad morzem siedzącym przebiegłym Ulisesem, że buduje statek, aby powrócić do ukochanej Itaki. Ale tam, pomiędzy wzgórzami, gdzie domy Cezarei bieliły się istotnie nakształt pian oceanu, krzyż jeden, niewielki krzyż, błyszczący ponad bazyliką, psuł mu wrażenie. Wiecznie ten krzyż!.. Starał się go nie widzieć, pocieszając się budowaniem galery.

— Julianie! Julianie! Gdzie jesteś? Eutropiusz cię szuka: czas iść do kościoła!

Wzdrygnął się chłopiec i pośpiesznie ukrył swój statek wewnątrz ołtarza Pana. Następnie wygładził włosy, otrzepał ubranie, a gdy wyszedł z groty, twarz jego miała znowu niedziecinny, jak gdyby życia pozbawiony wyraz nieprzeniknionej i głębokiej hipokryzyi.

Eutropiusz wziął go zimną, kościstą swą dłonią za rękę i poprowadził do kościoła.

IV.

Aryańska bazylika św. Maurycego była prawie wyłącznie zbudowana z głazów, pochodzących ze zburzonej świątyni Apollina. Poświęcony dziedziniec, *atrium*, otaczały wkoło kolumnady. W pośrodku szemrała fontanna, do abluwiacyi wiernych przeznaczona. Pod jednym z bocznych portyków wznosił się dawny, zczerniały od starości, dębowy grobowiec rzeźbiony. Spoczywały w nim cudotwórcze relikwie św. Mamasa, nad któremi z polecenia Eutropiusza Julian i Gallus budowali kapliczkę kamienną. Pra-

ca Gallusa, który w niej znajdował przyjemną rozrywkę atletyczną, postępowała szybko; natomiast mur, przez Juliana wznoszony, walił się nieustannie. Zjawisko to Eutropiusz tłómaczył tem, że święty Mamas odrzucał ofiarę dziecka, opętanego przez ducha pychy szatańskiej.

Grobowiec otaczały tłumy chorych, wyczekujących cudu. Julian wiedział, po co przychodzą. Znajdował się pomiędzy nimi mnich aryański z wagami w ręku: pobożni, śród których było wielu pielgrzymów z odległych o kilkadziesiąt parasang wiosek, ważyli skrupulatnie kawałki tkaniny lnianej, wełnianej lub jedwabnej, a złożywszy je następnie na mogile świętego Mamasa, modlili się po całych nocach. Nazajutrz ważono znowu kawałki i porównywano wagę. Jeżeli tkanina była cięższą, niż dnia poprzedniego, stawało się oczywistem, iż modły były wysłuchane, i łaska Boża na podobieństwo rosy wsiąknęła w materyę, która nabierała przez to cudownych własności leczniczych.

Częstokroć jednak próżne były modlitwy: tkanina nie stawała się cięższą, i pielgrzymi spędzali przy mogile całe dni, tygodnie i miesiące. Była pomiędzy nimi stara niewiatsa imieniem Teodula, przez jednych uważana za obłąkaną, gdy tymczasem inni czcili ją jako świętą. Ta od lat wielu nie opuszczała już mogiły świętego Mamasa. Córka, o której uzdrowienie błagać była przyszła, umarła już dawno; pomimo to Teodula nie przestawała modlić się uporczywie przed kawałkiem spłowiałego i wystrzępionego płótna.

Z atryum troje drzwi prowadziło do wnętrza bazyliki: jedne na stronę przeznaczoną dla mężczyzn — andron, drugie dla kobiet — matronikion; trzecie, środkowe, służyły dla mnichów i niższego duchowieństwa. Temi drzwiami wszedł Julian razem z Eutropiuszem i Gallusem, jako należący do anagnostesów czyli lektorów wyświęconych.

Przyodziany w długą suknię czarną o szerokich rękawach, z włosami naoliwionymi i ujętymi w wązką przepaskę, aby podczas czytania nie opadały mu na czoło, wszedł Julian pomiędzy wiernych, skromnie wzrok utkwiwszy w ziemię. Na bladem jego obliczu prawie pomimo woli odmalował się dawnem przyzwyczajeniem wyrobiony wyraz bezwzględnej i obłudnej uległości.

Wstąpił na wysoki chór aryański.

Na lewej ścianie freski wyobrażały męczeństwo świętej Eufemii. Jeden siepacz trzymał ofiarę za głowę, odginając ją ku tyłowi, drugi otwierał jej usta szczypcami, zbliżając do gardła kielich roztopionego ołowiu. Na innym obrazie kat narzędziami tortury rozszarpywał dziecinne, krwią zbroczone członki tejże Eufemii, przywiązanej za ręce do drzewa. Pod freskami tymi był napis: „Krwią męczenników, o Panie, stroi się kościół Twój jako bisiorem i purpurą."

Na przeciwległej ścianie widać było grzeszników, palących się śród ogni piekielnych, a ponad nimi niebo i świętych Pańskich.

Jeden z nich zrywał owoc rumiany z edeńskiego drzewa, inny grał na cytrze, trzeci, wsparty na obłoku, z błogim uśmiechem spoglądał na męczarnie piekła. Pod freskami biegł napis: „Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów!"

Chorzy od grobu świętego Mamasa przeszli do kościoła. Byli tam kulawi, ślepi, bezręcy, sparaliżowani, dzieci ułomne, do starców podobne, opętani, idyoci o bladych twarzach z rozpalonemi powiekami, a wszyscy z piętnem bezmyślnego i rozpaczliwego poddania się na twarzy. Gdy chór śpiewać przestawał, słychać było skruszone westchnienia wdów kościelnych, — „kalugerek" — odzianych w ciemne szaty, albo zgrzyt kajdan starego Pamfila, któ-

ry od wielu długich lat nie przemówił do nikogo słowa, mrucząc bez ustanku: „Panie, o Panie! użycz mi łez, użycz litości, użycz mi pamięci śmiertelnej!”

Powietrze było ciężkie, jak w grobie, duszne, przesycone zapachem kadzideł, topionego wosku, palącej się oliwy i oddechami wszystkich chorych.

Julian w dniu tym czytać miał Apokalipsę.

Poczęły powstawać okropne obrazy objawienia.

Oto płowy koń w obłokach, a tego, który siedzi na nim, imię—Śmierć. Wszystkie pokolenia ziemi narzekają, przeczuwając nadchodzący koniec świata. Słońce zczerniało, jako wór włosiany, i księżyc wszystek stał się jako krew... I rzekli ludzie górom i skałom: „Upadnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem tego, który siedzi na stolicy, i przed gniewem tego Baranka, albowiem przyszedł dzień on wielki gniewu Jego, i któż się ostać może?”

Co chwila rozlegały się proroctwa.

„Przetoż w one dni szukać będą ludzie śmierci, ale jej nie znajdą; i będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie.”

I wszczęły się biadania: „Błogosławieni są odtąd umarli!”

Potem nastąpiło krwawe zatracanie narodów. Zebrano grona winnicy ziemi i wrzucono je w wielką prasę gniewu Bożego. I tłoczona jest prasa przed miastem, i wyszła krew z prasy aż do wędzideł końskich przez tysiąc i sześćset stajań. A ludzie złorzeczyli Bogu na niebie dla swych cierpień i nie pokutowali za grzechy swoje. I rzekł Anioł głosem wielkim: „Jeżeli się kto pokłoni bestyi i obrazowi jej i jeżeli weźmie piętno na czoło swoje albo na rękę swoją, ten pić będzie z wina gniewu Bożego, z wina szczerego i nalanego w kielich gniewu Jego, i będzie męczony w ogniu i siarce przed oblicznością

Aniołów świętych i przed oblicznością Baranka. A dym męki ich występuje na wieki wieków, i nie mają odpoczynku we dnie i w nocy, którzy się kłaniają bestyi i obrazowi jej."

Julian umilkł. W świątyni panowało głębokie milczenie; z przerażonego tłumu szły ciężkie westchnienia, stuk czół uderzanych o ziemię i szczęk kajdan Pamfila, wtórujący wiecznemu jego szeptowi: „Panie, o Panie, użycz mi łez, użycz litości, użycz mi pamięci śmiertelnej!"

Chłopiec wzniósł oczy ku półkolu z mozaiki pomiędzy kolumnami arkad, wyobrażającemu „aryański" wizerunek Chrystusa, posępnego, straszliwego, o wychudłej twarzy, w złoconej aureoli i w dyademie, podobnym już do dyademu cesarzów bizantyjskich,—oblicze starca z nosem długim a cienkim, z zaciśniętemi surowo wargami. Prawą ręką błogosławił świat, w lewej trzymał księgę z napisem: „Pokój niech będzie z wami. Jam jest światłością światła."

Siedział na wspaniałym tronie, a cesarz rzymski (Julian wyobrażał sobie, że to musi być Konstancyusz całował mu stopy.

Tymczasem na dole, z półmroku, w świetle jedynej lampki, wyłaniała się płaskorzeźba na sarkofagu z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Widać było na niej zwinne małe nereidy, pantery, wesołych trytonów, a obok nich Mojżesza, dobrodusznego Jonasza z wielorybem, Orfeusza, dźwiękami liry poskramiającego dzikie zwierzęta; gałązkę oliwną, gołębia, rybę—symbole naiwne czystej wiary dziecięcej. Pośrodku stał Dobry Pasterz, trzymając owieczkę na ręku, owieczkę zbłąkaną, duszę grzesznika. Pełnym błogości i prostoty wydawał się ten bosy młodzian z twarzą bez zarostu, pokorną i łagodną, jak twarz ubogiego wieśniaka. W uśmiechu jego odbijała się słodycz niebiańska.

Julian myślał, że nikt już nie zna i nie widzi tego Dobrego Pasterza, a ten wizerunek niewielki z innej epoki wiązał się w jego umyśle z jakiemiś marzeniami lat dziecinnych, które napróżno starał się odnowić w pamięci.

I patrząc na tego młodzieńca, który, zdało się, z tajemniczym jakimś wyrzutem nań spoglądał, Julian wyszeptał słowo, usłyszane od Mardoniusza: „Galilejczyk!” W tej samej chwili ukośne promienie słońca, wpadłszy przez okna, zadrgały w dymach kadzideł, które w wirowaniu lekkiem zdawały się unosić ku górze płonące złotą aureolą, ponure i straszliwe oblicze Chrystusa aryańskiego.

A z chóru zabrzmiał śpiew tryumfalny:

„Niech zamilknie wszelkie ciało ludzkie i stoi w bojaźni i trwodze, a o niczem ziemskiem niechaj nie myśli. Oto Król królów, Pan panów daje siebie na odkupienie i pokarm wiernym swoim w otoczeniu aniołów, obdarzonych potęgą i władzą wszelką, cherubów o oczach wielu i sześcioskrzydłych serafów, którzy zasłaniają twarze, śpiewając: Alleluja, Alleluja, Alleluja!”

Jak huragan przebiegł śpiew ponad schylonemi głowami pobożnych. Niknął obraz Dobrego Pasterza w niezmiernem oddaleniu, ale pełne wyrzutu spojrzenie młodzieńca wciąż trwało utkwione w Julianie, i serce chłopca drętwiało nie pod wpływem uwielbienia, lecz nieznośnego niepokoju wobec tej tajemnicy, która na zawsze miała dla niego pozostać nieprzeniknioną.

V

Powróciwszy do Macellum z bazyliki aryańskiej, Julian chwycił gotową całkiem, starannie zawiniętą „tryremę” i, wymknąwszy się niepostrzeżony przez nikogo (gdyż Eutropiusz po nabożeństwie udał się w podróż kilkunastodniową) poza bramy twierdzy, pobiegł do świątyni Afro-

dyty, położonej tuż przy kościele świętego Maurycego, tak, iż gaj, poświęcony bogini, stykał się z cmentarzem chrześcijańskim.

Niechęć, spory, a nawet procesy nie ustawały nigdy pomiędzy obiema świątyniami. Chrześcijanie domagali się zburzenia bezbożnego zboru; kapłan Olimpiodor użalał się na stróżów bazyliki, którzy nocami potajemnie wycinali w poświęconym gaju stuletnie cyprysy, lub w gruncie, należącym do bogini, kopali groby dla chrześcijan.

Julian zapuścił się w gaj. Ogarnęło go powietrze ogrzane. Na szarej włóknistej korze cyprysów, wyciśnięte skwarem popołudniowym, występowały grube krople żywicy. Julianowi się wydawało, że czuje w tym półzmroku wonny oddech Afrodyty.

Wskroś zieleni drzew bieliły się posągi. Tu stał Eros, wypuszczający strzałę z łuku. Widocznie jakiś brutalny sługa bazyliki, na urągowisko bałwanowi, utrącił mu łuk marmurowy. Broń Amora i śliczne rączki bożka leżały w trawie u podnóża posągu. Ale zdradzieckie chłopię bezrękie pomimo to, wystawiwszy naprzód pulchną nóżkę, celowało po dawnemu z pustym na ustach uśmiechem.

Julian wszedł do domu kapłana Olimpiodora. Mieszkanie składało się z kilku niewielkich, ale wygodnych izb bez śladu przepychu, raczej ubogo urządzonych. Nie było tam kobierców ani naczyń srebrnych: zwykła posadzka kamienna, sprzęty drewniane i tanie amfory z wypalonej gliny. Za to każdy przedmiot miał cechę wytworności. Rączkę zwyczajnej lampy kuchennej stanowiło przedziwne dzieło sztuki starożytnej, wyobrażające Neptuna z trójzębem; wysmukłe kształty wazonów glinianych z lichą oliwą wzbudzały podziw Juliana. Wzdłuż ścian biegły leciuchne freski: to nereida, siedząca na łuskowatym jednorożcu wodnym, to pląsająca bogini młoda w długim peplonie,

którego fałdy rozbujane układały się we wdzięczne zwoje.

Wszystko się śmiało w tym słonecznym domku: nereidy, tancerki, trytony, nawet łuskowate jednorożce, nawet Neptun na lampie, a nadewszystko śmieli się mieszkańcy, którzy urodzeni dla wesołości, nie znali brzydoty, złośliwości i nudów. Tuzin smacznych oliwek, trochę białego chleba, grono winne i parę puharów wodą rozcieńczonego wina wystarczały, ażeby posiłek uważać za ucztę, i ażeby Diofana, żona Olimpiodora, na znak uroczystego święta, zawieszała tryumfalnie u drzwi domu wieniec laurowy.

Julian wszedł do niewielkiego ogródka w atryum. Pod lazurem nieba strzelał do góry wodotrysk, a wśród narcyzów, akantusów, tulipanów i mirtów wznosił się Merkury z bronzu, skrzydlaty, uśmiechnięty, jak domek cały, gotując się do lotu. Pomiędzy kwiatami, migocąc w słońcu, goniły się motyle i pszczoły.

Na dziedzińcu, w lekkim cieniu portyku, Olimpiodor i siedemnastoletnia jego córka Amaryllis oddawali wdzięcznej grze atyckiej w „kottabos.” Na wetkniętej w ziemię kolumience wahała się, niby ramię wagi, niewielka laseczka poprzeczna, mająca na obu końcach zawieszone drobniutkie szale; pod niemi, w naczyniach pełnych wody, stały dwa posążki metalowe. Gra polegała na tem, ażeby z pewnej odległości plusnąć strugą wina z puharu w jedną z szalek, która, pod ciężarem płynu, powinna była stuknąć o statuetkę.

— Dalej, graj prędzej! Kolej na ciebie! — wołała Amaryllis.—Raz, dwa, trzy!

Olimpiodor cisnął zawartość swego kielicha — i chybił.

Zaśmiał się dziecinnym śmiechem. Dziwnie było patrzeć na tego dojrzałego, siwiejącego już mężczyznę, jak się zapalał do gry tak dziecinnej.

Dziewczyna, uroczym ruchem nagiej ręki odrzuciwszy liliową tunikę, plusnęła z kolei winem, i mała szalka kottabosa zadźwięczała, opadłszy na posążek. Amaryllis ze śmiechem klasnęła w dłonie. Wtem ujrzeli na progu Juliana i pobiegli ku niemu, witając go i całując.

Amaryllis wołała:

— Diofano, gdzie jesteś?.. Chodź, zobacz, jakiego mamy gościa! Chodź prędzej!..

Diofana przybiegła z kuchni.

— Ach, to ty, Julianie, dziecko kochane! Zdaje mi się, że zmizerniałeś?.. Tak długo ciebie nie było widać...

I rozpromieniona z radości, dodała:

— Bawcie się, dzieci moje. Wyprawimy sobie dzisiaj prawdziwą ucztę. Przygotuję świeże wianki różane, usmażę całe trzy okunie i zrobię wam słodkie pierożki z imbierem.

Tymczasem podeszła do Olimpiodora młoda niewolnica i szepnęła mu do ucha, że pewna bogata patrycyuszka z Cezarei pragnie z nim pomówić, mając interes do ofiarnika Afrodyty.

Olimpiodor udał się do niej. Julian i Amaryllis grali dalej w kottabos.

Wtem na progu zjawiło się cichutko dwunastoletnie dziewczę, blada, jasnowłosa Psyche, najmłodsze dziecko Olimpiodora. Dziewczynka ta miała wielkie i nadzwyczaj smutne oczy i wydawała się sama jedna w tym domu niepoświęconą Afrodycie, obcą radości ogólnej. Żyła na uboczu, zawsze zadumana, podczas gdy inni się śmieli, a nikt nie wiedział, co ją smuci i co cieszy. Ojciec uważał ją za istotę pożałowania godną, nieuleczalnie chorą,

urzeczoną jakiemś spojrzeniem złowieszczem, czarami zawziętych jego wrogów, galilejczyków, którzy przez zemstę pozbawili go dziecka.

Czarnowłosa Amaryllis była ulubienicą Olimpiodora; natomiast matka skrycie pieściła Psychę, z zazdrosną namiętnością kochając to dziecię chore, którego dusza wymykała się z pod jej władzy. Psyche w tajemnicy przed ojcem uczęszczała do bazyliki świętego Maurycego, pomimo pieszczot, błagania i groźb swej matki. Strapiony kapłan wyrzekł się swego dziecka, a gdy mu o niem wspominano, chmurzył twarz, która przybierała wyraz złowróżbny. Utrzymywał, że z powodu bezbożności dziewczyny winnica, dawniej błogosławiona przez Afrodytę, dawała mniejsze zbiory, i że ten mały krzyżyk złoty, który córeczka jego nosiła na szyi, wystarczał do sprofanowania świątyni bogini.

— Po co ty chodzisz do kościoła?—zapytał pewnego razu Julian.

— Nie wiem. Tam tak dobrze! Czy nie widziałeś tam Dobrego Pasterza?

— Galilejczyka?.. Widziałem... Skądże ty wiesz o nim?..

— Stara Teodula mi opowiadała... Od tej pory chodzę do kościoła. Ale za co, powiedz mi, Julianie, za co oni wszyscy nienawidzą Dobrego Pasterza?..

Olimpiodor powrócił i z tryumfującą miną opowiadał o rozmowie swojej z patrycyuszką, dziewicą wysokiego rodu, którą narzeczony porzucił, za sprawą, jak sądziła, czarów rywalki. Po wielekroć udawała się do kościoła chrześcijańskiego i modliła się gorąco do świętego Mamasa, ale posty, ani czuwania, ani modły nie pomagały.

— Albo to chrześcijanie ulżyć potrafią?—zakończył Olimpiodor z pogardą, rzucając ukradkiem spojrzenie na

przysłuchującą się uważnie Psychę.—Chrześcijanka zwróciła się do mnie, i Afrodyta ją uleczy.

I z zachwytem pokazywał dwa białe gołębie razem związane, które chrześcijanka mu wręczyła z prośbą o ofiarowanie ich bogini miłości.

Amaryllis wzięła do rąk ptaszyny, ucałowała w różowe dzióbki i oznajmiła, że szkoda wielka byłaby je zabijać.

— Ojcze, ofiarujmy je bogini bez krwi rozlewu.

— W jaki sposób?.. Ofiara krwi wymaga.

— Darujmy im wolność. Niech lecą do nieba, do tronu Afrodyty. Wszak bogini jest w niebie, nie prawdaż? Więc je tam przyjmie... O, pozwól mi na to, błagam cię, ojcze kochany!..

Amaryllis całowała go tak czule, że nie mając serca odmówić dziewczęciu, Olimpiodor pozwolił jej rozpętać gołębie i puścić wolno. Wesoło trzepocząc skrzydełkami białemi, ptaki wzleciały ku niebu, „do tronu Afrodyty." Kapłan przysłonił dłonią oczy i patrzał, jak dar chrześcijanki niknął w obłokach, podczas gdy Amaryllis skakała i klaskała w dłonie z radości, wykrzykując:

— Afrodyto, Afrodyto! Przyjmij tę ofiarę niekrwawą!..

Gdy Olimpiodor odszedł, Julian z poważną i nieśmiałą miną zwrócił się do Amaryllidy. Rumieniec oblał mu twarz, gdy drżącym głosem wymawiał imię dziewczęcia:

— Amaryllis! Przyniosłem ci...

— Ach, dawno już miałam się ciebie zapytać, co ty tam masz takiego?..

— To jest... tryrema...

— Tryrema... Jaka? Po co? Co ty mówisz?

— Prawdziwa tryrema liburnyjska...

Zabrał się z pośpiechem do rozwijania swego podarunku i nagle wobec przyglądającej mu się dziewczyny

uczuł niewysłowione zawstydzenie. Aamryllis spoglądała nań w zdumieniu. Zmieszany ostatecznie, chłopiec rzucił na dziewczynę błagalne wejrzenie i spuścił zabawkę do zbiornika wodotrysku.

— Spojrzyj tylko, Amaryllis... to tryrema... prawdziwa tryrema... z żaglami, ze sterem. Patrz, jak doskonale płynie!

Ale Amaryllis zaśmiała się głośno:

— Jakiś ty zabawny! Na cóż mi twoja tryrema? Nie dalekobym na niej zajechała! Statek dobry dla myszy lub cykady. Podaruj go lepiej Psyche, ją to uraduje. Patrz, jak pożądliwie nań spogląda.

Głęboko dotknięty, Julian próbował udawać obojętność, chociaż łzy go dławiły, i zadając gwałt sobie, drżącemi ustami przemówił z pogardą:

— Widzę, że się nie znasz wcale...

A po namyśle dodał:

— Nie znasz się wcale... na sztuce.

Ale Amaryllis śmiała się jeszcze głośniej.

Ku większemu upokorzeniu chłopca, zawołano ją w tej chwili do narzeczonego, zamożnego kupca z Samos, który się stroił bez smaku, perfumował bez miary i popełniał mnóstwo błędów gramatycznych w rozmowie. Julian nie mógł go znosić, i od chwili, gdy się dowiedział o jego przybyciu, cały urok domku był dla niego stracony.

Z sąsiedniego pokoju dochodził go ożywiony szczebiot Amaryllidy i głos jej narzeczonego.

Nie mówiąc ani słowa, Julian z chłodną zawziętością porwał drogą swoją tryremę, prawdziwą tryremę liburnyjską, która go tyle kosztowała mozołu, i wobec przelękłej Psyche połamał maszty, poszarpał żagle, poplątał liny i tratował nogami zabawkę póty, póki nic z niej nie zostało.

Tymczasem powróciła Amaryllis. Twarz jej ożywiał wyraz niezwykłego szczęścia, tego nadmiaru życia, tej niepohamowanej radości miłosnej, która u młodych dziewcząt wywołuje konieczną potrzebę ściskania i całowania kogokolwiek.

— Julianie!... Przebacz mi!... Zrobiłam ci przykrość... Przebacz mi, mój drogi!... Wiesz przecie, że cię kocham... kocham...

I nim chłopiec miał czas się zastanowić, odrzuciła tunikę i oplotła mu szyję obnażonemi, świeżemi rękoma. Julianowi od słodkiego lęku serce bić przestało: widział tuż przy sobie, blizko, jak nigdy dotychczas, parę dużych wilgotnych czarnych oczu, czuł upajającą woń ciała i silny uścisk jędrnej piersi dziewiczej, od którego zakręciło mu się w głowie. Przymknął oczy, uczuwając na ustach przeciągły pocałunek.

— Amaryllis! Gdzie jesteś, Amaryllis?

Był to głos Samioty. Julian z całej siły odtrącił od siebie dziewczynę i z sercem przepełnionem nienawiścią, oraz bólem, wołając: „Puść mnie, puść!”—wyrwał się z jej objęć i uciekł.

— Julianie! Julianie!

Nie słuchając, wybiegł z domu i pędził winnicami i gajem cyprysowym aż do świątyni Afrodyty. Słyszał, jak go wołano, jak Diofana wesołym głosem oznajmiała, że placki z imbierem są gotowe, ale się nie odzywał. Zaczęto go szukać. Wtedy ukrył się śród krzaków wawrzynowych u stóp Erosa i czekał tam, dopóki mieszkańcy domku, przyzwyczajeni do jego dziwacznych kaprysów, nie przestali go szukać w mniemaniu, że wrócił do Macellum.

Ale skoro znowu zapanowała cisza, Julian wyszedł z ukrycia i spoglądał na świątynię bogini miłości, stojącą na wysokim, ze wszech stron odsłonionym pagórku. Białe

marmury kolumn jońskich, przepojone słońcem, kąpały się miękko w ciemnym i ciepłym lazurze, który z rozkoszą otulał ten kamień zimny i jak śnieg biały.

Każdy róg frontonu wieńczyły akrotery z gryfami, których ostre zarysy z łapami, uzbrojonemi w wystające pazury, z rozwartym dziobem orlim i z łonem kobiecem, dumnie odrzynały się od błękitnego tła niebios.

Julian doszedł po stopniach do portyku, cicho pchnął niezamknięte drzwi bronzowe i wkroczył do wnętrza świątyni, do nawy świętej.

Owionął go chłód i cisza.

Zachodzące słońce świeciło jeszcze w górze na kapitelach, których misterne zwoje wyglądały niby loczki złote. Dół świątyni zalał już mrok. Z trójnoga ulatywała jeszcze woń palonej mirry.

Wsparty o mur, Julian wzniósł nieśmiało oczy, tłumiąc oddech w piersi.

Tak, to była Ona. Pod gołem niebem, w samym środku świątyni, w nagości swej bez sromu, niby tylko co z piany morskiej zrodzona, wznosiła się zimna, biała Afrodyta—Anadiomene. Bogini patrzała z uśmiechem na niebo i na morze, zachwycona ich urokiem, nie wiedząc jeszcze, że to jej własna piękność odbija się, jak w wieczystych zwierciadłach, w wodach i w błękicie. Żadna szata nie kaziła jej boskiego ciała, i tak stała niepokalana i naga, jak owo niebo bez chmur, które się wznosiło ponad jej głową.

Julian przypatrywał jej się chciwie, nie wiedząc, jak długo. Naraz uczuł, że dreszcz uwielbienia wstrząsa jego ciałem. I oto chłopiec w ciemnym habicie mniszym ugiął kolana przed Afrodytą, wzniósł ku niej twarz i przycisnął ręce do serca.

Potem, wciąż jeszcze zdala i nieśmiały, siadł u pod-

nóża kolumny, nie spuszczając oczu z posągu, oparł twarz o zimny marmur i, czując napływający mu do duszy spokój, zasnął.

Ale i we śnie odczuwał jej obecność.

Zstępowała ku niemu coraz bliżej a bliżej. Czarowne białe ramiona objęły mu szyję, i chłopiec z uśmiechem poddawał się tym beznamiętnym pieszczotom, od których aż do głębi serca przejmował go chłód marmuru. Te święte objęcia niczem nie przypominały ognistych i odurzających uścisków Amaryllidy. Dusza Juliana wyzwalała się z miłości ziemskiej, wstępując w sfery wiecznego spokoju, podobnego do nocy ambrozyjskiej Homera, do słodkiego odpocznienia śmierci.

. . . .

Gdy się obudził, noc już była. W niezasłonionym czworokącie nieba błyszczały gwiazdy. Sierp księżyca rzucał srebrne światło na głowę Afrodyty.

Julian podniósł się. Olimpiodor snadź zachodził do świątyni, ale nie zauważył chłopca, albo też nie chciał go budzić, gdyż obecnie na trójnogu bronzowym żarzyły się świeże węgle i wiotka smuga wonnego dymu unosiła się ku obliczu bogini.

Julian z uśmiechem zbliżył się, wyjął ze stojącej pod trójnogiem czary chryzolitowej parę gałek żywicznych i rzucił je na węgle. Wzbił się gęściejszy słup dymu i różowy odblask ognia, zlany z poświatą księżyca, rozniecił niby lekki rumieniec życia na twarzy bogini.

Jakby czysta Afrodyta—Urania schodziła z gwiazd na ziemię.

Julian ukląkł i całował stopy posągu, szepcząc:

— Afrodyto, Afrodyto! Wieczną ślubuję ci miłość!

I łzy gorące padały na zimne, marmurowe stopy bogini.

VI.

Na brudnem i nędznem przedmieściu Seleucyi syryjskiej, handlowego portu Antyochii Wielkiej, nad brzegiem morza Śródziemnego, szeregi wązkich i krętych uliczek wiodły do górującego nad wybrzeżem placu. Stamtąd morza nie było widać z poza lasu masztów i lin.

Domy składały się tutaj z nagromadzonych w nieładzie mizernych klatek, wylepionych gliną; zdobiły je gdzieniegdzie podarte, do szmat wyświechtanych podobne dywany albo rogoże. We wszystkich tych kątach, ruderach i zakamarkach, pełnych wyziewów pomyj, zaduchów pralni i łaźni gminnych, roiła się ludność różnorodna, znędzniała, wygłodzona.

Słońce, posuchą prażące ziemię, staczało się już na kraniec widnokręgu; spływał zmrok; upał duszący, kurz i tuman jeszcze nieznośniej zawisły nad miastem. Plac zionął dławiącym odorem mięsa i jarzyn, zepsutych od długiego leżenia na słońcu. Półnadzy niewolnicy znosili po schodkach towary ze statków. Głowy mieli w połowie ogolone; przez podarte łachmany przeświecały na ich ciele sińce od chłost; na twarzy większość nosiła wypalone żelazem piętna w kształcie liter łacińskich: C. F., znaczących: Care furem (strzeż się złodzieja).

Zabłysnęły światła. Pomimo zbliżającej się nocy, ruch i gwar nie ustawał w zaułkach. Z sąsiedniej kuźni rozległy się ogłuszające dźwięki młota, walącego w sztabę żelazną, i w kłębach dymu wzlatywały kiedy niekiedy płomienne języki. Tuż obok niewolnicy piekarze, nadzy, od stóp do głów pokryci białym pyłem mącznym, z zaognionemi od gorąca powiekami, wsuwali bułki do pieca.

Usadowiony w kuczki pod gołem niebem, za straganem, z którego buchała woń klajstru i skóry, szewc szył buty przy świetle kopcącego kaganka, wyśpiewując na całe gardło piosenki w barbarzyńskim jakimś języku.

Stojąc na progach dwu przeciwległych ruder, przez wązką uliczkę, dwie stare baby, istne czarownice z rozwianymi siwymi włosami, kłóciły się, wrzeszcząc i wygrażając sobie pięściami, o jakiś przeciągnięty do suszenia łachmanów sznur. Dołem handlarz z odległej wioski pośpieszał na targ poranny, wiozący na starej jasnokościstej kobyle w koszach z wikliny całe stosy zgiłych ryb, szerzących wyziew obrzydliwy, od którego przechodnie odwracali się z przekleństwami.

Ryży pucołowaty Żydek walił w dużą miednicę, rozkoszując się przeraźliwym hałasem, gdy inne dzieci, drobniutkie, niezliczone, setkami śród tej nędzy rodzące się i mrące codzień, czołgały się, piszcząc jak prosięta, dokoła kałuż, zarzuconych pomarańczowemi skórkami i skorupkami jaj. W jeszcze bardziej mrocznych i podejrzanych zaułkach, zaludnionych przez złodziejów, gdzie szynki zionęły stęchlizną i wonią skisłego wina, majtkowie ze wszystkich stron świata spacerowali, objąwszy się wpół i na całe gardło wyśpiewując pijackie piosenki.

Nad wejściem do lupanaru wisiała latarnia z wizerunkiem bezecnym, poświęconym bogu Pryapowi; gdy zaś podnoszono we drzwiach kotarę „centonę,” wtedy widać było wewnątrz ciasne rzędy komórek, podobnych do żłobów. W dusznej ciemności bielały nagie ciała kobiece.

A ponad całym tym zgiełkiem, całą ohydą i nędzą ludzką, dolatywały z daleka westchnienia fal, szumiało niewidzialne i nieskończone morze. Pod samemi oknami kuchni piwnicznej pewnego kupca fenickiego gromada obdartusów grała w kości i rozprawiała. Z kuchni kłębami

buchała gorąca woń gotowanego tłuszczu, korzeni i zwierzyny, którą zgłodniali nędzarze wchłaniali żarłocznie, przymykając oczy z zadowolenia.

Pewien chrześcijanin, farbiarz purpury, wypędzony za kradzież z bogatej fabryki w Tyrze, wysysając chciwie wyrzucony przez kucharza liść ślazowy, opowiadał:

— Co się dzieje w Antyochii, moi drodzy, o tem strach mówić na noc!... Niedawno zgłodniała ludność rozszarpała na sztuki prefekta Teofila. I Bóg wie za co!... Gdy się to stało, przypomniano sobie po niewczasie, że nieborak był dobrym i godnym człowiekiem... Powiadają, że to cezar wskazał go ludowi.

Wtedy zgrzybiały starzec, nader zręczny rzezimieszek, odparł na to:

— Widziałem raz cezara. Nie wiem jak komu... Mnie się podobał. Taki młodziutki, włosy ma jak len jasne. Twarz pulchna, ale poczciwa. A jednak, tyle zbrodni, Boże! tyle zbrodni!... Ludzie boją się wyjść na ulicę..

— Wszystko to się dzieje nie z winy cezara, lecz jego żony Konstantyny: to wiedźma!

Jacyś dziwacznie wyglądający ludzie podeszli do gromadki i nachylili się, jak gdyby chcąc wziąć udział w rozmowie. Gdyby światło z kuchni padało silniejsze, możnaby było dostrzedz, że mają ucharakteryzowane twarze, a odzież poplamioną i podartą sztucznie, niby u teatralnych żebraków. Pomimo łachmanów, ręce najbrudniejszego z nich delikatne były i białe, z zaokrąglonymi różowymi paznogciami. Jedna z tych osób szepnęła do ucha towaszyszowi:

— Posłuchaj, Agamemnonie: tutaj także mówią o Cezarze.

Ten, którego nazywano Agamemnonem, wydawał się pijanym. Nogi uginały się pod nim. Broda, zbyt gęsta i długa, ażeby mogła być naturalną, nadawała mu pozór fantastycznego rozbójnika. Ale oczy miał poczciwe, jasnoniebieskie, prawie dziecinne. Towarzysze powstrzymywali go co chwila, szepcąc bojaźliwie:

— Uważaj, bądź ostrożnym...

Rzezimieszek zaczął znowu mówić tonem płaczliwym:

— Nie, powiedzcie sami, mężowie i bracia, czy to tak być powinno?.. Chleb drożeje z dnia na dzień. Ludzie mrą, jak muchy. A tymczasem... wyobraźcie tylko sobie! Niedawno przybywa z Egiptu ogromny okręt trójmasztowy. Wszyscy się cieszą; myślimy, że przywozi zboże. To Cezar — powiadają — sprowadza je, żeby lud nakarmić. I jak myślicie, moi drodzy, co to było? Piasek aleksandryjski, osobliwy piasek różowy z Libii do nacierania atletów! Piasek dla gladyatorów dworskich! Piasek zamiast zboża! Dobre, co?—zakończył, z oburzeniem wymachując zwinnymi złodziejskimi palcami.

Agamemnon trącił w łokieć towarzysza:

— Zapytaj go o nazwisko! Prędko!

— Zaraz, zaraz... Trochę później...

— U nas w Seleucyi—zauważył gremplarz wełny—to jeszcze spokojnie, ale w Antyochii same zdrady, szpiegostwa, donosicielstwa!

Farbiarz ostatni raz oblizał liść ślazowy i cisnął, przekonawszy się, że już w nim ani odrobina smaku nie została, poczem burknął z cicha i ponuro:

— Tak, tak, jeżeli się Bóg nie zmiłuje, wkrótce ciało ludzkie i krew tańsze będą od chleba i wina.

A gremplarz, filozof pijaczyna, rzekł z ciężkiem westchnieniem:

— Och, och! Biedniż my ludziska! Szczęśliwi olimpijczycy jak piłką bawią się nami. To na prawo, to na lewo, to w górę, to na dół. Ludzie płaczą, a bogowie się śmieją.

Towarzyszowi Agememnona tymczasem udało się wtrącić do rozmowy i zręcznie a niepostrzeżenie wywiedzieć się nazwisk. Podsłuchał nawet, jak szewc wędrowny udzielał gremplarzowi do ucha wiadomości o spisku na życie Cezara, uknutym przez żołnierzy pretoryańskich. Następnie, odstąpiwszy kilkanaście kroków, zapisał imiona rozmawiających wykwintnym stylusem na tabliczkach z miękkiego wosku, pokrytych już wielu innemi nazwiskami.

W owej chwili z rynku ozwały się ochrypłe głuche dźwięki, niby wycie jakiegoś podziemnego potwora, ni to śmiejące się. ni to płaczliwe, wydawane przez organy hydrauliczne.

Ślepy niewolnik chrześcijanin za cztery obole dziennie u wejścia do wzniesionej na rynku budy pompował wodę, która wywoływała w mechanizmie owe potworne dźwięki.

Agamemnon pociągnął swych towarzyszów ku budzie, powleczonej na podobieństwo namiotu płótnem błękitnem, dzierganem w srebrzyste blaszki. Lampa oświecała zastępującą afisz tablicę czarną, na której wypisano kredą po grecku i po syryjsku program widowiska.

Wewnątrz panował zaduch. Czuć było woń czosnku i kopci kaganków. Prócz organów, jęczały dwie przeraźliwe piszczałki, a czarny Etyopczyk, przewracający białkami oczu, walił w bęben. Na przeciągniętej linie biegał i tańczył skoczek, wybijając takt rękoma i wyśpiewując modną piosnkę:

Huc, huc, convenite nunc...
Spatolocinaedil
Pedem tendite,
Cursum addite!..

Wychudły ten, z nosem zadartym pajac, „cinaedus,” był stary, odrażający i wesoły. Z podgolonego czoła płynęły mu krople potu, zmieszane ze szminkami, zalepione bielidłem zmarszczki na twarzy przypominały szczeliny muru, z którego tynk opadł od deszczu.

Linoskok się oddalił, piszczałki i organy zamilkły. Na pomoście zjawiło się piętnastoletnie dziewczę, mające wykonać „kordax”, słynny taniec, za którym przepadała ludność. Nadaremnie ojcowie Kościoła wyklinali go, nadaremnie zakazywały go prawa rzymskie. Kordax tańczyli wszyscy wszędzie, bogaci i nędzarze, żony senatorów i tancerki uliczne.

Zdobywszy, z pomocą łokci towarzyszów, miejsce w pierwszym rzędzie, Agamemnon szepnął zachwycony:

— Cóż to za śliczna dziewczyna!

Giętkie, smagłe ciało córy Nubii tylko na biodrach osłaniała lekka przejrzysta szarfa różowa. Czarne włosy wzbijały się jej nad głową drobniutkimi puszystymi loczkami, zwyczajem kobiet etyopskich. Twarz najczystszego typu egipskiego przypominała sfinksa.

Krotalistria zaczęła tańczyć niedbale, jak gdyby już znużona. W drobnych rękach, wzniesionych ponad głową, wielkie stalowe grzechotki, „krotalony”, dźwięczały z lekka i słabo. Ale ruchy tancerki ożywiały się stopniowo, i nagle z pod długich rzęs błysnęły żółte źrenice, świecące i dumne, niby oczy drapieżnego zwierza. Stanęła wyprostowana, a stalowe krotalony zadzwoniły tak przeraźliwie i wyzywająco, że cały tłum zadrżał i wstrzymał oddech.

Wtedy dziewczyna, żywo, zwinnie i giętko jak wąż, wirować poczęła. Nozdrza jej rozdęły się, z gardła wydobywał się krzyk dziki. Przy każdem szybszem poruszeniu drobne brunatne piersi, niby dwa dojrzałe owoce pod

tchnieniem wiatru, trzepotały się w podtrzymującej je zielonej jedwabnej siatce, z której wystawały ich ostre, silnie wyróżowane koniuszki.

Tłum wył w zachwycie. Agamemnon szalał, powstrzymywany przez towarzyszów. Nagle dziewczyna stanęła, niby wyczerpana. Lekkie drżenie przebiegało od stóp do głowy jej smukłe członki. Dokoła zapanowała cisza. Nad odrzuconą w tył głową tancerki w nieuchwytnem i zamierającem drżeniu, szybko i lekko, jak skrzydła pojmanego motyla, chwiały się krotalony. Blask żółtych oczu zamarł, ale w głębi źrenic tliły się jeszcze dwie iskierki. Twarz miała surową i poważną, ale na pełnych purpurowych wargach sfinksa drżał uśmiech blady i tak słaby, jak dźwięki konające krotalonów.

Zabrzmiały krzyki i oklaski tak gwałtowne, że błękitna w srebrne blaszki opona chwiać się poczęła, niby żagiel wśród burzy. Przez chwilę właściciel czuł obawę, że mu się buda rozwali.

Towarzysze nie mogli wstrzymać dłużej Agamemnona: podniósłszy kotarę, przebiegł przez scenę do miejsca, przeznaczonego dla tancerek i aktorów. Napróżno przekładali mu towarzysze:

— Zaczekaj do jutra — wszystko stanie się podług twej woli. Dzisiaj mogliby...

Agamemnon przerwał im:

— Nie jutro, lecz natychmiast!..

Poszedł do właściciela, szpakowatego o sprytnej twarzy Greka Mirmeksa i odrazu, bez żadnych wyjaśnień, sypnął mu w połę tuniki garść monet złotych.

— Krotalistria jest twoją niewolnicą?

— Tak jest. Czego życzycie sobie... panie.

I ze zdziwienieniem spoglądał Greczyn to na łachmany Agamemnona, to na złoto.

— Jak się nazywasz, dzieweczko?

— Fillis.

Cisnął i jej złota, nie licząc wcale. Grek szepnął parę słów do ucha Fillidy, która, wysoko podrzucając brzęczące pieniążki, chwytała je w dłoń i uśmiechnięta błysnęła złocistemi drapieżnemi oczyma na Agamemnona. Ten rzekł do niej:

— Pójdź ze mną!

Zarzuciwszy na nagie ramiona ciemną chlamidę, Fillis wyśliznęła się z nim na ulicę.

— Dokąd? — zapytała z poddaniem.

— Nie wiem.

— Do ciebie?

— Niepodobna. Mieszkam w Antyochii.

— A ja dzisiaj rano dopiero przybyłam okrętem do tego miasta.

— Cóż więc poczniemy?

— Zaczekaj. Widziałam przed chwilą na sąsiedniej ulicy otwartą świątynię Pryapa. Chodźmy tam.

Fillis pociągnęła go ze śmiechem. Towarzysze Agamemnona chcieli iść za nim, ale im powiedział:

— To zbyteczne. Zostańcie tutaj.

— Bądź ostrożnym! Weź przynajmiej oręż z sobą... To niebezpieczna dzielnica...

I jeden z nich podał z uszanowaniem Agamemnonowi krótki miecz w pięknej oprawie, wyciągnięty z pod opończy. Potykając się co chwila w ciemności, Agamemnon i Fillis weszli w mroczny zaułek, opodal rynku.

— Tutaj, tutaj—nie bój się, wejdź.

Znaleźli się w przedsionku małej pustej świątyni, której starożytne niekształtne kolumny majaczyły w świetle zaledwie migającej lampki.

— Zamknij drzwi!..

I śmiejąc się półgłosem, Fillis rzuciła na kamienną podłogę miękką ciemną chlamidę.

Ale w tej chwili wewnątrz świątyni rozległy się jakieś przeraźliwe gęgania i gwałtowne trzepotanie skrzydeł białych wywołało wiatr tak silny, że lampa o mało nie zagasła.

Agamemnon wypuścił z rąk Fillidę i szepnął:

— Co to jest?..

W ciemności przeświecać zaczęły jakieś białe, do widm podobne, kształty. Przerażony ostatecznie, Agamemnon przeżegnał się mimowoli.

— Co to takiego? Wszelki duch Pana Boga chwali!..

W tej chwili coś uszczypnęło go silnie w łydkę. Krzyknął z bólu i trwogi, następnie chwycił za gardło nieznanego wroga, a drugiego przeszył sztyletem... Rozległy się przeraźliwe wrzaski, gęgania i trzepotanie skrzydeł. Lampa mignęła ostatni raz i zagasła, a Fillis wołała śród śmiechu:

— Toż to są gąsiory, poświęcone gąsiory Pryapa... Coś ty narobił!..

Blady i drżący zwycięzca stał ze skrwawionym mieczem w jednej dłoni, z zamordowanym gąsiorem w drugiej. Na ulicy rozległy się wrzaski, do świątyni wdarł się tłum ludzi z pochodniami, a na jego czele Skabra, stara kapłanka Pryapa.

Spokojnie, według zwyczaju, raczyła się ona w sąsiednim szyneczku, gdy dały się słyszeć krzyki świętych gąsiorów. Wtedy z tłumem włóczęgów nocnych pobiegła im na ratunek. Nos czerwony i zagięty, rozwichrzone siwe włosy i oczy błyszczące, jak dwa sztylety stalowe, czyniły ofiarnicę Pryapa podobną do furyi.

Teraz krzyczała w niebogłosy:

— Na pomoc! Na pomoc!.. Znieważono świątynię... Zabito święte gąsiory Pryapa! Chwytajcie, chwytajcie tych bezbożników chrześcijan!

Fillis wymknęła się, zarzuciwszy na głowę chlamidę, a motłoch powlókł z sobą na rynek Agamemnona, który do tego stopnia stracił przytomność, że nie pomyślał nawet o puszczeniu trzymanego w dłoni martwego gąsiora. Skabra wzywała stróżów rynku, „agoranomów.” Ścisk zwiększał się co chwila. Do Agamemnona podbiegli towarzysze—ale pomoc była spóźniona: ze wszystkich nor, szynków, kramów i zakamarków zbiegła się ciżba, zwabiona hałasem. Na wszystkich twarzach widać było radosną ciekawość, którą zawsze wywołują zajścia uliczne. Kowal pędził z młotem na ramieniu; dwie stare baby zapomniały o swej kłótni; piekarz, oblepiony ciastem, popychał kulawego stolarza, a za nimi z krzykiem i śmiechem cwałował rudy drobny Żydziaczek, waląc w miednicę, jak gdyby dzwonił na trwogę.

Skabra, uczepiwszy się szat Agamemnona, wyła:

— Poczekaj-no!.. Niech-no ja się dostanę do twej łotrowskiej brody! Jednego kłaka ci w niej nie zostawię. A! ścierwo krucze! Nie wart jesteś nawet stryczka, na którym cię powieszą, włóczęgo jeden!

Pokazali się wreszcie zaspani agoranomi, wielce podejrzanego wyglądu, podobniejsi do nocnych złodziejów, aniżeli do stróżów porządku.

W tłumie wrzał taki rozgardyasz śmiechów, krzyków i przekleństw, że nikt nic nie rozumiał. Ten wołał: „Zbóje!” ów: „Złodzieje!” tamten: „Gore!”

Wtem ponad całą wrzawą rozległ się grzmiący głos rudowłosego półnagiego olbrzyma, o piegowatej twarzy z profesyi łaziebnika, z powołania mówcy zgromadzeń ulicznych.

— Słuchajcie, obywatele, i wierzcie mi. Zdawna już mam na oku tego łotra i jego kamratów. Oni spisują imiona. To są szpiegowie, szpiegowie Cezara!

Tymczasem Skabra, doprowadzając swój zamiar do skutku, wpiła się jedną ręką w brodę, a drugą w czuprynę Agamemnona. Chciał ją odtrącić, ale ta szarpnęła z całej siły, i ku ogólnemu zdumieniu włosy i broda czarna zostały w jej ręku, a ona sama runęła na ziemię. Zamiast Agamemnona, stał wobec motłochu urodziwy młodzieniec z jasnymi, wijącymi się włosami i z krótką brodą. Lud ze zdziwieniem zamilkł. Ale głos łaziebnika zahuczał znowu:

— Widzicie, bracia: to przebrani donosiciele!

Ktoś krzyknął:

— Bij!.. zabij!..

Wszczął się zamęt. Poleciały kamienie. Towarzysze mniemanego Agamemnona otoczyli go, wyciągając miecze. Gremplarz padł od pierwszego ciosu, krwią zalany. Rudego Żydziaka z miednicą stratowano. Twarze nabierały dzikiego wyrazu. Ale w owej chwili dziesięciu ogromnych niewolników paflagońskich, dźwigających purpurową lektykę, przebojem utorowało sobie drogę.

— Jesteśmy ocaleni!—zawołał młodzian jasnowłosy, wskakując do lektyki z jednym z towarzyszów.

Paflagończycy zarzucili sobie lektykę na ramiona i odbiegli kłusem. Rozwścieczony tłum byłby się rzucił za nimi w pogoń i rozszarpał wszystkich, ale ktoś zawołał:

— Stójcie, obywatele!.. Czyż nie widzicie, że to sam cezar! Cezar Gallus!..

Wtedy wszyscy osłupieli z przerażenia. A purpurowa lektyka, kołysząca się na barkach niewolników niby czółno na falach, znikła wśród ciemnych uliczek.

. . . .

Sześć lat upłynęło od czasu uwięzienia Juliana i Gallusa w Kapadockiej twierdzy Macellum. Cesarz Konstancyusz powrócił ich do łaski. Dziewiętnastoletni Julian został powołany do Konstantynopola, a następnie upoważniony do odbycia podróży po Azyi Mniejszej. Gallusa mianował cesarz swym współrządzcą z mianem „cezara" i powierzył mu zarząd Wschodu. Atoli ta niespodziana łaska nie wróżyła nic dobrego. Konstancyusz lubił zgładzać wrogów, uśpiwszy ich nieufność drogą nadzwyczajnych czułości.

— I cóż, Glikonie?.. Niech sobie Konstantyna mówi, co chce, a ja już nigdy nie wyjdę w przebraniu na ulicę. Basta! Nigdy już tego nie uczynię!

— Uprzedzaliśmy Waszą Wysokość o niebezpieczeństwie.

Ale wyciągnięty na miękkich poduszkach lektyki cezar zapominał już o swym przestrachu.

— Ach, Glikonie!—wołał ze śmiechem—czy widziałeś, jak stara z moją brodą wywinęła koziołka?

Gdy przybyli do pałacu, cezar wydał rozkaz:

— Wonna kąpiel i wieczerz—tylko prędko. Wygłodziłem się.

Zbliżył się dworzanin z listem.

— I cóż tam. Norbanie? O, nie, daj mi pokój, zostawmy sprawy do jutra.

— Daruj mi, miłościwy cezarze, to pilny list, wprost z obozu cesarza Konstancyusza.

— Od Konstancyusza!.. Co to być może?.. Dawaj!..

Rozerwał pakiet, przeczytał i zbladł. Kolana ugięły się pod nim. Byłby upadł, gdyby nie pomoc dworzan. W wyszukanych, nadzwyczaj pochlebnych wyrazach Konstancyusz zapraszał „tkliwie miłowanego" stryjecznego brata Gallusa do Medyolanu Jednocześnie cesarz rozkazy-

wał nadesłać sobie niezwłocznie dwa legiony, konsystujące w Antyochii, jedyną ochronę Gallusa. Konstancyusz zamierzał rozbroić wroga i bezbronnego zwabić w sidła. Przyszedłszy do siebie, Gallus wyszeptał:

— Zawołajcie moją żonę.

— Małżonka Waszej Wysokości tylko co raczyła udać się do Antyochii.

— Jak to, więc nie wie o niczem?

— Nie.

— Boże! Boże!.. Jakże to?.. Cóż ja pocznę bez niej!.. Powiedzcie wysłannikowi cesarza... Albo nie, nic mu nie mówcie... Sam nie wiem... Czyż mogę sam coś postanawiać?.. Poślijcie umyślnego do Konstantyny!.. Powiedzcie, że cezar ją zaklina, żeby wróciła. Co robić, Boże!..

Chodził zmieszany, chwytając się rękoma za głowę targał nerwowo jasną miękką bródkę i powtarzał co chwila:

— Nie, nie, za nic w świecie nie pojadę... Wolę umrzeć!.. O! znam ja Konstancyusza...

Podszedł inny poseł z papierem w ręce.

— Od małżonki cezara. Jej łaskawość, odjeżdżając, prosiła o najśpieszniejsze podpisanie.

— Co... Znowu wyrok śmierci... Klemacyusz z Aleksandryi... Stanowczo, tego za wiele... Trzech jednego dnia...

— Małżonka twoja, cezarze, życzy sobie...

— Ach, ostatecznie, to mi wszystko jedno!.. Podajcie pióro... Teraz to jest bez znaczenia... Tylko, dlaczego ona odjechała?.. Czyż ja teraz mogę sam?..

Podpisał wyrok śmierci i powiódł po swem otoczeniu dobrodusznem, dziecinnem wejrzeniem swych jasno niebieskich oczu.

— Kąpiel gotowa, a zaraz potem podadzą wieczerz.

— Wieczerz? Już mi się nie chce jeść... A zresztą, co tam będzie?

— Trufle afrykańskie.

— Czy świeże?

— Dzisiaj rano przybyły.

— Może to i lepiej będzie pokrzepić się... Co?.. Jak sądzicie, przyjaciele?.. Jestem tak przygnębiony... Trufle?.. Myślałem o nich dziś rano...

Zmienioną twarz rozjaśnił mu uśmiech pogody. Przed zanurzeniem się w orzeźwiającaj opalowej od dodanych wonności kąpieli, Gallus machnął ręką niedbale:

— Mniejsza o to!.. Niema o czem myśleć... Panie, zlituj się nad nami!.. Może Konstantyna to jako załagodzi...

I z rozpogodzoną już całkiem, pulchną i rumianą twarzą, pluszcząc się z rozkoszą w wonnej kąpieli, zawołał wesoło:

— A powiedzcie tam kucharzowi, żeby do trufli zrobił koniecznie sos kwaśny, czerwony!

VII.

W miastach Azyi Mniejszej, w Nikomedyi, Pergamie i Smirnie, dziewiętnastoletni Julian, poszukujący wiedzy helleńskiej, słyszał o słynnym sofiście i teurgu Jamblichu z Chalcydy, uczniu nowoplatończyka Porfirego, zwanym powszechnie boskim Jamblichem, i w chęci poznania go udał się do Efezu.

Jamblich był starcem niewielkiego wzrostu, chudym i zwiędłym. Miał zwyczaj użalać się na swe dolegliwości, na podagrę, reumatyzm i zawroty głowy, powstawał na doktorów, ale pomimo to sumiennie stosował ich rady,

z upodobaniem rozprawiając o ziółkach, okładach, lekach i plastrach. Chodził stale w podwójnej ciepłej tunice, nawet podczas lata, nigdy bowiem nie było mu ciepło, i lubił się wygrzewać na słońcu, jak jaszczurka.

W młodości jeszcze odzwyczaił się od mięsa i wspominał o niem ze szczerym wstrętem, nie pojmując nawet, jak można używać za pokarm ciała zwierzęcego.

Żywił się specyalną zupą, którą mu gotowała służąca z krup jęczmiennych na winie i miodzie, gdyż bezzębne szczęki starca już nawet chleba przeżuwać nie mogły.

Otaczali go wiecznie liczni uczniowie, czciciele i wyznawcy, pochodzący z Rzymu, Antyochii, Kartaginy, z Egiptu, Mezopotamii i Persyi.

Wszyscy oni wierzyli w moc cudotwórczą Jamblicha, on zaś traktował ich jak ojciec, któremu wiele kłopotu sprawia tyle niedołężnych drobnych dziatek.

Gdy się wszczynały między nimi dysputy i spory, mistrz uroczyście potrząsał dłonią, wykrzywiając twarz, niby od fizycznego bólu. Przemawiał łagodnie, przyjemnego brzmienia głosem i tem ciszej, im zgiełkliwiej inni krzyczeli. Nie znosił wrzawy, czuł wstręt do głosów donośnych i skrzypiących sandałów.

Rozczarowany Julian spoglądał w zdumieniu na tego grymyśnego, kostniejącego z zimna i chorowitego starowinę, nie pojmując, jaka potęga mogła ku niemu pociągać wszystkich. Przypominał sobie opowiadanie jego uczniów, którzy zaręczali, iż pewnej nocy boski mistrz podczas modlitwy był uniesiony niewidzialną mocą na dziesięć łokci od ziemi i otoczony aureolą złocistą. Inna opowieść mówiła o cudownem wywołaniu przez mistrza w mieście syryjskiem Gadarze z dwóch źródeł gorących dwu geniuszów miłości, wesołego Erosa i ponurego Arterosa, którzy

pieścili się z Jamblichem, jak dzieci, i znikli na jego skinienie.

Słuchając słów mistrza, Julian nie odnajdował w nich żadnej potęgi. Metafizyka szkoły Porfirego wydawała mu się martwą, suchą, okrutnie zagmatwaną. Jamblich z łatwością, jak gdyby bawiąc się, wychodził zwycięzcą z najtrudniejszych sporów dyalektycznych. Jego nauka o Bogu, o świecie, o ideach, o Tryadzie Plotyna znamionowała głęboką erudycyę, ale cierpiała na brak iskry żywotnej. Czego innego spodziewał się Julian.

Wszelako czekał i nie odjeżdżał.

Oczy Jamblicha były niezwykłe, koloru zielonego, odrzynające się ostro od bronzowej pomarszczonej skóry oblicza. Taki kolor zielonawy miewa czasami niebo wieczorem pośród chmur gęstych przed burzą. Julian był przekonany, że w tych oczach, jak gdyby nieludzkich, ale tem bardziej nie boskich, iskrzy się owa tajemnicza wyższa mądrość wężowa, o której Jamblich nigdy uczniom nie wspominał. Ale dość było „boskiemu" zapytać głosem drżącym, dlaczego zupa jęczmienna nie gotowa, albo zacząć się skarżyć na pogardę, aby wszelki urok rozproszyć.

Pewnego razu Jamblich przechadzał się z Julianem poza miastem, na brzegu morza. Był wieczór cichy i smętny. W dali, nad przystanią Panormos, bieliły się tarasy słynnej świątyni Artemidy Efeskiej, uwieńczone posągami.

Na piaszczystem pobrzeżu Kajstrosu, gdzie według podania Latona dała życie Artemidzie i Apollinowi, stały nieruchomo trzcin ciemne kępy. Z licznych ołtarzów w poświęconym gaju Ortygii wyprostowane słupy dymu wznosiły się ku niebu.

W południowej stronie błękitniały wierzchołki gór Samoskich. Z cichym szmerem, jak oddech śpiącego dziecka, nabiegały przezroczyste fale na ubity czarny piasek.

Pachnęły wygrzane w ciągu dnia morszczyzny i woda słona. Zachodzące słońce zapadło za chmury, ozłacając ich masy olbrzymie. Jamblich usiadł na skale, Julian położył się u nóg jego. Mistrz gładził dłonią czarne i gęste włosy ucznia.

— Smutno ci?

— O tak.

— Wiem o tem. Szukasz i nie znajdujesz. Brak ci sił powiedzieć: „On jest”, a nie śmiesz wyrzec: „Niema Go.”

— Jakim sposobem odgadłeś mnie, mistrzu?

— Biedny chłopcze! Od pięćdziesięciu lat cierpię na tę samą chorobę i będę cierpiał do zgonu. Czy sądzisz, że znam Go lepiej od ciebie? Że znalazłem? Są to bezustanne męki porodu. Wobec nich najwyszukańsze tortury nic nie znaczą. Ludziom się zdaje, że cierpią z głodu, pragnienia, z bólu, z nędzy; naprawdę zaś cierpią tylko na myśl, że, być może, On nie istnieje. Jedyna to boleść powszechna. Któż się poważy powiedzieć: *On nie istnieje* — i jakiej nadludzkiej trzeba potęgi, by wyrzec: *On jest*!

— Więc i ty nawet nigdy nie zbliżyłeś się do Niego?

— Trzykroć w mem życiu doznałem ekstazy, w której czułem się całkowicie z Nim połączonym. Plotynowi zdarzyło się to cztery razy, Porfiremu — pięć. Ja trzy miałem chwile przez czas mego istnienia, dla których warto było żyć.

— Pytałem o to twych uczniów, ale oni nie wiedzą nic.

— Czyżby się ośmielili wiedzieć? Dość dla nich łupiny mądrości. Jądro dla wszystkich prawie na świecie śmierci się równa.

— A zatem, niechaj zginę, mistrzu, ale daj mi je!

— Miałżebyś odwagę?

— Tak, ale mów, mów!

— Cóż ci mam powiedzieć? Nie umiem... I po co o tem mówić? Słuchaj ciszy wieczornej, ona jest wymowniejsza od słów...

Nie przestawał głaskać po głowie Juliana, który myślał: „*Tego* właśnie oczekiwałem!”, i całując Jamblicha w kolana, szeptał błagalnie:

— Ulituj się, mistrzu!.. Odkryj mi wszystko, nie opuszczaj mnie!..

Jamblich, utkwiwszy w obłokach swe zielone, dziwnie nieruchome źrenice, przemówił zcicha, jakby do siebie, jakby nie słysząc i nie widząc ucznia:

— Tak, tak... zapomnieliśmy wszyscy głosu Boga! Jak dzieci, od kolebki z ojcem rozłączone, słyszymy go, ale nie poznajemy: By usłyszeć głos Jego, potrzeba, aby wszelkie echa ziemskie i niebieskie zamilkły w duszy naszej. Póki myśl w nas błyszczy i jak słońce południowe oświeca nam dusze, dopóty pozostajemy sami w sobie i nie dostrzegamy Boga. Ale kiedy rozum zniża się ku zachodowi, ekstaza wstępuje do dusz naszych na podobieństwo rosy nocnej. Źli ludzie nie mogą znać ekstazy; jedni tylko mędrcowie potrafią się przeistoczyć w liry, brzmiące pod ręką Boga. Skąd idzie ten promień, rozjaśniający duszę? Nie wiem. Przychodzi on znienacka, nieoczekiwanie. Szukać go niepodobna. Bóg nie jest zdala od nas. Należy się przygotować i spokojnie wyczekiwać, jak oczy, według wyrażenia poety, wyczekują, „by słońce wynurzyło się z ciemnego Oceanu.” Bóg nie przybywa, Bóg nie odchodzi. On się objawia jedynie. On jest zaprzeczeniem wszechświata, zaprzeczeniem wszystkiego, co istnieje. Jest niczem i wszystkiem.

Powstał i zwolna wyciągał swe wychudłe dłonie.

— Ciszej, ciszej, powiadam wam! Słuchajcie Go wszyscy! Oto On! Niechaj milczy ziemia, i morze, i powietrze, i niebo samo! Słuchajcie! On wypełnia wszechświat, jego tchnienie przenika atomy. On oświetla materyę, chaos—*„przedmiot przerażenia bogów!"*—jak zachodzące słońce wyzłaca ten obłok ciemny.

Julian słuchał, i wydawało mu się, że spokojny i słaby głos mistrza obejmuje świat, dosięga nieba i ostatnich krańców morza. Ale smutek jego był tak wielki, że wyrwał mu się z piersi mimowolnem westchnieniem:

— Przebacz mi, ojcze, ale, jeżeli tak, po co żyć? Po co ta wieczna przemiana życia i śmierci? Po co cierpienie? Po co zło? Po co ciało? Po co zwątpienie? Po co tęsknota do niemożliwości?

Jamblich popatrzał nań łagodnie i kładąc, znowu dłoń na głowę Juliana, odpowiedział:

— Synu mój, w tem właśnie kryje się tajemnica. Niema zła, niema ciała, niema wszechświata, jeżeli On istnieje. On, albo wszechświat. Ciało, zło, wszechświat— to złudzenie, to kłamstwo życia. Zapamiętaj sobie, wszyscy mamy jedną duszę, wszyscy ludzie, a nawet nieme zwierzęta. Niegdyś wszyscy spoczywaliśmy razem na łonie Ojcowskiem, śród niewidzialnego światła. Ale razu jednego zobaczyliśmy z góry materyę ciemną i martwą, a każdy ujrzał w niej własny swój wizerunek, jak w zwierciadle. I rzekła do siebie dusza: „Chcę i mogę być wolną. Jestem podobna Jemu. Czemuż nie miałabym się odważyć porzucić Go i zostać wszystkiem?" I jako Narcyz w strumieniu, zachwycała się dusza swym obrazem odbitym w jej ciele. Spadła tedy i chciała upadać do końca, rozstać się z Bogiem na zawsze, ale nie mogła. Nogi śmiertelnika dotykają ziemi, ale czoło górne niebiosa

przewyższa. I oto po wiekuistej drabinie narodzin i zgonu dusze i istoty wszelkie wstępują i schodzą to ku Niemu, to od Niego, starając się daremnie porzucić Ojca. Każda dusza pragnie sama być Bogiem — napróżno. Płacze po łonie Ojcowskiem, nie znajduje spokoju na ziemi i dąży tylko do powrócenia ku Jedynemu. Musimy powrócić ku Niemu, i wtedy wszyscy będą Bogiem, i Bóg będzie we wszystkich. Czy sądzisz, że tylko ty tęsknisz do Niego? Zobacz, ile niebiańskiego smutku w milczeniu przyrody! Posłuchaj! Zali nie czujesz, iż wszystko tęskni do Niego?..

Słońce już zaszło. Złociste krawędzie obłoków czerwieniały i gasły. Morze stało się blade i lekkie, jak niebo; niebo—głębokie i przezroczyste, jak morze. Po drodze w wozie przemknęli młodzieniec z dziewczyną—zapewne zakochanych para. Dziewczyna nuciła znaną tęskną piosenkę miłosną. Po chwili znowu cisza, i stało się jeszcze smutniej. Nagła noc wschodnia zlatywała na ziemię. Julian powiedział:

— Ileż to razy pytałem sam siebie: dlaczego natura tak jest smutna? i dlaczego im większa jej wspaniałość, tem głębszy smutek?..

Jamblich odparł z uśmiechem:

— Tak, tak... Patrz, ona chciałaby ci odpowiedzieć dlaczego, ale nie może. Ona jest niema. Śpi i w marzeniach stara się odnaleźć Boga, ale materya ją przygniata. Widzi Go, ale niedokładnie i sennie. Cały wszechświat, wszystkie gwiazdy, morze i ziemia, rośliny, zwierzęta i ludzie są marzeniami natury, śniącej o Bogu. To, co w ten sposób ona wymarzy, rodzi się i umiera. Natura stwarza samą kontemplacyą, niby we śnie, łatwo, bez wysiłków, bez przeszkody. I dlatego jej dzieła są tak piękne i tak swobodne, tak bezcelowe i tak boskie. Gra marzeń na-

tury podobną jest do gry obłoków, bez początku i końca. Na świecie niema nic po za kontemplacyą. Im głębszą jest ona, tem bardziej milczącą. Wola, czyn, walka są jedynie osłabioną, niedokładną lub zamąconą kontemplacyą Boga. Natura w swej potężnej bezwładności stwarza formy, jak geometra; istnieje to, co on widzi. Jedną za drugą wyrzuca ona formy ze swego łona macierzyńskiego. Ale to jej nieme, mętne zapatrzenie jest obrazem tylko innego, jaśniejszego. Natura, Cybela śpiąca, nigdy nie otwiera powiek i nie znajduje słów, które tylko człowiek odnalazł. Dusza ludzka to natura z rozwartemi oczyma, przebudzona nareszcie i gotująca się do ujrzenia Boga nie w półśnie, jak dotychczas, lecz na jawie, oko w oko...

Pierwsze gwiazdy zabłysły na niebie, to gasnąc, to iskrząc się, niby brylanty, osadzone w ciemnym i głębokim lazurze. I co chwila rozpalały się nowe, coraz gęściejsze, niezliczone. Jamblich wskazywał je Julianowi.

— Do czegóż mam porównać wszechświat, te wszystkie słońca, te gwiazd krocie? Porównam je do sieci, zarzuconej przez rybaków w morze. Bóg przenika wszechświat, jak woda przenika sieć, która się zanurza, ale wody zatrzymać nie może. Tak i świat: chce, ale nie może ogarnąć Boga. Sieć się porusza, ale Bóg jest nieruchomy, jak niezmierzony ocean, w którym sieć pogrążono. Gdyby wszechświat się nie poruszał, Bóg nie stwarzałby nic, nie wychodziłby ze swego spokoju. Bo i dokądżeby dążył i po co? Tam, w państwie Macierzy przedwiecznych, na łonie Duszy Świata, kryją się nasiona, Ideje-Formy wszystkiego, co jest, było i będzie; kryje się Logos-Zarodek świerszcza i trawki, a obok nich i boga-olimpijczyka.

Wtedy Julian zawołał głosem, brzmiącym śród milczenia natury, jak jęk śmiertelnej boleści:

— Gdzież więc jest On? Kto On? Dlaczego nam nie odpowiada, gdy Go wzywamy? Jakie jest imię Jego? Chcę Go poznać, usłyszeć, zobaczyć! Dlaczego wymyka się mojej myśli? Gdzie jest?

— Biedny chłopiec! Cóż znaczy myśl wobec Niego? Niema dla Niego imienia. Jest taki, że umiemy powiedzieć, iż być musi, ale czem jest, tego określić niepodobna. Jednakże, czy możesz cierpieć, kochać, przeklinać, ażebyś Go tem nie wielbił? Stworzyciel wszystkiego jest Samym sobą, niepodobnym do niczego ze swych tworów. Gdy mówisz: „*Niema Go,*” wielbisz go tak samo, jak gdybyś rzekł: „*On jest.*” Niepodobna niczego Mu przyznawać, ani istoty, ani życia, ponieważ On jest ponad bytem, ponad istotą, ponad wszelkiem życiem. Dlatego powiedziałem ci, że On jest zaprzeczeniem wszechświata i myśli twojej. Wyrzeknij się wszystkiego, co istnieje, a tam, w tej otchłani pod otchłaniami, w tej najgłębszej bezdnie niesłychanego mroku, podobnego do światła, odnajdziesz Go. Poświęć Mu przyjaciół, rodzinę, ojczyznę, niebo i ziemię, siebie samego i swój rozum. Wtedy przestaniesz wpatrywać się w światło — bo sam będziesz światłością. Wtedy nie będziesz mówił: Ja i On, albowiem uczujesz, iż ty i On jedno jesteście, i dusza twa wyśmieje swe ciało, jako złudzenie. Wtedy nastanie milczenie; nie będzie więcej słów. A jeśli w tej chwili świat runie, ty będziesz szczęśliwy, bo cóżby cię mógł obchodzić świat, skoro będziesz z Nim razem? Dusza twa nie będzie pożądała, ponieważ On nie zna pożądań; nie będzie żyła, ponieważ On jest ponad życiem, ani myślała, ponieważ On jest ponad myślą. Myśl jest poszukiwaniem światła, On zaś nie poszukuje go, ponieważ Sam jest światłem. Przenika całą duszę i przetwarza ją w Siebie. Ona zaś wtedy, beznamiętna i samotna, spoczywa wyżej niż rozum,

wyżej niż cnota, wyżej niż państwo idei, wyżej niż piękność w nieskończoności, na łonie Boga, Ojca wszechświatłości. Dusza staje się Bogiem, albo raczej tylko przypomina sobie, że przez wieki wieków była, jest i będzie Bogiem.

. . . .

Takie jest, synu mój, życie olimpijczyków; takie jest życie mędrców i ludzi, podobnych Bogu: wyrzeczenie się wszystkiego, co istnieje w świecie, pogarda namiętności ziemskich, ucieczka duszy ku Bogu, którego ogląda oko w oko.

Umilkł, a Julian padł mu do nóg i, nie śmiejąc go się dotykać, całował ziemię, na której spoczywały stopy świętego męża. Potem wzniósł głowę i spojrzał w te zielone, dziwne źrenice, w których żarzyła się odsłoniona tajemnica mądrości „wężowej." Źrenice te wydawały się spokojniejsze i głębsze od samego nieba, i jakaś moc cudowna szła od nich.

Julian wyszeptał:

— Mistrzu, ty wszystko możesz. Ja wierzę! Rozkaż górom, a zbliżą się! Bądź, jako On! Uczyń cud, spełnij niepodobieństwo, wysłuchaj mnie! Ja wierzę!

— Czegóż to żądasz, biedny mój synu? Czyż cud, który się w duszy twej dokonać może, nie jest piękniejszy, niż te, jakiebym *ja mógł* uczynić? Dziecię moje, nie jest-że cudem straszliwym i zbawczym ta władza, w której imię masz śmiałość powiedzieć: „On jest, a jeśli Go niema — nic nie szkodzi: *On będzie!*" I mówisz: „Niech będzie On, bo ja chcę tego!"

VIII.

Gdy Jamblich z Julianem, wracając z przechadzki, szli przez Panormos, tłumną przystań Efezu, zauważyli niezwykłe wzburzenie ludności.

Gromady ludzi biegły, wstrząsając płonącemi pochodniami i wykrzykując:

— Biada nam! Chrześcijanie burzą świątynie!

Inni zaś krzyczeli:

— Śmierć bogom olimpijskim! Chrystus zwyciężył Astartę!

Jamblich sądził, że im się uda przejść pustemi uliczkami, ale pędząca gawiedź pociągnęła ich za sobą wybrzeżem Kajstrosu ku świątyni Artemidy Efeskiej.

Wspaniała świątynia, zbudowana przez Dejnokratesa, odbijała się nakształt posępnej, ciemnej i niezłomnej opoki na tle gwiaździstego nieba. Odblask pochodni migotał na olbrzymich kolumnach, zdobnych we wdzięrzne grupy niewielkich karyatyd zamiast piedestałów. Aż do tej pory nie tylko Rzymianie, lecz wszystkie narody ziemi czciły tę świątynię. Ktoś w tłumie zawołał głosem niepewnym

— Chwała boskiej Artemidzie Efeskiej!

Ale sto głosów odhuknęło natychmiast:

— Śmierć bogom olimpijskim i twojej Artemidzie!

Nad czarnym gmachem zbrojowni miejskiej zabłysła krwawa łuna. Spojrzawszy na swego boskiego mistrza, Julian nie mógł go poznać. Jamblich stał się znowu bojaźliwym i schorowanym starcem. Skarżył się na ból głowy, bał się ataku reumatycznego i niepokoił, czy służąca nie zapomniała czasem przygotować ciepłych okładów. Ju-

lian oddał mu swój płaszcz. Pomimo to Jamblichowi wciąż było zimno. Szedł, zatykając sobie uszy z bolesnem wykrzywieniem twarzy, ażeby nie słyszeć krzyków i śmiechów.

Jamblich niczego na świecie tak się nie obawiał, jak tłumów, utrzymując, że niema głupszego i wstrętniejszego demona od geniusza ludu. Wskazując uczniowi twarzą przechodzących, mówił:

— Patrz, ile tu potworności, jaka nikczemność i zaufanie w swem prawie. Czy nie wstyd jest być człowiekiem, takiem samem ciałem, tem samem błotem, co i oni?

Jakaś staruszka chrześcijanka opowiadała śpiewnie:

— Tedy mój chory wnuczek powiada: „Babuniu, ugotuj mi rosołu z mięsa.”—„Dobrze, — mówię—kochanku, zaraz pójdę na targ!” A w duszy myślę sobie: „Teraz mięso pewnie tańsze od chleba.” Kupiłam za pięć oboIów i ugotowałam. Aż tu sąsiadka woła:—„Co ty tam gotujesz? Cóż to, nie wiesz, że dzisiaj na targu mięso nieczyste?”—Jak to”—powiadam — nieczyste? a to dlaczego?” „Dlatego, że na pohańbienie dobrych chrześcijan kapłani bogini Demetry cały rynek i wszystkie jatki w nocy wodą ofiarną pokropili. Żaden chrześcijanin w mieście nie bierze do ust splugawionego mięsa. Ofiarników za to kamionują, dyabelska świątynia Demetry będzie zburzona.” Wylałam rosół psu. Za pięć obolów... czy to nie nieszczęście! Tego się codzień nie zarobi. Ale bądź co bądź, nie splamiłam mego wnuka.

Inni zaczęli opowiadać, jak zeszłego roku pewien chrześcijanin sknera najadł się nieczystego mięsa, od którego zgniły mu wnętrzności, i taki fetor zapanował w domu, że cała rodzina musiała go opuścić.

Tak doszli do placu, na którym wznosiła się śliczna niewielka świątynia Demetry—Izydy—Astarty, tajemnicze-

go bóstwa płodności, potężnej i miłości pełnej trójbogini Hekaty—Cybeli, matki bogów.

Jak muchy olbrzymie, oblepiające plaster miodu, zakonnicy ze wszech stron otaczali świątynię, czołgali się po wdzięcznych białych gzymsach, wdrapywali po drabinach, przy śpiewie hymnów burzyli posągi i otłukiwali płaskorzeźby. Kolumny drżały w posadach; dokoła rozpryskiwały się odłamy delikatnego marmuru. Rzekłbyś, że gmach cierpiał nakształt żyjącej istoty. Nakoniec usiłowano podpalić świątynię, ale bezskutecznie, ponieważ cała była zbudowana z marmuru.

Nagle wewnątrz świątyni rozległy się dziwne dźwięki, ogłuszające i melodyjne zarazem, a jednocześnie w niebo wzleciały tryumfalne wrzaski motłochu:

— Powrozów! powrozów! Skrępujcie jej nogi bezwstydne i ręce!

Śród modlitw śpiewanych i śmiechu, tłum wlókł na powrozach ze świątyni dzwoniące na stopniach wspaniałe srebrne ciało Demetry, utwór Skopasa.

— Na stos! na stos!

Wyciągnięto posąg na plac błotnisty. Jeden z mnichów, znawca praw, recytował ustęp ze słynnego edyktu cesarza Konstansa, brata Konstancyusza:

— Cesset superstitio, sacrificiorum aboleatur insania! (Niech ustaną przesądy i będą zniesione bezrozumne całopalenia!)

— Nie obawiajcie się niczego, burzcie i rabujcie wszystko w tej dyabelskiej świątyni.

Inny przy świetle pochodni odczytywał ze zwoju pergaminowego następujący ustęp z dzieła Firmicusa Maternusa „De errore profanarum religionum:"

„Święci cesarze! Przybądźcie ku wspomożeniu nieszczęsnych pogan! Lepiej ich zbawić naprzekór ich woli,

aniżeli dać im zginąć. Zedrzyjcie ozdoby z ich świątyń, wzbogaćcie skarb swój ich kosztownościami. Niech czyniący ofiarę bogom z korzeniem wyrwany będzie (sacrificans diis eradicabitur), i wydaj go śmierci, ukamionuj, choćby to był twój syn, twój brat, żona sypiająca na łonie twojem!"

I ponad tłumem rozbrzmiał okrzyk zwycięski:

— Śmierć, śmierć bogom olimpijskim!

Olbrzymi mnich aryański, któremu długie czarne włosy oblepiły twarz, potem zlaną, wzniósł topór nad boginią, wybierając miejsce do zadania ciosu.

Ktoś poradził:

— W żywot, w ten żywot wstrętny!

Srebrne ciało gięło się pod razami, które dźwięczały bezlitośnie, pozostawiając głębokie blizny na żywocie Matki bogów i ludzi, Demetry Karmicielki.

Pewien stary poganin zasłonił sobie szatą twarz, by nie patrzeć na świętokradztwo, i płakał na myśl, że oto nastał koniec wszystkiego, koniec świata, że Ziemia—Demetra jednego kłosa nie zechce odtąd dać człowiekowi.

Pustelnik, przybyły z puszczy mezopotamskiej, odziany w skórę jagnięcą, obuty w niezgrabne sandały, żelaznymi ćwiekami podkute, z kijem pasterskim w dłoni i z wydrążoną dynią, przewieszoną przez ramię, rzekł, zbliżając się do posągu:

— Od czterdziestu lat nie myłem ciała swego, by nie widzieć nagości mojej i nie doznać pokusy. Ale zaledwie się przyjdzie do miasta, to, Panie odpuść, nic się nie widzi prócz gołych ciał tych przeklętych bożków. Długoż jeszcze znosić będziemy pokusy dyabelskie? Wszędy te ohydne bałwany: w domach, po ulicach, na dachach, w łaźniach, pod nogami, nad głową! Tfu! tfu! tfu! Śliny mi braknie!

Przejęty ku temu nagiemu ciału nienawiścią, w której znać było całą zgrozę przed grzechem, starzec kopnął sandałem pełne miłości łono Cybeli. Tratował nogami pierś nagą, która mu się wydawała żyjącą, usiłował ją zmiażdżyć pod ostrymi gwoździami sandałów i, dusząc się ze wściekłości, wykrzykiwał:

— Masz, masz, bezwstydnico, nagusie! Masz, nierządnico!

A pod jego nogami usta bogini zachowywały, jak dawniej, uśmiech pogodny.

Tłum zabrał się do podnoszenia z ziemi posągu, ażoby go cisnąć na stos. Pewien wyrobnik pijany, cuchnący czosnkiem, plunął w twarz bogini.

Ułożony ze wszystkich, wodą ofiarną splugawionych straganów rynku stos był olbrzymi. Przez gęste kłęby dymu ciche gwiazdy zaledwie migotały w górze nad głowami motłochu. Rzucono posąg w płomienie, ażeby stopić srebrne ciało, a ono, uderzając o rozpalone głownie, wydało znowu dźwięk łagodny i melodyjny.

— Pięć talentów srebra. Trzydzieści tysięcy groszy. Odeślemy połowę cesarzowi na żołd dla żołnierzy; druga pójdzie na głodnych. Niech Cybela przynajmniej jakąś ulgę przyniesie ludziom. Z bogini—będzie trzydzieści tysięcy groszy dla wojska i dla nędzarzy.

— Drew, więcej drew!

Buchnął silniejszy płomień ku ogólnemu rozradowaniu.

— Zaraz zobaczymy, jak dyabeł wyleci. Bo w każdym bałwanie dyabeł siedzi, a w boginiach po dwa i po trzy.

— Jak się zacznie topić, złemu duchowi będzie za gorąco, i wyleci z jej niecnej gęby w postaci krwawego albo ognistego węża.

— Nie... należało go przedtem przeżegnać, inaczej on potrafi zaryć się w ziemię. Zeszłego roku rozwalono świątynię Afrodyty, i ktoś ją pokropił święconą wodą. I co powiecie? Z pod posągu wymknęła się gromada małych dyablików. A jakie! Sam widziałem: takie były cuchnące i czarne w białe paski, a całe kosmate. I piszczały, jak myszy. A jak odrąbali Afrodycie głowę, to z szyi wyskoczył główny dyabeł z ogromnymi rogami i ogonem gołym, jak u parszywego psa.

Ale sceptyk jakiś przerwał:

— Nie będę się spierał. Możeście i widzieli złe duchy. Ale kiedy rozwalono niedawno w Gazie bałwana Zeusa, to wewnątrz nawet czartów nie było, tylko takie brudy, że wstyd powiedzieć. Po wierzchu wydawał się groźnym, wspaniałym: sama kość słoniowa i złoto, w ręku błyskawice. Tymczasem wewnątrz były tylko pajęczyny, szczury, kurz, zardzewiałe sztaby, drągi, gwoździe, dziegieć śmierdzący i bies wie jakie obrzydliwości. To mi bogowie!

W tej chwili Jamblich przygnębiony, z zagasłym wzrokiem, chwycił Juliana za rękę i odciągnął na stronę.

— Patrz, widzisz tych dwu ludzi? To są szpiegi Konstancyusza. Wiesz, brata twego Gallusa pod strażą wywieziono do Konstantynopola. Strzeż się! Dziś jeszcze odejdzie skarga na ciebie.

— Cóż robić, mistrzu? Jam przywykł do tego. Wiem, że śledzą mnie już oddawna.

— Oddawna! I nic mi o tem nie mówiłeś?

I ręka Jamblicha drgnęła w dłoni Juliana.

— Co ci tam szepcą? Uważajcie na nich, to pewno niewierni! Dalej, staruchu, rusz-no się, przynieś drewek!—wykrzykiwał jakiś oberwaniec, czując się już panem położenia.

Jamblich szepnął Julianowi do ucha:

— Pogardzajmy nimi i pogódźmy się z losem. Głupota ludzka bogów obrazić nie zdoła.

To mówiąc, „boski" Jamblich wziął z rąk chrześcijanina polano i rzucił w ogień. Julian zrazu oczom swoim nie wierzył, ale właśnie szpiegi z uśmiechem wlepili w niego ciekawe spojrzenia.

Wtedy słabość i przyzwyczajenie do obłudy względem innych i samego siebie i złość jakaś nieokreślona owładnęły duszą Juliana. Czując wciąż utkwiony w siebie wzrok szpiegów, podszedł do kupy drew, wybrał największą kłodę i za Jamblichem rzucił ją na stos, gdzie pokaleczone ciało bogini już się rozpływać zaczęło.

Widział dokładnie, jak roztopione srebro ściekało jej po twarzy, niby przedśmiertne poty, gdy tymczasem z ust jej nie schodził niezwyciężony uśmiech pogodny.

IX.

— Spojrzyj na tych wszystkich czarno ubranych ludzi, Julianie. To są cienie wieczoru, cienie śmierci. Wkrótce nie ostoi się jedyny starodawny strój biały, jedyny kawał marmuru, płoniącego się w słońcu... Już po wszystkiem...

Tak przemawiał młody sofista Antonin, syn wieszczki egipskiej Sozyparty i nowoplatończyka Edezysa, stojąc z Julianem na tarasie świątyni pergamskiej, zalanej słońcem, owianej błękitem. U spodu balustrady rzeźba wyobrażała Gigantomachię — walkę bogów z tytanami. Bogowie zwyciężyli; kopyta skrzydlatych rumaków gruchotały wężowe ciała starożytnych olbrzymów. Antonin ciągnął, wskazując tę wypukłorzeźbę Julianowi:

— Olimpijczycy pokonali tytanów; obecnie olimpijczyków znowu zwyciężą bogowie barbarzyńscy. Na miejscu świątyń powstaną groby...

Antonin był młodzieńcem urodziwym, rysami oblicza i konturami ciała przypominającym posągi starożytne, ale od wielu już lat nieuleczone trawiło go cierpienie. Dziwny stanowiła widok ta niegdyś piękna twarz najczystszego helleńskiego typu, obecnie żółta, mizerna, pełna smutku — choroby nieznanej jego przodkom.

— O jedno błagam tylko bogów — mówił dalej Antonin: — o to, aby mi nie dali dożyć tej nocy, ażebym umarł pierwej. Mówcy, sofiści, uczeni, poeci, artyści, czciciele mądrości helleńskiej—wszyscyśmy już zbyteczni. Za późno przyszliśmy na świat... Nasza rola skończona...!

— Gdybyś jednakże się mylił?—szepnął Julian cicho, jakby do siebie.

— Nie, wszystko stracone. Jesteśmy chorzy... brak nam sił...

Dziewiętnastoletni Julian miał twarz równie bladą i chudą, jak Antonin. Wystająca warga dolna nadawała mu wyraz ponurej pychy. Zmarszczone brwi gęste świadczyły o zawziętości i uporze. Dokoła brzydkiego, zbyt długiego nosa tworzyły się już przedwczesne zmarszczki. Oczy, niezwykłe, jak zawsze, płonęły ogniem suchym, gorączkowym, przykrym. Odziany był w habit nowicyusza. W dzień chodził po dawnemu do kościoła, modlił się przed relikwiami, odczytywał publicznie Ewangelie, czynił przygotowania do przyjęcia święceń. Chwilami przychodziło mu na myśl, że ta jego hypokryzya nie przyda się na nic. Wiedział, że Gallus nie uniknie śmierci, i sam z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, ciągle jej oczekiwał.

Noce zaś Julian spędzał w bibliotece pergamskiej, studyując dzieła największego wroga chrześcijaństwa, retora

Libaniusza. Słuchał wykładów sofistów greckich, Edezyusza z Pergamu, Chryzantosa z Sardes, Pryskusa z Tesprocyi, Euzebiusza z Mindu, Proerezyusza i Nimfydanesa. Ci opowiadali mu o tem samem, co słyszał już był od Jamblicha, mianowicie o „tryadzie" nowoplatończyków i świętej ekstazie. Ale on myślał w duchu:

— To wszystko nie jest tem, o co mi chodzi; najważniejszą rzecz oni snadź ukrywają przede mną.

Pryskus wzorem Pitagorasa spędził pięć lat w milczeniu, nie jedząc nic żyjącego, nie używając ani tkanin wełnianych, ani skórzanego obuwia, tak, iż odzież jego roślinną była, jak i pokarm. Chodził w chlamidzie z prostego lnianego płótna i sandałach z prętów palmowych.

— W tych czasach—mawiał—główną jest rzeczą umieć milczeć i myśleć o tem, jak umrzeć z godnością.

I gardząc wszystkiem, oczekiwał tego, co zwał katastrofą, to jest ostatecznego zwycięstwa chrześcijan nad Hellenami.

Sprytny i ostrożny Chryzancyusz, gdy go zapytywano o bogów, wznosił oczy ku niebu i zapewniał, że nie śmie o nich rozmawiać, ponieważ nic nie wie i zapomniał wszystkiego, co był umiał. Innym radził postępować tak samo. O magii, cudach i objawieniach słuchać nie chciał, twierdząc, że są to jedynie karygodne oszustwa, zabronione przez prawa cesarskie.

Julian tracił apetyt i sen; krew burzyła mu się z namiętnej niecierpliwości Co rano, budząc się, myślał:

— Może już dzisiaj?

Zanudzał biednych strwożonych filozofów teurgów swemi pytaniami, dotyczącemi tajemnic i cudów. Niektórzy wyśmiewali się z niego, osobliwie Chryzancyusz, mający zwyczaj z chytrym lisim uśmiechem potakiwać każdemu zdaniu, które mu się wydawało najniedorzeczniejszem.

Pewnego razu Edezyusz, starzec mądry, bojaźliwy i łagodny, ulitowawsy się na Julianem, rzekł mu:

— Dziecko moje, chcę umrzeć spokojnie. Tyś jeszcze młody. Porzuć mnie. Zwróć się do moich uczniów. Oni ci odkryją wszystko. Tak jest, wielu rzeczy boimy się mówić. Gdy będziesz wtajemniczony w misterye, kto wie, może wstydzić się będziesz, iż urodziłeś się „tylko człowiekiem" i pozostawałeś nim do tej pory.

Euzebiusz z Mindu, uczeń Edezyusza, człowiek zgryźliwy i zazdrosny, oznajmił Julianowi:

— Cudów niema już więcej, nie oczekuj ich! Ludzie naprzykrzyli się bogom. Magia jest niedorzecznością, i głupi ci, którzy jej wierzą. Skoro jednak mądrość nie wystarcza ci, i chcesz stanowczo się łudzić, udaj się do Maksyma. On gardzi naszą dyalektyką, tymczasem sam... Ale nie lubię mówić źle o przyjaciołach. Posłuchaj raczej, co się zdarzyło niedawnymi czasy w podziemnej świątyni Hekaty, dokąd nas zaprowadził Maksym, aby nową sztukę pokazać. Gdyśmy weszli i cześć oddali bogini, Maksym rzecze: „Siądźcie, wnet ujrzycie cud." Usiedliśmy. On zaś rzucił na ołtarz szczyptę kadzidła, mrucząc coś pod nosem, prawdopodobnie hymn jaki. I oto ujrzeliśmy wyraźnie, jak statua Hekaty uśmiechnęła się do nas.—„Nie przestraszcie się, — rzekł Maksym—gdy ujrzycie, jak obie pochodnie, dzierżone przez boginię, same się zapalą. Patrzcie!" Nie zdążył skończyć, gdy pochodnie zapłonęły ogniem.

— Cud się stał!—zawołał Julian.

— Tak, tak... Byliśmy zmieszani do tego stopnia, że upadliśmy na twarzą. Ale po wyjściu ze świątyni zapytałem sam siebie: Czy to, co czyni Maksym, godnem jest filozofii? Czytaj Pitagorasa, Platona, Porfirego—tam znaj-

dziesz mądrość. Podnosić serca za pomocą boskiej dyalektyki—nie jest-że to piękniejsze, niż wszelkie cuda?

Julian nie słuchał. Spojrzał błyszczącemi oczyma na bladą, żółciową twarz Euzebiusza i wyrzekł, wychodząc ze szkoły:

— Dajcie mi pokój z waszemi księgami i dyalektyką! Mnie trzeba życia i wiary. A czyż może wiara istnieć bez cudów? Dziękuję ci, Euzebiuszu. Wskazałeś mi człowieka, którego oddawna poszukuję.

A sofista ze zjadliwym uśmiechem wyrzekł, patrząc na odchodzącego Juliana:

— Nie odrodziłeś się od swych przodków, bratanku Konstantyna. Sokratesowi do wiary nie trzeba było cudów!

X.

O samej północy Julian zrzucił w przedsionku, prowadzącym do wielkiej sali misteryów, swą odzież nowicyusza, i ofiarnicy „mistatogowie," którzy wtajemniczali w obrzędy, przyoblekli go w tunikę hierofantów, utkaną z włókien białego papirusu, i podali mu do dłoni gałąź palmową. Boso wkroczył Julian do długiej nizkiej sali.

Podwójny rząd kolumn z zielonawego bronzu, zwanego orychalkiem, podpierał sklepienie. Każda kolumna wyobrażała dwa sklepione węże. Orychalk czuć było miedzią. Przy kolumnach stały na wysmukłych, cienkich nogach kadzielnice, z których wylatywały długie płomienne języki. Gęsty biały dym przepełniał salę.

W głębi majaczyła para złotych wołów skrzydlatych asyryjskich, podtrzymujących tron wspaniały, na którym, bogu jakiemuś podobien, w powłóczystej czarnej szacie,

usianej złotem, szmaragdami, karbunkołami, zasiadał najwyższy hierofant, Maksym z Efezu.

Przeciągły głos hierodula oznajmił początek misteryów.

— Jeżeli jest w zgromadzeniu bezbożnik, chrześcijanin albo epikurejczyk—nie chaj wyjdzie!

Uprzedzony, jakie należy dawać odpowiedzi, Julian przemówił:

— Niech wyjdą chrześcijanie!

Chór hierodulów, ukryty w ciemności, odezwał się:

— Za drzwi, za drzwi! Niech wyjdą chrześcijanie!

Wtedy z półmroku wyłoniło się dwudziestu czterech młodzianów całkiem nagich, trzymających w dłoniach srebrne systry w kształcie sierpów księżyca. Ale końce sierpów łączyły się w krąg całkowity, i wprawione w nie były cienkie druciki, drgające od najlżejszego dotknięcia. Jednocześnie wzniósłszy ponad głowy swe instrumenty, młodzieńcy wdzięcznym i zgodnym ruchem targnęli struny, i systry zabrzmiały żałośnie i rzewnie.

Maksym dał znak.

Do Juliana zbliżył ktoś się z tyłu, zawiązał mu mocno oczy i wyrzekł:

— Idź. Nie lękaj się ani wody, ani ognia, ani duchów, ani ciał, ani życia, ani śmierci.

Poprowadzono go.

Otwarły się ze zgrzytem drzwi żelazne, widocznie zardzewiałe. Popchnięto go naprzód. Owiało go powietrze duszne, pod nogami uczuł spadziste i ślizkie stopnie. Począł zstępować po jakichś niemających końca schodach śród grobowego milczenia. Czuć było stęchliznę. Zdawało mu się, że jest bardzo głęboko pod ziemią. Potem szedł przez korytarz wązki, ocierając się o ściany. Nagle pod bosemi stopami trysnęła wilgoć, potoczyły się strugi; wkrótce miał wodę po kostki. Szedł dalej. Co krok

poziom wody podnosił się, dochodząc mu stopniowo do łydek, do kolan, do ud. Zaczął dygotać z zimna zębami. Jednak szedł dalej. Woda już mu sięgała do piersi. Raptem pomyślał:

— Może to zasadzka? Może Maksym chce mnie zabić, aby się przypodobać cesarzowi?

Nie cofnął się jednak i szedł wciąż dalej.

Wody zaczęło ubywać, za to niby z kuźni owionął go żar duszący. Ziemia parzyła go w stopy; miał uczucie, jak gdyby się zbliżał do rozpalonego pieca. Krew tętniła mu w skroniach. Chwilami stawało się tak gorąco, jak gdyby mu do twarzy podsuwano pochodnię albo roztopione żelazo. Szedł jednak dalej.

Z kolei żar począł również słabnąć, ale wtedy odrażające wonie zatamowały mu oddech. Wielokrotnie potykał się o jakieś okrągłe przedmioty, w których poznawał powonieniem kości i czaszki trupie.

Czuł, że ktoś idzie obok niego, przesuwając się bez szelestu, jak cień. Dłoń lodowata ujęła go za rękę. Krzyknął. Potem dwie dłonie uczepiły się lekko jego odzieży. Zauważył, że pergaminowa skóra łuszczyła się na nich i przebijały przez nie pozbawione ciała kości. Dłonie te tuliły się do niego w swawolnej i wstrętnej pieszczocie rozpustnych kobiet. Na policzku uczuł oddech, zionący stęchlizną gnicia i wilgoci grobowej. Nagle tuż przy uchu usłyszał szept śpieszny, podobny do szmeru liści jesiennych podczas nocy.

— To ja... to ja... to ja! Nie poznajesz mnie To ja...

— Kto? — szepnął Julian.

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że łamie ślub milczenia.

— To ja, ja... Czy chcesz, abym ci zdjęła z oczu zasłonę, a wtedy dowiesz się o wszystkiem i mnie zobaczysz?..

Z tą samą ohydną natarczywością kościste palce poruszać się zaczęły przy jego twarzy, usiłując zerwać przepaskę.

Śmiertelny chłód przejął Juliana do głębi serca. Bezwiednie, z przyzwyczajenia, przeżegnał się po trzykroć, jak w dzieciństwie, gdy mu się co strasznego przyśniło. Rozległ się huk gromu, ziemia zadygotała mu pod nogami. Julian uczuł, że się zapada kędyś i stracił zmysły.

Skoro powrócił do przytomności, nie miał już przepaski na oczach i leżał na miękkich poduszkach w ogromnej, słabo oświetlonej pieczarze. Dawano mu wąchać tkaninę, skropioną mocnemi perfumami... Przed nim stał człowiek chudy, nagi, o skórze miedzianej. Był to indyjski gimnosofista, pomocnik Maksyma. Trzymał on wzniesiony nieruchomo nad głową lśniący krążek metalowy. Ktoś rzekł do Juliana:

— Spojrzyj.

Julian utkwił wzrok w krążku, błyszczącym boleśnie jaskrawo. Długo wpatrywał się weń, aż zarysy przedmiotów rozpływać się przed nim zaczęły, i całą jego istotą owładnęła przyjemna, kojąca omdlałość. Miał wrażenie, jak gdyby błyszczący krąg nie świecił już w przestrzeni, lecz w nim samym; powieki mu opadły, uśmiech zmęczony i pokorny błąkał mu się po ustach. Poddawał się oczarowaniu światła.

Czyjaś ręka przesunęła mu się kilkakrotnie po czole i głos jakiś zapytał:

— Śpisz?

— Śpię.

— Spojrzyj mi w oczy.

Julian z wysiłkiem podniósł powieki i ujrzał nachylonego nad sobą Maksyma.

Był to starzec, mogący mieć lat siedemdziesiąt, ze spływającą mu do pasa białą jak śnieg brodą. Włosy, długie do ramion, miał szpakowate z odcieniem złotawym; policzki i czoło pokrywały zmarszczki piękne i głębokie, znamionujące myśl i wolę, nie zaś cierpienia. Delikatne wargi rozchylał uśmiech, podobny do uśmiechu kobiet bardzo rozumnych, fałszywych i zalotnych. Ale najbardziej podobały się Julianowi oczy Maksyma, drobne, błyszczące z pod gęstych krzaczastych brwi żywo, przenikliwie, badawczo, jednocześnie i drwiąco i czule.

— Czy chcesz ujrzeć potężnego Tytana? — zapytał Maksym.

— Chcę.

— Patrz więc!

Czarodziej wskazał mu stojący w zagłębieniu groty trójnóg bronzowy, z którego wzbijały się ogromne kłęby białego dymu. W podziemiu rozległ się głos, grzmiący, jak huk huraganu, od którego zadrżała jaskinia:

— Herkulesie! Herkulesie! Oswobódź mnie!

Rozdarły się obłoki dymu, i z poza nich zabłysło niebo błękitne.

Julian leżał blady, nieruchomy, z nawpół przymkniętemi powiekami, i spoglądał na przesuwające się przed nim szybkie, rozwiewne obrazy, przyczem zdawało mu się, że to nie on sam je widzi, lecz że mu je ktoś widzieć rozkazuje.

Widział więc obłoki i góry, śniegiem pokryte; słyszał, jak gdzieś na dole, zapewne w jakiejś otchłani, szumiało morze. Spostrzegł ciało olbrzymie, ręce i nogi do skały przykute, sępa, pożerającego wątrobę Tytana. Wzdłuż bioder płynęły strugi czarnej krwi. Dźwięczały łańcuchy, olbrzym wił się z bólu.

— Oswobódź mnie, Herkulesie!

Tytan wzniósł kędzierzawą głowę, i oczy jego spotkały się z oczyma uśpionego Juliana.

— Kto jesteś? Kogo przywołujesz?—pytał Julian z ciężkim wysiłkiem, jak mówiący przez sen człowiek.

— Ciebie!

— Jestem tylko słabym śmiertelnikiem.

— Bratem moim jesteś... oswobódź mnie!

— Któż cię przykuł nanowo?

— Pokorni, łagodni, którzy przez tchórzostwo odpuszczają wrogom. Niewolnicy, niewolnicy!.. Oswobódź mnie!

— Jakże to potrafię?

— Bądź, jako ja!

Skłębiły się ciemne chmury; z oddali zahuczał grom. Błysnęło. Sęp z krzykiem uleciał w górę, z dzioba kapała mu krew. Ale silniejszy od grzmotu rozległ się znowu głos Tytana:

— Oswobódź mnie, Herkulesie!

Potem znowu zakryły wszystko obłoki dymu, unoszące się z trójnoga. Julian obudził się na jedno mgnienie oka i usłyszał zapytanie hierofanta:

— Czy chcesz ujrzeć Potępionego?

— Tak jest, chcę.

— Spojrzyj więc.

Julian na nowo przymknął oczy i poddał się lekkiemu zaczarowanemu uśpieniu.

Śród białych dymów zarysowała się mglisto głowa pomiędzy ogromnemi skrzydłami, których pióra zwieszały się nakształt gałązek wierzby płaczącej, a jakieś sinawe światło posępnie na nich drgało.

Z oddali doleciał cichy głos, niby głos zmarłego przyjaciela:

— Julianie, Julianie! Wyrzeknij się w mojem imieniu Galilejczyka!

Julian milczał. Maksym szepnął mu do ucha:

— Wyrzeknij się, jeżeli pragniesz ujrzeć Wielkiego Anioła.

Wtedy Julian powiedział:

— Wyrzekam się.

Ponad głową zjawiska śród mgły rozbłysła gwiazda poranna, gwiazda jutrzenki, Anioł zaś powtórzył:

— Julianie, wyrzeknij się w mojem imieniu Galilejczyka!

— Wyrzekam się.

I po raz trzeci ozwał się Anioł, ale już zblizka, donośnym i tryumfującym głosem:

— Wyrzeknij się!

A Julian po raz trzeci powtórzył:

— Wyrzekam się.

Anioł zaś powiedział:

— Pójdź do mnie!

— Kto jesteś?

— Jam jest Niosący światło, jam jest Wschód, jam jest Gwiazda poranna!

— O, jakiś ty piękny!

— Bądź podobnym do mnie!

— Ile smutku w twych oczach!

— Cierpię za wszystkich żyjących. Dosyć narodzin, dosyć śmierci! Pójdźcie do mnie! Jam cień, jam pokój, jam wolność.

— Jakie imię dają ci ludzie?

— Imię złego.

— Złego? Tobie?

— Jam powstał.

— Przeciw komu?

— Przeciw temu, któremu jestem równy. On chciał być sam, ale nas jest dwu.

— Uczyń mnie takim, jako ty!

— Powstań, jak i ja. Dam ci władzę!

— Naucz mnie!

— Gwałć prawo, miłuj samego siebie, przeklinaj Jego i bądź, jako ja.

Zniknął Anioł. Zerwał się wicher, rozdmuchał płomienie trójnogu, które opadły na dół i rozlały się po ziemi, wreszcie wywrócił trójnóg i ogień zagasił. W ciemności słychać było tętent, krzyki i jęki, jak gdyby przez powietrze pędziło wojsko niewidzialne w ucieczce przed wrogiem. Przejęty trwogą, Julian padł twarzą na ziemię. Nad nim długa szata hierofanta szamotała się z wichurą.

— Uciekajcie, uciekajcie!—jęczały niezliczone głosy.— Bramy piekieł otwarte! Oto idzie On, On, Zwycięzca!

W uszach Juliana szumiał wiatr, a w górze nad nim przelatywały legiony za legionami.

Nagle zatrzęsła się ziemia, i odrazù nastała cisza; powiew niebiański, jak wśród łagodnej nocy letniej, przeniknął grotę, a głos jakiś wyszeptał:

— Saulu, Saulu, przecz-że mnie prześladujesz?

Zdawało się Julianowi, że głos ten już słyszał niegdyś w dalekiem dzieciństwie.

Znowu rozległy się ciche, jakby z oddali płynące słowa:

— Saulu, Saulu, przecz-że mnie prześladujesz?

Wreszcie głos zamarł tak daleko, że tylko prawie nieuchwytnem tchnieniem dobiegło jeszcze wołanie:

— Saulu, Saulu, przecz-że mnie prześladujesz?

Gdy Julian po przebudzeniu się podniósł głowę z ziemi, ujrzał hierofanta, zapalającego lampę. W głowie mu się kręciło, jednakże pamiętał dokładnie wszystko, co zaszło, jak się pamięta sny.

Znowu przewiązano mu oczy i dano mu się napić wina z korzeniami. Uczuł moc i dzielność w członkach. Poprowadzono go w górę po schodach, ale tym razem wspierała go silna dłoń Maksyma. Julianowi się zdawało, że jakaś moc niewidzialna unosi go, jak na skrzydłach.

Hierofant rzekł do niego:

— Zapytuj.

— Tyś Go przywołał?—przemówił Julian.

— Nie, ale skoro drży jedna struna liry, druga jej odpowiada. Przeciwieństwo odpowiada przeciwieństwu.

— Skąd ta potęga słów Jego, jeżeli to jest kłamstwo?

— To jest prawda.

— Co mówisz? Zatem Tytan i Anioł kłamią?

— I oni są prawdą.

— Dwie prawdy!

— Dwie. Dwoistem jest wszystko.

— Kusisz mnie...

— Nie ja, ale całkowita prawda kusząca jest i niezwykła. Zamilcz, skoro się obawiasz.

— Nie obawiam się. Mów wszystko. Więc Galilejczycy mają słuszność?

— Tak.

— Po cóż więc ich się wyrzekłem?

— Jest jeszcze druga prawda.

— Wyższa?

— Nie: równa tej, której się wyrzekłeś.

— W co więc wierzyć należy? Gdzie Bóg, którego szukam?

— I tu, i tam. Służ Arymanowi, lub Ormuzdowi, jak wolisz, ale pamiętaj, że obaj są sobie równi, że państwo Lucyfera równe jest państwu Boga.

— Dokąd iść?

— Wybierz jedną z dwóch dróg i nie zatrzymuj się.

— Ale którą?

— Jeżeli wierzysz w Niego, weź krzyż, idź za Nim, jak On rozkazał; bądź pokornym, bądź czystym, bądź niemym barankiem w rękach katów. Schroń się na pustynię, poświęć Mu ciało, duszę i rozum. Cierp! Wierz! To jedna droga, i wielcy galilejscy umartwiacze ciała osiągają tę samą wolność, co Prometeusz i Lucyfer.

— Nie chcę!

— Więc obierz drugą drogę. Bądź władcą, bądź podobny do surowych mężów starożytnych. Bądź silny i dumny, nieubłagany i wspaniały. Nie lituj się, nie miłuj, nie przebaczaj. Powstań i pokonaj wszystko! Niech ciało twe będzie jako ciało półbogów z marmuru. Zabieraj i nie oddawaj. Kosztuj owocu zakazanego i nie żałuj. Nie wierz, ale wiedz, a świat będzie należał do ciebie, staniesz się, jako Tytan i Anioł, który powstał przeciwko Bogu!

— Ale nie mogę zapomnieć, że słowa Galilejczyka zawierają prawdę, nie mogę przypuścić istnienia dwóch wiar!

— Jeżeli nie możesz, więc bądź, jako inni śmiertelni — i lepiejby ci zginąć wtedy! Ale ty możesz... odważ się!.. Będziesz cesarzem rzymskim!

— Ja? Cesarzem?

— Będziesz miał w ręku to, czego nie miał bohater Macedończyk.

Julian uczuł, że wydostali się z podziemia. Owionął ich świeży wietrzyk morski. Musiało być rano. Choć nie mógł widzieć, wyczuwał dokoła siebie bezmiar morza i nieba.

Hierofant zdjął przepaskę z oczu Juliana. Znajdowali się na wysokiej wieży marmurowej, w obserwatoryum wielkiego teurga, zbudowanem na wzór starożytnych wież chaldejskich, na szczycie sterczącej ponad morzem skały.

W dole ciągnęły się pyszne ogrody i wille Maksyma, pałace i propileje, przypominające kolumnady Persepolisu. Dalej było widać śród mgły zarysy Artemizjonu i wielokolumnowego Efezu. Jeszcze dalej, na wschód, zachód, południe i północ, rozpostarło się morze niezmierzone, zamglone, ciemno błękitne, całe drżące i uśmiechnięte w oczekiwaniu słońca.

Stali na takiej wyżynie, że Julian uczuł zawrót głowy i musiał wesprzeć się na ramieniu Maksyma. Słońce zabłysło z poza gór; Julian przymrużył oczy z uśmiechem, a na jego szatę białą padły z razu bladoróżowe, potem purpurowe promienie.

Hierofant zatoczył dłonią dokoła widnokręgu i wskazując morze i ląd, przemówił:

— Spojrzyj: to wszystko twoje!

— Czyż mogę, mistrzu?.. Oto z dnia na dzień oczekuję śmierci... Jestem bezsilny i chory...

— Słońce, bóg Mitra, wieńczy cię swoją purpurą! To purpura cesarza rzymskiego. Wszystko należy do ciebie. Odważ się!

— Co mi po wszystkiem, skoro prawda nie istnieje, skoro niema Boga, którego szukam?..

— Znajdź go, połącz, jeśli zdołasz, prawdę Tytana z prawdą Galilejczyka, a staniesz się większym od wszystkich, których kobiety zrodziły na ziemi.

. . . .

. . . .

Maksym z Efezu posiadał wspaniałe biblioteki, zaciszne sale marmurowe, zastawione przyrządami naukowymi i obszerne gabinety anatomiczne. W jednym z nich młody uczony Orybazy, lekarz ze szkoły aleksandryjskiej, z cienkim nożem stalowym w ręku, zastępującym skalpel,

dokonywał wespół z teurgiem nowej operacyi wiwisekcyjnej na jakiemś rzadkiem zwierzęciu, nadesłanem Maksymowi z Indyi. Sala była okrągła, urządzona na modłę teatru anatomicznego w Muzeum Aleksandryjskiem. Dokoła stały urny miedziane, fajerki, eolipile, przyrządy Archimedesa, tak zwana machina ogniowa Ktezybiusza i Herona. W ciszy sąsiedniej biblioteki dźwięcznie kapały krople wody w zegarze hydraulicznym, wynalazku Apoloniusza. Tam również widać było globusy, metalowe karty geograficzne, wyobrażenia sfer niebieskich Hiparcha i Eratostenesa. Dwaj przyjaciele dokonywali wiwisekcyi metodą wielkiego anatoma Herofila.

W łagodnem i miękkiem świetle, padającem przez okrągły otwór w suficie—okien w sali nie było—Maksym w zwykłej odzieży filozofa badał ciekawie ciepłe jeszcze wnętrzności zwierzęcia, rozłożone na szerokim stole marmurowym. Drobne i bystre jego oczy z pod siwych brwi jaśniały, jak zawsze, przenikliwym, zlekka szyderczym blaskiem.

Orybazy, pochylony nad wątrobą zwierzęcia, mówił:

— Jakim sposobem Maksym, wielki filozof i uczony Maksym, wierzyć może w te wszystkie niedorzeczne cuda?

— Wierzę w nie i nie wierzę — odpowiedział teurg.

— Czyż natura, którą obaj badamy tak pilnie, nie jest jednym z najnieprawdopodobniejszych cudów? Czyż nie są cudem i tajemnicą te cieniutkie naczynia krwionośne, te nerwy, ten doskonały układ organów wewnętrznych, które rozpatrujemy na podobieństwu augurów?..

— Wiesz, o czem chcę mówić — przerwał młody lekarz: — Dlaczego zwiodłeś tego biednego młodzieńca?

— Juliana?

— Tak.

— Sam chciał być zwiedzionym.

Nieposłuszne brwi Orybazego zmarszczyły się.

— Mistrzu, jeżeli mnie kochasz, powiedz: kim jesteś? Jak możesz znosić fałsze podobne? Czyż ja nie wiem, co to jest magia? Uczepiacie do sklepienia ciemnej izby błyszczącą łuską rybią, a wtajemniczany przez was uczeń mniema, że to niebo gwiaździste schodzi ku niemu na rozkaz hierofanta. Ulepiacie z wosku obciągniętą w skórę głowę trupią, przyczepiacie ją do szyi żórawiej, i ukrywszy się pod podłogą, wygłaszacie przepowiednie przez tę rurkę kościaną. Uczeń zaś sądzi, że to czaszka odsłania tajemnice grobu. Gdy zaś potrzeba, żeby głowa znikła, podsuwacie fajerkę z węglami—wosk topnieje, i czaszka się rozpływa. Rzucacie z latarni odbicia szkieł z malowanymi wizerunkami na białe dymy kadzideł i każecie wierzyć naiwnym, że widzą przed sobą obrazy bogów. Przez wodę basenu, z brzegami kamiennymi i dnem szklanem, pokazujecie z pomocą przebranego niewolnika żywego Apolina, lub żywą Afrodytę w osobie ladacznicy. I to się mają nazywać święte misterye?

Ze zwykłym dwuznacznym uśmiechem na cienkich wargach hierofant odpowiedział:

— Misterye nasze głębsze są i piękniejsze, niż ci się zdaje. Ludzie potrzebują zachwytu. Dla tego, który wierzy, ladacznica jest naprawdę Afrodytą, a błyszcząca łuska niebem gwiaździstem. Mówisz, że ludzie modlą się i płaczą przed zjawiskami, wywołanemi przez lampę o malowanych szkłach. O, Orybazy, Orybazy! Alboż natura, która twą wiedzę olśniewa, nie jest także ułudą, zrodzona przez uczucia równie zwodnicze, jak latarnia czarnoksiężnika? Gdzie jest prawda? Gdzie kłamstwo? Ty wierzysz i wiesz. Ja — nie chcę wierzyć, wiedzieć nie potrafię. Dla mnie prawda jest tam, gdzie i kłamstwo.

— Czy Julian byłby ci wdzięczny, gdyby wiedział, że go oszukujesz?

— Widział to, co chciał widzieć. Jam go obdarzył zapałem, siłą, odwagą. Mówisz, że go oszukałem. Gdyby tego było potrzeba, byłbym go oszukał i skusił. Lubię fałsz, w którego głębi świeci prawda. Lubię pokusy! Nie opuszczę Juliana do samej śmierci! Dam mu skosztować wszelkich owoców zakazanych. Młody jest, ja w nim przeżyję drugie istnienie, odsłonię przed nim tajemnice ponętne i zbrodnicze, a, być może, iż ja to uczynię go wielkim!

— Nie rozumiem cię, mistrzu...

— Właśnie dlatego ci to mówię, że ty mnie zrozumieć nie możesz. Innomu tegobym nie powiedział — zakończył Maksym, utkwiwszy w Orybazym rozumne i beznamiętne spojrzenie.

Promień słońca padł na srebrzystą brodę i potężne, obwisłe brwi starca. Zmarszczki oblicza wydawały się jeszcze głębsze, ciemniejsze, a na ustach igrał uśmiech, kuszący podstępnie, niby uśmiech kobiety.

XI.

Gdy nieszczęsny Gallus w przejeździe zatrzymał się w Konstantynopolu, Julian poszedł go odwiedzić.

Zastał go otoczonego gromadą zdrajców z rozkazu Konstancyusza. Byli to: kwestor Leoncyusz, przebiegły, pochlebny dworak, znany z cennej w owe czasy zręczności w podsłuchiwaniu u drzwi i wybadywaniu niewolników; trybun tarczowników skutaryuszów Bainobaudes, milczący i skryty barbarzyńca, który wyglądał na przebranego kata; dumny marszałek dworu cesarskiego—comes domme-

sticorum—Lucylian; wreszcie Marek Scudillo, dawny trybun wojenny z Cezarei w Kapadocyi, który dzięki poparciu kobiet doletnich zdobył nareszcie upragnione stanowisko u dworu.

Gallus, zdrów, wesoły i lekkomyślny, jak zawsze, zaprosił Juliana na wspaniałą wieczerzę, pysząc się nadewszystko utuczonym bażantem z Kolchidy, nadziewanym świeżymi daktylami tebańskimi. Śmiał się, jak dziecko, wspominając czasy pobytu w Macellum, gdy wtem, na zapytanie Juliana, dotyczące żony jego Konstantyny, zmienił się na twarzy i ze łzami w oczach odłożył na talerz soczysty kęs bażanta, który już był niósł do ust.

— To ty nie wiesz, Julianie,—przemówił—że Konstantyna zmarła nagle na zaraźliwą gorączkę w małem miasteczku w Bitynii, gdy jechała do cesarza, by mnie przed nim usprawiedliwić? Płakałem dwie noce po otrzymaniu tej wiadomości...

Spojrzał podejrzliwie na drzwi i, przysunąwszy się do Juliana, szepnął mu na ucho:

— Odtąd machnąłem ręką na wszystko. Tylko ona mogła jeszcze mnie ocalić... Była to zadziwiająca kobieta! Ty nie wiesz, Julianie, co to była za kobieta!.. Bez niej—jam zgubiony, nic nie potrafię, nic nie wiem. Poprostu głowę tracę. Oni, co chcą, robią ze mną...

Wychylił duszkiem czarę wina.

Julian przypominał sobie Konstantynę, siostrę Konstancyusza, wdowę lat dojrzałych, która była złym duchem jego brata, popychającym go do spełniania niezliczonych nikczemnych, bezrozumnych zbrodni z najbłahszego nieraz powodu, dla jakiejś błyskotki kosztownej lub obiecanego naszyjnika; chcąc więc zrozumieć, czem właściwie ta zła kobieta mogła opanować Gallusa, zapytał:

— Czy była piękna?

— Więc ty jej nie widziałeś?.. Nie, brzydka była, bardzo brzydka. Szczupła, śniada, dziobata, z zepsutymi zębami, czego znosić nie mogę u kobiet. Wprawdzie, pamiętając o tej wadzie, nie uśmiechała się nigdy. Mówiono, że mnie zdradzała, że nocami wymykała się w przebraniu do hipodromu, jak Mesalina, do młodego i urodziwego woźnicy. Cóż mnie to mogło obchodzić? Alboż i ja jej nie zdradzałem?.. Nie przeszkadzała mi, i ja odpłacałem jej tem samem. Powiadano, że była okrutna. Tak jest, potrafiła rządzić, Julianie!.. Nie cierpiała autorów epigramatów i śpiewek ulicznych, w których ci nędznicy zarzucali jej brak wdzięku w obejściu i porównywali ją do niewolnicy z kuchni, przebranej za żonę cezarową. Lubiła zemstę!.. A co za rozum! Julianie, co za rozum! Czułem się przy niej spokojny, jak za granitowymi murami. Ach! jakie płataliśmy figle! Jak pysznieśmy się bawili!..

Uśmiechał się do przyjemnych wspomnień i końcem języka muskał wargi różowe, jeszcze wilgotne od wina chioteńskiego.

— Niema co mówić, bawiliśmy się pysznie!—powtarzał z pewną dumą.

Udając się na spotkanie z bratem, Julian zamierzał obudzić w nim uczucie skruchy i nawet przygotował sobie przemowę przeciwko tyranom w duchu Libaniusza. Spodziewał się zastać człowieka, chłostanego biczem Nemezydy — tymczasem widział pogodną, pełną twarz pięknego greckiego atlety. Słowa zamarły na ustach Juliana. Patrzał bez obrazy i gniewu na „dobroduszne stworzenie,” jak w myśli brata nazywał, i mówił sobie, że prawić mu kazania byłoby równie niedorzecznie, jak naprzykład pięknemu ogierowi. Poprzestał więc na tem, że

szepnął Gallusowi do ucha, także obejrzawszy się na drzwi:

— Po co ty jedziesz do Medyolanu? Czyż nie podejrzewasz niczego?

— Owszem. Ale milcz. Wracać niepodobna. Za późno.

I wskazując swą białą szyję, dodał:

— Stryczek śmiertelny mam już tu — rozumiesz?.. On ściąga go potrochu. Z pod ziemiby mnie wykopał, Julianie!.. Lepiej o tem nie mówić. Już po wszystkiem! Zabawiliśmy się, to i dosyć.

— Masz jeszcze dwa legiony w Antyochii...

— Nie mam żadnego. Pozbawiał mnie wszystkich najlepszych żołnierzy, powoli, pod najrozmaitszymi pozorami, a zawsze dla mego własnego dobra! On wszystko czyni dla mego dobra! Jak on się troszczy o mnie! Jak mu pilno zobaczyć się ze mną i rad moich zasięgnąć! Straszny to człowiek, Julianie! Jeszcze nie wiesz i, daj Boże, abyś nigdy się nie dowiedział, co to za człowiek! Wszystko widzi, zna moje najskrytsze myśli, takie nawet, z któremi poduszce mego łoża się nie zwierzam. On i ciebie widzi nawskroś, bracie. Ja go się boję!..

— Czy jednak nie możesz uciekać?

— Ciszej, ciszej! Co robisz!..

Na ospałej i dobrodusznej twarzy Gallusa odmalowała się dziecinna trwoga.

— Nie, już wszystko stracone!.. Schwytano mnie, jak rybę na haczyk. On delikatnie wyciąga, żeby wędki nie złamać. Bądź co bądź, nawet ladajaki cezar jest ciężką rybą. Ale wiem, że wyrwać się niepodobna; złapie mnie, nie dziś, to jutro. Widzę oczywiście zastawione sidła, ale mimo to idę w nie — ze strachu. Od sześciu lat, a zresztą i dawniej, odkąd mogę sięgnąć pamięcią,

żyję w ciągłym strachu przed nim. Trudna rada. Pobawiłeś się, mój chłopcze, pofiglowałeś — i dosyć. Bracie mój! On mnie zarznie, jak kucharz tłustego kapłona. Ale przedtem zamęczy mnie tysiącami podstępów i czułości. Niechby się to prędzej skończyło...

Nagle zawołał z błyszczącemi oczyma:

— Ach! gdybym *ją* miał przy sobie; czy wiesz, bracie, ona z pewnościąby mnie ocaliła! Była to kobieta zadziwiająca, nadzwyczajna!

Trybun Scudillo wszedł do triclinium i z uniżonym ukłonem oznajmił, że w dniu jutrzejszym na cześć przybycia cezara w hipodromie konstantynopolitańskim odbędą się gonitwy z udziałem słynnego jeźdźca Koraksa. Gallus był nadzwyczaj uradowany tą wiadomością, kazał też przygotować wieniec laurowy, aby w razie zwycięstwa własną ręką uwieńczyć wobec ludu ulubieńca swego Koraksa.

Potem jął rozmawiać o wyścigach, wychwalając zręczność słynnych woźniców.

Gallus pił dużo, śmiał się szczerze i lekkomyślnie, jak człowiek ze spokojnem sumieniem, bez najmniejszego śladu niedawnej trwogi. Tylko w ostatniej chwili pożegnania uściskał silnie Juliana i rozpłakał się, mrugając bezradnie swemi niebieskiemi oczyma.

— Niech ci Bóg dopomaga... niech ci Bóg dopomaga!—łkał w przystępie nadmiernej czułości, zapewne pod wpływem wina. — Tylko ty mnie kochałeś, a Konstantyna droga...

Następnie szepnął mu do ucha:

— Mam nadzieję, że ty się, bracie, ocalisz. Umiesz udawać... zawsze ci tego zazdrościłem. Daj ci, Boże!

Julian uczuł niezmierny żal, rozumiał bowiem, że brat jego już się nie „zerwie z haczyka” Konstancyusza.

Nazajutrz Gallus opuścił Konstantynopol z tą samą eskortą. U bramy miejskiej spotkał świeżo mianowanego do Armenii kwestora Taurusa. Karyerowicz ten dworski bezczelnie i drwiąco spojrzał cezarowi w oczy, nie składając mu ukłonu.

Tymczasem od cesarza nadchodził list za listem.

W Adryanopolu dano do rozporządzenia Gallusa tylko dziesięć wozów pocztowych; trzeba się było rozstać ze wszystkiemi rzeczami i z orszakiem, z którego ocalało tylko kilku urzędników od łoża i stołu, „ministri tori et mensae.” Było to późną jesienią. Drogi były fatalne. Od kilkunastu dni deszcz lał bez ustanku. Gallusa naglono do pośpiechu, nie dając mu czasu ani na odpoczynek, ani na sen. Od dwóch już tygodni był pozbawiony kąpieli.

Jednem z najdotkliwszych cierpień Gallusa było właśnie zbyt bezpośrednie stykanie się z brudem. W ciągu całego życia pielęgnowanie i rozpieszczenie swego pięknego ciała było dla niego rzeczą wielkiej wagi, to też z głębokim smutkiem spoglądał obecnie na nieobcięte paznogcie i na purpurę chlamidy, zbrukaną kurzem i błotem gościńca. Scudillo nie opuszczał go ani na chwilę, a Gallus miał powody obawiać się tego troskliwego towarzysza. Niegdyś, zaledwie trybun ten przybył w poselstwie od cesarza do Antyochii, gdy nierozważną jakąś uwagą obraził małżonkę Gallusa Konstantynę, ta zaś — jak mówiono — w przystępie szalonego gniewu, skazała trybuna rzymskiego, wysłannika cesarskiego na chłostę, a następnie, jak niewolnika, do więzienia wtrąciła. Niektórzy wprawdzie wierzyć nie chcieli, aby nawet zapamiętała w gniewie małżonka cezara mogła się ważyć na podobną obrazę majestatu cesarskiego w osobie trybuna.

Bądź co bądź Konstantyna, ochłonąwszy wkrótce, kazała uwolnić trybuna, który wtedy stawił się w pałacu Gallusa, jak gdyby nigdy nic, i „połknąwszy zniewagę" w milczeniu, nie wysłał nawet odpowiedniego raportu, może z obawy, aby tak hańbiąca kara w karjerze dworskiej mu nie zaszkodziła.

Za to teraz, przez cały ciąg podróży Gallusa z Antyochii do Medyolanu, Scudillo wsiadał do jednego wozu z cezarem, na chwilę nie zostawiając go samego, otaczał go służalczą uprzejmością, narzucał się bez przerwy i wogóle obchodził się z nim jak z dzieckiem kapryśnem i chorem, którego z wielkiej miłości opuścić nie może.

W czasie niebezpiecznych przepraw przez rzeki, lub na trzęską gacią wysłanych bagniskach Illirii, Skudillo z całą troskliwością obejmował rękoma stan Gallusa. Gdy zaś ten usiłował uwolnić się z tych objęć, ściskał go jeszcze silniej i czulej, zapewniając, że prędzej zgodzi się umrzeć, aniżeli pozwoli, żeby tak drogocenne życie mogło być na najmniejszy szwank narażone.

W dziwnem jakiemś zamyśleniu zwykł on ze słodkim uśmiechem wpatrywać się z tyłu w szyję Gallusa, białą i gładką, jak szyja młodej dziewczyny. Pod wpływem tego badawczego wzroku cezar uczuwał niesmak i odwracał się. W takich chwilach musiał się hamować, żeby uprzejmemu trybunowi nie wymierzyć policzka. Ale biedny więzień opanowywał się szybko i poprzestawał na tem, że płaczliwem tonem zaczynał dopraszać się wstrzymania podróży dla marnego choćby posiłku, gdyż pomimo wszystkiego pozostał mu zdumiewający apetyt. W Petobyonie w Noryce przyjęli ich nowi wysłannicy cesarza: komesowie Barbacyon i Apodemus na czele kohorty nadwornych legionistów.

Wtedy zdjęto maskę. Dokoła pałacu Gallusa postawiono w nocy straż zbrojną, jak przy więzieniu. Wieczorem prefekt Barbacyon, wszedłszy bez zachowania najlżejszej etykiety do Gallusa, rozkazał mu zrzucić chlamidę cezara i przyodziać się w zwyczajną tunikę i paludamentum. Scudillo z takim pośpiechem rzucił się do ściągania chlamidy z Gallusa, że rozdarł na niej purpurę.

Nazajutrz rankiem wsadzono więźnia do carpentum, dwukolnego wozu bez nakrycia, używanego przez niższych urzędników do objazdów służbowych. Dął przenikliwy wicher i śnieg prószył. Scudillo, według zwyczaju, objął jedną ręką Gallusa, drugą zaś począł obmacywać jego nowe ubranie.

— Co za doskonała szata, miękka i ciepła! Według mego zdania, lepsze to od purpury, która nie grzeje. Co innego taka tunika z podszewką wełnianą.

I jak gdyby pragnąc zbadać podszewkę, wsunął dłoń pod paludamentum, potem pod tunikę, i raptem, śmiejąc się dyskretnie, wyciągnął sztylet, który udało się Gallusowi ukryć w fałdach tuniki.

— A, to nie dobrze!—zawołał Scudillo z radosnym uśmiechem.—Można się przez nieuwagę skaleczyć... Niebezpieczna zabawka!..

I wyrzucił sztylet na drogę.

Niezmierne znużenie i osłabienie owładnęły Gallusem; przymknął oczy, czując coraz tkliwsze uściśnienia Scudilla. Zdawało mu się, że go trapi sen straszliwy.

Zatrzymano się w pobliżu fortecy Pola w Istryi, nad brzegiem morza Adryatyckiego. Kilkanaście lat temu w tem samem mieście spełniono krwawą zbrodnię: zamordowano młodego bohatera Kryspusa, syna Konstantyna Wielkiego.

Zamieszkane przez żołnierzy miasto miało wygląd ponurej pustki. Niezliczone koszary były zbudowane w sty-

lu rządowym za czasów Dyoklecyana. Śnieg pokrywał dachy, wicher wył w pustych ulicach, morze huczało.

Gallusa wprowadzono do koszar. Usadowiono go przed oknem w ten sposób, ażeby ostre światło zimowe padało mu wprost na twarz. Najzręczniejszy z inkwirentów cesarza, Euzebiusz, nizki starzec zwiędły a uprzejmy, z przymilającym się cichym głosem, jak u spowiednika, rozpoczął badanie, co chwila zacierając zsiniałe od zimna dłonie. Gallus, śmiertelnie znużony, mówił wszystko, co się podobało Euzebiuszowi. Dopiero na wzmiankę o „zdradzie cesarstwa" pobladł i zerwał się z miejsca.

— To nie ja... to nie ja... — powtarzał bezmyślnie w pomieszaniu — to Konstantyna, wszystko Konstantyna. Gdyby nie ona, nie byłbym nic zrobił... Ona to zażądała śmierci Teofila, Domicyana, Klemacyusza, Moncyusza i innych! Bóg widzi, to nie ja... Nie zwierzała mi się z niczem... Nie wiedziałem nawet...

Euzebiusz spojrzał na niego z łagodnym i życzliwym uśmiechem.

— Dobrze—powiedział.—Oznajmię cesarzowi, że to jego rodzona siostra Konstantyna, małżonka byłego cezara Wschodu, sama wszystkiemu jest winna.

I zwracając się do żołnierzy, wydał rozkaz:

— Badanie skończone. Wyprowadźcie go.

W krótkim czasie nadszedł wyrok śmierci, wydany przez cesarza Konstancyusza, który uznał za osobistą obrazę oskarżenie, wniesione przeciwko zmarłej siostrze o wszystkie zbrodnie na dworze Antyocheńskim popełnione.

Przy odczytywaniu wyroku Gallus stracił przytomność i padł na ręce żołnierzy. Biedak do ostatniej chwili spodziewał się ułaskawienia. I teraz jeszcze liczył na to, że mu zostawią przynajmniej parę dni, kilka godzin wreszcie do przygotowania się na śmierć. Ponieważ jednak roze-

szła się pogłoska, że żołnierze legionu tebańskiego buntują się i zamierzają oswobodzić Gallusa, więc bez zwłoki poprowadzono go na stracenie.

Dniało zaledwie. W nocy spadł śnieg i pokrył czarne i lepkie błoto. Zimne, martwe światło słoneczne, odbite od śniegu, oślepiającym blaskiem zalewało białe ściany izby, do której wprowadzono Gallusa.

Nie dowierzając żołnierzom, którzy wszyscy prawie kochali i żałowali cezara, wybrano mu na kata rzeźnika, co niekiedy podejmował się tracenia złodziei i rozbójników istryańskich na placu Poli. Barbarzyńca ten miecza rzymskiego używać nie umiał i stawił się na egzekucyę z szerokim toporem o podwójnem ostrzu, używanym do płatania wieprzów i baranów. Był to Słowianin o twarzy bezmyślnej, przystojnej i zaspanej. Ukryto przed nim imię skazańca i był najpewniejszzm, że ma uciąć łeb zwyczajnemu złoczyńcy.

Gallus w obliczu śmierci stał się cichym i łagodnym. Uśmiechając się bezmyślnie, dawał z sobą robić wszystko, co tylko chciano. Wydawało mu się, że jest dzieckiem: w dzieciństwie również krzyczał i bronił się, gdy go gwałtem wsadzano do ciepłej kąpieli, ale uległszy wreszcie, znajdował w niej przyjemność.

Dopiero na widok rzeźnika, ostrzącego topór, zadrżał całem ciałem.

Wprowadzono go do sąsiedniej izby, gdzie cyrulik skrupulatnie ogolił mu delikatne jasno-złociste włosy, z których młody cezar tak był dumny. W powrocie z pokoju cyrulika Gallus znalazł się przez chwilę sam na sam za Scudillą i niespodzianie padł na kolana przed swym najokrutniejszym wrogiem.

— Ocal mnie, Scudillo!.. Wiem, że możesz to uczynić!.. Otrzymałem dziś w nocy wiadomość od żołnierzy

legionu tebańskiego. Pozwól, bym jedno słowo przemówił do nich, a oswobodzą mnie... Mam trzydzieści talentów, ukrytych w skarbcu świątyni w Mizyi... Nikt o nich nie wie... Daruję ci je.., a nawet więcej!.. Żołnierze mnie kochają. Uczynię cię przyjacielem swoim, bratem, współrządcą, cezarem!..

Zaślepiony nadzieją, obejmował kolana trybuna, i Scudillo zadrżał nagle, uczuwszy na dłoniach swoich usta cezara. Ale nie odpowiedział mu nic i z uśmiechem uwolnił się z jego uścisków. Kazano się rozebrać Gallusowi. Nie chciał zdjąć sandałów, gdyż miał brudne nogi. Skoro już był prawie obnażony, rzeźnik począł wiązać mu z tyłu dłonie, jak to zwyczajnie czynił ze złodziejami. Scudillo pośpieszył mu z pomocą. Uczuwszy dotknięcie dłoni trybuna, Gallus wpadł we wściekłość i wyrwał się z rąk siepacza, chwycił Scudilla oburącz za gardło i chciał go udusić.

Nagi, olbrzymi, wyglądał nie na człowieka, ale na młode, silne i straszliwe zwierzę.

Wyrwano z jego objęć nawpół zduszonego trybuna i skrępowano mu ręce i nogi. W tej samej chwili na dziedzińcu koszar rozległy się okrzyki żołnierzy tebańskich:

— Niech żyje cezar Gallus!

Zabójcy poczęli się śpieszyć. Przyniesiono kloc olbrzymi i postawiono przed nim Gallusa na klęczkach. Barbacyon, Bainobaudes i Apodemus przytrzymali go za ramiona, ręce i nogi, Scudillo usiłował nagiąć mu głowę do pieńka. Z pożądliwym uśmiechem na bladych wargach naciskał z całej siły opierającą się daremnie czaszkę. Pod palcami, drętwiejącymi z rozkoszy, czuł gładką świeżo wygoloną skórę, jeszcze wilgotną od mydła, i z zachwytem spoglądał na kark biały i delikatny, jak u młodej dziewczyny.

Rzeźnik był niezręcznym katem.

Spuściwszy topór, zadrasnął kark, ale cios był niepewny. Podniósł więc topór powtórnie, krzycząc na Scudilla:

— Nie tak!.. Na prawo! Trzymaj głowę więcej na prawo!..

Gallus szarpnął się i z trwogi wydał przeciągły, nieludzki ryk, jak wół nawpół zarznięty.

Tymczasem coraz bliżej i wyraźniej rozlegały się okrzyki żołnierzy:

— Niech żyje cezar Gallus!..

Rzeźnik z zamachem ciął toporem. Lunęła struga krwi gorącej na dłonie Scudilla. Głowa potoczyła się, stukając po kamiennej posadzce.

W owej chwili legioniści wdarli się do gmachu...

Barbacyon, Apodemus i Scudillo skoczyli ku wyjściu z przeciwnej strony. Kat stał w niepewności, ale Scudillo szepnął mu do ucha:

— Uprzątnij głowę straconego cezara, żeby legioniści nie poznali ciała. Tu chodzi o życie wszystkich nas.

— Więc to nie był złodziej!.. — wyjąkał kat zdumiony.

Nie wiedział, jak unieść ogoloną głowę. Naprzód wsunął ją sobie w zanadrze, ale niewygodnie mu było. Wetknął więc palec zgięty w usta i tak poniósł zawieszony czerep tego, przed którym niedawno jeszcze gięło się tyle głów ludzkich.

. . . .

Dowiedziawszy się o śmierci brata, Julian wyrzekł do siebie:

— Teraz kolej na mnie.

XII.

W Atenach Julian miał odbyć święcenia i zostać zakonnikiem.

Był świeży poranek wiosenny. Słońce jeszcze nie wzeszło. Julian wysłuchał jutrzni w kościele i zaraz po nabożeństwie udał się o kilkanaście stadjów za miasto brzegami Ilisu, ukrytymi śród platanów i dzikiego winokrzewu. Miał on w pobliżu Aten ulubiony kącik zaciszny nad brzegiem strumienia, z cichym szmerem toczącego się nakształt jedwabnej wstęgi po usłanem krzemykami łożysku. Stamtąd lubił podziwiać przez mgły różowe skały Akropolisu i wspaniałe zarysy Partenonu, zaledwie oświetlone jutrzenką.

Zdjąwszy obuwie, Julian wszedł boso w płytkie wody Ilisu. Pachnęło zaledwie rozwinięte kwiecie muszkatołowej winorośli. W tej woni czuć było przedsmak wina, tak samo, jak pierwsze rojenia dzieciństwa tchną przeczuciem miłości.

Zanurzywszy nogi w wodzie, siadł Julian na korzeniach platanu i otworzywszy „Fedra" począł czytać. Sokrates w swym dyalogu przemawiał do Fedry.

„Zwróćmy się w tę stronę i pójdźmy z biegiem Ilisu. Poszukamy sobie ustronnego miejsca i tam usiądziemy.

„*Fedros*.— Na szczęście nie wziąłem dzisiaj obuwia, ty zaś, Sokratesie, zawsze chodzisz boso. Możemy iść łożem strumienia, przepłókując nogi. Spojrzyj, jaki tu nurt wesoły i przejrzysty, — rzekłbyś, że się uśmiecha.

„*Sokrates.*—Na Palladę! cudne to miejsce. Prawdopodobnie poświęcone jest nimfom i bogu Acheloosowi, jak sądzić należy po tych posążkach. Czy nie uczuwasz, Fedro, że tutaj wietrzyk szczególnie jest łagodny i wonny? Tu w samym śpiewie chrząszczów czuć jakąś słodycz, przypominającą lato. Ale najbardziej podobają mi się te wysokie trawy; możemy na nich głowy położyć...

Julian z uśmiechem rozejrzał się dokoła: wszystko tak było, jak przed ośmiu wiekami. Właśnie chrząszcze rozpoczynały swe śpiewy śród traw...

— Nogi Sokratesa stąpały po tej ziemi!—pomyślał.

I zanurzywszy głowę w gęste trawy, ucałował z zapałem świętą ziemię.

— Witaj, Julianie! Wyborny kącik wyszukałeś tu sobie do czytania. Czy pozwolisz usiąść przy tobie?

— Siadaj, zrobisz mi przyjemność. Poeci nie mącą samotności.

Spojrzawszy na przyodzianą w niepomiernie długi płaszcz mizerną postać poety Publiusza Optacyana Porfirjusza, Julian z mimowolnym uśmiechem pomyślał sobie.

— Takie to małe i bezkrwiste i chude, że w samej rzeczy możnaby uwierzyć, iż wkrótce przemieni się w konika polnego według podania Platona o poetach!

Publiusz w istocie na podobieństwo konika polnego umiał żyć prawie bez pożywienia, jakkolwiek bogowie odmówili mu zdolności nieodczuwania głodu i pragnienia. Na ziemistej, pomarszczonej, oddawna nie golonej jego twarzy, na zsiniałych wargach wiecznie znać było piętno nienasyconego głodu.

— Dlaczego nosisz płaszcz taki długi, Publiuszu?—zapytał Julian.

— Bo to nie mój—odparł tenże z obojętnością filozofa;—to jest, właściwie mój, ale tylko na chwilę. Wynaj-

muję mieszkanie do spółki z pewnym młodzieńcem Hefestjonem, który przybył do Aten uczyć się krasomówstwa. Będzie z niego kiedyś znakomity obrońca. Tymczasem jest to biedak, jak i ja, ubogi, jak poeta liryczny — dość powiedzieć. Zastawiliśmy nasze szaty, nasze sprzęty, nawet kałamarz. Pozostał nam tylko jeden płaszcz na dwóch. Rankiem ja wychodzę, a Hyfestyon studyuje Demostenesa; wieczorem, on bierze na barki chlamidę, ja zaś wiersze piszę. Na nieszczęście, nie jesteśmy jednakowego wzrostu. Ale mniejsza o to! Zato mogę chodzić, jak starożytne Trojanki—w powłóczystej szacie.

Zaśmiał się z całego serca, a twarz jego koloru ziemi przypominała podochoconego płaczka na pogrzebie.

— Widzisz, mój Julianie,—ciągnął poeta — liczę na śmierć wdowy po niesłychanie bogatym Rzymianinie—dzierżawcy. Szczęśliwi spadkobiercy zamówią u mnie epitafium, za które hojnie zapłacą. Całe nieszczęście, że wdowa pomimo starań doktorów i spadkobierców uwzięła się i nie myśli oddawać ducha. Gdyby nie to, już byłbym sobie dawno płaszcz kupił. Ale słuchaj, Julianie, chodź-no ze mną natychmiast.

— Dokąd?

— Spuść się na mnie, będziesz mi wdzięczny.

— Cóż to za tajemnice?

— Nie trać czasu, nie pytaj o nic, wstań i chodźmy. Poeta nie uczyni nic złego druhowi poetów. Ujrzysz boginię.

— Jaką boginię?

— Artemidę Łowczynię.

— Obraz? Posąg?

— Coś lepszego. Jeżeli kochasz piękno, bierz płaszcz i podążaj za mną.

Publiusz mówił to wszystko z miną tak zabawnie tajemniczą, że Juliana zdjęła ciekawość. Wstał więc, obuł się, i poszli.

— Jeden warunek. Nic nie mów i niczemu się nie dziw. Inaczej oczarowanie zniknie. Na Kaliopę i Erato, zawierz mi! Dwa kroki stąd... a żeby ci się droga jeszcze krótszą wydała, odczytam ci początek epitafjum dla mojej dzierżawczyni.

Wyszli na pełen kurzu gościniec.

W pierwszych promykach słońca bronzowa tarcza Minerwy Promachos błyszczała ponad różowym Akropolisem, a koniec jej cienkiej włóczni tlił się w lazurze, jak płonąca świeca. Wzdłuż baryer kamiennych, za któremi śród drzew figowych szemrały strumienie, chrząszcze cykały głośno, idąc o lepsze z ochrypłym głosem natchnionego wieszcza, odczytującego swoje epitafium.

Publiusz Optacyanus Porfiryusz nie był pozbawiony talentu, ale życie złożyło mu się nader dziwnie. Kilkanaście lat temu był właścicielem prześlicznego domku, „istnej świątyni Hermesa," w Konstantynopolu, w pobliżu Chelcedońskiego przedmieścia. Ojciec jego, handlarz oliwy, pozostawił mu niewielką fortunę, pozwalającą na życie bez troski. Ale Publiusz, zwolennik starożytnego helenizmu, oburzał się na to, co nazywał „tryumfem niewolnictwa chrześcijańskiego." Napisał poemat wolnomyślny, który się nie spodobał cesarzowi Konstancyuszowi. Byłby on może nań uwagi nie zwrócił, jako na brednie poetyckie, ale na nieszczęście znajdowała się w nim aluzya do osoby cesarza. To nie mogło ujść bezkarnie. Zemsta spadła na autora: skonfiskowano mu dom i grunta, jego zaś samego wygnano na odludną wyspę Archipelagu, na której nic nie było prócz skał, kóz i febry. Optacyan nie zniósł tej próby, wyklął swoje liberalne poglądy i po-

stanowił za wszelką cenę zmazać swą winę. Trawiony gorączką, podczas bezsennych nocy ułożył na wyspie poemat na cześć cesarza centonami z Wirgiljusza, zestawiając wiersze starodawnego poety w ten sposób, iż powstawał z nich utwór nowy. Ta dowcipna łamigłówka spodobała się u dworu. Publiusz odgadł ducha wieku.

Wtedy wziął się do rzeczy jeszcze bardziej zdumiewających. Napisał dytyramb do Konstancjusza wierszami rozmaitej miary, tworzącymi całe wizerunki, jak oto: flet pastuszy o rurkach wielu, organy hydrauliczne, ołtarz ofiarny, którego dymy wyobrażało kilkanaście króciutkich nierównej długości wierszyków nad ołtarzem. Ale cudem zręczności były wymyślone przezeń poematy kwadratowe z dwudziestu albo czterdziestu heksametrów. Niektóre litery wypisane były czerwonem atramentem i w połączeniu tworzyły wewnątrz kwadratów bądź to monogram Chrystusa, bądź, kwiatek, bądź arabeskę, a jednocześnie składały się na odmienną treść z nowemi pochlebstwami. Wreszcie ostatnie cztery heksametry utworu można było odczytywać na osiemnaście rozmaitych sposobów: od początku, od końcai od środka, z boku, z góry, z dołu i t. d., a z jakiejkolwiek strony odczytywane, zawsze stanowiły pochwałę cesarza.

Biedny poeta o mało nie stracił zmysłów przy tej nadludzkiej pracy. Ale też tryumf jego był zupełny, a Konstancjusz zachwycony. Zdawało mu się, że Optacyan przeszedł wszystkich poetów starożytności; własną ręką napisał do niego list, w którym zapewniał mu względy swoje i kończył, jak następuje: „W naszym wieku łaska moja, niby łagodne zefirów powiewy, dąży za wszystkimi, którzy pisują wiersze.”

Pomimo to nie zwrócono poecie skonfiskowanego majątku, tylko dano mu poprostu trochę pieniędzy, pozwalając opuścić wyspę samotną i zamieszkać w Atenach.

Tutaj pędził żywot niewesoły. Masztalerz stajen cyrkowych żył zbytkownie w porównaniu z Publiuszem.

W towarzystwie garbarzy, kupców-Żydów, organizatorów uczt weselnych, spędzał dni całe w przedsionkach pyszałkowatych i nieoświeconych magnatów, by zdobyć zamówienie na epitalamium, epitafium lub list miłosny. Nie wiele mógł w ten sposób zarobić. Nie tracił jednak otuchy i marzył o ofiarowniu kiedyś cesarzowi jeszcze kunsztowniejszego poematu, który mu całkowite wróci ułaskawienie.

Julian wiedział, że Porfiryusz pomimo swego znikczemnienia żywi w sercu głęboką miłość Hellady. Był on wykwintnym znawcą poezyi greckiej, i Julian chętnie z nim przestwał.

Skręcili z gościńca i podeszli do wysokiej ściany palestry. Dokoła była pustka. Dwa czarne baranki pasły się na trawie. W pobliżu zamkniętej bramy, w której między szczelinami schodków puszczały się maki i żółte dmuchawce, stał wóz zaprzężony w parę koni białych z krótko obciętemi grzywami, jak u koni na płaskorzeźbach. Pilnował ich stary niewolnik z jajowatego kształtu łysą głową, zlekka siwym puszkiem przyprószoną. Był on, jak się okazało, głuchoniemy, ale uprzejmy. Poznał natychmiast Publiusza i przyjaźnie skinął mu głową, wskazując zamkniętą bramę palestry.

— Użycz mi na chwilę twej kieski, — rzekł Publiusz do Juliana — bym mógł wziąć jeden lub dwa denary dla tego starego błazna.

Rzucił mu pieniądz, a kaleka, wykrzywiając się z miną uniżoną i mrucząc z zadowolenia, drzwi przed nimi otworzył.

Wstąpili pod ciemny i długi perystyl. Pomiędzy kolumnami widać było ksystesy—galerje przeznaczone na

ćwiczenia atletów. Ksystesy zamiast piasku pokrywała trawa. Dwaj przyjaciele przeszli pod szeroki portyk wewnętrzny. Ciekawość Juliana wzmogła się od całej tej tajemniczości. Publiusz prowadził go za rękę, nie mówiąc ani słowa.

Pod drugim portykiem były drzwi, prowadzące do egzedry, krytej sali marmurowej, w której niegdyś zgromadzali się mówcy i mędrcy ateńscy. Świst cykad rozlegał się w miejscu, w którem onego czasu rozbrzmiawały słynnych mężów wymowne rozprawy. Śród gęstych, jakby cmentarnych ziół, brzęczały pszczoły. Dokoła panowała cisza i smutek. Nagle, nie wiedzieć skąd, rozległ się głos niewieści, dźwięk dysku, padającego na marmur, i wesoły śmiech.

Skradając się jak złoczyńcy, przeszli pod cień kolumn eleotezyonu, miejsca, na którem zapaśnicy starożytni nacierali sobie ciała oliwą.

Z poza tych kolumn widać było efebeon, plac czworoboczny pod gołem niebem, przeznaczony do gry w piłkę i rzucania dysku. Ten plac był wysypany świeżym widocznie piaskiem.

Julian spojrzał i mimowoli cofnął się wtył.

O dwadzieścia kroków przed nim stała młoda dziewczyna, całkiem naga, z dyskiem w dłoni. Jednem spojrzeniem ogarnął całe jej cudne ciało dziewicze.

Uczynił szybkie poruszenie w zamiarze odejścia, ale w dobrodusznem spojrzeniu Publiusza i w jego twarzy bladej i wynędzniałej dojrzał tyle czci i zachwytu, że zrozumiał, iż ten wielbiciel Hellady bez żadnej grzesznej myśli sprowadził go tutaj. Entuzyazm jego był święty.

Publiusz, sciskając dłoń Juliana, szepnął:

— Patrz! Nie jesteśmyż w tej chwili o dziesięć wieków wstecz w starożytnej Lakonii? Czy pamiętasz wiersze Propercyusza: Ludi Laconum?

I cichym, natchnionym głosem deklamować zaczął:

Multa tuae, Sparte, miramur jura palestrae.
Sed mage virginei tot bona gymnasii,
Quod non infames exerceret corpore ludos,
Inter lacutantes nuda puella viros!

„Sparto! Wiele praw twojej palestry, zachwyca nas ale przedewszystkiem te doskonałe gimnazya dziewczęca, gdzie śród zapaśników mężów nagie dziewoje bez hańby sprawiały igrzyska.”

— Kto to?—zapytał Julian.

— Nie wiem, nie starałem się dowiedzieć...

— To dobrze. Zamilcz.

I począł chciwie wpatrywać się w ciskającą dyskos, bez zawstydzenia, czując, że rumienić się byłoby niegodnem filozofa.

Ona zaś odstąpiła parę kroków, nachyliła się, wystawiając naprzód lewą nożkę, wysunęła w tył prawą rękę z dyskiem i silnym rzutem całego ciała cisnęła krążek metalowy tak wysoko, że zamigotał we wschodzącem słońcu i opadając uderzył o podnóże najdalszej kolumny. Julianowi się zdało, że patrzy na starożytny posąg Fidyasza.

— To był najlepszy rzut — ozwała się dziewczyna dwunastoletnia w błyszczącej tunice, stojąca w pobliżu kolumny.

— Podaj mi dyskos, Myrro!—odpowiedziała grająca. Zobaczysz, że potrafię rzucić jeszcze wyżej. Odsuń się, Meroe, żebym cię nie zraniła, jak Apollo Hiacynta...

Meroe, stara niewolnica, Egipcyanka, jak można było sądzić z jej szat różnobarwnych i smagłej twarzy, przygotowywała w amforach alabastrowych wonność do kąpieli. Julian pojął, że głuchoniemy i wóz z parą białych koni należeć musiał do tych dwóch zwolenniczek gier lakońskich.

Skończywszy rzucanie dysku, dziewczyna wzięła z rąk bladej czarnookiej Myrry wygięty łuk i kołczan, z którego wydobyła długą nasadzaną piórami strzałę. Zmierzyła do czarnego koła, oznaczającego cel na przeciwnym końcu efebconu. Drgnęła cięciwa. Wypadła strzała świszcząca i utkwiła w celu, za nią druga i trzecia.

— Artemida Łowczymi! — z westchnieniem rzekł Optacyan.

Nagle delikatny różowy promień wschodzącego słońca, przedarłszy się między dwiema kolumnami, ugodził w lica i drobne młodzieńcze prawie piersi dziewczyny.

Jaskółki z krzykiem krążyły nad palestrą, pławiąc się w błękicie niebios.

Odsłoniła twarz i splotła dłonie z tyłu głowy.

Jej włosy płowe, mieniące się złotem, jak miód żółty na słońcu, czerwieniały u korzeni. Roztworzyła napoły usta w uśmiechu dziecinnej radości, a słońce ślizgało się po jej ciele coraz niżej a niżej. I tak stała czysta, strojna w światło i piękność, jak w najskromniejsze szaty.

— Myrro—szeptała zwolna dziowczyna rozmarzonym tonem.—Spojrzyj na niebo: chciałoby się rzucić i pogrążyć w niem z krzykiem, jak te jaskółki. Pamiętasz, mówiłyśmy niegdyś, że ludzie nie mogą być szczęśliwi, ponieważ nie mają skrzydeł. Zazdroszczę ptakom, gdy patrzę na nie. Gdybyż tak być lekką i całkiem nagą, jak ja w tej chwili i bujać wysoko, bardzo wysoko w niebie, i czuć, że to na zawsze, że już nie będzie i nie może być nic innego prócz nieba i słońca dokoła lekkiego, wolnego i nagiego ciała!

Wyprostowana, ze wzniesionemi rękami, westchnęła smutno, jak gdyby z żalu po czemś, co uleciało na zawsze.

Słońce, zniżając się coraz bardziej, dosięgnęło jej bioder palącą już pieszczotą. Wtedy dziewczyna zadrżała

i zasromała się, jakby pod pożądliwem dotknięciem żywej i namiętnej istoty, zakrywając jedną dłonią piersi, a drugą biodra nieśmiertelnym giestem wstydliwości Afrodyty z Knidos.

— Prędzej, Meroe, dawaj ubranie, Meroe!—zawołała, oglądając się naokół oczyma pełnemi przestrachu.

Julian nie pamiętał, w jaki sposób wydostał się z palestry. Serce mu wrzało. Oblicze poety było uroczyste i pełne smutku, jak u człowieka, wychodzącego ze świątyni.

— Nie gniewasz się?—zapytał Juliana.

— O, nie! Za cóż?

— Dla chrześcjanina może to było zgorszeniem?

— Nie było żadnego zgorszenia. Czy ty nie rozumiesz tego?

— Owszem, owszem... I ja tak myślałem.

Znaleźli się znowu na znojnym a pełnym kurzawy gościńcu i skierowali się do Aten.

Optacyusz ciągnął zcicha, mówiąc sam do siebie:

— O, jacyż my dzisiaj wstydliwi a szpetni! Wstyd nam posępnej i nędznej nagości naszej, i ukrywamy ją, wiedząc, żeśmy wstrętni i brudni. A niegdyś... Był czas, gdy wszystko działo się inaczej. Julianie! Młode Spartanki nagie i dumne wchodziły do palestry wobec ludu całego. I nikt nie obawiał się zgorszenia. Czyści przyglądali się czystym, wszyscy byli jak dzieci, jak bogowie. I pomyśleć, że to już nie wróci, że nie odrodzi się już na ziemi ta wolność, ta czystość, to rozradowanie z życia! Już nigdy!

Spuścił głowę na piersi i westchnął ciężko.

Przyjaciele doszli do ulicy Trójnogów i niedaleko od Akropolu rozstali się w milczeniu.

Julian pogrążył się w cieniu Propilejów, minął Stoa Poichyle z obrazkami Parrazyusza, wystawiającymi bitwy pod Maratonem i Salaminą, następnie małą świątynię Bezskrzydłego Zwycięstwa i zbliżył się do Partenonu.

Dość mu było zmrużyć oczy, by wywołać obraz cudnego nagiego ciała Artemidy Łowczyni. Gdy je znowu otworzył, marmury Partenonu w słońcu wydały mu się żywymi i złocistymi, jak ciało bogini. I uczuł chęć wobec wszystkich, gardząc grożącą śmiercią, objąć ten marmur ciepły, ogrzany słońcem, i ucałować go, jako świętość.

O parę kroków od niego stali w ciemnej odzieży, o bladych i surowych twarzach dwaj młodzieńcy, Grzegorz Nazyanzeński i Bazyli z Cezarei. Helleni obawiali się ich, jako swych najzawziętszych wrogów, a chrześcijanie mieli nadzieję, iż ci dwaj przyjaciele zostaną z czasem Ojcami Kościoła.

Patrzali oni na Juliana.

— Co się z nim dzieje dzisiaj?—mówił Grzegorz.

— Jaki z niego zakonnik? Co to za ruchy! Jak przymyka oczy! Co za uśmiech! Czy ty wierzysz w jego pobożność, Bazyli?

— Sam widziałem, jak płakał i modlił się w kościele.

— To obłuda!

— Pocóż w takim razie chodzi do nas, zabiega o naszą przyjaźń, dysputuje o Piśmie?

— Drwi z nas, albo uwieść pragnie. Nie dowierzaj mu! To kusiciel! Zapamiętaj to sobie, bracie: wielkie nieszczęście hoduje sobie cesarstwo Rzymskie w tym młodzieńcu! To wróg!

Przyjaciele oddalili się ze spuszczonemi oczyma. Ani poważne dziewice karyatydy Erechtejonu, ani uśmiechnięta śród lazurów biała świątynia Nike Apteros, ani Propileje,

ani cud świata Partenon nie miały dla nich powabu. Oblicza mieli posępne, a w duszach ich nie postało inne życzenie, tylko żeby zburzyć wszystkie te jaskinie złych duchów. Na stopnie Partenonu słońce rzucało od tych dwu mnichów długie czarne cienie.

— Muszę ją zobaczyć — myślał Julian.—Muszę się dowiedzieć, kim jest ona!

XIII.

— Bogowie na to zesłali na ziemię śmiertelników, ażeby mówili wytwornie.

— Cudnie to powiedziałeś, Mamertynie!.. Powtórz, póki jeszcze pamiętasz. Zapiszę to do innych twoich apoftegmatów!—mówił do Mamertyna, wziętego obrońcy ateńskiego, przyjaciel i zapalony wielbiciel, nauczyciel krasomówstwa Lamprydyusz, wyciągając z kieszeni tabliczki i zaostrzony pręcik stalowy.

— Powiedziałem...—zaczął znowu Mamertyn, strojąc twarz w uśmiech kokieteryjny, — powiedziałem: ludzie zesłani zostali przez bogów...

— Ależ nie, nie tak, Mamertynie!—przerwał Lamprydyusz.—Powiedziałeś lepiej: „Bogowie na to zesłali śmiertelników..."

— A, tak! Bogowie na to jedynie zesłali na ziemię śmiertelników, ażeby mówili wytwornie.

— Dodałeś teraz „jedynie" — tak jeszcze lepiej. „Na to jedynie..."

I zachwycony Lamprydyusz zapisywał słowa obrońcy, jak zdanie wyroczni.

Działo się to podczas przyjacielskiej biesiady literackiej, którą wyprawiał czcigodny senator rzymski Hor-

tensyusz w willi swojej młodej i bogatej pupilki Arsinoe w pobliżu Pireju.

Mamertyn tego dnia właśnie wypowiedział znakomitą mowę w obronie bankiera Barnabasa. Dla nikogo nie stanowiło wątpliwości, że Żyd Barnabas był łotrem, jednakże, nie mówiąc już o nieprzepartej elokwencyi, obrońca jego posiadał głos taki, iż jedna z niezliczonych jego wielbicielek zapewniała:

— Nie słucham nigdy słów Mamertyna, nie chcę wiedzieć, co mówi, ani o kim. Upajam się dźwiękiem jego głosu, zwłaszcza, gdy mu zamiera na końcu okresów. Nie do pojęcia! Nie jest to już głos ludzki, ale nektar boski, westchnienie arfy Eola!

Więc chociaż ludzie prości i nieoświeceni nazywali lichwiarza Barnabasa „krwiożercą, pożeraczem mienia wdów i sierot," sędziowie ateńscy — rozumie się—z zapałem uniewinnili klienta Mamertyna.

Adwokat, otrzymawszy od Żyda piętnaście tysięcy sestercyi, czuł się w doskonałym humorze podczas uczty, którą Hortensyusz na jego cześć wydawał. Zazwyczaj wszakże udawał cierpiącego, ażeby go wciąż otaczano pieczołowitością.

— Ach, jakiż jestem zmęczony dzisiaj, przyjaciele!— szeptał żałośnie.—Poprostu jestem chory. Ale gdzie to Arsinoe?

— Zaraz nadejdzie. Arsinoe otrzymała przed chwilą z Muzeum Aleksandryjskiego nowy przyrząd fizyczny, który ją zajął niezmiernie. Ale natychmiast każę ją przywołać—ofiarował się Hortensyusz.

— Nie trzeba — odparł niedbale adwokat.—Ale jakie to dziwactwo! Młoda dziewczyna — i fizyka!.. Cóż może być między niemi wspólnego?.. Już Arystofanes i Eurypides karcili słusznie kobiety uczone... Twoja Arsi-

noe ma dużo kaprysów, Hortensyuszu!.. Zaiste, gdyby nie była tak powabna, to z tem swojem rzeźbiarstwem i matematyką wydawałaby się...

Urwał i rzucił spojrzenie ku otwartemu oknu.

— Cóż robić—odparł Hortensyusz:—to dziecko rozpieszczone, sierota bez ojca i matki. Jestem tylko jej opiekunem i nie chcę jej krępować w niczem...

— Zapewne... zapewne...

Adwokat już nie słuchał, zajęty własną osobą.

— Przyjaciele... czuję...

— Co? co takiego? — zapytało z niepokojem kilku obecnych.

— Czuję... zdaje mi się... przeciąg...

— Zamkniemy okienice—zapronował amfitryon.

— Nie, nie, jeszcze się podusimy. Ale tak zmęczyłem sobie głos dzisiaj!.. Pojutrze mam znowu wypowiedzieć obronę... Dajcie mi dywan pod nogi i mój szal; boję się zaziębić śród chłodu nocy.

Hefestyon, ów młody uczeń Lamprydyusza, który mieszkał z Optacyanem, i sam Lamprydyusz skoczyli po szal Mamertyna.

Był to pięknie wyszywany pas białej kosmatej materyi wełnianej, z którym adwokat nigdy się nie rozstawał, owijając nim drogocenne gardło za najmniejszą obawą przeziębienia.

Mamertyn dbał o siebie, jak kochanek o rozpieszczoną kobietę. Wszyscy się już z tem oswoili. Kochał swoją osobę z takim naiwnym wdziękiem, z taką wzruszającą tkliwością, że mimowoli zniewalał otoczenie do postępowania z nim tak samo.

— Ten szal wyhaftowała dla mnie matrona Fabiola zwierzał się z uśmiechem.

— Żona senatora?—zapytał Hortensyusz.

— Tak jest. Opowiem wam o niej anegdotę. Pewnego razu napisałem liścik niewielki, — dosyć wytworny, to prawda, ale bagatelkę: pięć wierszy po grecku do pewnej damy, także mojej wielbicielki, która mi przysłała kosz wyśmienitych wiśni. Dziękowałem jej za nie żartobliwie w stylu Pliniusza. Tymczasem, wyobraźcie sobie, przyjaciele, Fabiola uczuła taką gwałtowną chęć przeczytania mojego listu i przepisania go do swej kolekcyi, że nasadziła dwóch niewolników, ażeby czatowali na mojego posłańca. Ten, zaskoczony nocą w miejscu ustronnem, mniema, że to rozbójnicy; nie czynią mu jednak nic złego, obdarzają go pieniędzmi i nie zabierają mu nic oprócz mojego listu, który Fabiola tym sposobem odczytała pierwsza i nawet nauczyła się na pamięć!

— A jakże! Wiem, wiem!.. O, to znakomita kobieta!—podjął Lamprydyusz.—Sam widziałem u niej wszystkie twoje listy, przechowywane w rzeźbionej szkatułce z drzewa cytrynowego, jako istne klejnoty. Uczy się ich na pamięć i zapewnia, że są wyższe nad wszelkie poezye! Fabiola, mojem zdaniem, rozumuje słusznie: „Jeżeli Aleksander Wielki mógł wozić poematy Homera w skrzyni cedrowej, dlaczego ja nie miałabym przechowywać listów Mamertyna w kosztownej szkatułce?"

— Przyjaciele, ta wątróbka gęsia z sosem szafranowym jest szczytem doskonałości! Radzę wam spróbować. Kto ją przyrządzał, Hortensyuszu?

— Mój główny kucharz, Dedalos?

— Chwała mu! To prawdziwy poeta!

— Za daleko dajesz się unosić gęsiej wątróbce, drogi Gargilianie! Jak można kucharza nazywać poetą!— z pedantycznym uśmiechem wyraził wątpliwość mistrz krasomówstwa. — Czy nie obrażasz tem powiedzeniem Muz boskich, opiekunek naszych?

— Muzom to pochlebiać powinno, Lamprydyuszu. Utrzymuję i zawsze utrzymywać będę, że gastronomia jest sztuką równie wzniosłą, jak wszelkie inne. Czas pozbyć się przesądów!

Gargilian, urzędnik kancelaryi prefekta, był człowiekiem tęgim, dobrej tuszy, z potrójnym podbródkiem, starannie wygolonym i wyperfumowanym, ze szpakowatą, nizko ostrzyżoną czupryną, świecącą różowemi fałdami tłuszczu, o rozumnej i dobry ród znamionującej twarzy. Od wielu lat uważano go za niezbędnego współbiesiadnika na każdem wykwintnem zebraniu literackiem w Atenach.

Dwie tylko rzeczy ukochał w życiu Gargilian: dobry stół i dobry styl. Gastronomia i literatura zlewały się dla niego w jedno źródło rozkoszy.

— Biorę, dajmy na to, ostrygę...—perorował, zbliżając do ust ślimaka w ładnych, tłustych palcach, przyozdobionych w olbrzymie ametysty i rubiny:—biorę ostrygę i połykam ją...

Jakoż połknął w samej rzeczy, przymrużając oczy i mlaskając górną wargą. Warga ta miała szczególny jakiś wyraz żarłoczny, a nawet nieco drapieżny. Wystająca, zwężająca się ku środkowi, dziwacznie powyginana, przypominała trochę nieukształtowaną trąbę słonia. Rozkoszując się dźwięcznymi wierszami Anakreonta lub Moschosa, Gargilian cmoktał tą wargą z równą zmysłowością, jak gdy kosztował przy wieczerzy sosu z języków słowiczych.

— Połykam... i w tej samej chwili czuję,—ciągnął poważnie Gargilian — że ostryga pochodzi z brzegów Brytanji, nie zaś z Ostyi albo Tarentu. Chcecie, to z zamkniętemi oczyma odgadnę, z jakiego morza ryba pochodzi?

— Ale gdzie w tem wszystkiem widzisz poezyę?— przerwał niecierpliwie Mamertyn, który nie lubił, żeby kto inny prócz niego zwracał na siebie uwagę słuchaczów.

— Wyobraźcie sobie, przyjaciele,—ciągnął niezmieszany gastronom — że od dawnego czasu nie byłem na brzegach oceanu, który kocham i do którego stale tęsknię. Zapewniam was, że dobra ostryga tyle ma słonej i świeżej woni morza, iż dosyć jest ją połknąć, ażeby się poczuć na brzegach oceanu. Zamykam oczy i widzę fale, widzę skały, czuję powiew „zamglonego morza," jak się wyraził Homer. Powiedzcież mi teraz szczerze, który wiersz Odysei jest w stanie rozbudzić we mnie z taką dokładnością całą poezyę morza, jak zapach świeżej ostrygi? Albo rozcinam brzoskwinię i kosztuję wonnego jej soku. Powiedzcież mi, dlaczego woń fijołka lub róży ma być poetyczniejsza od smaku brzoskwini? Poeci opisują kształty, barwy, dźwięki; dlaczegóż smak tylko miałby mniej być doskonałym? To przesądy, moi drodzy. Smak jest najważniejszym i dotychczas niedocenianym darem bogów. Połączenie smaków tworzy równie wzniosłą i subtelną harmonię, jak i zbiór tonów. Pewien jestem, że istnieje dziesiąta Muza: Muza Gastronomii.

— Ostatecznie zgoda na ostrygi i brzoskwinie, ale jaką harmonię, albo też jaki wdzięk można odkryć w wątróbce gęsiej z sosem szafranowym?

— Wszakże znajdujesz wdzięk, Lamprydyuszu, nietylko w idylach Teokryta, lecz i w najrubaszniejszych komedyach Plauta?

— W istocie.

— Otóż i dla mnie, moi drodzy, istnieje odrębna poezya gastronomiczna nawet i w gęsiej wątróbce. I naprawdę gotów jestem za nią uwieńczyć laurem Dedala tak samo, jak Pindara za odę olimpijską.

Na progu ukazali się dwaj nowi goście zaproszeni: Julian i poeta Publiusz. Hortensyusz ustąpił zaszczytnego miejsca Julianowi. Publiusz pożerał głodnemi oczyma

niezliczone smaczne potrawy. Poeta był w nowej, zastosowanej do swego wzrostu chlamidzie. Widocznie bogata dzierżawczyni musiała zejść z tego świata, szczęśliwi zaś spadkobiercy nie pożałowali pieniędzy na epitafium.

Rozmowa toczyła się dalej.

Lamprydyusz opowiadał, jak pewnego razu w Rzymie zaszedł był z ciekawości posłuchać pewnego kaznodziei chrześcijańskiego, który ciskał piorunami na pogańskich „gramatyków.” Gramatycy, jak utrzymywał kaznodzieja, szacują ludzi nie według ich cnoty, lecz według piękności stylu. Zdaniem ich, mniejszą stanowi zbrodnię zabójstwo człowieka, niż wymawianie wyrazu *homo* z wadliwym przydechem. Lamprydyusza oburzyły te wycieczki. Zapewniał on, że mówcy chrześcijańscy dlatego nienawidzą tak bardzo dobrego stylu retorów, że wiedzą o tem, iż sami posiadają styl barbarzyński. Zaprzepaszczają oni wymowę starodawną i nieuctwo mieszają z cnotą. Dla nich każdy mówiący poprawnie staje się podejrzanym. Lamprydyusz jest przekonany, że w dniu, w którym zginie krasomówstwo, przepadnie Hellada i Roma, ludzie przestoczą się w nieme zwierzęta, a kaznodzieje chrześcijańscy, wprowadzając styl barbarzyński, robią wszystko, ażeby tę klęskę ludzkości przyśpieszyć.

— Kto wie,—szepnął zamyślony Mamertyn—czy styl nie jest ważniejszy od cnoty, bo przecie cnotliwymi mogą być nawet niewolnicy, barbarzyńcy i głupcy!

Hefestyon rozmawiał ze swym sąsiadem, Juniuszem Mauricusem, tłómacząc mu właściwe znaczenie rady Cycerona: „Causam mendaciunculis adspergere.”

— Mendaciuncula—to znaczy: drobne kłamstwa. Cycero pozwala, a nawet zaleca przeplatać rozprawę niewielkiemi zmyśleniami—mendaciunculis. Dopuszcza kłamstwa, jeżeli ono upięknia styl mówcy.

Wtedy wszczął się ogólny gorący spór o to, jak należy rozpoczynać mowę: od auapestu, czy od daktylu.

Julian się nudził.

Wszyscy zwrócili się do niego o zdanie co do anapestów i daktylów. Wyznał więc otwarcie, że o tem nigdy nie myślał i że, według jego zdania, mówca o wiele bardziej troszczyć się powinien o rozumną treść mowy, niż o podobne zewnętrzne drobiazgi stylu.

Oburzyli się na to Mamertyn, Lamprydyusz i Hefestyon, utrzymując, że treść rozprawy ma błahe znaczenie; mówcy powinno być obojętnem, czy przemawia za, czy przeciw. Nietylko o sens chodzi niewiele, ale nawet połączenie wyrazów ma wartość podrzędną; rzecz główna— to brzmienie, melodya, nowy harmonijny układ głosek, który powinien być taki, żeby nawet barbarzyńca, nie znający języka greckiego, mógł odczuć całą piękność mowy.

— Przytoczę wam jako przykład dwa wiersze łacińskie Propercyusza—rzekł Gargilian.—Przekonacie się o potędze dźwięków w poezyi, a nicości sensu. Posłuchajcie:

— Et Veneris dominae volucres, mea turba, columbae,
Tinguunt Gorgoneo punica rostra lacu...

Zachwycające! Każda litera śpiewa. Co mnie obchodzi sens? Całe piękno polega na brzmieniu, na kojarzeniu samogłosek i spółgłosek. Za to brzmienie oddam odwagę cywilną Juvenala i filozofię Lukrecyusza. Zwróćcie tylko uwagę, ile wdzięku w tym szepcie:

„Et Veneris dominae volucres, mea turba, columbae!..”

Cmoknął górną wargą w upojeniu zmysłowem.

Wszyscy powtarzać zaczęli wiersze Propercyusza, nie mogąc się nasycić ich urokiem. Oczy im płonęły; podniecali się wzajemnie do orgii literackiej.

— Posłuchajcie tylko — szeptał Mamertyn miękkim, omdlewającym głosem, przypominającym arfę Eola:

— „Tinguunt Gorgoneo...”

— „Tinguunt Gorgoneo!..—podchwytywał urzędnik prefektury.—Na Palladę! nawet w podniebieniu czuć przyjemność. Jakbyś połykał haust ciepłego wina, zmieszanego z miodem atyckim!

— „Tinguunt Gorgoneo...”

— Zwróćcie uwagę na szereg tych *g*—to gruchanie synogarlicy. A dalej:

„...punica rostra lacu...”

— Zadziwiające! niezrównane!—mruczał Lamprydyusz, z rozkoszą przymykając oczy.

Julian wstydził się trochę i śmiał zarazem z tego upojenia dźwiękami.

— Trzeba, żeby słowa były nieco ogołocone z sensu— zadecydował poważnie Lamprydyusz. — Trzeba, żeby płynęły, szemrały, nuciły, nie zadraskując słuchu ani serca: wtedy tylko można do gruntu napawać się ich pięknością.

Na progu drzwi, z których Julian nie spuszczał oka, widocznie oczekując kogoś, bez szmeru, niepostrzeżenie dla nikogo zjawiła się, jak cień, postać biała i kształtna. Przez otwarte okienice wpadało czyste światło miesięczne, zlewając się z czerwonym blaskiem świeczników na mozaikach błyszczącej jak zwierciadło posadzki i na freskach ściennych, które wyobrażały Endymiona, zasypiającego pod pieszczotami Seleny.

Białe zjawisko stało nieruchomo, jak statua. Starodawne greckie peplum z miękkiej wełny białej opadało długiemi draperyami, przytrzymywane pod piersią cienką przepaską. Peplum oświetlał księżyc; twarz pozostawała w cieniu. Nowoprzybyła wpatrywała się w Juliana, Julian w nią się wpatrywał. Uśmiechali się do siebie, wie-

dząc, że tego nikt nie spotrzeże. Z palcem na ustach słuchała rozmowy współbiesiadników.

Nagle Mamertyn, toczący z Lamprydyuszem ożywioną rozmowę o właściwościach gramatycznych pierwszego i drugiego aorystu, zawołał:

— Arsinoe! Nareszcie! Zdecydowałaś się zatem porzucić dla nas fizykę i posągi?

Wtedy weszła, witając wszystkich uśmiechem.

Była to ta sama dziewczyna, grająca w dyskos, którą Julian widział przed miesiącem w opuszczonej palestrze. Poeta Publiusz, znający wszystkich i wszystko w Atenach, postarał się o przyjęcie u Hortensyusza i Arsinoi, a następnie wprowadził do ich domu Juliana.

Ojciec Arsinoi, stary senator rzymski Helwidyusz Pryskus, zmarł za ostatnich lat panowania Konstantyna Wielkiego. Dwie córki swoje z niewolnicy germańskiej, Arsinoę i Mirrę, umierając, oddał w opiekę staremu przyjacielowi Hortensyuszowi, którego szanował za miłość Rzymu starożytnego i nienawiść względem chrześcijaństwa. Pewien dalszy krewny Arsinoi, właściciel bogatych fabryk purpury w Sydonie, zapisał dziewczynie ogromny swój majątek. Arsinoe miała mnóstwo wielbicieli. Ze sposobu ubierania się, czesania i z nieposzlakowanej prostoty w obejściu można ją było wziąć za prawdziwą dawnego typu Greczynkę, jakich niewiele już pozostało. Ale w nieregularnych rysach twarzy znać było nową krew germańską.

Zarówno cnoty chrześcijańskie, jak i patryarchalne obyczaje rzymskie były nienawistne dla Arsinoi; natomiast postacie kobiet niezależnych, jak Aspazya, Kleopatra i Safo, panowały w jej myślach od dzieciństwa. Mając lat siedemnaście, oznajmiła raz naiwnie, ku głębokiemu zdumieniu Hortensyusza, że wolałaby raczej zostać piękną i wolną heterą, niż przeistoczyć się w matkę

rodziny, niewolnicę męża swego, „jak wszystkie.” Te dwa słowa „jak wszystkie” przejmowały ją smutkiem i odrazą.

W pewnej chwili Arsinoe uczuła pociąg do historyi naturalnej i pracowała wytrwale ze sławnymi uczonymi w Muzeum Aleksandryjskiem. Teorye atomistyczne Epikura, Demokryta i Lukrecyusza pociągały ją; ukochała naukę, która wyzwalała jej duszę z „bojaźni bogów.”

Z taką samą gorączkową, mającą coś chorobliwego w sobie namiętnością oddała się następnie rzeźbiarstwu i przybyła umyślnie do Aten studyować najpiękniejsze wzory Fidyasza, Skopasa i Praksytelesa.

— Wiecznie o gramatyce? — zwróciła się ironicznie do biesiadników córka Helwidyusza Pryskusa, wchodząc do sali.—Nie krępujcie się, ciągnijcie dalej. Spierać się nie będę: jeść mi się chce po całym dniu pracy. Nalej mi wina, pacholę!

— Przyjaciele,—ciągnęła, siadając, Arsinoe — nieszczęśliwymi was czynią te wszystkie cytaty z Demostenesa i reguły Kwintyliana. Strzeżcie się. Retoryka was zgubi. Chciałabym nareszcie zobaczyć człowieka, który nie dba o Homera ani o Cycerona, który mówi nie myśląc o przydecbach, składni i łączeniu głosek. Julianie, pójdziemy po kolacyi na brzeg morza; nie chcę słuchać dzisiaj rozpraw o daktylach i anapestach.

— Odgadłaś myśl moją, Arsinoe—wyjąkał Gargilian, który nadużył gęsiej wątróbki z sosem szafranowym i, jak zwykle pod koniec wieczerzy, zaczynał uczuwać wstręt do literatury, w miarę jak mu się obciążał żołądek.

— Litterarum intemperantia laboramus, jak mówił nauczyciel Nerona, sprytny Seneka. To nasze nieszczęście. Cierpimy na niepowściągliwość literacką. Sami się zatruwamy.

I wpadłszy w zamyślenie, wyciągnął wykłówaczkę z drzewa pistacyowego, a na rozumnej, pełnej twarzy jego odmalował się niesmak i znużenie.

XIV

Zeszli aleją cyprysową na brzeg morza, na którem smuga światła księżycowego srebrzyła się aż do nieboskłonu. Słychać było fale, rozbijające się o kredowe wybrzeże. Stała tam półokrągła ławka. Ponad nią Artemida Łowczyni w krótkiej tunice, z półksiężycem we włosach, kołczanem na plecech i dwoma chartami u stóp, w świetle miesięcznem wyglądała jak żywa.

Usiedli.

Arsinoe wskazała Julianowi wzgórze Akropolu z zaledwie dostrzegalnemi kolumnami Partenonu, wznawiając rozmowę, którą już nieraz toczyli z sobą poprzednio.

— Patrz, jakie to piękne! I tybyś to wszystko zburzyć chciał, Julianie?

Milczał, spuściwszy oczy.

— Dużo myślałem o tem, coś mi ostatnim razem opowiadał o waszej pokorze — ciągnęła zcicha Arsinoe.

— Aleksander, syn Filipa, czyż był pokorny? A jednak, czy nie jest wspaniały i piękny?

Julian milczał.

— A Brutus, Brutus, zabójca Juliusza Cezara! Gdyby Brutus podstawił był lewy policzek, gdy go uderzono w prawy, czy sądzisz, że byłby przez to wznioślejszy? A może wy, Galilejczycy, uważacie go za zbrodniarza? Dlaczego mi się chwilami wydaje, Julianie, że jesteś obłudnikiem i że te czarne szaty tobie nie przystały?

Zwróciła nagle ku niemu twarz, oświetloną blaskiem księżyca, i przenikliwie spojrzała mu w oczy.

— Czego żądasz, Arsinoe? — wyszeptał Julian, blednąc.

— Żądam, abyś otwarcie został wrogiem moim! — zawołała namiętnie dziewczyna.—Nie możesz tak mnie wyminąć, nie powiedziawszy, kim jesteś. Ileż razy myślałam, że byłoby lepiej, gdyby Ateny i Rzym leżały w gruzach! Lepiej spalić trupa, niż go zostawiać niepogrzebanego. Bo wszyscy ci nasi przyjaciele, ci gramatycy, retorowie, poeci, panegirycy cesarscy — to ciało Grecyi i Rzymu w rozkładzie. Strach patrzeć na nich, jak na umarłych. O, możecie tryumfować, Galilejczycy! Wkrótce nic już nie będzie na ziemi prócz trupów i ruin. A ty, Julianie... Ale nie! To być nie może! Nie uwierzę, byś ty był z nimi przeciwko Helladzie—i przeciwko mnie!..

Julian stał przed nią blady i milczący. Chciał odejść—wstrzymała go za rękę.

— Wyznaj mi, wyznaj, że jesteś wrogiem moim!— zawołała rozdzierająco błagalnym głosem.

— Arsinoe! Dlaczego?..

— Mów wszystko! Chcę wiedzieć. Czyż nie czujesz, jak jesteśmy sobie blizcy?.. A może ty się boisz?..

— Za dwa dni opuszczam Ateny—szepnął Julian.— Daruj...

— Po co?.. Dokąd się udajesz?

— Cesarz mnie wzywa na dwór... po śmierć zapewne. Wydaje mi się, że cię widzę po raz ostatni...

— Julianie, wszak ty nie wierzysz w Niego? — zawołała Arsinoe, usiłując pochwycić wzrok mnicha.

— Ciszej... ciszej!..

Zerwał się z ławki i, stąpając ostrożnie, obejrzał się na wszystkie strony, badając zalaną światłem księży-

ca dróżkę, czarne cienie krzewów, nawet morze, jak gdyby się obawiał, że wszędzie mogą się ukrywać szpiegowie cesarscy.

Powrócił nareszcie i usiadł, jeszcze nie całkiem uspokojony. Oparłszy się dłonią o marmur, przysunął swe usta do ucha Arsinoi tak blizko, że czuła jego oddech gorący, i pospiesznie szeptać zaczął:

— Miałbym wierzyć w Niego!.. Posłuchaj, dziewczyno, chcę ci powiedzieć to, czego dotychczas sam sobie mówić nie śmiałem. Nienawidzę Galilejczyka!.. Ale kłamałem zawsze, od chwili, jaką zapamiętać mogę. Kłamstwo przenikło mi duszę, przylgnęło do niej, jak ten ubiór czarny do mego ciała. Pamiętasz zatrutą tunikę centaura Nessosa? Herakles zdzierał ją ze strzępami własnego ciała, a jednak go zadusiła. I ja także się uduszę w tym fałszu galilejskim.

Z bolesnym wysiłkiem wymawiał każdy wyraz. Arsinoe spojrzała na niego. Nie poznawała go, tak mu się zmieniła twarz pod wpływem cierpienia i nienawiści.

— Uspokój się, — szepnęła—wypowiedz mi wszystko; ja potrafię cię zrozumieć lepiej, niż ktokolwiek.

— Chciałbym mówić, ale nie potrafię—sarknął Julian.—Zbyt długo milczałem. Widzisz, Arsinoe, kto się dostanie w ich ręce—ten przypadał! Ci mędrkowie pokory tak go wykoszlawią, tak go wyćwiczą w kłamstwie i pełzaniu, że już mu potem niepodobna wyprostować się i podnieść głowy!..

Krew nabiegła mu do twarzy, na czole żyły nabrzmiały. Z zaciśniętymi w bezsilnej wściekłości zębami szeptał dalej:

— To nikczemność, prawdziwa galilejska nikczemność—nienawidzieć swego wroga tak, jak ja nienawidzę Konstancyusza, a jednak przebaczać mu, czołgać mu się u nóg

jak gadzina, ze zwykłą uniżonością chrześcijańską, i wypraszać sobie, jako łaskę: „Jeszcze rok, daruj rok jeszcze niewolnikowi twemu, ubogiemu duchem słudze twemu, mnichowi Julianowi, a potem niech się dzieje wola twoja i twoich kastratów-doradców, najbogojniejszy!..” Co za upodlenie!..

— Nie, Julianie!—zaprzeczyła Arsinoe.—Ty zwyciężysz! Kłamstwo stanowi twą siłę... Przypomnij sobie bajkę Ezopa o ośle we lwiej skórze. Tutaj mamy na odwrót wszystko: lew ukrywa się pod skórą osła, bohater pod habitem mnicha!..

Zaśmiała się.

— O, jakże się ci głupcy przerażą, gdy niespodzianie ukażesz im lwie pazury! Ileż będzie radości! I jaka zgroza! Mów! wszakże pragniesz władzy?

— Władzy! — zawołał Julian, klasnąwszy w dłonie: upajał się brzmieniem tego słowa, pełną piersią wdychając świeże powietrze nocy. — Władzy! O! Gdyby rok tylko, parę miesięcy, dni kilka mieć władzę, a pokazałbym wszystkim tym pokornym, pełzającym i jadowitym tworom, którzy się mianują chrześcijanami, co znaczą mądre słowa Nauczyciela: „Co cesarskiego — cesarzowi!“ Klnę się na boga Słońca, że musieliby mi oddać co jest cesarskiego, gdybym był cesarzem!..

Wzniósł czoło, oczy płonęły mu dumą i zawziętością, rozjaśniona twarz odmłodniała. Arsinoe podziwiała go uśmiechnięta. Ale po chwili znowu spuścił głowę, padł na ławkę, obejrzał się bojaźliwie i, krzyżując mimowoli ręce na piersiach, według zwyczaju mnichów, wyjąkał:

— Nie, nie... po co się łudzić?.. Tego nigdy nie będzie. Zginę. Gniew mnie zdławi. Posłuchaj: co noc, po dniu spędzonym na klęczkach w kościołach, w zgiętej

przed relikwiami postawię, powracam do domu złamany, znużony, rzucam się na łoże i szlocham, gryząc poduszki, aby nie krzyczeć z bólu i wściekłości. O, ty nie wiesz jeszcze, Arsinoe, co to jest okropność i zgnilizna galilejczyków, od których konam przez lat dwadzieścia, nie mogąc umrzeć, bo my, chrześcijanie, mamy uparte życie, jak węże, które się zrastają nawet po rozcięciu! Zrazu szukałem ukojenia w cnocie teurgów i mędrców. Daremnie Nie jestem ani cnotliwym, ani mądrym. Jestem złym i pragnąłbym stać się jeszcze gorszym. Stać się potężnym i straszliwym, jak szatan, mój brat jedyny... Czemuż jednak, czemu zapomnieć nie mogę, że jest świat inny, że istnieje piękno? Czemu zjawiłaś mi się ty, bezlitosna?..

W nagłym ruchu Arsinoe oplotła obnażonemi rękoma szyję Juliana, przyciągnęła go do siebie silnie tak blizko, że uczuł dziewiczą świeżość jej ciała, i poczęła szeptać:

— A jeżeli przyszłam do ciebie, młodzieńcze, jako prorocza Sybilla, żeby ci sławę zapowiedzieć? Tyś jest jedyny żyjący śród trupów. Pięknym jesteś! Cóż, że skrzydła twoje nie są białe, jak skrzydła łabędzi, jeno czarne i straszliwe? że krzywe pazury przypominają szpony drapieżnego ptaka?.. Kocham wszystkie duchy buntownicze i potępione — rozumiesz mnie, Julianie? Wolę orły dumne i samotne od białych łabędzi. Tylko... Bądź mi jeszcze wspanialszym, jeszcze złośliwszym! Miej odwagę zostać takim do samego końca. Kłam bez wstydu: kłamać lepiej, niż się poddawać. Nie lękaj się nienawiści: ona da siłę potężną twym skrzydłom. Słuchaj, zawrzyjmy sojusz: ty mi ofiarujesz władzę, ja tobie — piękność... Czy chcesz, Julianie?..

Pod przejrzystymi zwojami starodawnego peplumu znowu, jak wtedy w palestrze, dostrzegał czyste linie na-

giego ciała Artemidy Łowczyni, i zdało mu się, że te delikatne, złotawe kształty całe przeświecają przez powietrzną tkaniną.

Uczuł zawrót głowy; w ogarniającym ich półcieniu księżycowej nocy dostrzegł, jak do ust jego zbliżały się uśmiechnięte i wyzywające wargi.

Po raz ostatni pomyślał:

— Trzeba mi odejść. Nie kocha mnie i nigdy kochać nie będzie. Władzy jedynie pożąda... To złudzenie.

Ale w tejże chwili dodał w duchu z uśmiechem bezsilnym:

— Niech będzie chociaż złudzenie!

I chłód dziwnego, nienasycającego pocałunku Arsinoe przeniknął go do głębi serca, niby chłód śmierci.

Zdawało mu się, że sama dziewicza Artemida zstąpiła po promieniu miesięcznym i całuje go w zwodniczym uścisku, podobnym do zimnego światła księżyca.

. . . .

. . . .

Rankiem następnego dnia Bazyli z Cezarei i Grzegorz Nazyanzeński spotkali Juliana w jednej z bazylik ateńskich, gdy modlił się na klęczkach przed ołtarzem. Dwaj przyjaciele spoglądali nań ze zdziwieniem. Jeszcze nigdy nie dostrzegli na jego obliczu takiej pokory i rozjaśnienia.

— Bracie!—szepnął do Grzegorza Bazyli:—zgrzeszyliśmy; ten, którego potępialiśmy w myśli, jest sprawiedliwy.

Grzegorz pokiwał głową.

— Niech mi Bóg przebaczy, jeżeli się omyliłem— wyrzekł zwolna, nie spuszczając z Juliana głębokiego, badawczego spojrzenia. — Pomyśl jednak, bracie Bazyli, jak często w postaci najczystszych aniołów ukazuje się ludziom sam szatan, ojciec kłamstwa.

XV.

Na podstawie lampy, mającej kształt delfina, leżały szczypce pernkarza. Płomień wydawał się bladym, gdyż promienie poranne, padając wprost na firanki, zalewały komnatę ciemnym fijoletowo-purpurowym odblaskiem. Jedwab firanek był przepojony najdroższą purpurą z Tyru, tak zwaną oksyblatą (oxyblatta), hiacyntową, potrzykroć barwioną.

— Hypostaza? Co to jest boska hypostaza Trójcy Świętej? Tego żaden z ludzi zgłębić nie potrafi. Przez całą noc nie spałem, tylko myślałem o tem, bo mam w tem wielkie zamiłowanie. Ale nie zdobyłem nic prócz bólu głowy... Młodzieńcze, podaj mi ręcznik i mydło...

Tak przemawiała osoba okazałej postaci z mitrą na głowie, wyglądająca na arcykapłana lub na władcę azyatyckiego. Był to wielki golibroda i perukarz świętej osoby cesarza Konstancyusza.

W zręcznych jego, prawie czarodziejskich dłoniach brzytwa latała z wdziękiem i lekkością niezrównaną. Zdawało się, że cyrulik odprawia jakiś obrząd tajemniczy i święty. Po każdej stronie, oprócz Euzebiusza, Wielkiego Podkomorzego Jego Cesarskiej Mości, najpotężniejszego człowieka w cesarstwie, oprócz niezliczonych dworzan kubikularjuszów, trzymających rozmaite wazy, esencye do nacierania, ręczniki i miednice, stało jeszcze dwóch młodzieńców z wachlarzami.

Ci podczas ceremonii golenia brody owiewali cesarza swymi misternymi wachlarzami w kształcie sześcioskrzy-

dłych serafów ze srebra, wykonanych na podobieństwo owych rypid, za pomocą których dyakoni opędzają muchy z Przenajświętszego Sakramentu w czasie nabożeństwa.

Balwierz właśnie się załatwił z prawym policzkiem cesarskim i przystępował do lewego, namydliwszy go przedewszystkiem pianą esencyi arabskich, zwanych Pianą Afrodyty. Nachylony do ucha Konstancyusza, szeptał tak, żeby go nikt nie słyszał:

— O najbogobojniejszy panie. Tylko twój ogarniający wszystko umysł roztrzygnąć może, co to jest hypostaza Ojca, Syna i Ducha świętego. Nie słuchaj biskupów. Czyń tak, jak tobie, nie zaś jak im się podoba. Powinieneś ukarać patryarchę Aleksandryjskiego Atanazego za krnąbrność, bluźnierstwo i bunt. Stwórca sam nauczał Waszą Świątobliwość, w co i jak wierzyć powinni twoi poddani. Według mnie, Aryusz utrzymuje słusznie, jako był czas, kiedy Syn nie istniał. Tak samo co do współistotności...

Wtem Konstancyusz przejrzał się w olbrzymiem lustrze z polerowanego srebra i, gładząc ręką świeżo wygoloną miękką część prawego policzka, przerwał balwierzowi:

— Zdaje mi się, że tu niezupełnie gładko. Co Możebyś raz jeszcze przeciągnął... Co to mówiłeś o współistotności?

Balwierz, który otrzymał talent złoty od biskupów dworskich Ursacyusza i Walentyna za przygotowanie cesarza do nowego wyznania wiary, prędko i ukradkiem naszeptywał je do ucha Konstancyuszowi, wodząc brzytwą po jego szyi z tak niewymowną delikatnością, że zdawało się, iż ją głaszcze. Ale w tej samej chwili zbliżył się do cesarza notaryusz Paweł, przezwiskiem Catena, czyli Łańcuch.

Nazywano go tak dlatego, że jego podstępne doniesienia omotywały upatrzoną ofiarę w iście nierozerwalne łańcuchy. Miał twarz zniewieściałą, bez zarostu, przystojną i, sądząc tylko z powierzchowności, należałoby mu anielską przypisać łagodność. Oczy miał szare, matowe, ruchy kocie—zwinne a ciche. Na wierzchniej szacie, zwanej „paenula," notaryusz nosił przewieszoną przez ramię szeroką wstęgę ciemno niebieską—oznakę szczególnych względów cesarza.

Lekkiem rozkazującem skinieniem usunąwszy na stronę wielkiego cyrulika, Paweł Catena szepnął do ucha Konstancyusza:

— List Juliana. Przejąłem go dziś w nocy. Racz przyczytać.

Konstancyusz chciwie wyrwał list z rąk Pawła, otworzył i przeczytał.

— Fraszki—mruknął z rozczarowaniem.—Ćwiczenie retoryczne. Posyła jakiemuś sofiście w podarunku sto jagód winnych i łączy pochwałę na cześć owoców i liczby sto...

— O, to podstęp!..—zauważył Catena.

— Czy tak? — zapytał Konstancyusz. — Ale gdzie dowody?..

— Niema żadnych.

— W takim razie albo jest bardzo zręcznym, albo...

— Co Wasza Wiekuistość powiedzieć chciała?

— Albo niewinnym.

— Jak ci się podoba... — wyjąkał Paweł.

— Jak mi się podoba?.. Chcę być sprawiedliwym, poprostu sprawiedliwym: czy nie wiesz o tem?.. Wymagam dowodów...

— Poczekaj, znajdą się.

Zbliżył się z raportem inny dworzanin, młody Pers, imieniem Merkury, stolnik nadworny, prawie wyrostek o żółtej twarzy i czarnych oczach. Obawiano go się nie mniej niż Cateny, przezywając żartem „dygnitarzem snów.” Jeżeli czyjkolwiek sen proroczy mógł mieć znaczenie dla osoby cesarza niepomyślne, Merkury, podsłuchawszy, donosił niezwłocznie. Wielu stratą majątku i karyery okupiło nieostrożność widzenia we śnie tego, czego nie powinni byli nigdy zobaczyć. Wiedząc o tem, wytrawni dworacy zaklinali się, że cierpią na nieuleczalną bezsenność, zazdroszcząc legendowym mieszkańcom Atlantydy, którzy, według Platona, nigdy snów nie miewają. Pers odsunął dwuch eunuchów etyopskich, zajętych zawiązywaniem rzemieni u jasnozielonych (koloru cesarskiego), z wyhaftowanymi złotymi orłami trzewików cesarza, objął nogi władcy, ucałował je i patrzał mu w oczy jak pies, który, wywijając ogonem, oczekuje skinienia swego pana.

— Daruj mi, Wasza Wiekuistości—wyszeptał mały Merkury z dziecięcem przymileniem: — nie mogłem się powstrzymać, żeby nie przybiedz do ciebie. Gaudencyusz miał zły sen. Pokazałeś mu się w rozdartej chlamidzie i w wieńcu z pustych kłosów, na dół obróconych.

— Co to znaczy?..

— Puste kłosy są zapowiedzią głodu, a rozdarta purpura oznacza... nie śmiem powiedzieć...

— Chorobę?

— Może nawet co gorszego. Zona Gaudencyusza zwierzyła mi się, że zapytywał o zdanie wróżbiarzy. Bóg wie, co mu tam powiedzieli!..

— Dobrze, pomówimy jeszcze o tem. Przyjdź wieczorem.

— Nie, zaraz. Pozwól na lekkie tortury... bez ognia... Jest jeszcze sprawa o te obrusy...

— Co za obrusy?

— Zapomniałeś więc? W Akwitanii podczas uczty stół był nakryty dwoma obrusami z purpurowym szlakiem tak szerokim, że tworzył niby cesarską chlamidę.

— Szerszym, niż na dwa palce? Według prawa, dozwoliłem szlak na dwa palce...

— O, znacznie szerszym! Mówię ci—chlamida cesarska. Pomyśl tylko: podobna świętokradzka ozdoba na obrusie!

Merkury nie mógł dojść do końca swych doniesień.

— W Dafne urodził się potwór—szeptał, śpiesząc się i jąkając:—czworo uszu, czworo oczu, dwa kły, cały kudłaty... Augurowie powiadają, że to zła wróżba... że Święte Cesarstwo będzie podzielone...

— Zobaczymy. Wypisz wszystko po kolei i złóż mi.

Cesarz kończył strój ranny. Spojrzał jeszcze raz w lustro i wziął na cienki pendzelek trochę różu z filigranowego puzderka srebrnego w kształcie relikwiarza z małym krzyżykiem na wierzchu. Konstancyusz był nabożny. Krzyże emaliowane i monogramy Chrystusa przyozdabiały u niego najdrobniejsze cacka. Na jego użytek przygotowywano rzadki i nader kosztowny róż, zwany „purpurissima” z różowej piany, zbieranej z gotujących się konch purpurowych. Zręcznie nałożył Konstancyusz lekką warstwę różu na swe suche i śniade policzki. Z komnaty zwanej Porphyria, gdzie w pięciobasztowej szafie, pentapigryonie, przechowywano szaty cesarskie, eunuchowie przynieśli dalmatykę sztywną, obładowaną złotem i drogimi kamieniami, z ametystowej purpury, na której były wyszyte skrzydlate lwy i smoki.

W wielkiej sali medyolańskiego pałacu miało się odbyć w tym dniu posiedzenie soboru aryańskiego.

Cesarz udał się tam galeryą otwartą o ścianach marmurowych.

Gwardya pałacowa — palatyni — tworzyła szpaler o dwóch rzędach, stojąc milcząco jak posągi z podniesionemi długiemi na czternaście łokci włóczniami. Dźwigany przez jałmużnika cesarskiego (comes sacrarum largitionum) sztandar Konstantyna z pozłocistej tkaniny, Labarum z monogramem Chrystusa, szeleściał i migotał. Straż niema (silentiarii) biegła przodem, skinieniem nakazując wszystkim czołobitne milczenie.

W galeryi cesarz spotkał się z cesarzową Euzebią Aurelią. Była to kobieta już niemłoda z twarzą bladą i znużoną, o regularnych i szlachetnych rysach. W jej oczach przenikliwych błyskała kiedy niekiedy drwiąca złośliwość. Skrzyżowawszy dłonie na „omophormium,” osypanem rubinami i szafirami, w kształt serca wyciętymi, cesarzowa nachyliła głowę i wypowiedziała zwykłe pozdrowienie poranne.

— Przychodzę nacieszyć się widokiem twoim, małżonku mój, Bogu miły. Jak Świętobliwość Wasza raczyła noc przepędzić?

Następnie dawszy znak wspierającym ją damom dworu, Eufrozynii i Teofonii, ażeby się oddaliły, szepnęła zcicha, szczerszym i zwyczajniejszym głosem:

— Dzisiaj ma Julian stanąć przed tobą. Przyjmij go życzliwie. Nie wierz donosicielom. To biedny i niewinny młodzian. Bóg ci to nagrodzi, jeżeli mu swą łaskę okażesz, Panie!

— Prosisz za nim?

Małżonkowie zamienili bystre spojrzenia.

— Wiem, — rzekła — żeś zawsze miał zaufanie do mnie: niechże i teraz tak będzie. Julian jest wiernym niewolnikiem. Nie odmawiaj mi. Bądź dobrym dla niego...

I nagrodziła go jednym z tych uśmiechów, które dotyczczas jeszcze wywierały nieprzeparty wpływ na serce cesarza.

Pod portykiem, oddzielonym od wielkiej sali zasłoną z kobierca, z poza której cesarz lubił przysłuchiwać się temu, co się działo na posiedzeniach synodu, mnich z tonsurą w kształcie krzyża, w tunice z kapturem, zwanej „colobium,” z grubego ciemnego płótna, zbliżył się do Konstancyusza. Był to Julian.

Ukląkł przed Konstancyuszem, przypadł do ziemi i, ucałowawszy róg dalmatyki cesarskiej, przemówił:

— Witam dobroczyńcę mego, zwycięskiego i wielkiego cesarza Augusta Konstancyusza! Racz spojrzeć na mnie przychylnie, Wasza Świętobliwości!

— Szczęśliwi jesteśmy, że cię widzimy, mój synu.

Stryjeczny brat Juliana wspaniałomyślnie dłoń swą do ust mu przyłożył. Julian ucałował tę dłoń, zbroczoną krwią jego ojca, brata i wszystkich krewnych.

Potem wstał blady z iskrzącemi się oczyma, utkwionemi w swym wrogu. Ściskał rękojeść kindżału, ukrytego w fałdach ubrania. Małe ołowiano-szare oczy cesarza błyszczały pychą, i tylko chwilami zapalała się w nich przebiegła ostrożność. Był on o głowę niższy od Juliana, barczysty, silny i tęgi, z nogami kabłąkowatemi, jak u starych przyrosłych do siodła wojowników. Na gładkich jego skroniach i kościach policzkowych śniada skóra lśniła się nieprzyjemnie. Wązkie wargi zaciskał surowo, jak człowiek lubiący przedewszystkiem ład i punktualność. Wyraz taki napotyka się często u starych pedantów nauczycieli.

Wszystko to wstrętnem się wydawało Julianowi, który czuł owładającą nim wściekłość zwierzęcą. Nie mając sił na wypowiedzenie jednego słowa, spuścił oczy i oddychał ciężko.

Konstancyusz uśmiechnął się, sądząc, że młodzieniec znieść nie może jego wyniosłego spojrzenia, i że snadź go zmieszał nadziemski majestat cesarza rzymskiego.

— Nie obawiaj się niczego —przemówił z napuszoną życzliwością.—Odejdź w pokoju. Nasza dobroć nie sprawi ci nic złego i na przyszłość osypie twoje sieroctwo dobrodziejstwy swemi.

Julian wsunął się do sali synodalnej, a cesarz, ukryty za draperyą, nadstawił uszu i z przebiegłym uśmiechem przysłuchiwać się zaczął.

Najpierw doszedł do niego głos naczelnika poczty cesarskiej, tego samego Gaudencyusza, który miał sen złowróżbny.

— Synod za synodem — żalił się Gaudencyusz przed jakimś dostojnikiem. — To w Syrmii, to w Sardyce, to w Antyochyi, to w Konstantynopolu. Rozprawiają ciągle, nie mogąc dojść do porozumienia, a przecież raz trzebaby się ulitować nad pocztowymi końmi! Jeżdżą sobie i jeżdżą na złamanie karku kosztem skarbu. To w jedną stronę, to w drugą, to ze Wschodu, to z Zachodu. A z nimi całe chmary prezbiterów, dyakonów, zakrystyanów, pisarzów. Poprostu ruina! Na dziesięć koni stacyi pocztowej, nie wiem czy jeden się znajdzie, któregoby nie ochwacili biskupi. Jeszcze jakie pięć synodów, a moje zwierzęta będą zdatne chyba dla oprawcy i z państwowych wozów pozlatują koła. Dalibóg! A nadomiar wszystkiego zobaczycie, że biskupi nigdy się nie pogodzą w tej materyi hypostazy i współistotności.

— Dlaczego, zacny Gaudencyuszu, nie złożysz w tym względzie raportu cesarzowi?

— Boję się, że mi nie uwierzą i oskarżą o bezbożność, o brak uznania dla potrzeb Kościoła...

W olbrzymiej okrągłej sali z kopułą i kolumnami z zielonawego marmuru frygijskiego panował zaduch. Ukośne promienie słońca padały przez okna pod arkadami. Szmer głosów przypominał brzęczenie ula pszczelnego. Na wzniesieniu stał tron cesarski, „sella aurea”, wsparty na lwich łapach z kości słoniowej, skrzyżowanych jak u krzeseł kurulnych starożytnych konsulów.

W pobliżu tronu prezbiter Pafnucy, o rozognionej od sporu dobrodusznej twarzy, dowodził:

— Ja, Pafnucy, jakom od ojców przyjął, tak zachowuję w myślach moich. Według symbolu świętego ojca naszego Atanazego, patryarchy aleksandryjskiego, należy cześć oddawać Bogu w Trójcy Świętej jedynemu i Trójcy Świętej w jedynym Bogu. Ojciec jest Bogiem, Syn jest Bogiem, Duch Święty jest Bogiem, a przecie nie trzech Bogów, jeno jedyny Bóg!

I jak gdyby miażdżąc niewidzialnego wroga, walił potężną pięścią prawicy w dłoń lewą, tocząc zwycięskiem spojrzeniem po całem zgromadzeniu.

— Jakom od ojców przyjął, tak zachowuję w myślach moich.

— Ha? Co? co on mówi? — dopytywał się Ozjusz, starzec stuletni, współuczestnik wielkiego soboru Nicejskiego.—Gdzie moja trąbka?..

Na twarzy jego odbijał się rozpaczliwy niepokój. Był głuchy i prawie ślepy, z długą siwą brodą. Dyakon podał mu trąbkę akustyczną.

Jakiś mnich, pokutnik wychudły i blady, uczepił się komży Pafnucego z miną błagalną.

— Ojcze Pafnucy!—wołał, usiłując go przekrzyczeć.

— Jakże to! O jeden wyraz! O jeden tylko wyraz: „współistotność,” czy też „podobieństwo istoty!”

Mnich począł opowiadać Pafnucemu o okropnościach, których był świadkiem w Aleksandryi i Konstantynopolu. Aryanie tym, którzy się wzbraniają przyjmować Komunię w heretyckich kościołach, roztwierają usta za pomocą wideł drewnianych i gwałtem wciskają przenajświętszy Sakrament. Dzieci biorą na tortury. Niewiastom gniotą kleszczami piersi lub wypiekają brodawki rozpalonem żelazem. W kościele świętych Apostołów stoczono taką bójkę pomiędzy aryanami a prawowiernymi, że krew przepełniła cysternę do wody deszczowej i po stopniach przedsionka spłynęła na plac. W Aleksandryi rządca Sebastyan kazał chłostać prawowierne dziewice rózgami z palmy ciernistej tak, że mnóstwo z nich padło, i ciała ich leżą bez pogrzebu przed bramami miasta. I to wszystko nawet nie o jeden wyraz, lecz o jedną literę, o *jotę*, odróżniającą grecki wyraz: „wspólistotny" (*homoousios*) od „podobnoistotny" (*homoiousios*).

— Ojcze Pafnucy—upierał się mnich blady:—o jotę! co najważniejsza, to, że Pismo Święte nawet nie zawiera wyrazu *ousia*—istota! Po cóż więc my dręczymy jedni drugich? Pomyśl, ojcze, jak straszne jest to wszeteczeństwo nasze!..

— Zatem cóż?—przerwał zniecierpliwiony Pafnucy:—mamy się więc pogodzić z potępionymi bluźniercami, z tymi psami, których serca heretyckie bluzgają myślą, jako był czas, kiedy Syn Boży nie istniał?

— Jeden pasterz i jedna owczarnia!—bronił się nieśmiało mnich.—Zróbmy im ustępstwo!

Ale nieubłagany Pafnucy nie chciał słyszeć o niczem i krzyczał na całe gardło, tak, że mu nabrzmiewały żyły na szyi i skroniach, kroplami potu pokrytych:

— Niech zamilkną wrogowie Boga!.. Nie będzie tego! Bezecną herezyę aryańską wyklinam!.. Jakom od ojców

przyjął, tak zachowuję w myślach!—zakończył grzmiącym głosem.

Stuletni Ozyusz kiwał potakująco i bezradnie głową sędziwą.

— Cóż to was wcale nie słychać, ojcze Dorotcuszu? Nie dyskutujecie dzisiaj? Znudziło się?—zapytywał żółciowego ruchliwego staruszka wysoki, blady i przystojny, z długimi, jak smoła czarnymi kędziorami prezbiter Thebas.

— Ochrypłem, ojcze Thebasie. Chciałoby się mówić, ale brak mi głosu. Zmordowałem sobie gardło onegdaj, gdyśmy wyklinali na synodzie przeklętych akacyanów. Drugi dzień mam chrypkę...

— Przepłóczcie sobie, ojcze, gardło jajkiem surowem. To pomaga.

W innej gromadce rej wodził dyakon z Antyochii, Aecyusz, gorliwy i śmiały zwolennik Aryusza, zwany bezbożnym „ateuszem" z powodu zuchwałego i szyderczego wykłada o Trójcy Świętej. Twarz miał wesołą i drwiącą. Żywot Aecyusza odznaczał się niezwykłemi przejściami. Był po kolei niewolnikiem, kotlarzem, wyrobnikiem, retorem, lekarzem, uczniem filozofów aleksandryjskich, wreszcie dyakonem.

— Bóg Ojciec w istocie swej niepodobny jest Swemu Synowi!—nauczał Aecyusz, uśmiechając się i napawając zgrozą słuchaczów.—Istnieje Trójca Święta, ale hypostazy rozróżniają się w chwale. Bóg jest niewypowiedzianym dla Syna, albowiem nie jest powiedziane, czem On jest dla samego siebie. Nawet Syn nie zna swej istoty, ponieważ niepodobieństwem jest dla tego, który miał początek, wyobrazić sobie lub objąć rozumem to, co jest Odwieczne.

— Nie bluźnij!—zawołał oburzony Theonas, biskup Marmaryki. — O bracia, do jakich wreszcie granic dojdzie szatański bezwstyd heretyków?..

— Słodką swą mową — dodał przestrzegawczo Sofroniusz, biskup Pompeopolisu, — nie obałamucaj prostaczków.

— Przekonajcie mnie za pomocą dowodów filozoficznych, wtedy ustąpię. Ale krzyki i obelgi dowodzą jedynie waszej niemocy—z wielkim spokojem odparł Aecyusz.

— Powiedzianem jest w Piśmie...—zaczął Sofroniusz.

— Co mnie obchodzi Pismo? Bóg na to dał ludziom rozum, ażeby Go znali. Wierzę w dyalektykę, nie zaś w teksty. Rozumujcie ze mną, opierając się na sylogizmach i kategoryach Arystotelesa...

I z uśmiechem pogardy owinął się komżą dyakońską, niby Dyogenes swym płaszczem cynika.

W pewnej grupie biskupi zaczęli już dochodzić do porozumienia względem powszechnego wyznania wiary, czyniąc sobie wzajemne ustępstwa, gdy wtem wtrącił się do nich aryanin, Narcyz z Neroniady, znawca gruntowny wszystkich postanowień synodalnych, symbolów i kanonów, człowiek nielubiony, nawet podejrzewany o cudzołóstwo i lichwę, ale podziwiany przez wszystkich dla erudycyi teologicznej.

— To herezya—oświadczył on krótko biskupom.

— Jak to herezya? Dlaczego?—ozwały się liczne głosy.

— Orzeczone było za herezyę jeszcze na koncylium w Gangrze Paflagońskiej.

Narcyz miał maleńkie skośne oczy, złośliwie błyszczące, i takiż złośliwy i skośny uśmiech na zjadliwych ustach. Zdawało się, że całe oblicze przekrzywiała mu złośliwość.

— W Gangrze Paflagońskiej!—powtarzali zrozpaczen biskupi.—A myśmy o tem koncylium zapomnieli! Co teraz czynić, bracia?

Narcyz tryumfował, spoglądając na wszystkich skośnemi oczyma.

— Boże, zmiłuj się nad nami grzesznymi! — wołał poczciwy i dobroduszny biskup Euzousz.—Nic już nie rozumiem. Poplątało mi się. W głowie mi się kręci: *homoousios*, *homoiousios*, współistotny, niewspółistotny, podobieństwo, hypostaza, w uszach szumi od greckich słów. Błąkam się jak śród mgły i sam już nie wiem, w co wierzę, a w co nie wierzę, gdzie jest herezya, gdzie jej niema. Chryste, królu Niebieski, ratuj nas! giniemy w sidłach szatana!

W tej chwili wrzawa i krzyki gwałtowne ustały; na trybunę wstępował jeden z nlubieńców cesarza, biskup Ursacyusz z Singidyonu, trzymając w dłoni długą kartę pergaminu.

Dwaj skoropisarze, zatemperowawszy cienkie pióra z kalamnsn (trzciny egipskiej), przygotowali się do zapisywania uchwał synodu. Ursacyusz odczytywał odezwę cesarza do biskupów:

— Konstancyusz, zwycięzca, tryumfator, sławny i wiekuisty August do wszystkich zgromadzonych w Medyolanie biskupów...

Cesarz domagał się złożenia z urzędu Atanazego, patryarchy Aleksandryjskiego, zowiąc obelżywie szanowanego przez wszystkich świątobliwego starca „najniegodziwszym z ludzi, zdrajcą, wspólnikiem zuchwałego i niecnego Maksencyusza.”

Zaprzedani dworowi biskupi Walens, Euzebiusz, Aksencyusz rzucili się do podpisywania aktu destytucyi. le inni poczęli szemrać:

— To potępieńcza pokusa, to podstęp chrystoburców aryan! Nie damy skrzywdzić naszego patryarchy!

— Cesarz nazywa siebie „wiekuistym!” Nikt nie jest wiekuistym, prócz Boga! To bluźnierstwo!

Siedzący za kotarą Konstancyusz słyszał doskonale ostatnią uwagę. Natychmiast odchylił zasłonę i wkroczył niespodzianie do sali w otoczeniu kopijników. Oblicze miał pełne gniewu. Zapanowało głuche milczenie.

— Co to jest?.. Co się stało?..—powtarzał ociemniały Ozyusz z niepokojem i trwogą.

— Ojcowie,—zaczął cesarz, hamując oburzenie,—pozwólcie mnie, słudze Najwyższego, doprowadzić przy łasce Opatrzności gorliwość swą do statecznego końca. Atanazy jest buntownikiem, pierwszym gwałcicielem pokoju powszechnego...

Głuchy szmer powstał znowu.

Konstancyusz zamilkł i zdziwiony potoczył oczyma po biskupach.

W tłumie ktoś krzyknął:

— Wstrętną herezyę aryańską wyklinamy!

— Wiara, przeciwko której powstajecie, moją jest wiarą—odparł cesarz. — Jeżeli to jest herezya, dlaczegóż Bóg Wszechmogący obdarzył nas zwycięstwem nad wszystkimi naszymi przeciwnikami, nad Konstansem, Wetranionem, Gallusem, nad zuchwałym i niecnym Maksencyuszem? Dlaczego Bóg sam złożył w nasze święte dłonie panowanie nad światem?..

Biskupi zamilkli. Wtedy pochlebca Walens, biskup Murzy, rzekł czołobitnie:

— Stwórca odsłonił prawdę przed mądrością twoją, o najmilszy Bogu władco! Nie może być herezyą to, w co ty wierzysz. Azali Cyryl Jerozolimski nie widział znaku

cudownego na niebie, mianowicie krzyża w kole tęczowem, w dniu zwycięstwa twego nad Maksencyuszem?

— Ja tak chcę!—przerwał Konstancyusz, powstając z tronu. — Atanazy będzie strącony mocą władzy, danej nam od Boga. Módlcie się, ażeby była obalona zabójcza herezya sabelianów, zwolenników Atanazego, i ażeby we wszystkich sercach zajaśniała prawda.

Nagle cesarz zbladł, słowa zamarły mu na ustach.

— Co to?.. Kto go puścił?..

To mówiąc, wskazywał wysokiego starca o twarzy surowej i majestatycznej. Był to złożony z urzędu i prześladowany za wiarę biskup Hilary z Pitkawii, jeden z największych nieprzyjaciół cesarza aryanina. Przybył niepowołany na synod, spodziewając się może znaleźć na nim śmierć męczeńską. Starzec wzniósł dłonie ku niebu, jakby wzywając klątwy na głowę cesarza, i zawołał głosem silnym, rozlegającym się śród powszechnego milczenia:

— Bracia, oto Chrystus nadchodzi, ponieważ Antychryst już zwyciężył. Antychryst—to Konstancyusz!.. Nie tłucze on nas po grzbiecie, ale głaszcze po brzuchach; nie wtrąca nas do lochów, ale wodzi na pokuszenie w pałacach cesarskich. Słuchaj, cesarzu! Mówię do ciebie, jak byłbym mówił do Nerona, Decyusza, Maksymiana—otwartych prześladowców Kościoła. Tyś mordercą nie ludzi, lecz samej Miłości Bożej. Neron, Decyusz, Maksymian lepiej służyli Bogu prawdziwemu, niż ty. Za nich zwyciężaliśmy czarta, za nich krew męczenników płynęła, oczyszczając ziemię, a kości męczenników cuda sprawiały. Ty zaś, okrutniku nad okrutniki, zabijasz, śmierci chwalebnej nie dając. Panie! ześlij nam prawdziwego tyrana, nieobłudnego wroga, podobnego Neronowi i Decyuszowi, a niech dobroczynny i straszliwy oręż gniewu Twego zbudzi Kościół, znieprawiony uściskami Judasza—Konstancyusza!

Cesarz zerwał się z tronu.

— Chwytajcie go... i buntowników!—jęknął, dusząc się, i wskazał Hilarego.

Rzuciła się straż na biskupów. Powstał zamęt nieopisany. Błysnęły miecze.

Żołdacy rzymscy, zerwawszy z Hilarego omoforyum, stułę i ornat, uprowadzili starca.

Wielu w zamieszaniu tłoczyło się ku wyjściu, padając, dusząc i tratując się wzajemnie.

Jeden z pisarzów skoczył na mur okienny, ale żołnierz chwycił go za długą suknię i nie puszczał.

Stół z kałamarzami wywrócono; struga czerwonego atramentu popłynęła po posadzce z błękitnego jaspisu; niektórzy na widok purpurowej kałuży krzyczeć poczęli:

— Krew! krew! Uciekajmy!

Inni wołali:

— Śmierć wrogom świątobliwego Augusta!

Pafnucy grzmiącym głosem oświadczał, wleczony przez żołdaków:

— Uznaję sobór Nicejski! Herezyę aryańską wyklinam!

Wielu nie przestawało wykrzykiwać:

— Współistotny!

Inni:

— Nie będzie tego! Podobnoistotny!

A trzeci:

— Niepodobny, czyli anomeon, anomeon!..

— Zamilczcie, nienawidzący Boga!

— Wyklinamy!

— Niech przepadnie!

— Sobór Nicejski!

— Synod w Sardyce!

— Koncylium w Gangrze Paflagońskiej!

— Wyklinamy!

Ociemniały Ozyusz siedział nieruchomo, przez wszystkich zapomniany, na swym stolcu biskupim, mrucząc zcicha:

— Jezu Chryste, Synu Boży, zlituj się nad nami! Co to jest, bracia?.. Co to znaczy?..

Napróżno jednak wyciągał osłabione dłonie ku rzucającym się w szaleństwie ludziom, napróżno powtarzał z rozpaczą: „Bracia, co to jest?"—nikt go nie widział, nikt nie słuchał, i łzy nędznej niemocy potoczyły mu się po zmarszczkach stuletnich.

Julian przypatrywał się z pogardliwym uśmiechem i tryumfował w duszy.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, w ciszy głębokiej, śród wzgórz na wschód od Medyolanu, szli dwaj mnichowie, pustelnicy z Mezopotamii, wysłannicy biskupów syryjskich na synod. Z trudnością udało im się wymknąć przed pałacową strażą, i obecnie uradowani, podążali ku Rawennie, pragnąc jak najprędzaj wsiąść na statek, który miał ich zawieźć na pustynię. Znużenie i smutek malowały im się na twarzach. Jeden z nich, Efraim, był starcem, drugi, Pimenes—młodzieniaszkiem.

Efraim tak mówił do Pimenesa:

— Czas wracać na pustynię, bracie. Lepiej słuchać ryku lwa i szakala, niż tego, cośmy słyszeli dzisiaj w pałacu cesarskim. O drogi mój synu! Błogosławieni cisi. Błogosławieni ci, co się odgrodzili murem pustelniczego milczenia, przez który nie dojdą do nich kłótnie nauczycieli Kościoła. Błogosławieni, którzy pojęli nicość słów, błogosławieni pokój czyniący. Błogosławieni, którzy nie dociekają tajemnic bożych, ale śpiewają, jako harfy, przed

obliczem Twem, Panie! Błogosławiony, który zrozumiał, jak trudno Ciebie pojąć, a jak słodko jest kochać Ciebie, o Panie!

Zamilkł Efraim, a Pimenes wyszeptał:

— Amen!

Ogromna cisza nocy ogarnęła ich, i śmiało, kierując się biegiem gwiazd, dwaj zakonnicy podążali na wschód, rozradowani wspaniałym spokojem pustyni.

XVI.

W słoneczny poranek ze wszystkich ulic Medyolanu płynęły tłumy na plac publiczny.

Rozległy się witające okrzyki, i w tryumfalnym rydwanie, zaprzężonym w cały tabun białych jak łabędzie rumaków, ukazał się cesarz. Siedział tak wysoko, że ludzie musieli zadzierać głowy do góry, chcąc go zobaczyć. Szaty jego, drogocennymi kamieniami pokryte, błyszczały oślepiająco. W prawej dłoni dzierżył berło, w lewej— jabłko cesarskie, kulę ziemską wyobrażające, z osadzonym na niem krzyżem.

Nieruchomy jak statua, przesadnie ubielony i wyróżowany, patrzał cesarz wprost przed siebie, nie poruszając głową, jak gdyby w kleszcze ujętą. Przez cały czas przejazdu, nawet w chwilach, gdy wóz trząsł się i podskakiwał, cesarz nie uczynił najmniejszego poruszenia, nie kiwnął palcem, nie kaszlnął, nie zmrużył szeroko otwartych oczu.

Długoletnim wysiłkiem zdobył Konstancyusz tę swoją okamieniałą nieruchomość i był z niej nadzwyczaj dumny, uważając ją za nieodzowny warunek etykiety cesarskiej. W chwilach podobnych wolałby był zginąć na

torturach, aniżeli otarciem potu z czoła, kichnięciem lub odchrząknięciem zdradzić naturę śmiertelną.

Pomimo nizkiego wzrostu i krzywych nóg, w pojęciu swojem był olbrzymem. Gdy rydwan przejeżdżał pod łukiem tryumfalnym, w pobliżu term Maksymiana Herkulusa, cesarz nachylił głowę, jak gdyby w obawie, żeby nie zawadzić o potężne arkady, pod któremi cyklop mógłby przejść swobodnie.

Po obu stronach drogi stali palatyni w złotych hełmach i złotych pancerzach, i podwójne szeregi tej gwardyi honorowej żarzyły się, jak dwie błyskawice.

Dokoła wozu cesarskiego powiewały szerokie sztandary w kształcie smoków. Tkanina purpurowa, wydęta wiatrem, wciskającym się w rozwarte paszcze potworów, wydawała ostre tony, przypominające wściekłe syki żmij, a długie szkarłatne ogony smoków łopotały w powietrzu. Na placu zgromadzono wszystkie legiony, stojące załogą w Medyolanie.

Grzmot okrzyków powitał cesarza.

Konstancyusz był zadowolony; wrzawa nie była zbyt cicha, ani też zbyt głośna, ale ustopniowana zgóry według najsurowszego regulaminu. Przyuczano żołnierzy i obywateli do wykrzykiwania swego entuzyazmu z umiarkowaniem i szacunkiem.

Konstancyusz z wymuszoną i pedantyczną powagą w każdem poruszeniu i kroku zstąpił z rydwanu i wszedł na wzniesioną na placu trybunę, od góry do dołu pokrytą zwycięskimi strzępami starych sztandarów i orłami metalowymi.

Znowu zagrzmiały trąby sygnałem bojowym, na znak, że cesarz mówić do armii zamierza. Na placu zapanowało milczenie.

— Optimi reipublicae defensores! (Doskonali obrońcy rzeczypospolitej)!—rozpoczął Konstancyusz.

Mowa jego była bezbarwna, przeładowana scholastycznymi kwiatami retoryki.

Julian w szatach dworskich wszedł po stopniach trybuny, i bratobójca przyoblekł ostatniego potomka Konstancyusza Chlorusa w świętą purpurę cezarów.

Przez lekki jedwab przesączyły się promienie słońca w chwili, gdy cesarz podniósł do góry purpurę, ażeby ją włożyć na klęczącego Juliana; krwawy odblask padł na śmiertelnie blade oblicze nowego cezara, który w myśli powtarzał sobie proroczy wiersz z Iliady:

„Oczy śmierć mu zaćmiła czerwona i Mojra okrutna."

Tymczasem Konstancyusz przemawiał do niego:

— Recepisti, primaevus, originis tuae splendidum florem, amatissime mihi omnium frater! (Otrzymałeś w tak młodym już wieku kwiat urodzenia twego, najukochańszy z pomiędzy wszystkich bracie!)

Wtedy przez wszystkie legiony przebiegł okrzyk zapału. Konstancyusz zmarszczył się z lekka. Krzyk ten przekraczał miarę, przepisaną ceremoniałem. Julian widocznie podobał się żołnierzom.

— Cezar Julian niech żyje! — wołali coraz głośniej, nie chcąc zaprzestać.

Nowy cezar podziękował im życzliwym uśmiechem, a każdy legionista stuknął puklerzem o kolano na znak uradowania.

Julianowi się zdało, że to nie wola cesarza, lecz wola bogów wyniosła go na te wyżyny.

. . . .

Co wieczór Konstancyusz zwykł był poświęcać kwadrans czasu na opatrzenie swych paznogci. Była to je-

dyna rozrywka, na którą sobie pozwalał ten człowiek wstrzemięźliwy i bez kaprysów, raczej prostacki niż zniewieściały we wszystkich przyzwyczajeniach.

Obtaczając paznogcie małymi pilnikami i wygładzając je szczoteczkami, zapytał wesoło tego wieczoru swego ulubionego eunucha, wielkiego podkomorzego Euzebiusza:

— Jak sądzisz, czy prędko Julian zwycięży Gallów?

— Sądzę,—odparł Euzebiusz — iż w krótkim czasie otrzymamy wiadomość o klęsce i śmierci tego młodzieńca.

— Czy tak? Byłoby mi bardzo przykro. Ale wszakże uczyniłem wszystko, co zależało ode mnie—nie prawdaż? dzie musiał sobie tylko winę przypisać...

Konstancyusz uśmiechnął się i, przechyliwszy głowę, zaczął oglądać paznogcie.

— Zwyciężyłeś Maksencyusza,—szepnął eunuch—zwyciężyłeś Wetraniona, Konstansa, Gallusa... Zwyciężysz i Juliana. A wtedy będzie jeden tylko pasterz i jedna owczarnia... Bóg i ty!

— Tak... tak... Tylko że prócz Juliana jest jeszcze Atanazy... Nie uspokoję się, dopóki ten, żywy lub umarły, nie znajdzie się w naszych ręku.

— Julian groźniejszym jest od Atanazego, a tyś go przyodział dzisiaj w purpurę śmiertelną. Jakże mądrą jest Opatrzność Boska! Jak niezbadanemi drogami obala ona wszystkich wrogów Waszej Wiekuistości! Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu teraz, i zawsze, i na wieki wieków!

— Amen!—dopowiedział Konstancyusz, ukończywszy czyszczenie paznogci, i odrzucił ostatnią szczoteczkę.

Podszedł do starodawnej chorągwi Konstantyna, labarum, stojącej zawsze w jego sypialni, ukląkł, i wpatrzony w monogram Chrystusowy, u którego nigdy nie gasnąca lampka jaśniała, zaczął się modlić. Z pedantyczną

sumiennością wykonywał przepisaną liczbę modlitw, pokłonów i znaków krzyża. Zwracał się do Boga z wiarą niezachwianą, jak człowiek, na chwilę nie wątpiący o swojej cnocie.

Spędziwszy trzy kwadranse na modlitwie, Konstancyusz podniósł się z ulgą w sercu. Rzezańcy rozebrali go. Wyciągnął się na łożu cesarskiem, podtrzymywanem przez cherubiny z lanego srebra na rozpiętych skrzydłach.

I zasnął z uśmiechem na ustach, jak zasypiają niewinne dzieciny.

W Atenach, w jednym z najbardziej odwiedzanych portyków, wystawiono na widok publiczny posąg Arsinoi: „*Zwycięskiego Oktawiana z głową Brutusa.*” Ateńczycy powitali w córce senatora Helwidyusza Pryskusa wskrzesicielkę najświetniejszego okresu sztuki. Ale urzędnicy specyalni, mający za zadanie badać potajemnie usposobienie polityczne umysłów i noszący dziwaczne, lubo słuszne, miano „ciekawych,” wystosowali w drodze właściwej sprawozdanie, w którem oświadczali, że statua może obudzić w ludności uczucia wolnomyślne.

W głowie Brutusa upatrywano podobieństwo do głowy Juliana, w całości zaś karygodną aluzyę do niedawnego stracenia Gallusa. Usiłowano odnajdować związek pomiędzy Oktawianem a cesarzem Konstancyuszem. Sprawa zaczęła nabierać charakteru zbrodni obrazy majestatu i groziła wdaniem się Pawła Cateny. Szczęściem, nadszedł z kancelaryi nadwornej od magistra „officiorum” surowy rozkaz, aby nie tylko usunąć gorszący posąg z portyku, ale nadto pokruszyć go w kawałki w obecności urzędników cesarskich.

Arsinoe chciała ukryć statuę, ale przeszkodził jej w tem Hortensyusz, opanowany takiem przerażeniem, iż groził oddaniem samej wychowanicy w ręce donosicieli.

Przejęta głęboką pogardą dla nikczemności ludzkiej, Arsinoe pozwoliła Horetnsyuszowi czynić z jej dziełem, co mu się podobało. Kamieniarze rozbili posąg.

Arsinoe opuściła pośpiesznie Ateny. Namówił ją opiekun, żeby wyjechała z nim do Rzymu, gdzie przyjaciele ofiarowywali mu już oddawna korzystną posadę kwestora cesarskiego. Osiedlili się w pobliżu wzgórza Palatyńskiego.

Dni upływały w bezczynności, Arsinoe bowiem zrozumiała, że nie było już miejsca na wielką i wolną sztukę starożytną. Przypominała sobie rozmowę z Julianem w Atenach, i to była jedyna nić, przywiązująca ją do życia. To gnuśne wyczekiwanie wydawało jej się nie do zniesienia. W chwilach rozpaczy chciała rzucić wszystko i pojechać do Galii, ażeby u boku młodego cezara oczekiwać potęgi lub zguby.

Ale zapadła na ciężką chorobę. Podczas długich cichych dni rekonwalescencyi znalazła pełnego poświęcenia pocieszyciela w osobie najwierniejszego ze swych wielbicieli, Anatola, centuryona nadwornych tarczowników, syna bogatego kupca z Rodosu.

Był on centuryonem — jak sam powiadał — jedynie wskutek nieporozumienia. Zawód wojskowy obrał wyłącznie w celu zaspokojenia ambitnej zachcianki swego ojca, który za najwyższy dla siebie zaszczyt uważał widzieć syna przyodzianego w złocistą zbroję tarczownika. Uwalniająo się od obowiązków służbowych za pomocą wspaniałych datków, Anatol spędzał życie w wykwintnej bezczynności, pośród rzadkich dzieł sztuki i książek, na ucztach i próżniaczych a zbytkownych podróżach. Nie miał jednak głębokiej czystości duszy starożytnych epikurejczyków. Skarżył się przed przyjaciołmi:

—Jestem dotknięty śmiertelną chorobą...

— Jaką? — pytano z niedowierzeniem.

— Chorobą, którą wy nazywacie moim dowcipem i dziwacznem szaleństwem...

W jego wydelikaconych, zniewieściałych rysach znać było znużenie ostateczne. Chwilami przebudzał się, urządzał z rybakami podczas burzy bezcelowe wyprawy na pełne morze, albo wyruszał polować na dziki i niedźwiedzie w niedostępnych kniejach Kalabryi, marzył o udziale w spisku na życie cesarza, lub o czynach wojennych, starał się o wtajemniczenie w przerażające misterya boga Mitry lub Adonai. W podobnych chwilach mógł nawet zadziwić niezmordowaną energią i odwagą tych, którzy nie znali zwykłego sposobu jego życia.

Ale wkrótce podniecenie ustawało, i Anatol powracał do swej bezczynności, jeszcze bardziej ospały i gnuśny, jeszcze bardziej szyderczy i bardziej smutny.

— Niema na ciebie rady, Anatolu—mówiła do niego Arsinoe z łagodnym wyrzutem.—Jesteś jakiś miękki, jak gdyby zgoła bez kości.

Odczuwała jednakże wdzięk helleński w tym w ostatnim epikurejczyku. Lubiła czytać o jego znużonych oczach smutne urąganie nad wszystkiem i nad samym sobą, gdy mówił do niej:

— Mędrzec potrafi znaleźć cząstkę przyjemności najsmutniejszych myślach, tak samo, jak pszczoły z gór Hymetu robią najprzedniejszy miód z soku roślin gorzkich.

Spokojne jego rozmowy kołysały i uspokajały Arsinoę, która żartem nazywała go swym „uzdrowicielem.”

Wyzdrowiała istotnie, ale nie powróciła już do pracowni; sam widok bloków marmuru nasuwał jej dręczące myśli.

Tymczasem Hortensyusz na uczczenie swego przybycia do Rzymu urządzał dla ludu z niesłychanym przepychem igrzyska w amfiteatrze Flawiusza. Wiecznie zajęty był przejażdżkami i przygotowaniami, otrzymując codziennie ze wszystkich stron świata konie, lwy, niedźwiedzie olbrzymie, psy szkockie (canes scotici), krokodyle, strzelców nieulękłych, zręcznych jeźdźców, komedyantów i doborowych gladyatorów.

Zbliżał się dzień przedstawienia, lwy nie przybywały z Tarentu, gdzie je na ląd wysadzono. Niedźwiedzie przyjechały wychudłe, wygłodzone i bojaźliwe, jak jagnięta.

Hortensyusz z niepokoju stracił sen.

Na dwa dni przed widowiskiem gladyatorowie, niewolnicy sascy, dumni i niestraszeni ludzie, za których ogromną sumę pieniędzy zapłacono, pozaduszali się wzajem nocą w więzieniu, uważając sobie za hańbę służyć za rozrywkę dla ludu rzymskiego.

Na tę wieść niespodziewaną Hortensyusz o mało nie zemdlał. Teraz cała nadzieja polegała na krokodylach, które podniecały zaciekawienie pospólstwa.

— Próbowałeś im dawać świeże mięso prosiąt? — zapytywał senator niewolnika, któremu powierzył dozór nad cennemi zwierzętami.

— Tak jest, ale nie chcą jeść.

— A cielęcinę?

— I cielęciny nie chcą również.

— A chleb pszenny, namoczony w śmietanie?

— Nawet nie powąchały. Odwracają pyski i śpią. Snadź są chore, albo zanadto znużone. Myśmy im nawet otwierali drągami paszczęki i gwałtem wpychali pożywienie—cóż, kiedy wypluwają napowrót!

— Na Jowisza! te wstrętne bydlęta o śmierć mnie przyprawią!.. Trzeba je będzie zaraz pierwszego dnia

wyrzucić na arenę, bo gotowe pozdychać z głodu!—jęczał nieszczęśliwy Hortensyusz, rzucając się na siedzenie.

Arsinoe spojrzała nań z pewną zazdrością: ten się przynajmniej nie nudził.

Przeszła do izby ustronnej z oknami, wychodzącemi na ogród. Tam, w łagodnem świetle księżyca, młodsza jej siostra Myrra, szczupłe, wysmukłe dziewczę szenastoletnie, uderzała zlekka w struny harfy, z których w ciszy nocnej tony płynęły, jak łzy.

Arsinoe w milczeniu uścisnęła Myrrę, która odpowiedziała jej uśmiechem, nie przestając grać.

Z poza muru ogrodowego rozległ się świst.

— To oni—rzekła, podnosząc się, Myrra.—Chodźmy prędzej.

I silnie uścisnęła dłoń swej siostry.

Dziewczyny zarzuciły na ramiona ciemne płaszcze i wybiegły. Wiatr przeganiał chmury po niebie, i księżyc to ukrywał się za niemi, to wyłaniał znowu.

Arsinoe odemknęła furtkę w murze. Za ogrodzeniem oczekiwał na nie młodzieniec, otulony w casullę zakonną.

— Czy nie spóźnimy się, Juwentynie? — zapytywała Myrra.—Tak się bałam, że nie przyjdziesz!

Szli długo wązkim i ciemnym zaułkiem, potem winnicami, aż wydostali się na smutną, jałową równinę, stanowiącą początek Kampanii Rzymskiej. Pod stopami szeleściały suche burzany. Na jasnym księżycowym firmamencie zarysowały się wyloty murowanego akwaduktu z czasów Serwiusza Tuliusza.

Juwentyn, odwróciwszy się, rzekł:

— Ktoś idzie za nami.

Dziewczęta obejrzały się również; światło księżyca padło im na twarze, a dążąca za nimi postać wykrzyknęła radośnie:

— Arsinoe! Myrro! Nareszcie was odnajduję. Dokądże to dążycie?

— Do chrześcijan—odpowiedziała Arsinoe. — Pójdź z nami, Anatolu, ujrzysz ciekawe rzeczy...

— Co słyszę? Do chrześcijan? Jeżeli się nie mylę, byłaś zawsze ich nieprzyjaciółką — dziwił się centuryon.

— Z wiekiem, mój przyjacielu, stajemy się lepszymi i obojętniejszymi na wszystko—ze smutnym uśmiechem odparła Arsinoe. — Jest to przesąd nie gorszy i nie lepszy od innych. A zresztą, czego się nie robi z nudów? Chodzę tam dla Myrry. To jej sprawia przyjemność...

— A gdzież kościół? Jesteśmy w szczerem polu— zapytał Anatol.

— Kościoły są zburzone lub sprofanowane przez ich współwyznawców, aryan, którzy wierzą w Chrystusa inaczej niż oni. Pewnie nasłuchałeś się na dworze o współistotności i podobnej istocie. Obecnie przeciwnicy aryan modlą się potajemnie w podziemiach, jak za czasów pierwszych prześladowań.

Myrra i Juwentyn pozostali nieco w tyle, więc Arsinoe mogła swobodnie rozmawiać z Anatolem.

— Kto to? — zapytał centuryon, wskazując Juwentyna.

— Ostatni potomek starożytnego rodu patrycyuszów Furyuszów — odpowiedziała Arsinoe.—Matka chce z niego uczynić konsula, on zaś marzy o tem tylko, jakby się wbrew jej woli wymknąć na pustynię i tam oddać się służbie Bożej. Kocha swą matkę, a ukrywa się przed nią, jak przed wrogiem.

— Potomkowie Furyuszów mnichami? Smutne czasy! — westchnął epikurejczyk.

Tymczasem zbliżyli się do arenaryum, dawniej kopalni kruchego piaskowca, tak zwanej „pozzolany," i po wązkich stopniach zeszli na dno wydrążenia. Księżyc oświetlał złomy czerwonawych skał wulkanicznych.

Juwentyn wydobył z ciemnej niszy mały kaganek gliniany i, skrzesawszy ognia, zapalił go. Długi płomyk zamigotał w wązkiej szyjce, w której był zanurzony knot.

Zapuścili się w jedno z bocznych przejść arenaryum. Wykute przez starożytnych Rzymian, było ono szerokie i rozległe, ze spadkiem dość stromym, i przecinały je liczne galerye, służące górnikom do przewożenia głazów. Juwentyn przewodniczył towarzyszom po labiryncie przejść, aż wreszcie zatrzymał się u studni i odwalił z niej drewniane nakrycie. Spuścili się ostrożnie po stopniach, oślizgłych od wilgoci. W głębi znajdowały się wązkie drzwi. Juwentyn zastukał. Drzwi otwarto, i jakiś mnich siwowłosy wpuścił ich do wykutego już w twardej skale korytarza. Ściany po obu stronach od ziemi aż do sklepienia były pokryte płytami z marmuru albo cienkiemi płaskiemi cegłami, które zasłaniały niezliczone „loculi," to jest mogiły.

Co chwila spotykali ludzi z kagankami. Przy migocącem ich świetle Anatol z zaciekawieniem wyczytał na jednej z tych tafli napis: „Doroteusz, syn Feliksa, spoczywa w tem miejscu chłodu, światła i pokoju" (Requiescit in loco refrigii, luminis, pacis). Na innej: „Bracia, nie mąćcie mu snu błogiego!"

Treść napisów była tkliwa i pogodna. „Słodka Sofronio, — głosił jeden z nich — żyj wiecznie w Bogu!" (Sophronia dulcis, semper vivas in Deo). A nieco dalej:

„Sophronia, vivis!" (Żyjesz, Sofronio!) — ten, co te kreślił wyrazy, zrozumiał ostatecznie, że śmierć nie istnieje.

Nigdzie nie wyrażano się: „Tu jest pogrzebiony"— tylko: „Złożony na pewien czas" (depositus). Zdawało się, jak gdyby miliony ludzi, z pokolenia na pokolenie. kładły się w tem miejscu nie na śmierć, lecz na sen lekki, pełny tajemniczego wyczekiwania.

W niszach poustawiano lampy, płonące w zgęszczonem powietrzu długim, nieruchomym płomieniem, i piękne amfory z wonnościami. Tylko zapach próchniejących kości, wydzielający się przez szczeliny grobów, przypominał o śmierci.

Korytarze spuszczały się amfiteatralnie coraz niżej, a w sklepieniu zdarzały się w pewnych odstępach szerokie otwory luminaryów, wychodzące na Kampanię.

Chwilami słaby promień księżyca, wpadłszy przez luminaryum, oświetlał płytę murmurową z napisem.

W głębi jednego z korytarzów ujrzeli grabarza, który z wesołym śpiewem silnymi razami żelaznego drąga wykuwał w piaskowcu okrągłe sklepienie nad swoją głową. Kilkunastu chrześcijan otaczało głównego dozorcę mogił, „fossora", w odzieży wykwintnej, z otyłą i chytrą twarzą. Fossor ów otrzymał w spadku całą jedną galeryę katakumb z prawem odstępowania za pieniądze wolnych miejsc w swoim oddziale. A był to jeden z droższych oddziałów z tego powodu, że w nim spoczywały relikwie świętego Wawrzyńca. To też fossor zdobył już piękną fortunę. W obecnej chwili targował się on z bogatym a skąpym garbarzem Symonem. Arsinoe zatrzymała się, by posłuchać rozmowy.

— A daleko będzie mój grób od relikwii?—pytał przezornie garbarz, rozmyślając o znacznej sumie, której zażądał fossor.

— Nie, o sześć łokci.

— Wyżej, czy niżej?

— Na prawo, nieco z boku. Miejsce doskonałe, nie żądam nic nadto. Żebyś nie wiem ile nagrzeszył, wszystko ci odpuszczonem będzie. Wejdziesz sobie razem ze Świętym do królestwa niebieskiego.

Wprawną dłonią fosor wziął miarę na grób, jak bierze krawiec miarę na ubranie. Garbarz domagał się jak najprzestronniejszego grobu, ażeby mógł spoczywać wygodnie.

W tej samej chwili do grabarza podeszła jakaś zgrzybiała, ubogo przyodziana staruszka.

— Czego sobie życzycie, babciu?

— Przynoszę pieniądze na dodatek.

— Na jaki dodatek?

— Do „prostego" grobu.

— Aha! wiem. Więc tego „krzywego" nie chcecie?

— Nie, nie... stare kości dolegają.

W katakumbach, zwłaszcza w pobliżu relikwii, był taki popyt na miejsca, że trzeba było urządzić groby nieco powykrzywiane w tych miejscach, gdzie kierunek ścian na prosty otwór nie pozwalał. Tylko najubożsi decydowali się na kupowanie krzywych grobów.

— Bóg wie, ile czasu trzeba będzie oczekiwać na zmartwychwstanie — tłómaczyła staruszka.—Dostać się do krzywego — no, z początku możeby uszło jeszcze, ale potem człowiek się zmęczy, to i źle będzie...

Anatol słuchał i wpadał w zachwyt.

— To ciekawsze o wiele od misteryów Mitry— mówił do Arsinoe z pustym uśmiechem. — Co za szkoda,

że się o tem nie dowiedziałem wcześniej! Nie widziałem jeszcze nigdy tak wesołego cmentarza.

Dostali się do szerokiego dosyć pomieszczenia, zwanego „cubiculum"—sala spoczynku. Mnóstwo lampek paliło się po ścianach; ksiądz odprawiał wieczorne nabożeństwo. Za ołtarz służyła górna płyta mogiły jednego z męczenników, umieszczona na sklepionym w kształcie arkady grobie (arcosolium). Zebrało się sporo pobożnych w długich białych szatach, a twarze wszystkich były rozpromienione. Myrra na klęczkach, oczyma, pełnemi dziecięcej miłości, spoglądała na Dobrego Pasterza, wyobrażonego na sklepieniu podziemia.

W katakumbach wznowiono zarzucony oddawna przez Kościół zwyczaj pierwszych wieków chrześcijaństwa: w końcu nabożeństwa uczestnicy, uważając się wszyscy za braci i siostry, składali sobie „pocałunek pokoju." Arsinoe, idąc za przykładem ogólnym, z uśmiechem pocałowała Anatola.

XVIII.

Następnie wszyscy czworo weszli na wyższe piętra, skąd mogli się udać do tajemniczej kryjówki Juwentyna, dawnego grobowca pogańskiego—columbarium—położonego na uboczu od drogi Apiusza.

Tam to, wyczekując przybycia statku, który go miał zawieźć do Egiptu, kraju anachoretów, młodzieniec ukrywał się przed poszukiwaniami matki i urzędników prefekta, do którego się o pomoc zwróciła, i żył wespół z Dydymem, bogobojnym starcem z Tebaidy Niższej, któremu Juwentyn okazywał ślepe i bezwzględne posłuszeństwo.

Dydym siedział w kolumbaryum na złożonych nogach i wyplatał koszyki z sitowia. Promienie księżyca, pada-

jące przez wązki otwór, oświetlały jego bujne białe włosy i długą brodę.

Z góry do dołu w ścianach grobowca były powydrążane niewielkie nisze, przypominające otwory w gołębniku, a w każdej stała urna żałobna.

Myrra, którą starzec polubił, ucałowała z szacunkiem jego dłoń pomarszczoną, prosząc, aby jej opowiadał żywoty Ojców pustelników. Nic jej się tak nie podobało, jak te cudowne i przerażające powieści Dydyma.

Starzec z łagodnym uśmiechem gładził Myrrę po głowie. Wszyscy zasiedli dokoła, on zaś począł opowiadać o wielkich pokutnikach Tebaidy, Nitryi, Mezopotamii.

Myrra wpatrywała się w niego rozgorączkowanemi oczyma, przyciskając wątłemi dłońmi pierś, falującą ze wzruszenia. Uśmiech tajemniczy niewidomego starca pełen był głębokiej dobroci, a jedwabiste miękkie włosy siwe otaczały mu twarz jakby aureolą.

Siedzieli wszyscy cicho, przysłuchując się niemilknącym szmerom oddalonego Rzymu, gdy nagle ktoś zastukał zlekka do drzwi wewnętrznych, stanowiących połączenie z katakumbami.

Juwentyn wstał, podszedł do drzwi i, nie otwierając, zapytał:

— Kto tam?

Nie było odpowiedzi, ale znowu dało się słyszeć jeszcze cichsze, jakby błagalne stukanie.

Juwentyn ostrożnie uchylił drzwi, zadrżał i cofnął się: kobieta wysokiego wzrostu weszła do kolumbaryum.

Od stóp do głowy była otulona w długą, białą szatę, opadającą na twarz. Szła, jak osoba wychodząca z niemocy, albo nader podeszłego wieku. Wszyscy spo-

glądali na nią w milczeniu. Jednym ruchem ręki odrzuciła zasłonę z twarzy, a Juwentyn wykrzyknął:

— Moja matka!

Dydym powstał surowo.

Kobieta padła do nóg syna i poczęła je całować. Kosmyki siwych włosów opadły jej na twarz bladą, wynędzniałą, ale zachowującą jeszcze ślady piękności iście patrycyuszowskiej. Juwentyn ujął w dłonie głowę matki i pokrywał pocałunkami.

— Juwentynie!—zawołał starzec.

Młodzieniec nic nie odpowiedział.

Matka jego, jak gdyby sami byli, poczęła szeptać radośnie, z pośpiechem:

— Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę, mój synu! Chciałam jechać do Aleksandryi. O, byłabym cię odnalazła nawet wśród pustyni. Ale teraz—nie prawdaż? wszystko się zmieni. Powiedz, że mnie nie porzucisz. Zaczekaj na śmierć moją! Potem... uczynisz, co ci się będzie podobało...

Starzec ozwał się znowu:

— Juwentynie, czy nie słyszysz?

— Starcze!—wyrzekła patrycyuszka, spoglądając na ociemniałego—nie zabierzesz matce syna!.. Słuchaj, jeżeli tego potrzeba, wyrzeknę się wiary ojców... uwierzę w Ukrzyżowanego, zostanę zakonnicą!

— Nie pojmujesz zakonu Chrystusowego, poganko! Matka nie może być zakonnicą, zakonnica nie może być matką!

— Porodziłam go w boleściach—on mój!..

— Nie miłujesz w nim duszy, jeno ciało!

Patrycyuszka rzuciła na Dydyma spojrzenie pełne nienawiści.

— A więc bądźcie przeklęci, wy i wasze mowy kłamliwe!—zawołała. — Bądźcie przeklęci, którzy porywacie dzieci od matek, którzy kusicie niewiniątka, ludzie w czarnej odzieży, lękający się światła, słudzy Ukrzyżowanego, nienawidzący życia, burzyciele wszystkiego, co piękne i radosne!

Twarz jej wykrzywiła się kurczowo; przycisnęła silniej syna do drżącego ciała i zdławionym głosem przemawiała do niego:

— Znam ciebie, dziecko moje... ty nie odjedziesz... Ty nie możesz... nie możesz...

Stary Dydym z laską w ręku stanął w pobliżu drzwi otwartych, wiodących do katakumb, i uroczystym głosem przemówił:

— Po raz ostatni w Imię Boga Żywego rozkazuję ci, mój synu, pójść za mną i opuścić ją.

Wtedy niewiasta odstąpiła od syna, mówiąc z jękiem:

— Dobrze więc... opuść mnie... odejdź... jeżeli możesz...

Łzy nie płynęły już z jej oczu, ręce opadły w rozpaczliwym ruchu. Czekała. Wszyscy milczeli.

— Panie... wspomóż mnie, natchnij mnie!—modlił się Juwentyn, szarpany śmiertelnym smutkiem.

— „Jeżeli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego, i matki, i żony, i dzieci, i braci, i sióstr, nawet i duszy swojej, nie może być uczniem Moim"—wygłosił Dydym i już przy samych drzwiach, po raz ostatni zwracając się do Juwentyna, rzekł:

— Pozostań w świecie. Wyparłeś się Chrystusa. Bądź przeklęty teraz i na wieki!

— O, nie odtrącaj mnie, ojcze! Idę za tobą... Panie! Oto jestem!—zawołał Juwentyn, podążając za swym nauczycielem.

Matka nie poruszyła się nawet, żeby go zatrzymać; ani jeden muskał nie drgnął na jéj twarzy; skoro jednak

odgłosy kroków zamilkły, przeraźliwy jęk wyrwał się jej z piersi, i padła na ziemię zemdlona.

— Otwierajcie!.. W imieniu bogobojnego cesarza Konstancyusza, otwierajcie!

Byli to żołnierze prefekta, których na skutek doniesienia patrycyuszki, matki Juwentyna, wysłano na poszukiwanie buntowniczych „sabelianów,” wyznawców „współistotności,” wrogów cesarza, ukrywających się w katakumbach. Waląc drągami żelaznymi, usiłowali żołdacy wyważyć drzwi kolumbaryum. Budynek drżał w posadach, srebrne i szklane urny z popiołami zmarłych dzwoniły żałośnie. Jedno skrzydło podwoi oderwano.

Anatol, Myrra i Arsinoe rzucili się do wewnętrznych galeryi katakumb. Chrześcijanie uciekali wązkimi korytarzami na podobieństwo mrówek, zaniepokojonych w mrowisku, zdążając ze wszech stron ku wyjściom tajemnym, prowadzącym do opuszczonej kamieniołomni. Ale ani Myrra, ani Arsinoe kierunku przejść nie znały. Zabłądzili w labiryncie i dostali się do najgłębszego piętra, położonego o pięćdziesiąt łokci pod ziemią. Oddychać tam było trudno. Z pod nóg sączyła się błotnista woda. Wycieńczone płomyki kaganków ćmiły się. Zgniłe wyziewy zatruwały powietrze. Myrra czuła zawrót głowy i straciła przytomność.

Anatol wziął ją na ręce. Co chwila groziło im spotkanie z legionistami. Mogli oni zasypać wyjścia, a wtedy byliby żywcem pogrzebani.

Na szczęście usłyszeli wreszcie wołanie Juwentyna:

— Tędy, tędy!

Zgięty młodzieniec niósł na plecach starego Dydyma. Po kilku minutach wydostali się wszyscy przejściem tajemnem do kopalni, stamtąd zaś na Kampanię.

Powróciwszy do domu, Arsinoe pośpiesznie rozebrała i położyła do łóżka Myrrę, wciąż jeszcze zemdloną. Padłszy na kolana, starsza siostra długo całowała bezwładne, chude i pożółkłe dłonie dziewczęcia. Bolesne przeczucie ściskało jej serce.

Oblicze uśpionej miało szczególny wyraz: jeszcze nigdy nie odbijało się na niem tyle nadnaturalnego wdzięku. Całe jej drobne ciało wydawało się przezroczystem i kruchem, jak delikatne ścianki amfory alabastrowej, rozjaśnione ogniem wewnętrznym.

Ogień ten miał zgasnąć razem z życiem Myrry dopiero.

XIX.

Późnym wieczorem przez gęsty, bagnisty las w pobliżu Renu, pomiędzy warownią Tres Tabernae a miastem rzymskiem Argentoratum, przed niedawnymi czasy zdobytem przez Alamanów, przedzierało się dwóch spóźnionych wojowników. Jeden z nich, Aragaris, niezgrabny olbrzym rudowłosy z twarzą dziecinnie dobroduszną, był Sarmatą na służbie Rzymian, drugim zaś był Strombix chudy, pomarszczony i ogorzały Syryjczyk.

Pomiędzy pniami drzew, okrytymi mchem i naroślami grzybowemi, panowała ciemność. W ciepłem powietrzu cicho padał deszcz drobny. Pachnęły świeże liście brzóz i wilgotne igły choin. Zdala odzywała się kukułka.

Za każdym szelestem lub trzaskiem suchego chróstu Strombix poczynał drżeć z przerażenia i chwytał za rękę towarzysza.

— Wujaszku! ach, wujaszku!

Nazywał Aragarisa wujaszkiem nie z pokrewieństwa, lecz z przyjaźni. Z dwóch przeciwległych krańców świata

dostali się do armii rzymskiej. Północny barbarzyńca, żarłoczny a czystych obyczajów, pogardzał tchórzliwym, lubieżnym i umiarkowanym w jedzeniu i piciu Syryjczykiem. Ale drwiąc z niego, jednocześnie litował się nad nim, jak nad dzieckiem.

— Wujaszku!—szlochał Strombix.

— No, co tam znowu? Daj mi pokój.

— Czy w tym lesie są niedźwiedzie?

— Są — odparł Aragaris ponuro.

— A gdybyśmy się z którym zetknęli, co?

— Zabilibyśmy go, sprzedali skórę i przepili.

— A gdyby tak... naopak... on właśnie...

— Tchórzu! Odrazu widać, żeś chrześcijanin.

— Dlaczegoż to chrześcjanin zaraz ma być tchórzem?—obraził się Strombix.

— Sam przecie mi mówiłeś, co w waszej księdze stoi: „Jeżeli cię uderzą w lewy policzek, nadstaw prawy."

— Tak jest, w istocie.

— Więc widzisz. Jeżeli tak, to, na mój rozum, nie powinno się wojować. Jak cię wróg palnie w jeden policzek, to co?.. nadstawiasz drugi? Wszyscyście tchórze—i tyle.

— Cezar Julian jest chrześcijaninem, a przecie nie tchórz—bronił się Strombix.

— Wiem o tem, siostrzeńcze,—ciągnął Aragaris—że potraficie przebaczać nieprzyjaciołom, gdy dochodzi do potyczki. Wymokłe kury! Masz brzuch nie większy od mojej pięści, ząbkiem czosnku możesz się opchać na cały dzień.. Dlatego też zamiast krwi masz błotnistą wodę.

— Ach, wujaszku, wujaszku!—tonem wymówki rzekł Strombix. — Pocóżeś wspomniał o pożywieniu! Znowu mi świdruje w dołku! Daj mi trochę czosnku, jeżeli co masz w torbie.

— Jak ci oddam, co zostało, jutro zdechniemy obaj z głodu w tym lesie.

— Ach, mdli mię, jeżeli mi nie dasz natychmiast, padnę z wycieńczenia, i będziesz mnie musiał nieść.

— Masz, nasyć się, psie!

— I okruszynę chleba!—błagał Strombix.

Aragaris oddał mu, klnąc, ostatni kawałek żołnierskiego suchara, „bukcenatu.” Sam najadł stę poprzedniego dnia za dwóch słoniny wieprzowej z grochem.

— Baczność!—rzekł, zatrzymując się.—Słychać głos rogu! Obóz musi być niedaleko. Trzeba iść w kierunku północnym. Niedźwiedzi się nie boję, — dodał Aragaris zakłopotany—ale centuryon...

Żołnierze przezywali tego nienawistneco setnika „Cedo-Alteram” co znaczy: „Podaj nową,” ilekroć bowiem rózga, którą chłostał opieszałego żołnierza, łamała się, wykrzykiwać zwykł wesoło: „Cedo alteram!”

I te dwa wyrazy stały się jego przydomkiem.

— Jestem pewien, — mówił barbarzyńca—że Cedo-Alteram uczyni z moim grzbietem to, co garbarz ze skórą wołową! Kiepska sprawa, mój siostrzanie, oj, kiepska!

Pozostali z tyłu wojska dlatego, że Aragaris, według zwyczaju, upił się do utraty przytomności w rabowanej wiosce, Strombix zaś był pobity. Mały Syryjczyk napróżne usiłował pozyskać względy pewnej ładnej dziewczyny Frankonki. Szesnastoletnia piękność, córka zabitego wutarczce barbarzyńcy, poczęstowała go dwoma policzkami takiej mocy, że upadł na wznak, poczem skopała go tęgiemi nogami.

— To dyabeł, nie dziewczyna—opowiadał Strombix.

— Zaledwiem ją uszczypnął, a ona mało mi kości nie pogruchotała.

Dźwięki rogu stawały się coraz wyraźniejsze. Aragaris, węsząc na podobieństwo ogara, zauważył, że czuć dym. W pobliżu snadź były rozłożone ogniska.

Noc czyniła się ciemniejsza, zaledwie można było rozróżnić drogę. Ścieżka ginęła śród bagien. Trzeba było przeskakiwać z kępy na kępę. Mgła zapadała.

Niespodzianie z wielkiej jodły, której omszone konary przypominały długą siwą brodę, zerwało się coś z przeraźliwym krzykiem. Strombix przykucnął ze strachu.

Zabłądzili ostatecznie. Strombix wdrapał się na drzewo.

— Ogniska są na północ. Niedaleko. Widać tam szeroką rzekę.

— To Ren, Ren! — zawołał Aragaris. — Chodźmy prędzej!

Zaczęli się przeciskać pomiędzy brzozami i osikami stuletniemi.

— Wujaszku, tonę! — skomlał Strombix.—Coś mnie za nogę ciągnie! Gdzieżeś ty?..

Z wysiłkiem Aragaris wydobył go z trzęsawiska i śród przekleństw wsadził sobie na plecy. Wkrótce Sarmata namacał nogami nawpół zgniłe pale faszyn, założonych przez Rzymian. Te faszyny doprowadziły ich do wielkiego gościńca, który wycięło niedawno wojsko Sewera, wodza Julianowego. Barbarzyńcy, ażeby przeciąć drogę, zatarasowali ją według swego zwyczaju olbrzymimi pniami drzew zwalonych.

Trzeba się było przez nie przedzierać. Drzewa te, bądź zbutwiałe, mchem pokryte i rozsypujące się pod nogami, bądź twarde i oślizgłe na deszczu, nadzwyczaj utrudniały przejście. Po takich to drogach, w ciągłem oczekiwaniu napadów, musiała dążyć armia Juliana, z trzy-

dziestu tysięcy ludzi złożona, którą wszyscy wodzowie cesarscy, oprócz Sewera, porzucili zdradziecko.

Strombix kaprysił i przeklinał towarzysza.

— Nie pójdę dalej, poganinie!.. Wolę się położyć na zeschłych liściach i zdychać tutaj. Przynajmniej nie będę patrzał na twoją twarz przeklętą. Och, niewierny! Widać odrazu, że nie nosisz krzyża. Słyszane to rzeczy, żeby chrześcijanie w ten sposób włóczyli się po drogach, i do tego w nocy? I dokąd nam tak śpieszno? Pod rózgi centuryona! Idź sobie sam—ja się nie ruszam.

Aragaris gwałtem go pociągnął, i jak tylko droga nieco gładszą się stała, znowu wziął na plecy kapryśnego towarzysza, który go łajał i szczypał, dopóki po niejakim czasie nie usnął głęboko na grzbiecie „poganina.”

O północy dostali się do bram obozu rzymskiego. Cicho było wszędzie. Most zwodzony na głębokim rowie oddawna już podniesiono. Przyjaciele musieli spędzić noc w lesie, w pobliżu tylnych wrót, zwanych dekumańskiemi.

O świcie zabrzmiały trąby. W zamglonym lesie śpiewał jeszcze słowik, zamilkł jednak, spłoszony wojowniczymi dźwiękami. Do Aragarisa po przebudzeniu doleciał zapach gorącej zupy żołnierskiej, zbudził więc Strombixa. Obaj byli tak głodni, że zapominając o sękatej rózdze Cedo-Alteram, weszli do obozu i zasiedli przy wspólnych kotłach.

W namiocie głównym opodal wrót „pretoryańskich” czuwał cezar Julian.

Od chwili, gdy za wstawieniem się cesarzowej Euzebii był w Medyolanie mianowany cezarem, Julian poświęcił się z zapałem ćwiczeniom rycerskim. Nie poprzestając na studyowaniu pod kierunkiem Sewera wyższej sztuki wojennej, chciał się także zapoznać dokładnie z rzemiosłem prostego żołnierza. Przy dźwięku trąb, w koszarach, na

polu ćwiczeń, w ciągu dni całych uczył się z nowozaciężnymi maszerować, strzelać z łuku i procy, biedz pod ciężarem całkowitego rynsztunku, przeskakiwać rowy i płoty, walczyć na miecze. Przemagając hypokryzyę mniszą, budziła się w młodzieńcu krew rodu Konstantyna, na który się złożyły liczne pokolenia surowych i zaciętych wojowników.

— Niestety, boscy Jamblichu i Platonie, gdybyście widzieli, co się stało z uczniem waszym!—wołał chwilami, ocierając pot, płynący z czoła, a wskazując swoją zbroję spiżową, dodawał:

— Nie prawdaż, Sewerze?.. ta zbroja równie mało przystoi mnie, uczniowi filozofów, jak siodło wojenne ociężałemu wołowi?

Sewer nie odpowiadał, uśmiechając się chytrze. Wiedział on, że te westchnienia i skargi nie były szczere, że owszem Julian był zachwycony postępami swymi w sztuce bojowej.

W ciągu kilku miesięcy do tego stopnia się przeobraził, wyrósł i zmężniał, że wielu nie mogło poznać szczupłego „Greczynka,” jak nazywano go niegdyś na dworze Konstancyusza. Oczy nie uległy zmianie i błyszczały wciąż ogniem zagadkowym, zbyt silnym, prawie gorączkowym, co sprawiało, że jego spojrzenia nie można było zapomnieć. Z każdym dniem Julian uczuwał się silniejszym nietylko fizycznie, lecz także i duchowo. Po raz pierwszy w życiu czuł się szczęśliwym ze szczerej miłości prostaczków.

Odrazu zjednało mu to serca legionistów, że widzieli, jak cezar, krewny Augusta, uczy się rzemiosła wojskowego w koszarach, nie okazując wstrętu do szorstkiego trybu życia żołnierzy. Ponure twarze starych wojowników rozjaśniał uśmiech czuły, gdy podziwiali wzrastającą ciągle

zręczność cezara i, wspominając własne lata młode, zdumiewali się nad jego szybkimi postępami.

Julian podchodził do nich, rozmawiał, słuchał opowiadań o dawnych bojach, zasięgał wskazówek co do tego, jak przywiązać pancerz, aby rzemienie zbytnio nie uciskały, albo jak stawiać kroki w ten sposób, ażeby jak najmniejszego doznać znużenia podczas długich pochodów.

Krążyły wieści, że cesarz Konstancyusz umyślnie posłał niedoświadczonego młodzieńca przeciw barbarzyńcom galijskim, ażeby wśród nich śmierć znalazł, że tą drogą chciał się pozbyć rywala, że dowódcy za podszeptem eunuchów cesarskich zdradzili młodego cezara.

To wszystko podniecało jeszcze miłość legionistów ku Julianowi.

Z przezorną zabiegliwością, z całym talentem pozyskiwania życzliwych, nabytym przez wychowanie klasztorne, Julian czynił wszystko dla utrwalenia wzbudzonego ku sobie przywiązania i nienawiści ku cesarzowi. Wobec żołnierzy mówił o bracie Konstancyuszu tonem dwuznacznej uniżoności, ze spuszczonemi oczyma i miną ofiary. Nieustraszoność jego sprzyjała tem łatwiejszemu podbiciu serc wojaków, ponieważ śmierć na polu walki wydawała się mu pożądaną w porównaniu z tą, jakiej uległ Ga i jaką zapewne cesarz i dla niego także gotował.

Julian urządził sobie życie według twardego wzoru zdobywców starożytnych. Wychowanie stoickie pedagoga Mardoniusza dopomagało mu do znoszenia całkowitego braku wygód. Sypiał mniej od prostego żołnierza, przytem nie na łożu, tylko na kobiercu kosmatym, zwanym przez lud „suburra.” Pierwszą część nocy przeznaczał na sen, drugą na sprawy państwowe i wojenne, trzecią poświęcał Muzom.

Z ulubionemi księgami nie rozstawał się w czasie pochodów. Czerpał natchnienie z Marka Aureliusza, Plutarcha, Swetoniusza, z Katona Cenzora. W dzień usiłował wprowadzić w wykonanie to, co umyślił nocą przy książkach.

W pamiętny poranek przed bitwą pod Argentoratum, usłyszawszy pobudkę o świcie, Julian przywdział pośpiesznie całkowitą zbroję i kazał podać rumaka. W oczekiwaniu przeszedł do najskrytszego kącika namiotu. Stał tam wdzięczny posążek skrzydlaty Merkurego z kaduceuszem, w ręce—boga ruchu, powodzenia i radości. Julian schylił się i rzucił na niewielki trójnóg parę ziarnek kadzidła. Z kierunku dymu cezar, mający pretensyę do znajomości sztuki wróżbiarskiej, wnioskował o pomyślności dnia. W nocy słyszał trzykrotnie krakanie kruka z prawej strony namiotu, co było złą wróżbą.

Julian był do tego stopnia przeświadczony, iż niespodziewane powodzenia wojenne w Galii zawdzięcza mocom nadprzyrodzonym, że z dniem każdym stawał się przesądniejszym.

Wychodząc z namiotu, potknął się o belkę, położoną zamiast progu. Oblicze cezara spochmurniało. Wszystkie znaki były niepomyślne. Postanowił w duszy odłożyć bitwę do następnego dnia.

Wojsko wyruszyło w pochód. Droga przez las była uciążliwa; stosy drzew zwalonych przegradzały ją co chwila. Zapowiadał się dzień upalny. Armia przebyła zaledwie połowę drogi, i około południa do obozu barbarzyńców, rozłożonego na lewym brzegu Renu śród wielkiej równiny przed miastem Argentoratum, pozostawało jeszcze więcej niż dwadzieścia jeden tysięcy kroków.

Żołnierze byli znużeni.

Jak tylko z lasu wydostali się na pole, Julian zgromadził wojsko dokoła siebie i uszykował wkrąg, jak wi-

dzów w amfitaetrze w ten sposób, iż sam stanowił środek centuryi i kohort, które od niego rozchodziły się dłngimi promieniami. Układ taki był w zwyczaju w armii rzymskiej, ażeby jak największa liczba ludzi mogła słyszeć słowa dowódcy.

Julian w kilku krótkich i prostych zdaniach wyjaśnił legionom, że znużenie może źle wpłynąć na rezultat rozprawy, że przeto rozsądniej będzie rozbić namioty na tem polu, wypocząć i nazajutrz ze świeżemi siłami natrzeć na wrogów.

W wojsku powstało szemranie. Żołnierze poczęli uderzać włóczniami o tarcze, co było znakiem zniecierpliwienia. Domagali się w krzykach, żeby Julian prowadził ich niezwłocznie na plac boju. Cezar spojrzał dokoła i z wyrazu twarzy żołnierskich zrozumiał, że opór byłby wielkim błędem. Odczuwał w tłumach ten dreszcz straszliwy, tak dobrze mu znany, który był nieodzownym dla zwycięstwa i który przy najmniejszej nieostrożności mógł się zamienić we wściekłość.

Skoczył przeto na konia i dał znak rozpoczęcia na nowo pochodu. Odpowiedział mu okrzyk zapału, i armia ruszyła z miejsca.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy doszli do równiny pod Argentoratum. Ren jaśniał pomiędzy nizkiemi wzgórzami. W stronie południowej wznosiły się ciemne Wogezy, lasami pokryte. Jaskółki szybowały nad wspaniałą rzeką germańską. Wierzby chyliły ku niej srebrzyste gałązki.

Wtem na pagórku najbliższym ukazało cię trzech jeźdźców. Byli to barbarzyńcy.

Rzymianie zatrzymali się i stanęli w szyku bojowym. Julian w otoczeniu sześciuset rycerzy konnych w żelaznej zbroi, zwanych clibanarii, dowodził jazdą na prawem skrzy-

dle, na lewem ustawiła się piechota pod wodzą doświadczonego Sewera, którego wskazówek zresztą słuchał sam Julian. arbarzyńcy wystawili swą konnicę naprzeciw Juliana z królem Alamanów, Chnodomarem, na czele; przeciwko Sewerowi młody bratanek Chnodomara, Agenaryk, prowadził piechotę.

Zagrały rogi, trąby miedziane i zagięte bukcyny. Znaki, sztandary z nazwiskami kohort, smoki purpurowe, miedziane orły rzymskie skupiły się. Na samym przodzie, ze spokojnemi i poważnemi twarzami, postępowali krokiem ciężkim i regularnym, od którego ziemia huczała i drżała, topornicy i primopilaryusze, nawykli do zwycięstw.

Wtem zatrzymała się piechota Sewera. Ukryci w rowie barbarzyńcy nagle wyskoczyli z zasadzki i rzucili się na Rzymian. Julian z oddalenia dojrzał szerzący się zamęt i popędził z pomocą. Starał się uspokoić żołnierzy i zwracał się do jednej, to do drugiej kohorty, naśladując dobitny styl Juliusza Cezara. Przemawiając: „Exurgamus, viri fortes!"—albo: „Advenit, socii, justum pugnandi jam tempus!"—ten młodzian dwudziestoletni myślał z dumą: „Oto jestem podobny do tego a tego dowódcy." I nawet w samym ogniu potrzeby czuł się w myśli otoczonym księgami i rad był, że wszystko się odbywa zgodnie z opisami Tytusa Liwiusza, Plutarcha i Salustyusza. Doświadczony Sewer poskramiał jego zapalczywość zimną krwią swoją i rozsądkiem, a pozwalając Julianowi na pewną swobodę, nie porzucał jednak ogólnego kierowania bojem.

Świsnęły strzały, i włócznie barbarzyńców na długich arkanach, i olbrzymie głazy, wyrzucane z machin wojennych.

Rzymianie znaleźli się wreszcie oko w oko ze straszliwymi i tajemniczymi ludami Północy, mieszkańcami

zaklętych borów zareńskich, o których krążyło tyle nieprawdopodobnych podań. Nosili oni najpotworniejsze uzbrojenia. Niektórzy mieli plecy okryte skórą niedźwiedzią, a na kudłatej głowie zamiast szyszaka—paszczę zwierzęcą z wyszczerzonymi kłami. Inni nosili hełmy przybrane rogami jelenia lub byka. Alamani gardzili śmiercią do tego stopnia, że rzucali się w bój całkiem nago, jedynie z mieczem i włócznią w dłoni. Włosy rude, u czubka głowy przewiązane, opadały im na kark grubą kitą albo warkoczem, przypominającym grzywę. Na ogorzałej cerze uwydatniały się jasne wąsy, długie, obwisłe. Znaczna liczba tak była dziką, że nie używała żelaza, ale walczyła dzidami z ością rybią u ostrza, napojoną silną trucizną, co je czyniło niebezpieczniejszemi od grotu, gdyż najlżejsze draśnięcie tych szpilek kościanych sprowadzało powolną śmierć w strasznych męczarniach. Zamiast zbroi byli od stóp do głowy pokryci cienkiemi warstwami rogu z kopyt końskich, naszytemi na płótno. W takim stroju wydawali się ci barbarzyńcy jakimiś dziwacznymi potworami, ubranymi w pióra ptasie i łuski rybie.

Byli tam i Sasi o blado-niebieskich oczach, których morze nie przerażało nigdy, ale którzy obawiali się lądu, i Sykambrowie, którzy po porażce na znak żałoby golili głowy, i Herule o źrenicach zielonych, jak fale Oceanu, którego zamieszkiwali brzegi, i Batawowie, i Sarmaci dzicy, i jeszcze jacyś bezimienni, pół-ludzie, pół-zwierzęta, których przerażające twarze widzieli Rzymianie jedynie w chwili zgonu.

Primopilaryusze, zetknąwszy puklerze, tworzyli zwarty mur śpiżowy, niedostępny dla wszelkich pocisków; zwolna, bez przerwy podążający naprzód Alamani rzucili się na nich z dzikim okrzykiem, przypominającym ryk nied

wiedzi. Zawrzała walka pierś przeciw piersi, tarcza przeciw tarczy. Ponad równiną wzbiła się kurzawa tak gęsta, że zaćmiła promienie słońca.

W tej chwili na prawem skrzydle żelazne zastępy konnych klibinaryuszów zachwiały się i rzuciły do ucieczki, grożąc stratowaniem stojących z tylu legionów. Skroś obłoku strzał i włóczni zabłysła tam w pełnem słońcu ognistej barwy przepaska na głowie olbrzymiego króla Chnodomara.

Julian w czas dobiegł cwałem na swym wronym rumaku, białym od piany. Zrozumiał podstęp. Ukryta w szeregach konnicy piechota barbarzyńska wczołgiwała się pod wierzchowce rzymskie, płatając im brzuchy cięciem krótkiego miecza. Konie padały, pociągając za sobą pancernych katafrastów, którzy przygnieceni ciężarem swej zbroi, podnieść się nie mogli.

Julian stanął wpoprzek ich drogi. Musiał albo powstrzymać pierzchających jeźdźców, albo paść pod kopytami koni. Zmykający trybun klibinaryuszów wpadł na niego. Poznał Juliana, wstrzymał konia, pobladł ze wstydu i przerażenia. Wszystka krew napłynęła Julianowi do głowy; zapominając o swych księgach klasycznych, wychylił się, chwycił zbiega za kark i krzyknął głosem dzikim, który jemu samemu obcym się wydał:

— Tchórzu!

I odwrócił trybuna twarzą ku nieprzyjacielowi. Wtedy katafraści zatrzymali się wszyscy. Poznali wystrzępionego w boju szkarłatnego smoka cezarowego i stali w pomieszaniu. Ale po chwili cała masa żelazna zwróciła się z chrzęstem i runęła znowu na nieprzyjaciół.

Stał się zamęt. Włócznia ugodziła Juliana prosto w piersi; jedynie pancerzowi zawdzięczał ocalenie. Strzała swisnęła mu koło ucha, musnąwszy piórami policzek.

Na pomoc słabnącej konnicy Sewer wysłał straszliwe legiony Kornutów i Brakatów, nawpół dzikich sojuszników Rzymian. Ci mieli zwyczaj rozpoczynać swój hymn wojenny „Barryt," dopiero w krwawem upojeniu walką:

Zaczęli śpiewać głosem cichym a żałosnym, i pierwsze tony spokojne były jak nocny szmer liści, ale powoli Barryt stawał się głośniejszym, uroczystszym i straszliwszym, aż wreszcie przeszedł we wściekły, ogłuszający ryk, niby ryk wzburzonego morza, rozbijającego się o skały. Śpiew ten oszołamiał ich do zapomnienia o sobie.

Julian przestał widzieć i pojmować, co się działo dokoła niego. Czuł tylko nieznośne pragnienie i ból w zmęczonej ręce od trzymania miecza. Stracił poczucie czasu. Ale Sewer zachowywał całą przytomność umysłu i kierował walką z nieporównaną roztropnością. Przerażony i zmieszany Julian dostrzegł pomarańczową przepaskę tęgiego Chnodomara w samem sercu legionów. Jazda barbarzyńska wdarła się klinem w środek armii rzymskiej. Julianowi przeleciała przez głowę myśl: „Wszystko stracone!" Przypomniał sobie niepomyślne wróżby poranne i zwrócił się z ostatnią prośbą do bogów olimpijskich:

— Przybądźcie mi na pomoc! albowiem któż, jeżeli nie ja, wskrzesi władzę waszą nad światem?

Środek wojska stanowili starzy weterani z legionu Petulanów, czyli „Wrzących," nazwanych tak dla niezwykłej odwagi. Sewer liczył na nich i nie zawiódł się. Jeden z nich zawołał:

— Viri fortissimi! Najwaleczniejsi z walecznych Nie zdradzajmy Rzymu i naszego cezara! Umrzyjmy za Juliana!

— Niech żyje cezar Julian!.. Za Rzym!.. — odpowiedziały pełne stanowczości głosy.

I osiwiali pod sztandarami starcy raz jeszcze szli na śmierć ze spokojem i powagą.

Tchnienie potężnej Romy przeleciało nad zastępami. Julian z oczyma we łzach zapału rzucił się ku weteranom, ażeby umrzeć z nimi razem. Poczuł znowu, że siła szczerej miłości, siła ludu unosi go na skrzydłach i wiedzie ku sławie.

Wtedy trwoga owładła tłumami barbarzyńców. Zachwiali się i pierzchli.

A miedziane orły legionów z drapieżnymi dziobami, z rozpostartemi skrzydły, błyszcząc groźnie w słońcu, wzleciały raz jeszcze, by zwiastować rozproszonym oddziałom zwycięstwo Wiecznego Miasta.

Alamani i Frankowie konali, walcząc do ostatniego tchnienia.

Klęcząc w kałuży krwi, barbarzyniec wywijał jeszcze stępionym mieczem lub dzidą w słabnącej dłoni, a w zamglonem jego spojrzeniu nie było widać ani trwogi, ani rozpaczy, tylko pragnienie zemsty i pogardę względem zwycięzcy. Nawet ci, których uważano za trupów, podnosili się, zmiażdżeni napoły, chwytali zębami za nogi wrogów i wpijali się w nie tak silnie, że Rzymianie musieli ich wlec za sobą. Sześć tysięcy barbarzyńców padło na polu walki lub potonęło w Renie.

Wieczorem, gdy cezar Julian stał na wzgórzu, otoczony jak aureolą promieniami zachodzącego słońca, przyprowadzono do niego króla Chnodomara, wziętego do niewoli na prawym brzegu rzeki. Sapał on ciężko, olbrzymi, spocony, zsiniały. Ręce miał skrępowane z tyłu. Ukląkł przed swym zwycięzcą, a młody dwudziestosześcioletni cezar położył drobną dłoń na kudłatej głowie barbarzyńskiego konunga.

XX

Był czas winobrania. Po całych dniach powietrze drżało od pieśni na wybrzeżach wesołej zatoki Neapolitańskiej.

W ulubionej przez Rzymian miejscowości zamiejskiej, w Bajach, słynnych ze swych kąpieli siarczanych, ludzie bezczynni rozkoszowali się przyrodą, wymyślniejszą i lubieżniejszą jeszcze, niż oni.

Był to nieskażony kącik tego wykwintnego i zacisznego świata, który czarował wyobraźnię Horacego, Propercyusza i Tybulla. Najlżejszy cień wieku zakonników nie przyćmił jeszcze tego słonecznego wybrzeża między Wezuwiuszem a przylądkiem Misena. Nie zaprzeczano tam chrześcijaństwa, ale się z niem załatwiano za pomocą lekkiego żartu. Grzesznice nie pokutowały tam jeszcze, owszem niewiasty uczciwe raczej wstydziły się cnoty, jako rzeczy niemodnej. Gdy dochodziły wieści o nowych proroctwach Sybilli, grożących zgrzybiałemu światu zagładą ostateczną, albo o nowych zbrodniach i ponurych praktykach pobożnych cesarza Konstancyusza, o najeździe Persów na Wschodzie, o chmurach barbarzyńców, nadciągających z Północy, o pustelnikach, tracących obraz człowieczeństwa w pustyniach Tebaidy — szczęśliwi mieszkańcy Bajów, przymykając oczy, wdychali wietrzyk łagodny, przeniknięty wonią winogron z Falerna, tylko co wyciśniętych pod prasą, i pocieszali się epigramatami. Na zapomnienie o klęskach Rzymu, przepowiedniach końca świata, wystarczały im krótkie i ładne wierszyki, które sobie wzajemnie posyłali w upominku.

Coś starczego i dziecięcego zarazem dało się czytać na wesołych twarzach ostatnich epikurejczyków. Ani świeże wody słone kąpieli morskich, ani gorące źródła siarczane Bajów nie zdołały całkowicie wyleczyć tych młodzieńców zwiędłych i wątłych, łysych w dwudziestym roku życia i zestarzałych nie przez własne nadużycia, lecz przez nadużycia przodków, już znudzonych literaturą, wiedzą, kobietami, zdolnych a strawionych niemocą, noszących w żyłach bladą, stygnącą krew pokoleń spóźnionych.

W jednym z najkwiecistszych i najwygodniejszych kącików pomiędzy Bajami a Puteolami, pośród czarnych płaskich wierzchołków limb italskich, bieliły się marmurowe ściany willi.

Przy wielkiem oknie, otwartem prosto na morze, tak, że z pokoju nie widać było nic, prócz fal i nieba, leżała na łożu Myrra.

Lekarze nie mogli zrozumieć jej choroby, ale Arsinoe, widząc, że siostra z każdym dniem traci siły i niknie, wywiozła ją z Rzymu na brzeg morza.

Pomimo choroby, Myrra, wzorem zakonnic i pustelników, sama sprzątała w pokoju, sama przynosiła sobie wodę i próbowała nawet prać bieliznę i gotować w kuchni. Przez długi czas, dopóki wytrzymać mogła, nie dawała się namówić do spoczynku, spędzając noce na modlitwach i czytaniu, a pewnego dnia przerażona Arsinoe dostrzegła na wątłem ciele siostry włosiennicę. Ze swej izdebki maleńkiej Myrra kazała usunąć wszystkie przedmioty zbytkowne, tkaniny i sprzęty, nie pozostawiając nic, prócz łoża i prostego krzyża drewnianego. Pokój z gołemi ścianami stał się podobnym do celi mniszej. Myrra zachowywała ściśle posty, i Arsinoe miała trudną walkę z tą wolą upartą a łagodną.

Nudy znikły bez śladu z życia Arsinoe. Przechodziła z nadziei wyzdrowienia Myrry do rozpaczy, a lubo nie kochała jej więcej, niż dawniej, jednakże teraz dopiero w obawie przed rozstaniem na wieki lepiej zrozumiała swą miłość.

Nieraz z macierzyńską litością spoglądała Arsinoe na tę twarz delikatną i wychudłą, tchnącą niebiańskim wdziękiem, na to drobne ciało, trawione zbyt silnym ogniem wewnętrznym. Gdy chora wzdragała się przyjmować wino lub pokarm, przepisany przez lekarzy, Arsinoe mówiła, rozdrażniona:

— Alboż ja tego nie widzę, Myrro, że ty szukasz śmierci? Co ty wyprawiasz z sobą?

— Nie wszystko-ż to jedno *żyć*, albo umrzeć?—odpowiadała dziewczyna z takiem głębokiem przekonaniem, że Arsinoe nie mogła znaleźć odpowiedzi.

— Ty mnie nie kochasz...

Ale Myrra, pieszcząc ją, zapewniała:

— Droga moja, ani wiesz nawet, jak ja cię kocham... O! gdybyś ty mogła tylko...

Chora nie kończyła nigdy i nie zapytywała siostry o to, czy wierzy. Ale chwilami wlepiała w nią spojrzenie smutne, jak gdyby chciała, ale bała się coś jej powiedzieć. Arsinoe czuła w tem długiem spojrzeniu zarzut niemy, jednakże i ona także nie rozmawiała z nią o wierze, nie miała odwagi dzielić szalonej nadziei nieśmiertelności.

Myrra słabła z dniem każdym, topniała jak wosk płonącej świecy, a w miarę tego stawała się coraz weselsza i spokojniejsza.

Juwentyn, który uciekł był z Rzymu przed nagabywaniami matki i oczekiwał z Dydymem w Neapolu odejścia statku do Aleksandryi, odwiedzał je każdego wieczoru.

Czytywał im Ewangelię i opowiadał legendy o świętych pustelnikach. O, jakże zazdrościła Myrra tym niewiastom, które od kilkunastu lat nie widząc twarzy ludzkiej, żyły, nagie jak w raju, na dnie odchłani, pod nieprzeniknionym namiotem drzew zielonych, nad brzegiem chłodnego strumienia! Wiecznie radosne, dniem i nocą wysławiały Trójjedynego Boga, karmiąc się ziarnkami, które im ptaki boże znosiły, nie obawiając się ani mrozu w zimie, ani skwaru w lecie, albowiem Bóg okrywał je i ogrzewał swą łaską.

Z dziecinną radością słuchała opowiadania o błogosławionym Erazmie, który zaprzyjaźnił się ze lwem i mieszkał z nim w jednej jaskini. Lew prowadził do wody jego osła i spoglądał łagodnie jasnem, królewskiem swem wejrzeniem na świętego, który go głaskał po twardej grzywie. Po zgonie świętego zwierz długo błąkał się po pustyni, żałośnie porykując. A gdy go przyprowadzono do grobu Erazma, lew począł obwąchiwać ziemię, odmawiał pokarmu i nie chciał odejść od grobu, aż zdechł.

Wzruszało ją podanie o innym pustelniku, który przywrócił wzrok ślepym szczeniętom hyeny, przez matkę w pysku przyniesionym do stóp świętego.

O, jakżeby pragnęła Myrra udać się do tych jaskiń ponurych i ciemnych, do tych istot wzniosłych i tajemniczych! Pustynia nie wydawała jej się smutną i bezpłodną, lecz zieloną i kwitnącą jak raj ziemski, pełną cudów, opromienioną blaskiem takim, jakiemu podobnego nie znaleźć na świecie całym. Dusiła się pod dachem domu. Nieraz, rozgorączkowana cierpieniami, stęskniona do Tebaidy, patrzała na białe żagle statków, niknące w oddali, i wyciągała ku nim swoje blade dłonie. O! gdybyż mogła ulecieć ich śladem i odetchnąć czystem powietrzem pełnej milczenia i spokoju pustyni! Nieraz próbowała

wstać, zapewniając, iż czuje się lepiej, że wkrótce do zdrowia powróci, w tajonej nadziei, że jej pozwolą odjechać z Dydymem i Juwentynem, gdy tylko statek z Aleksandryi nadpłynie.

Anatol, wierny wielbiciel Arsinoi, także mieszkał w Bajach. Młody epikurejczyk urządzał zachwycające przejażdżki w złoconych łodziach z jeziora Averno do zatoki w gronie wesołych towarzyszów i pięknych kobiet. Rozkoszował się widokiem śpiczastych żagli purpurowych, sunących po uśpionem morzu, delikatnymi odcieniami zorzy wieczornej na skałach Caprei i zamglonej Ischii, które wyglądały jak olbrzymie przezrocze ametysty, bawił się żartami przyjaciół z wiary bogów, cieszył aromatem wina, upajającymi, choć fałszywymi pocałunkami zalotnic.

Ale ilekroć wstępował do cichej celi Myrry, uczuwał, że i druga strona życia była dla niego dostępną. Wzruszał go niewinny powab bladej twarzyczki dziewczęcia. Pragnął wierzyć w to wszystko, co stanowiło jej wiarę: w słodkiego Galilejczyka i w cudowną nieśmiertelność. Przysłuchiwał się opowiadaniom Juwentyna, i życie anachoretów wzniosłem mu się wydawało.

Ze zdziwieniem spostrzegał Anatol, że prawda istniała dla niego zarówno w upajaniu się życiem, jak i w zaparciu się świata, w tryumfie materyi, jak i w tryumfie duszy, w umartwieniu, jak i w zmysłowości. Myśl jego pozostawała czystą. Nie czuł żadnych wyrzutów.

Nawet wątpliwości miały dla niego urok nowej zabawy, i te miękkie a głębokie fale życia, te przejścia od pogaństwa do chrystyanizmu nie męczyły go, ale raczej kołysały.

Pewnego wieczoru Myrra zasnęła przy otwartem oknie. Budząc się, rzekła do Juwentyna z promiennym uśmiechem:

— Miałam dziwny sen...

— Jaki?

— Nie mogę sobie przypomnieć. Ale był to sen szczęścia. Czy wierzysz w to, że cały świat będzie zbawiony?

— Wszyscy sprawiedliwi dostąpią zbawienia, grzesznicy zaś będą ukarani.

— Sprawiedliwi, grzesznicy!.. Ja myślę inaczej — odpowiedziała Myrra, uśmiechając się ciągle w zamyśleniu, jak gdyby starała się sobie sen przypomnieć. — Wiesz, Juwentynie, ja wierzę, że wszyscy, wszyscy będą zbawieni, że Bóg nie będzie miał żadnej zgubionej istoty!

— Tak myślał wielki nauczyciel Orygenes, który mawiał: „Salvator meus laetari non potest, donec ego in iniquitate permaneo" (Zbawiciel mój nie może się radować, dopóki pozostaję w nieprawości). Ale to jest herezya...

Myrra, nie słuchając go, mówiła dalej:

— Tak, tak. Musi być tak, teraz to zrozumiałam: wszyscy będą zbawieni, co do jednego! Bóg nie pozwoli, aby jedno nawet ze stworzeń Jego miało być zgubionem.

— Chciałem niegdyś wierzyć tak samo, — wyszeptał Juwentyn — ale bałem się...

— Nie trzeba się bać... Gdzie jest miłość, tam bojaź być nie może. Ja się nie boję niczego.

— A... on? — zapytał Juwentyn z pewną nieśmiałością.

— Kto?

— Ten, którego wspominać się nie godzi. Zbuntowany!

— I on, i on także! — zawołała Myrra tonem zuchwałej wiary. — Dopóki istnieć będzie jedna choćby dusza, która nie osiągnęła zbawienia, dopóty żadna istota nie

będzie się cieszyła szczęściem zupełnem. Skoro miłość jest bez granic — więc jakże? Wszystko będzie w Bogu, i Bóg będzie we wszystkiem. Przyjacielu, co to za szczęście — życie! Zrozum tylko. Tego jeszcze ocenić nie umiemy! Ale trzeba błogosłowić wszystkiemu—pojmujesz, bracie mój, czy czujesz, co to znaczy błogosławić wszystkiemu?

— Nawet złemu?

— Złe nie istnieje, skoro niema śmierci.

Przez otwarte okno dochodziły echa piosnek bachicznych towarzyszów Anatola, ucztujących w purpurowych łodziach ze śpiczastymi żaglami na ściemniałym wieczornym błękicie morza.

Myrra wskazała na nich.

— I to również jest piękne. I im błogosławić trzeba— wyszeptała z cicha jakby do siebie.

— Błogosławić grzeszne śpiewy?—zapytał Juwentyn z niepokojem.

Myrra potrząsnęła głową:

— Nie! Wszystko jest dobre, wszystko jest czyste. Piękność od Boga pochodzi. Czego się obawiasz, przyjacielu? O! jakiej potrzeba swobody, ażeby kochać!. Kochaj Go i nie bój się. Ty nie wiesz jeszcze, ile szczęścia daje życie!

Westchnęła ciężko, jak gdyby w przeczuciu bliskiego odpocznienia, dodając:

— I ile szczęścia śmierć daje...

Była to ich ostatnia rozmowa. Myrra leżała przez wiele dni nieruchomie i w milczeniu, nie otwierając oczu. Musiała zapewne cierpieć bardzo, gdyż w pewnych chwilach brwi jej marszczyły się boleśnie, ale uśmiech słodyczy i rezygnacyi zacierał w jednej chwili ten kurcz mi-

mowolny, i nigdy jęk najsłabszy ani skarga nie wydarły się z ust zaciśniętych.

Raz śród nocy słabym głosem wezwała Arsinoę, siedzącą u jej boku. Chora mówiła z trudnością. Nie otwierając oczu, zapytała:

— Dnieje?

— Nie, jeszcze noc,—odpowiedziała Arsinoe — ale niedaleko do rana.

— Nie, słyszę... Kto tu jest?—mówiła Myrra jeszcze ciszej.

— To ja, Arsinoe.

Chora otworzyła nagle szeroko błyszczące swe oczy i wlepiła je w siostrę.

— Zdawało mi się...—rzekła Myrra z wysiłkiem—zdawało mi się, że to nie ty... że byłam sama.

Następnie bardzo wolno, z trudnością, ociężałym ruchem splotła swe przezroczyste dłonie z wyrazem bojaźni i błagania. Kąciki ust zadrżały, brwi ściągnęły się.

— Nie opuszczaj mnie! Gdy umrę, nie myśl, że mnie już więcej niema.

Arsinoe pochyliła się nad nią, ale Myrra była zbyt osłabiona i napróżno starała się ją pocałować. Wtedy Arsinoe przysunęła twarz do jej oczu, i dziewczyna zlekka długiemi rzęsami musnęła jej policzek. Była to ich zwyczajna pieszczota, jeszcze w dzieciństwie wymyślona przez Myrrę; zdawać się mogło, że nad policzkiem drżały wiotkie skrzydła motyla.

Ta pieszczota ostatnia przypomniała Arsinoi całe ich życie wspólne i całe przywiązanie. Padła na kolana i po raz pierwszy od lat wielu wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem. Miała wrażenie, że jej serce we łzach się rozpływa.

— Nie, Myrro,—łkała—ja ciebie nie opuszczę... Pozostanę na zawsze z tobą.

Oczy Myrry zajaśniały weselem.

— A zatem ty...?—wyszeptała.

— Tak jest, chcę wierzyć i uwierzę! — zawołała Arsinoe.

I w tej samej chwili zdumiała się nad temi nieoczekiwanemi słowy. Wydawały jej się one cudem, nie złudzeniem, przeto ich cofnąć nie chciała.

— Udam się na pustynię, Myrro, jak ty, zamiast ciebie—ciągnęła w uniesieniu szalonej miłości. — I jeżeli Bóg istnieje, musi sprawić, ażeby nie było śmierci, ażebyśmy wiecznie były razem!

Myrra z przymkniętemi oczyma słuchała słów siostry i z uśmiechem niezmiernego uspokojenia szepnęła:

— Teraz mogę zasnąć. Nic mi już nie trzeba. Dobrze mi.

Nie odemknęła już oczu, nie przemówiła ani razu. Twarz jej pozostała spokojną i poważną, jak umarłych. Tak przeżyła jeszcze dni kilkanaście.

Kiedy jej podsuwano do ust czarę wina, wypijała parę kropel. Gdy oddech jej stawał się nierównym i utrudnionym, Juwentyn, pochylony nad nią, śpiewał modlitwę lub jaki hymn kościelny, i wkrótce Myrra, niby ukołysana, zaczynała oddychać ciszej i równiej.

Pewnego jasnego wieczoru, gdy słońce przeistoczyło Ischię i Caprcę w olbrzymie przezrocze ametysty, gdy morze nieruchome zlewało się z niebem, na którem pierwsza gwiazda, jak przeczucie, niedostrzegalnie prawie drżała, Juwentyn śpiewał przy konającej słodki hymn wieczorny:

Deus, creator omnium,
Polique rector, vestiens
Diem decore lumine,
Noctem sopora gratia...

(Bóg, wszego świata stworzyciel,
Pan niebios, który odziewa
Dzień promieniami cudnymi,
Noce zaś sennym urokiem,
Co członki ciała znużone
Krzepi spoczynkiem do pracy,
Duszę umacnia słabnącą,
Bojaźń rozprasza i smutek...)

Prawdopodobnie Myrra wydała ostatnie tchnienie przy dźwiękach tego uroczystego hymnu. Nikt nie spostrzegł, że przestała oddychać. Życie i śmierć tem samem były dla niej, albowiem życie jej zlało się z wiecznością nieuchwytnie i bez bólu, jak świeżość pięknego zmierzchu zlewa się z chłodem nocy.

Arsinoe pochowała Myrrę w katakumbach i własną dłonią wyryła na płycie: „Myrrha, vivis!”—Żyjesz, Myrro!

Nie płakała prawie wcale. W sercu jej zapanowała zupełna beznamiętność, pogarda dla świata i pokrewne rozpaczy postanowienie niezłomne uwierzenia w Boga, albo przynajmniej uczynienia wszystkiego, co było w jej mocy, ażeby w Niego uwierzyć. Powzięła zamiar rozdać swój majątek pomiędzy ubogich i udać się na pustynię. W tym samym dniu, w którym Arsinoe zwierzyła się z tymi projektami oburzonemu opiekunowi, otrzymała z Galii krótki list zagadkowy od cezara Juliana:

„Julian wielce szlachetnej Arsinoi—radości.

„Czy pamiętasz, o czem rozmawialiśmy w Atenach przed statuą Artemidy? Czy pamiętasz o naszem przymierzu? Wielką jest moja nienawiść, ale większą miłość. Niebawem zapewne lew otrząśnie się z oślej skóry. Tymczasem bądźmy cisi, jak gołębie, przezorni jak węże, według Jezusa Nazareńskiego!”

XXI.

Nadworni twórcy epigramatów, którzy dawniej nazywali Juliana wzgardliwie „Victorinus" (zdobywczątko), ze zdziwieniem otrzymywali wiadomości o ciągłych zwycięstwach cezara. Śmieszna rzecz stawała się straszną. Wiele mówiono o cezarach, o tajemniczej mocy szatańskiej, wspierającej przyjaciela Maksyma z Efezu.

Julian podbił nanowo dla cesarstwa Rzymskiego: Argentoratum, Bracomagum, Tres Tabernae, Suessionum, Nemetów, Wangianów, Mogontiacum. Żołnierze uwielbiali go po dawnemu, a Julian coraz bardziej utrwalał się w przekonaniu, że bogowie olimpijscy go wspierają. Wszelako przez ostrożność nie przestawał uczęszczać do kościoła chrześcijańskiego, a w mieście Vienna nad rzeką Rodanem wysłuchał umyślnie mszy solennej.

W połowie grudnia zwycięski cezar powracał z długiej wyprawy na zimowe leże do ulubionego swego miasteczka Parisis Lutetia, leżącego nad brzegami Sekwany.

Noc zapadała. Niebo północne zdumiewało południowców dziwnymi bladozielonymi odcieniami. Śnieg, spadły niedawno, skrzypiał pod nogami żołnierzy.

Lutetia, zbudowana na wielkiej wyspie, była ze wszystkich stron otoczona wodą. Dwa mosty drewniane łączyły miasto z pobrzeżem. Budynki były w oryginalnym stylu gallo-romańskim, z szerokiemi oszklonemi galeryami, które zastępować miały otwarte portyki krajów południowych. Nad miastem wisiały dymy mnóstwa kominów. Drzewa okryte były szronem.

W ogrodach wzdłuż ścian, zwróconych na południe, niby zziębłe dzieci, kuliły się przywiezione przez Rzy-

mian drzewa figowe, starannie owinięte słomą w obawie mrozów.

Tego roku zima była ciężka, chociaż wiatry zachodnie z oceanu nawiewały odwilż.

Olbrzymie kry białe, rozbijając się i z trzaskiem wdzierając się jedna na drugą, płynęły Sekwaną. Greccy i rzymscy wojownicy przyglądali się im ze zdumieniem. Julian podziwiał te przezroczyste złomy, niewiadomo, błękitne czy zielonawe, porównywając je do marmurów frygijskich, zlekka upstrzonych zielonemi żyłkami.

W posępnej tajemniczej piękności Północy było coś ujmującego i wzruszającego, niby oddalone wspomnienie. Przybyto do pałacu. Był to gmach olbrzymi, którego ceglane arkady i baszty czerniały na niebie wieczornem.

Julian wszedł do biblioteki. Było zimno. Rozpalono duży ogień na kominie i wręczono mu wiele listów, przybyłych do Lutecyi podczas jego nieobecności. Jeden z nich pochodził z Azyi Mniejszej od boskiego Jamblicha. Zapachnęło od niego południem.

Na dworze szalała wściekła zawieja. Wicher wył w kominie, i wydawało się, że ktoś dobija się do zamkniętych okienic. A Julian, przymknąwszy oczy, widział przed sobą Propileje marmurowe, otulone mrokiem, które przesuwały się szybko i rozpływały, jak złote obłoki, na krańcach horyzontu.

Drgnął i wstał z siedzenia. Ogień zagasł. Mysz gryzła pergaminy w bibliotece.

Julian uczuł potrzebę zobaczenia twarzy ludzkiej. Uśmiechnął się szyderczo, przypomniawszy sobie, że ma żonę. Była to krewna, cesarzowej Euzebii, imieniem Helena, którą cesarz zmusił do wyjścia za Juliana na krótko przed jego wyruszeniem do Galii.

Julian nie kochał Heleny. Chociaż od ich ślubu z górą rok upłynął, jeszcze prawie jej nie widział, nie znał, jednej nocy przy niej nie spędził. Żona jego pozostała dziewicą.

Od najwcześniejszej młodości marzyła ona jedynie o tem, by zostać oblubienicą Chrystusa. Myśl o małżeństwie budziła w niej odrazę. Na razie czuła się zgubioną, potem jednak, widząc, że Julian nie wymaga od niej czułości małżeńskich, uspokoiła się i żyła w zamku, jak zakonnica, wiecznie poważna, cicha, cała czarno ubrana. Helena w modłach swoich ślubowała czystość.

Tej nocy złośliwa ciekawość sprowadziła Juliana przez ciemne i puste korytarze do wieży, w której modliła się jego małżonka. Nie pukając, otworzył drzwi i wszedł do słabo oświetlonej celi. Ujrzał dziewicę, modlącą się na klęczniku przed ogromnym krzyżem.

Julian podszedł do niej, zasłaniając dłonią płomyk lampy, i w ciągu kilku minut przyglądał się jej, chmurny. Była tak zatopiona w modlitwie, że nie zauważyła go. Wreszcie odezwał się:

— Heleno!

Krzyknęła, zwracając ku niemu twarz bladą i surową

— O, jakżeś mnie przestraszył!

On popatrzał dziwnym wzrokiem na krzyż olbrzymi, Ewangelię, klęcznik i mruknął:

— Ciągle się modlisz?

— Tak jest, i za ciebie modlę się także, miły Bogu cezarze.

— I za mnie także? Doprawdy! Wyznaj więc, Heleno, że masz mnie za wielkiego grzesznika.

Spuściła oczy i nic nie odpowiedziała. On spochmurniał jeszcze bardziej.

— Nie obawiaj się, powiedz. Czy sądzisz, że w czemkolwiek osobliwie zawiniłem przeciwko Bogu?

Zajrzał jej w oczy. Odpowiedziała cichutko:

— Osobliwie? O tak, sądzę... Nie gniewaj się...

— Byłem tego pewien! A więc, mów! Będę żałował za swój grzech...

Jeszcze ciszej, ale surowym tonem odpowiedziała Helena:

— Nie śmiej się! Ja odpowiem za duszę twą przed Bogiem.

— Ty!... za *moją*?

— Zali nie jesteśmy połączeni na zawsze?

— Czem?

— Sakramentem małżeństwa.

— Małżeństwem religijnem? Ależ do tej chwili jeszcze jesteśmy obcy względem siebie, Heleno!

— Obawiam się o duszę twoją, Julianie!—powtórzyła, utkwiwszy w nim spojrzenie niewinnych swych oczu.

Położył jej dłoń na ramieniu i patrzał drwiąco w twarz bladą, wycieńczoną postami, z której wiał chłód dziewiczości. Jednak na twarzy tej dziwnie odbijały prześliczne drobne wargi różowe, wpół otwarte z wyrazem badawczej trwogi.

Julian nachylił się ku niej, i nim spostrzegła, pocałował ją w usta.

Odskoczyła i rzuciła się w kąt przeciwległy izby, kryjąc twarz w dłoniach. Potem, zwolna opuściwszy ręce, spojrzała na Juliana oczyma obłąkanemi z przerażenia, przeżegnała pośpiesznie siebie i jego, szepcąc:

— Precz, precz ode mnie, duchu nieczysty... Znam cię!.. Tyś nie Julian, jeno szatan... W imię Przenajświętszego Krzyża zaklinam cię... przepadnij!

Gniew opanował Juliana. Podszedł ku drzwiom, zaryglował je, następnie, zbliżywszy się do Heleny, rzekł z uśmiechem:

— Opamiętaj się, Heleno! Jestem człowiekiem, twoim mężem, nie zaś dyabłem. Sam Kościół pobłogosławił nasz związek

Im więcej jej nienawidził, tem mocniej pragnął owładnąć tą surową dziewicą. Ona przesunęła zwolna rękoma po oczach...

— Przebacz mi. Przywidziało mi się! Takeś mnie nastraszył, Julianie! Wiem przecie, że nie życzysz mi nic złego... Ale miewałam już dawniej widzenia. I teraz myślałam, że także... „On" tuła się tutaj po nocach! Widziałam go po dwakroć... mówił mi dużo złego o tobie... Od tej chwili... boję się. „On" mi powiedział, że nosisz na twarzy piętno Kaina. O, czemu na mnie spoglądasz w ten sposób, Julianie?

Drżała, jak schwytane ptaszę, przyciskając się do ściany. Julian podszedł i porwał ją w objęcia.

— Co czynisz? Puść mnie, puść!

Próbowała krzyczeć, zawołać służącą:

— Eleuteryo! Eleuteryo!

— Kogo wołasz? Alboż nie jestem twym mężem?

Wtedy zaczęła płakać gorzko.

— Bracie mój!.. To się stać nie może. Jestem oblubienicą Chrystusa! Sądziłam, że ty...

— Oblubienica cezara rzymskiego nie może być oblubienicą Chrystusa!

— Julianie! Jeżeli wierzysz w Niego...

Zaśmiał się.

— Nienawidzę Galilejczyka

Zrobiła ostateczny wysiłek, chcąc go odtrącić, i zrozpaczona, zawołała:

— Precz stąd, szatanie!.. Panie! czemuś mnie opuścił?..

Julian pokrywał jej biały kark zuchwałymi pocałunkami. Miał wrażenie, że popełnia morderstwo. Osłabiona walką Helena prawie już nie stawiała oporu, nie przestawała wszakże jęczeć:

— Miej litość... mój bracie!

Świętokradzką ręką począł zdzierać z niej czarne szaty. Duszę przepełniała mu zgroza, jednakże nigdy w życiu nie odczuwał takiego upojenia złem. Wreszcie przez poszarpaną odzież zaświeciło nagie ciało. Wtedy z szyderczym uśmiechem cezar spojrzał wyzywająco w przeciwległy kąt celi, gdzie migotała lampka na świeczniku, a na ścianie wisiał wielki czarny krucyfiks.

. . . .

XXII.

Dwa lata z górą upłynęły od zwycięstwa pod Argentoratum. Julian oswobodził Galię od barbarzyńców. Na początku wiosny, gdy jeszcze nie był ruszył z zimowych leży w Lutecyi, otrzymał list ważny od cesarza Konstancyusza, który przywiózł trybun notaryuszów, Decencyusz.

Każde nowe zwycięstwo, odniesione w Galii, drażniło Konstancyusza, było ciosem dotkliwym dla jego próżności. Ten „wyrostek,” ta „gadatliwa sroka,” ta „małpa odziana w purpurę,” to pocieszne „zdobywczątko,” ku oburzeniu błaznów nadwornych przeistoczyło się w istotnego i straszliwego zdobywcę.

Konstancyusza trawiła zazdrość. W tym samym czasie poniósł on klęskę po klęsce, walcząc z Persami w prowincyach azyatyckich. Chudł, stracił sen i apetyt,

po dwakroć doznał ulania żółci. Lekarze dworu byli zaniepokojeni.

Często śród nocy bezsennych cesarz, leżąc z otwartemi oczyma na wspaniałem łożu pod świętym sztandarem Konstantyna, rozmyślał:

— Euzebia mnie oszukała. Gdyby nie ona, byłbym poszedł za roztropną radą Cateny i Merkurego. Byłbym kazał udusić tego chłopaka w jakim ciemnym kącie. Byłbym zdławił tego węża z gniazda Flawiuszów. A ja, głupiec, sam go z rąk wypuściłem! I kto wie, czy Euzebia nie była jego kochanką?

Spóźniona zazdrość jeszcze dotkliwszą zawiść jego czyniła.

Nie mógł szukać zemsty nad cesarzową Euzebią, zdawna już leżącą w grobie. Druga jego żona, Faustyna, była przystojną, głupiutką gąską, którą pogardzał.

Konstancyusz targał w cieniu nocy swoje rzadkie włosy, które perukarz co rano karbował tak starannie, i łzy ronił ze wściekłości.

Czy nie był obrońcą Kościoła? Czy nie gromił zawzięcie wszelkich herezyi? Czy nie budował i nie upiększał świątyń? Czy nie wykonywał skrupulatnie wszystkich rzepisanych obrzędów? I za to jakaż nagroda!

Po raz pierwszy władca świata czuł opanowujące go oburzenie na Przedwiecznego Władcę. Zła modlitwa nabiegała mu na usta.

By swą zawiść uśmierzyć, postanowił uciec się do niezwykłego środka. Kazał porozsyłać po wszystkich wielkich miastach tak zwane listy tryumfalne, ozdobione laurami i ogłaszające zwycięstwa, z łaski Bożej udzielone cesarzowi Konstancyuszowi. Listy te odczytywano na placach. Wynikało z nich, że to Konstancyusz, nie zaś Julian czterokrotnie Ren przekraczał, Konstancyusz,

który w tym właśnie czasie na drugim końcu świata wyniszczał armię w bezrozumnych potyczkach; że Konstancyusz, nie Julian, o mało co nie zginął od strzał pod Argentoratum; Konstancyusz wziął do niewoli króla Chnodomara; Konstancyusz przebył bagna i dziewicze lasy, wycinał drogi, oblegał fortece, znosił głód, pragnienie, upały, męczył się bardziej od żołnierzy, sypiał mniej od nich.

Imię Juliana nie było nawet wspomniane w tych listach, jak gdyby cezar nie istniał zgoła. Lud okrzykiwał Konstancyusza „zwycięzcą Gallów,” i po wszystkich kościołach kapłani, biskupi i patryarchowie odprawiali nabożeństwa dziękczynne, modląc się o długie życie i pomyślność dla cesarza, sławiąc oga za zwycięstwa, udzielone Konstancyuszowi nad barbarzyńcami.

Julian, słysząc o tych szaleństwach, uśmiechnął się tylko.

Ale zawiść, trawiąca serce cesarza, nie słabła. Postanowił więc pozbawić Juliana najlepszych legionów, niepostrzeżenie, pod nikłymi pretekstami, rozbroić go, jak dawniej Gallusa, zwabić w zasadzkę i bezbronnemu zadać cios ostateczny.

W tym celu wysłał do Lutecyi zręcznego dygnitarza, trybuna notaryuszów, Decencyusza, z listem cesarskim. Ten miał niezwłocznie wyłączyć z armii Juliana co najlepsze legiony, złożone z Herulów, Batawów, Petulanów i Celtów i wysłać je cesarzowi do Azyi. Prócz tego miał ten dostojnik z każdego legionu wybrać po trzystu najwaleczniejszych rycerzy, a trybun jazdy cesarskiej, Cintulla, otrzymał również rozkaz połączenia wyborowych żołnierzy z pomiędzy tarczowników i gentylów, ażeby stanąć na ich czele i poprowadzić na Wschód.

Julian ostrzegał Decencyusza, zapowiadając nieunikniony bunt śród legionów barbarzyńców, którzy woleli śmierć ponieść, niż opuścić kraj rodzinny. Ale uparty

urzędnik nie zwracał uwagi na te ostrzeżenia zachowując wyraz niezmąconej pychy na żółtej, wygolonej twarzy.

Nieopodal jednego z mostów drewnianych, łączących wyspę Lutecyi z brzegami, ciągnęły się długie budynki koszar głównych. Od rana wrzenie zapanowało śród żołnierzy. Powstrzymała ich jedynie surowa i rozumna karność wprowadzona przez Juliana.

Pierwsze kohorty Petulanów i Herulów wyruszyły już w nocy; współbracia ich, Celtowie i Batawowie, szykowali się do pójścia w ich ślady. Cintulla wydawał rozkazy głosem stanowczym. W tłumach rozległy się szemrania. Jednego krnąbrnego żołnierza już na śmierć zachłostano. Decencyusz wałęsał się wszędy z piórem za uchem, z papierami w ręku.

Na dziedzińcu i na drodze pod mroczuem niebem wieczornem, nakryte płótnem wozy na olbrzymich kołach oczekiwały na żony i dzieci żołnierskie. Kobiety, rozstając się z ojczystą krainą, zawodziły, wyciągając ręce ku borom i równinom; inne ze łkaniem całowały ziemię, zwały ją matką, płakały na myśl, że ich kości próchnieć będą w obcej stronie. Jeszcze inne z rezygnacyą i milczącą boleścią zawijały w szmatki garść ziemi na pamiątkę. Chuda suka z wystającemi żebrami lizała oś, wysmarowaną łojem. Nagle oddaliła się i wetknąwszy pysk w piasek, zawyła. Wszyscy odwrócili się ze drżeniem. Jeden z legionistów gniewnie kopnął psa, który, podkuliwszy pod siebie ogon, uciekł na pole, i zatrzymawszy się tam, zawył jeszcze żałośniej.

Przerażające było to wycie przeciągłe śród uroczystej ciszy chmurnego wieczoru.

Sarmata Aragaris należał do liczby tych, którzy mieli opuścić Północ. Żegnał się ze swym wiernym przyjacielem Strombixem.

— Wujaszku mój miły, dlaczego mnie opuszczasz?— mazgaił się Strombix, pochłaniając zupę, ustąpioną mu przez Aragarisa, który ze zmartwienia jeść nawet nie mógł.

Strombixowi łzy kapały do zupy, ale pomimo to zajadał ją z apetytem.

— Przestań-że, kpie!—pocieszał go Aragaris, wymyślając mu jak zwykle z pogardą i życzliwością zarazem. Nie dość, że baby lamentują, jeszcze i ty będziesz! Powiedz mi lepiej, boś ty z tamtych stron, jakie tam bywają lasy: dębowych więcej, czy brzozowych?

— Co ty mówisz, wujaszku! Bój się Boga! Co tam za lasy! Piaski i kamienie.

— No, no, a gdzież się ludzie chronią przed słońcem? — pytał Aragaris z niedowierzeniem.

— Pustynia i nic więcej. Żar taki, jak naprzykład w piecu kuchennym, a wody całkiem niema.

— Jak to niema wody? A piwo?

— Nawet o niem nie słyszeli.

— Łżesz!

— Bodajby mi oczy wypadły w tej chwili, wujaszku, jeżeli w całej Azyi, Mezopotamii i Syryi znajdziesz choć jeden antałek piwa lub miodu!

— Jeżeli tak, to kiepsko! Jakże to? Upały są, a niema ani wody, ani piwa, ani miodu! To widać, że nas pędzą na koniec świata, jak woły do szlachtuza.

— Prosto na rogi dyable, wujaszku!

I Strombix zapłakał jeszcze głośniej.

W tej chwili rozległ się jakiś szum daleki i echa głosów. Dwaj przyjaciele wybiegli z koszar. Tłum żołnierzy biegł przez most drewniany ku Lutecyi. Krzyki zbliżały się. Niepokój udzielał się koszarom. Wojacy

wychodzili na drogę, łączyli się i hałasowali, nie zwracając uwagi na rozkazy, groźby, a nawet razy centuryonów.

— Co się stało? — pytał jakiś weteran, niosący pęk chróstu do kuchni.

— Zachłostano na śmierć jeszcze dwudziestu żołnierzy!

— Jakich dwudziestu?... Stu!

— Mają chłostać wszystkich po kolei. Taki wyszedł rozkaz!

Nagle jakiś legionista w poszarpanej odzieży, z dziką, przerażoną twarzą, wpadł w tłum z okrzykiem:

— Bracia! prędzej biegnijcie do zamku. Zamordowano Juliana!

Słowa te padły, jak iskra w suchą słomę. Płomień, tlejący oddawna, wybuchnął niepowstrzymanie. Twarze nabrały wyrazu zwierzęcego. Nikt nic nie rozumiał, nic nie chciał słuchać, wszyscy krzyczeli jednocześnie:

— Gdzie zbrodniarze?

— Zabić nędzników!

— Kto to?

— Wysłańcy cesarza Konstancyusza!

— Precz z cesarzem!

— A, nikczemnicy! Zdradzać takiego wodza!

Dwóch przechodzących właśnie Bogu ducha winnych centuryonów pochwycono, obalono na ziemię, zdeptano nogami, prawie rozszarpano na kawały. Krew trysnęła, a na jej widok żołnierze rozjuszyli się jeszcze bardziej.

Ciżba, nadbiegająca przez most, zbliżała się do koszar, i nagle usłyszano ogłuszające okrzyki:

— Chwała cesarzowi Julianowi! Chwała Augustowi Julianowi!

— Zamordowano go! Zamordowano!

— Milczcie, głupcy! August żyje. Tylko cośmy go widzieli.

— Cezar żyje!

— Nie cezar już, jeno cesarz!

— Kto mówił, że go zamordowali?

— Gdzie nikczemnik?

— Chciano go zabić!..

— Kto?

— Konstancyusz!

— Precz z Konstancyuszem! Precz z przeklętymi eunuchami!

W półmroku ktoś przebiegł na koniu tak szybko, że go z trudnością poznano.

— Decencyusz, Decenyusz! Łapcie łotra!

Miał jeszcze pióro za uchem, a kałamarz pochodny podskakiwał mu u pasa. Zniknął, ścigany przekleństwami i śmiechem. Tłum wzrastał. Zbuntowana armia groźnie falowała i huczała w cieniach wieczoru. Gniew przeistoczył się w wesołość dziecięcą, gdy spostrzeżono powracające legiony Herulów i Petulanów, którzy byli wyruszyli wczoraj, ale w drodze także bunt podnieśli i cofnęli się do obozu. Wycałowano ich z żonami i dziećmi, jak po najdłuższem rozłączeniu. Wielu płakało z radości, inni uderzali mieczami w puklerze. Rozpalono wielkie ogniska. Zjawili się mówcy. Strombix, który za czasów młodości był błaznem w Antyochii, uczuł wzbierające w sobie natchnienie. Towarzysze podnieśli go w górę na ramionach, a on zaczął przemawiać z uroczystymi gestami:

— Nos quidem ad orbis terrarum extrema ut noxii pellimur et damnati... Pędzą nas na koniec świata, jak złoczyńców lub potępieńców, a nasze rodziny, wyzwolone za cenę krwi z niewoli, znowu podpadną pod jarzmo Alamanów.

Ale nie mógł skończyć, bo z koszar dały się słyszeć przeraźliwe krzyki, niby zarzynanego prosiaka, i dobrze

znany żołnierzom świst rózeg, smagających ciało; to wojacy chłostali znienawidzonego centuryona Cedo-Alteram. Żołnierz, bijący swego zwierzchnika, cisnął skrwawioną rózgę i śród ogólnego śmiechu, naśladując wesoły głos centuryona, zawołał:

— Daj inną!.. Cedo alteram!

— Do zamku! do zamku!—wył tłum. — Okrzyknijmy Juliana Augustem! Uwieńczmy go dyademem!

Rzucili się wszyscy, pozostawiając na dziedzińcu nawpół martwego centuryona pośród kałuży krwi.

Niezliczone gwiazdy błyszczały z po za chmur. Suchy, przejmujący wiatr wzbijał tumany kurzu.

Bramy, drzwi i okienice zamku były szczelnie zamknięte. Gmach wydawał się niezamieszkanym.

Przewidując bunt, Julian wcale nie wychodził, nie pokazywał się żołnierzom i spędzał czas na wróżeniu. Przez dwa dni i dwie noce oczekiwał cudów i przepowiedni. Odziany w długą białą szatę pitagorejczyków, z lampą w ręce wchodził po wązkich schodach na najwyższą basztę zamku.

Tam oczekiwał na niego, obserwując gwiazdy, w śpiczastej wojłokowej mitrze mag perski, pomocnik Maksyma z Efezu, przysłany przezeń do Juliana, ten sam Nogodares, który ongi w oberży Syrofeniksa, u stóp góry Argeus, przepowiedział był przyszłość trybunowi Scudilli.

— I cóż?—zapytywał Julian z niepokojem, wpatrując się w ciemne sklepienie niebios.

— Nie widać nic. Jak gdyby się niebo i ziemia zmówiły.

Przeleciał nietoperz.

— Patrz, patrz! Może z jego lotu będziesz mógł co wywróżyć!

Zwierzątko nocne musnęło zimnem skrzydłem twarz Juliana i znikło.

— Dusza bliskiej istoty—mruknął Nogodares.—Zapamiętaj sobie: tej nocy spełni się wielkie...

Dały się słyszeć niewyraźne okrzyki żołnierzy, tłumione wiatrem.

— Jeżeli odkryjesz znak jaki, przyjdź — rzekł Julian, schodząc do biblioteki.

Gorączkowym krokiem przebiegał z kąta w kąt obszerną komnatę. Chwilami zatrzymywał się, nadstawiając ucha, ponieważ zdawało mu się, że ktoś chodzi za nim, że jakiś niezwykły chłód uczuwa na karku. Odwracał się szybko i nic nie dostrzegał. Tylko krew ciężko pulsowała mu w skroniach. Znowu poczynał chodzić i znów doznawał wrażenia, że ktoś naszeptuje mu do ucha słowa tak prędko, że znaczenia ich nie miał czasu uchwycić.

Wszedł sługa z wiadomością, że pewien starzec, przybyły z Aten, pragnie się widzieć z cezarem w niecierpiącej zwłoki sprawie. Julian wydał okrzyk radosny i biegł na spotkanie, spodziewając się zobaczyć Maksyma. Mylił się jednak. Był to wielki hierofant misteryów eleuzyjskich, którego również niecierpliwie wyczekiwał.

— Ocal mnie, ojcze!—zawołał Julian.—Muszę poznać wolę bogów! Chodźmy prędzej, wszystko przygotowane!

W tej chwili dokoła zamku zabrzmiały ogłuszające okrzyki zbuntowanego wojska. Stare mury ceglane zadrżały.

Wszedł trybun straży nadwornej, wybladły z przerażenia:

— unt! Żołnierze wyłamują bramy!

Julian uczynił dłonią gest rozkazujący:

— Nie obawiajcie się niczego! Potem... potem... Nie dopuszczajcie do mnie nikogo!

I ująwszy za rękę eleuzyjskiego hierofanta, pociągnął go do ciemnego lochu, zatrzasnąwszy za sobą ciężkie drzwi żelazne.

W istocie wszystko było przygotowane. Płomienie świeczników odbijały się w srebrnym wizerunku Heliosa—Mitry, boga słońca; dymiące trójnogi, święte naczynia pełne wody, wina i miodu, oczekiwały, zarówno jak i sól i mąka do posypania ofiar. W klatkach znajdowały się ptaki rozmaite, kaczki, gołębie, kury, gęsi, nawet orzeł i związane jagnię białe, beczące żałośnie.

— Prędzej! prędzej! — naglił Julian, podając hierofantowi długi sztylet.—Muszę poznać wolę bogów.

Zdyszany starzec pośpiesznie recytował modlitwy. Zarznąwszy jagnię, rzucił część mięsa i tłuszczu na węgle ołtarza i z tajemniczemi zaklęciami rozpoczął przegląd wnętrzności. Zręcznymi palcami wyciągał wątrobę, serce, płuca i ze wszystkich stron je oglądał.

— Mocarz obalony będzie — rzekł, wskazując ciepłe jeszcze serce.—Śmierć gwałtowna...

— Czyja?—zapytał Julian.— Jego czy moja?

— Nie wiem.

— Nie wiesz tego!

— Nie śpiesz się, cezarze!—mówił starzec. — Nie postanawiaj nic tej nocy. Doczekaj się dnia. Wróżby są wątpliwe... nawet...

Nie dokończył i wziął inną ofiarę, gąsiora, potem orła. Na górze było słychać wrzawę tłumów, przypominającą szum powodzi. Bramy żelazne chwiały się pod uderzeniami drągów. Julian nie słyszał nic. Z chciwą ciekawością badał skrwawione wnętrzności.

Stary ofiarnik powtórzył, kiwając głową:

— Nie postanawiaj nic tej nocy. Bogowie milczą.

— Co to znaczy? — zawołał cezar z oburzeniem.— W takiej chwili zachciało się im milczeć!

Wszedł Nogodares z miną tryumfującą:

— Raduj się, Julianie. Tej nocy los twój się rozstrzygnie... Śpiesz, bo potem będzie za późno.

Mag spoglądał na hierofanta, hierofant na maga.

— Czekaj!—mówił chmurnie ofiarnik eleuzyjski.

— Odważ się!—twierdził Nogodares.

Julian stał pośród nich w niepewności, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

Ale twarze augurów były nieprzeniknione. Widać było, że walczyli z sobą o zaufanie cezara.

— Co czynić?—szepnął Julian.

Wtem z radością przypomniał sobie:

— Zaczekajcie Mam w bibliotece starożytną księgę sybilińską: „O sprzecznościach w haruspicyach.” Zobaczymy!

Pobiegł do biblioteki. W korytarzu spotkał się z biskupem Doroteuszem, który w stroju pontyfikalnym, z krzyżem w dłoni, niósł Przenajświętszy Sakrament.

— Co to?—zapytał Julian, cofając się mimowoli.

— Święty Wiatyk dla twej konającej małżonki, cezarze.

Doroteusz surowo i przenikliwie spoglądał na pitagorejską odzież Juliana, na twarz jego pobladłą z płonącemi oczyma, na pokrwawione ręce.

— Małżonka twoja — ciągnął biskup — pragnie cię widzieć przed śmiercią. Czy przyjdziesz?

— Przyjdę... przyjdę... Ale nie zaraz... później... Och, bogowie... jeszcze jedna zła wróżba! I to w takiej chwili! Ona wszystko czyni nie w porę!

Wpadł do biblioteki i począł szperać śród zakurzonych pergaminów. Wtem niespodzianie usłyszał głos, wyraźnie szepczący mu do ucha:

— Waż się, waż się, waż się!

— Maksymie, to ty!—wykrzyknął Julian, odwracając się.

W ciemnej komnacie nie było nikogo. Serce Juliana biło tak mocno, że musiał je przycisnąć dłonią. Zimny pot oblał mu czoło.

— Tegom czekał!—szepnął Julian. — To jego głos. Stało się. Idę.

Runęła z łoskotem brama żelazna. Legioniści wtargnęli do atryum. Mury zamku drżały od ich okrzyków. Purpurowy odblask pochodni przez szczeliny okienic błyszczał, jak łuna pożaru. Nie było chwili do stracenia. Julian zrzucił białe szaty pitagorejskie, przywdział zbroję, paludamentum cezarowe i szyszak, przypasał miecz i pędem zbiegł po głównych schodach ku wyjściu; otworzył drzwi i stanął wobec żołnierzy z obliczem spokojnem i uroczystem. Wszystkie jego wątpliwości pierzchnęły. W działaniu wola jego nie znała wahań. Przytem nigdy nie czuł jeszcze takiej wewnętrznej siły, takiej jasności rozumowania i zimnej krwi. Tłum odczuł to natychmiast.

Blada twarz Juliana była monarszą i groźną.

Dał znak ręką—zapanowało milczenie.

Julian wypowiedział mowę. Zaklinał żołnierzy, aby się uspokoili, zapewniał, że ich nie porzuci, że nie da ich uprowadzić na obczyznę, że przekona swego ukochanego brata cesarza Konstancyusza...

— Precz z Konstancyuszem! — przerwali zgodnym chórem legioniści. — Precz z bratobójcą! Tyś naszym cesarzem. Chwała Augustowi Julianowi Niezwyciężonemu!

Grał doskonale rolę zaskoczonego, prawie przestraszonego; spuścił oczy, odwrócił głowę i wyciągnął przed siebie ręce, wystawiając naprzód dłonie, ak gdyby odpychał dar przestępny i bronił się przed nim. Okrzyki podwoiły się jeszcze.

— Co czynicie?—zawołał Julian, udając przerażenie. Chcecie zgubić mnie i siebie. Sądzicie więc, że byłbym zdolny zdradzić swego władcę?

— Zabójcę twego ojca! zabójcę Gallusa! — krzyczeli żołnierze.

— Zamilczcie! — odparł Julian, podchodząc do tłumu.—Alboż nie wiecie, żeśmy sobie w obliczu Boga poprzysięgli...

Każde poruszenie Juliana było podyktowane podstępną obłudą. Żołnierze otoczyli go. Wyciągnął miecz ochwy i wymierzył w pierś własną.

— Najwaleczniejsi z walecznych! Cezar umrze raczej, niżeli zdradzi.

Żołnierze chwycili go za ręce i wydarli oręż. Wielu padało mu do stóp i, całując je z płaczem, przykładało obnażone miecze do piersi.

— Umrzemy za c ebie!—krzyczeli—umrzemy!

Inni wyciągali ku niemu dłonie, zaklinając żałośnie:

— Ulituj si nad nami, ulituj się, ojcze!

Siwowłosi weterani padali na klęczki, chwytali wodza za ręce i wkładali jego palce do ust, dotykając nimi bezzębnych dziąseł, opowiadali o strasznem umęczeniu, o trudach nad siły, o wszystkich niedolach długiego żywota żołnierskiego. Wielu rzucało ubranie i pokazywało nagie stare ciało, plecy ze strasznemi bliznami od rózeg centuryonów, od ran.

— Ulituj się! Bądź nam Augustem!

Julianowi zadrżało serce. Kochał te szorstkie twarze, zapach koszar, nieokiełznany zapał, w którym czuł własną potęgę. Zauważył, że bunt był niebezpieczny z oznak następujących: legioniści nie przerywali sobie, krzyczeli wszyscy razem, jak umówieni, i przestawali tak samo. Był to bądź wrzask ogłuszający, bądź zupełne milczenie.

Nareszcie Julian, jak gdyby przymuszony, wbrew przekonaniu, przemówił z wysiłkiem:

— Dzieci moje! Towarzysze ukochani!.. Widzicie... Jestem waszym na życie i śmierć... Nie mogę wam odmówić niczego...

— Uwieńczmy go! Dyademu!—krzyknęło tryumfalnie wojsko.

Nie było dyademu. Strombix zaproponował:

— Niech August każe przynieść naszyjnik perłowy swej małżonki Heleny.

Julian odparł, że naszyjnik kobiecy nie przystoi i byłby złym znakiem na rozpoczęcie panowania.

Żołnierze nie dawali się uspokoić. Trzeba im było niezbędnie ujrzeć błyszczącą ozdobę na głowie swego wybrańca, ażeby uwierzyć, iż jest cesarzem. Jakiś legionista zerwał ze swego konia bojowego napierśnik z blaszek metalowych, zwany „falerą," i radził, by nim ukoronować Augusta.

I to się nie podobało. Napierśnik czuć było potem końskim.

Sznkano niecierpliwie innej ozdoby. Wreszcie chorąży legionów Petulanów, Sarmata Aragaris, zdjął z szyi łańcuch metalowy, oznakę swego stopnia. Julian owinął nim sobie dwukrotnie głowę: ten łańcuch uczynił go cesarzem rzymskim.

— Na tarczę, na tarczę!—krzyczeli żołnierze.

Aragaris wyciągnął swą tarczę okrągłą, setki rąk uniosły cesarza w górę. Ujrzał morze głów w hełmach miedzianych, usłyszał nakształt huczącego grzmotu okrzyk tryumfalny:

— Niech żyje Julian, boski August!

Zdawało mu się, że się spełnia wola przeznaczenia.

Pochodnie pogasły. Na wschodzie niebo przecięły białawe smugi. Niekształtne wieże zamku sterczały czarne i ponure. Jedno tylko okno było oświetlone. Julian odgadł, że to musi być okno celi, w której konała Helena.

O świcie, gdy znużone wojska ucichły, udał się do żony.

Było już za późno.

Zmarła spoczywała na swem wązkiem łożu dziewiczem.

Dokoła niej klęczeli księża i sługi. Usta miała zaciśnięte surowo. Bez wyrzutów sumienia, jeno pełen dręczącej ciekawości, poglądał Julian na blade, spokojne oblicze swej żony, myśląc:

— Czego ona chciała? Co ona mogła mi powiedzieć?

XXIII.

Cesarz Konstancyusz spędzał smutne dni w Antyochii; wszyscy przeczuwali coś złego. Po nocach miewał sny przerażające; w komnacie jego aż do rana płonęło sześć lamp, ale i to nie pomagało, cesarz pomimo to bał się mroku. Długie godziny przesiadywał samotnie w nieruchomem zamyśleniu, odwracając się i wzdrygając przy najlżejszym szeleście.

Raz ujrzał we śnie ojca swego, Konstantyna Wielkiego, trzymającego na ręku dziecię silne i złośliwe. Konstancyusz wziął dziecię, posadził na prawej ręce, usiłując utrzymać w lewej olbrzymią kulę krzyształową. Złe dziecko popchnęło kulę, która spadła i stłukła się, a ostre igły rozbitego szkła z niewypowiedzianym bólem wpiły się w ciało Konstancyusza, w jego mózg, oczy, serce, błyszczały, dzwoniły, kruszyły się i piekły.

Cesarz obudził się przelękły, zimnym potem oblany; radził się czarownic, magów słynnych, odgadywaczy snów.

Do Antyochii ściągano wojska w przewidywaniu wyprawy przeciw Julianowi. Chwilami, po długiem odrętwieniu, opanowywała cesarza nieprzeparta potrzeba czynu. Większość dworaków uważała ten pośpiech za nieroztropność i zwierzała sobie wzajemnie obawy co do stanu umysłu monarchy.

Jesień zbliżała się ku końcowi, gdy opuścił Autyochię. W południe, na gościńcu, o trzy tysiące kroków od miasta, w pobliżu wioski Hippocefale, cesarz ujrzał pokaleczony trup nieznanego człowieka. Ciało, zwrócone ku południowi, leżało po prawej stronie od siedzącego na koniu cesarza; głowa była oddzielona od tułowia. Cesarz pobladł i odwrócił głowę; w otoczeniu jego nikt nie przemówił słowa, ale wiedzieli wszyscy, że to złowieszcza wróżba.

W mieście Tarsus, w Cylicyi, Konstancyusz uczuł dreszcze i osłabienie, ale nie zwracał na to uwagi i nie zasięgał nawet rady lekarzy, spodziewając się, że jazda konna w pełnem słońcu po stromych górach wywoła poty i polepszenie.

Skierował się do niewielkiego miasteczka Mopsukreny u podnóża gór Taurus, ostatniej stacyi u wyjścia z Cylicyi.

Podczas drogi wielokrotnie robiło mu się tak źle, że w końcu zmuszony był zsiąść z konia i przesiąść się do lektyki. Eunuch Euzebiusz opowiadał następnie, że cesarz, leżąc w lektyce, wyciągał z pod ubrania kamień drogocenny z wyrzeźbionym profilem zmarłej cesarzowej Euzebii Aurelii i całował go czule.

Na pewnem rozdrożu zapytał, dokąd prowadzi droga przeciwległa, a gdy się dowiedział, że to jest droga do opuszczonego pałacu królów Kapadocyi, do Macellum, twarz mu spochmurniała.

Noc już zapadła, kiedy przybyli do Mopsukren. Konstancyusz był znużony i ponury. Zaledwie wszedł do przygotowanege na jego przyjęcie domu, nieopatrzny dworzanin, pomimo oporu Euzebiusza, przyniósł wiadomość, że dwaj gońcy z prowincyi zachodnich czekają na cesarza.

Konstancyusz kazał im stanąć przed sobą, pomimo zaklęć Euzebiusza, ażeby sprawy do jutra odłożyć.

Utrzymywał, że się czuje lepiej, że mu nic nie dolega prócz lekkiego bólu w karku.

Wprowadzono pierwszego gońca, drżącego i bladego.

— Mów wszystko natychmiast! — krzyknął Konstancyusz, przerażony wyrazem jego twarzy.

Goniec opowiedział o niesłychanem zuchwalstwie Juliana. Cezar wobec zgromadzonego wojska rozdarł list cesarza. Galia, Pannonia, Akwitania poddały się Julianowi. Zdrajcy szli na spotkanie Konstancyusza ze wszystkimi legionami, jakie znajdowały się w tych krainach.

Cesarz skoczył z twarzą wykrzywioną ze wściekłości i, chwytając za gardło posłańca, krzyczał:

— Kłamiesz, nędzniku! kłamiesz, kłamiesz!.. Jest przecie Bóg w niebie, czuwający nad królami ziemskimi... On nie pozwoli — czy słyszycie, głupcy?.. nie pozwoli...

Nagle uczuł osłabienie i ręką zasłonił sobie oczy. Goniec półżywy wymknął się z izby.

— Jutro... — wyjąkał Konstancyusz w pomieszaniu — jutro ruszać trzeba! Koniecznie.... prostą drogą... przez góry, pośpiesznym marszem... do Konstantynopola!

Euzebiusz podszedł do niego, niewolniczo zgięty.

— Boski Auguście! Pan Bóg obdarzył cię jako Pomazańca swego zwycięstwem nad przeciwnikami twymi. Starłeś Maksencyusza, Konstansa, Wetraniona, Gallusa... miażdżysz i bezbożnego...

Ale Konstancyusz nie słuchał, jeno powtarzał, kiwając głowę z uśmiechem bezmyślnym:

— A więc On nie istnieje, skoro to wszystko prawda, zatem Jego niema i ja — jestem sam. Któż się poważy twierdzić, że On istnieje, kiedy podobne zbrodnie spełniać się mogą?... Myślałem o tem oddawna...

Potoczył po obecnych pytająco wzrokiem zamglonym i rzekł:

— Przywołajcie drugiego...

Zbliżył się lekarz, wytworny dworak o wygolonej, różowej i bezczelnej twarzy, z zimnemi oczyma rysia, Żyd pozujący na rzymskiego arystokratę. Z przymilaniem się zwrócił uwagę cesarza, że silniejsze wzruszenie może mu zaszkodzić, że powinien udać się na spoczynek. Konstancyusz machnął tylko ręką, odpędzając go, jak dokuczliwą muchę.

Wprowadzono drugiego gońca, trybuna jazdy cesarskiej, Cintullę, który się wymknął z Lutecyi. Ten przywiózł jeszcze straszniejszą nowinę: mieszkańcy Sirmium otworzyli bramy przed Julianem i zgotowali mu przyjęcie, jako zbawcy ojczyzny; za dwa dni miał wkroczyć na wielki gościniec rzymski, prowadzący do Konstantynopola.

Cesarz nie słyszał, albo nie rozumiał ostatnich słów zwiastuna, ale oblicze znieruchomiało mu dziwnie. Skinieniem oddalił wszystkich. Tylko Euzebiusz pozostał przy nim na rozmowie.

Po kwadransie Konstancyusz kazał się wieść do sypialni i uczynił parę kroków. Nagle cichy okrzyk wyrwał mu się z piersi, podniósł obie ręce ku tyłowi głowy, jak gdyby tam uczuł ból gwałtowny, i zachwiał się. Podtrzymali go dworzanie.

Cesarz nie stracił przytomności. Z wyrazu twarzy, z poruszeń, z żył nabrzmiałych na czole, widać było, że czynił niewymowne wysiłki, aby przemówić. Nareszcie wyjąkał zwolna, wyraz po wyrazie, niby z gardła ściśniętego arkanem:

— Chcę... mówić... ale... nie mogę...

To były jego ostatnie słowa. Stracił mowę, paraliż poraził mu całą prawą połowę ciała — jedna ręka i noga zwisły bezwładnie.

Zaniesiono go na łoże.

Oczy błyszczały mu wciąż trwogą i natężeniem myśli. Usiłował coś powiedzieć, jakiś ważny rozkaz wydać zapewne, a z ust wychodziły jedynie dźwięki stłumione, podobne do słabego ryku. Nikt nie rozumiał, czego mógł pragnąć chory, który po kolei wlepiał we wszystkich obecnych jasne swoje spojrzenie. Eunuchowie, dworzanie, dowódcy wojskowi, niewolnicy, wszyscy tłoczyli się przy konającym, pragnąc mu się raz ostatni przysłużyć i nie wiedząc, jak to uczynić.

Chwilami w rozumnem i przenikliwem wejrzeniu jego dawał się czytać gniew, a ryk stawał się chrapliwym...

Wreszcie Euzebiusz domyślił się, żeby mu przynieść tabliczki woskowe. Na ich widok cesarz oczyma wyraził radość i niezręcznie, jak dziecko, chwycił w dłoń styl

śpiżowy. Po długich wysiłkach udało mu się nakreślić kilkanaście liter na miękkim wosku i dworzanie z trudnością odczytali wyraz: „chrzest.” Konstancyusz utkwił w Euzebiuszu błagalne spojrzenie. Wszyscy się zdumieli, że im to wcześniej do głowy nie przyszło. Cesarz pragnął ochrzcić się przed śmiercią; za przykładem bowiem ojca swego Konstantyna odkładał do ostatniej chwili ten sakrament, w przekonaniu, iż będzie mógł cudownie oczyścić duszę od wszystkich grzechów i oddać ją bielszą niż śnieg.

Zaczęto szukać biskupa, ale żadnego nie było w Mopsukrenach. Musiano zatem się zwrócić do aryańskiego kapłana ubogiej bazyliki miejskiej. Był to człeczyna nieśmiały, z twarzą ptasią, nosem czerwonym, koźlą bródką i manierami parafiańskiemi.

Gdy po niego posłano, O. Nymfidyan wychylał właśnie dziewiąty kubek taniego wina czerwonego i wydawał się bardzo wesołym. Nie można mu było wytłómaczyć, o co chodzi; nawet począł się gniewać, przypuszczając, że z niego żartują. Skoro wreszcie zdołano go przekonać, że w samej rzeczy los go przeznaczył do ochrzczenia cesarza, zdawało się, że zmysły straci.

Gdy drżący i pomieszany ze wzruszenia wszedł do komnaty chorego, cesarz spojrzał na niego wzrokiem tak radosnym i pełnym pokory, jakim nigdy jeszcze nie patrzał na nikogo w świecie. Było widoczne, że w obawie prędkiej śmierci, pragnie przyśpieszenia obrządku.

Przetrząśnięto całe miasto w poszukiwaniu chrzcielnicy złotej lub w ostateczności srebrnej—napróżno. Była wprawdzie jedna wanna, wysadzana dokoła drogimi kamieniami, ale ta była podejrzanego przeznaczenia: służyła podobno do bachicznych misteryów boga Dionizosa. Wolano więc poprzestać na zwyczajnej miedzianej, ale niewątpliwie chrześcijańskiej

Przysunięto ją do łoża i napełniono ciepłą wodą. Lekarz chciał sprawdzić temperaturę, ale cesarz szarpnął się i ryknął, jak gdyby w obawie, żeby Żyd nie sprofanował wody dotknięciem.

Zdjęto tunikę z konającego, i silni młodzi legioniści, wziąwszy go jak dziecko na ręce, zanurzyli w wodzie.

Konstancyusz szeroko rozwartemi oczyma na wychudłej twarzy patrzał bez oznaki wzruszenia na błyszczący krzyż, umieszczony nad labarum, złoconą chorągwią Konstantyna. Było to spojrzenie uparte, bezmyślne, jak u dzieci zapatrzonych w przedmiot świecący, od którego oczu odwrócić nie mogą.

Obrząd widocznie nie uspokoił chorego, który, zdawało się, zapomniał o nim. Po raz ostatni wola zaświeciła mu w oczach, gdy Euzebiusz podał mu znowu tabliczki woskowe i stylus. Ale Konstancyusz nie mógł już pisać nakreślił tylko pierwsze litery wyrazu: „Julian." Nikt jednak nie mógł odgadnąć, czy chciał przebaczyć wrogowi swemu, czy też zemstę nad nim przekazywał.

Konał przez trzy dni. Dworacy szeptali pomiędzy sobą, że chciał, ale nie mógł umrzeć, co było dowodem wyraźnej kary Bożej. Jednakowoż, przez przyzwyczajenie, nazywali wciąż jeszcze konającego „boskim Augustem," „Świątobliwością" i... „Wiekuistością!"

Widocznie cierpiał. Porykiwania przeszły w nieustanne charczenie, trwające dniem i nocą. Były to dźwięki tak nieprzerywane, iż trudno było uwierzyć, że z piersi ludzkiej pochodzą.

Dworzanie wchodzili i wychodzili co prędzej, ciągle wyczekując końca. Tylko rzezaniec Euzebiusz nie opuszczał na chwilę swego pana. Na sumieniu tego człowieka było wiele zbrodni. Wszystkie powikłane nici doniesień,

szpiegostw, waśni kościelnych, jednoczyły się w jego ręku. Ale on jeden w całym pałacu kochał pana swego, jako wierny niewolnik.

W nocy, gdy wszyscy zasypiali lub rozchodzili się, znużeni widokiem tak długich cierpień, Euzebiusz pozostawał przy łożu. Poprawiał poduszki, zwilżał spieczone wargi chorego lodem, albo też klękał u stóp cesarza i modlił się. Gdy nikt widzieć tego nie mógł, Euzebiusz podnosił zlekka nakrycie purpurowe i całował z płaczem nędzne, blade i skostniałe nogi konającego. Raz nawet zdawało mu się, że Konstancyusz zauważył te pieszczoty i dziękował mu wzrokiem. Coś braterskiego i czułego zapanowało wtedy pomiędzy tymi ludźmi okrutnymi, nieszczęśliwymi i samotnymi.

Euzebiusz zamknął oczy cesarzowi i widział, jak na jego twarzy, w ciągu lat wielu jaśniejącej przelotną wielkością, zapanowała prawdziwa wielkość śmierci.

I nad Konstancyuszem rozbrzmiały słowa, które według zwyczaju wypowiadał Kościół przed złożeniem do grobu śmiertelnych zwłok cesarzów rzymskich:

„Powstań, królu ziemski, i idź na wezwanie króla królów, ażeby cię sądził.”

XXIV.

W pobliżu górzystego wąwozu Sukkos, na pograniczu Iliryi i Tracyi, dwaj ludzie szli nocą po wązkiej ścieżynie w lesie bukowym. Byli to cesarz Julian i czarownik Maksym.

Księżyc w pełni jaśniał na czystem niebie, zalewając dziwnem światłem złote i purpurowe liście jesienne Kiedy niekiedy z lekkim szelestem opadał liść żółty.

Powietrze przepojone było wilgocią, zapachem późnej jesieni, niewymownie słodkim i świeżym, a jednocześnie smętnym, przypominającym śmierć. Pod nogami przechodzących chrzęściały liście powiędłe. Dokoła w milczącym lesie panował wspaniały przepych pogrzebowy.

— Mistrzu,—zapytał Julian —dlaczego nie posiadam tej boskiej lekkomyślności, tego rozradowania, które tyle uroku nadawało mężom Hellady?

— Czyż nie jesteś Hellenem?

Julian westchnął.

— Niestety! naszymi przodkami byli dzicy barbarzyńcy, Midyjczycy. W żyłach moich płynie ciężka krew Północy. Nie jestem synem Hellady!

— Mój przyjacielu, Hellada nie istniała nigdy—szepnął Maksym ze swym zwykłym kuszącym uśmiechem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?—pytał Julian.

— Hellada, którą ty ukochałeś, nie istniała wcale.

— Zatem wierzę napróżno?

— Wierzyć można w to tylko,—odparł Maksym— co nie jest, ale będzie. Twoja Hellada istnieć będzie pod panowaniem ludzi, bogom podobnych, zuchwałych, nie znających trwogi.

— Nie znających trwogi!... Mistrzu, posiadasz czary potężne: uwolnij mą duszę od bojaźni!

— Od bojaźni czego?

— Nie umiem ci powiedzieć, ale boję się od dzieciństwa... życia, śmierci, samego siebie, tajemnicy we wszystkiem tkwiącej, mroku... Miałem starą niańkę, Labdę, podobną do Parki, która mi opowiadała okrutne podania rodu Flawinszów. Te głupie baśnie starej baby brzmią mi w uszach po nocach, gdy jestem sam; te straszliwe opowiadania zgubą moją będę... Chcę być rados-

nym, jak starożytni Hellenowie, a nie potrafię! Chwilami zdaje mi się, że jestem tchórzem... Mistrzu, mistrzu! ratuj mnie! uwolnij mnie od tego ciągłego strachu, od tych ciemności!..

— Chodźmy! Wiem, czego ci potrzeba!—rzekł uroczyście Maksym. — Ja cię oczyszczę od zgnilizny galilejskiej, od cieniów Golgoty promiennym blaskiem Mitry, ogrzeję twe ciało, zmrożone wodą chrztu, gorącą krwią Boga Słońca! Ciesz się, mój synu! Oto chcę ci dać wolność i radość taką, jakich ani jeden człowiek nie posiadał jeszcze na tej ziemi!

Wyszli z lasu i szli wązką ścieżyną, wykutą w skale ponad otchłanią, w której szumiał potok. Spadające z pod ich nóg kamienie budziły w przepaści głośne senne echa. Śniegi pokrywały wierzchołek góry Rodopu.

Julian i Maksym weszli do groty. Była to świątynia Słońca-Mitry, w której się odbywały misterya, prawami rzymskiemi zabronione.

Nie było tam żadnego przepychu; tylko na gołych kamiennych ścianach wycięto znaki kabalistyczne nauki Zoroastra, jak: trójkąty, posplatane koła, konstelacye, skrzydlate dziwotwory. Pochodnie rzucały mdłe blaski, a ofiarnicy-hierofanci w długich dziwacznych szatach przesuwali się, jak cienie.

Juliana również przyodziano w „szatę olimpijską,” na której były wyszyte smoki indyjskie, gwiazdy, słońca i hyperborejskie gryfy. Do rąk dano mu pochodnię.

Maksym uprzedził go z góry, jakie odpowiedzi ma dawać hierofantowi, i Julian nauczył się ich na pamięć, jakkolwiek znaczenie tych słów miało się stać dla niego dostępnem dopiero w chwili misteryów.

Wespół z Maksymem zeszedł po stopniach, w skale wykutych, do głębokiego podłużnego rowu, pełnego zaduchu

i wilgoci, nad którym wisiał mocny pomost z powywiercanymi otworami, jak w durszlaku.

Rozległo się stukanie kopyt po deskach: ofiarnicy umieścili na pomoście trzy byki czarne, trzy białe i jednego czerwonego, który miał wyzłocone rogi i racice. Hierofanci zanucili hymn, któremu wtórowały ryczenia zwierząt, zabijanych uderzeniami topora. Byki padały na kolana, szamotały się, pomost drżał pod ich ciężarem. Pod sklepieniem jaskini rozległo się ryczenie czerwonego byka, którego ofiarnicy nazywali bogiem—Mitrą. Krew przeciekała przez otwory w pomoście, i niby gorąca krwawa rosa opadała na głowę Juliana.

Było to najuroczystsze misteryum pogan, tak zwana „taurobolia,“ ofiara z byków, poświęconych Słońcu.

Julian zrzucił wierzchnią odzież i, pozostawszy tylko w białej tunice, wystawiał głowę, twarz, piersi, wszystkie członki pod strugi krwi, pod straszliwy deszcz żyjący.

Wtedy Maksym, potrząsając pochodnią, wyrzekł:

— Dusza twoja kąpie się w odkupującej krwi Boga-Słońca, w najczystszej krwi serdecznej wiecznie promiennego Boga—Słońca, w światłości porannej i wieczornej Boga — Słońca. Czy jeszcze się boisz czego, śmiertelniku?

— Boję się!—odpowiedział Julian.

— Dusza twoja oswobadza się—ciągnął Maksym—od wszelkiego cienia, od wszelkiej trwogi, od wszelkiego niewolnictwa — winem radości boskiej, purpurowem winem buntowniczych uciech Mitry—Dionyzosa. Czy jeszcze się boisz czego, śmiertelniku?

— Boję się!—powtórzył wtajemniczany.

— Dusza twoja staje się cząstką Boga — Słońca!—zawołał hierofant. — Niewypowiedziany i nieuchwytny (indeprehensibilis) Mitra przyjmuje cię za syna, za krew

z krwi, ciało z ciała, duch z ducha, światło ze światła. Czy jeszcze się boisz czegoś śmiertelniku?

— Nie boję się już niczego na ziemi!—odpowiedział Julian od stóp do głowy krwią pokryty.—Jestem jako On!

— Przyjmij zatem wieniec radosny—rzekł Maksym, nakładając końcem miecza wieniec z akantu na głowę Juliana.

— Słońce samo jest wieńcem moim — odpowiedział Julian i, zrzuciwszy wieniec na ziemię, powtórzył:

— Słońce samo jest wieńcem moim!

Podeptał akanty i, wznosząc ręce ku niebu, zawołał po raz trzeci:

— Teraz i aż do śmierci Słońce samo jest wieńcem moim!

Misteryum było spełnione. Maksym ucałował wtajemniczonego, a na ustach starca przemknął znowu uśmiech zagadkowy.

Gdy przechodzili leśną drogą z powrotem, cesarz zwrócił się do czarownika:

— Maksymie, zdaje mi się chwilami, że ty ukrywasz przede mną rzecz główną...

I zwrócił ku starcowi twarz bladą, z której według zwyczaju nie otarł śladów krwi świętej.

— Cóż więc chcesz wiedzieć, Julianie?

— Co się stanie ze mną?

— Zwyciężysz.

— A Konstancyusz?

— Konstancyusza już niema.

— Co mówisz?

— Zaczekaj! Słońce oświetli twą chwałę!

Julian nie śmiał o więcej pytać. W milczeniu doszli obaj do obozu. W namiocie Juliana oczekiwał go-

niec z Azyi Mniejszej, trybun Cintulla. Ukląkł i ucałował brzeg paludamentu cesarskiego.

— Chwała boskiemu Augustowi Julianowi!

— Przybywasz od Konstancyusza, Cintullo?

— Konstancyusza już niema.

— Jak to?...

Julian zadrżał i spojrzał na Maksyma, który stał, nie okazując żadnego wrażenia.

— Z woli Bożej—ciągnął Cintulla—wróg twój zakończył życie w miasteczku Mopsukrenach w pobliżu Macellum.

Wieczorem zgromadzono wojska na równinie; śmierć Konstancyusza była już wiadomą.

August Klaudyusz Flawiusz Julian stanął na małem wzgórzu tak, aby od całego wojska być widzianym, bez wieńca, bez miecza, bez pancerza, owinięty od stóp do głowy w purpurę. Dla ukrycia śladów krwi, których nie godziło się zmywać, naciągnął purpurę na głowę i opuścił ją na czoło. W tym stroju wyglądał bardziej na ofiarnika misteryów wschodnich, niż na cesarza.

Za nim czerwieniał więdnący bór jesienny na zboczu góry Hemus. Nad samą głową klon rozpościerał pożółkłe gałęzie, niby chorągiew złotą. W dali aż ku krańcom widnokręgu ciągnęła się równina Tracka, którą przecinał starożytny gościniec rzymski, białym marmurem wykładany, równy, tryumfalnie biegnący do samych fal Propontydy.

Julian spoglądał na wojsko. Gdy legiony przechodziły na stanowiska, czerwone blaski zachodzącego słońca odbijały się w hełmach, pancerzach i orłach, a włócznie nad kohortami wyglądały jak zapalone świece.

Obok Juliana stał Maksym i szeptał mu do ucha:

— Patrz, jaka chwała! Godzina twoja nadeszła. Nie wahaj się!...

Czarownik wskazał sztandar chrześcijański, labarum, świętą chorągiew z monogramem Chrystusa, zaprowadzoną w armii rzymskiej na podobieństwo onej cudownej chorągwi ognistej z napisem: „Pod tem godłem zwyciężysz!" jaką Konstantyn Wielki ujrzał na niebie.

Zamilkły trąby. Julian silnym i uroczystym głosem przemówił:

— Dzieci moje, prace nasze są zakończone. Idziemy do Konstantynopola. Złóżmy dzięki Olimpijczykom, którzy nas obdarzyli zwycięstwem!

Słowa te usłyszano tylko w pierwszych szeregach armii, które liczyły wielu chrześcijan. Powstało śród nich zamieszanie.

— Panie, zmiłuj się nad nami! Co to znaczy?—rzekł jeden żołnierz.

— Widzisz tego starca z siwą brodą?—mówił drugi do towarzysza.

— Widzę.

— To szatan, który pod postacią Maksyma Czarownika kusi cesarza...

Ale oddzielne głosy żołnierzy chrześcijan szept zaledwie stanowiły. Z dalszych zaś szeregów, które słów Juliana nie dosłyszały, rozległy się pełne zapału okrzyki:

— Chwała boskiemu Augustowi! Chwała! Chwała!

I coraz głośniej ze wszystkich czterech stron pokrytej legionami równiny wznosił się ten okrzyk, tysiącami głosów powtarzany:

— Chwała! Chwała!

Góry, powietrze, ziemia, lasy, drżały od krzyku tłumów.

— Patrzcie! Patrzcie!—szemrali przerażeni chrześcijanie.—Spuszczają labarum!

— Co to? Co to?

W samej rzeczy spuszczano przed cesarzem starożytną chorągiew wojenną, jedną z tych, które Konstantyn Apostolski poświęcał.

Z losu wyszedł żołnierz kowal z okropnemi szczypcami i kociołkiem, w którym był ołów roztopiony. Wszystko widocznie było przygotowane naprzód w jakimś nieznanym celu.

Cesarz, blady pomimo czerwonych odblasków purpury i słońca, zerwał z drzewca labarum krzyż złoty i monogram, wysadzany drogimi kamieniami. Żołnierze wstrzymywali oddech w piersiach. Posypały się perły, szmaragdy i rubiny, a cienki filigranowy krzyż, wciskany w wilgotną ziemię, zgiął się pod stopą cesarza rzymskiego.

Maksym wydostał ze wspaniałej szkatułki zawinięty w błękitne jedwabne giezła srebny posążek boga Słońca, Mitry-Heliosa. Zbliżył się kowal, powyciągał wykrzywione sztyfciki z drzewca labarum i w kilka chwil przylutował do niego bożyszcze.

Nim wojsko zdołało ochłonąć z przerażenia, święty sztandar Konstantyna wzbił się nad głową cesarza, przyozdobiony posążkiem Apollina.

Pewien stary wojownik, pobożny chrześcijanin, odwrócił głowę i zakrył oczy, by nie patrzeć na takie bezeceństwo.

— To świętokradztwo!—wyjąkał pobladły.

— Biada nam, biada!—jęknął drugi.—Szatan skusił cesarza.

Julian ukląkł przed sztandarem i, wyciągając ręce ku statuetce srebrnej, zawołał:

— Chwała Słońcu niezwyciężonemu, władcy wszystkich bogów! Odtąd August czci wiecznego Heliosa, Boga światła, Boga rozsądku, Boga radości i piękna olimpijskiego!

Ostatnie promienie słońca odbiły się na nielitościwem, bezczelnie pieknem obliczu boga Delfickiego, z głową, otoczoną gloryą srebrzystą. W dal godzący uśmiechał się zwycięsko.

Legiony milczały; była taka cisza, że słychać było, jak w lesie z szelestem opadały liście martwe.

A z krwawej łuny zachodu, i z purpury ostatniego kapłana, i ze szkarłatu więdnącego boru, ze wszystkiego naokół—wyłaniał się złowieszczy, pogrzebowy przepych, majestat śmierci.

Jeden z żołnierzy, stojących w pierwszym rzędzie, wyszeptał tak wyraźnie, że Julian usłyszał go i zadrżał:

— Antychryst!

CZĘŚĆ DRUGA.

I

W hipodromie Konstantynopolitańskim w pobliżu stajni znajdowała się izba, stanowiąca rodzaj gotowalni dla jeźdźców obojej płci, mimików i woźniców. Lampy, zawieszone u sklepienia, płonęły nawet podczas dnia w tym kącie dusznym, przejętym zapachem gnoju i ciepłem stajni. Gdy podnoszono zasłonę we drzwiach, wdzierała się przez nie oślepiająca struga światła porannego; wtedy widać było w słonecznej dali puste szeregi siedzeń dla widzów, wspaniałe schody, łączące lożę cesarską z apartamentami pałacu Konstantyna, kamienne strzały obelisków egipskich, a pośrodku, na żółtym piasku, olbrzymi ołtarz ofiarny w kształcie trzech węźów bronzowych, splecionych

z sobą, których płaskie łby podtrzymywały trójnóg Delficki kunsztownej roboty.

W pewnych chwilach z areny dochodziło trzaskanie z bicza, krzyki ujeżdżaczów, parskanie koni i tarcie kół o piasek miękki, przypominające szelest skrzydeł.

Nie były to gonitwy, jeno przygotowawcze ćwiczenia do igrzysk właściwych, mających się odbyć w hipodromie za dni kilkanaście.

W jednym końcu stajni nagi atleta, natarty oliwą i kurzem pokryty, ze skórzanym pasem na biodrach, podnosił i opuszczał hantle żelazne. Z odrzuconą w tył kędzierzawą głową wyginał grzbiet do tego stopnia, że mu kości w stawach trzeszczały, twarz siniała, a bycze żyły nabrzmiewały na grubym karku.

Zbliżyła się do niego z orszakiem niewolników młoda patrycyuszka bizantyjska, w strojnej stoli porannej, naciągniętej na głowę i opadającej fałdzisto na delikatną, arystokratyczną, trochę już nadwiędłą twarzyczkę.

Była to gorliwa chrześcijanka, lubiona przez wszystkich kleryków i mnichów za wspaniałe opatrywanie klasztorów i hojne jałmużny, wdowa po senatorze rzymskim, przybyła z Aleksandryi. Z początku kryła się ona ze swemi przygodami, wkrótce jednak spostrzegła, iż łączenie miłości Kościoła z miłością cyrku stawało się modnem.

Wszyscy wiedzieli, że Stratonika znosić nie mogła paniczyków konstantynopolitańskich, ufryzowanych i uróżowanych, nerwowych i kapryśnych, jak i ona. Taki już miała temperament, że musiała mieszać najkosztowniejsze wonności arabskie z podniecającym odorem stajni i cyrku.

Po gorących łzach skruchy, po wstrząsających spowiedziach przed umiejętnymi spowiednikami, ta mała kobietka, wątła i delikatna, jak cacko z kości słoniowej, czuła potrzebę brutalnych pieszczot słynnego ujeżdżacza.

Stratonika przypatrywała się ćwiczeniom atlety z miną subtelnej znawczyni, gimnasta zaś, zachowując wyraz bezmyślnej powagi na swej byczej twarzy, nie darzył jej najmniejszą uwagą. Szoptała coś do ucha swojej niewolnicy i z naiwnem zdumieniem podziwiała potężny grzbiet i straszliwe muskuły herkulesa, kłębiące się pod czerwoną skórą ramion, gdy atleta, wyprostowując się i zaczerpując zwolna powietrza w piersi, jak w miech kowalski, podnosił żelazne hantle nad swą głową dzikiego zwierzęcia.

Podniesiono zasłonę, tłum widzów rozstąpił się, i do stajni wbiegły dwie klacze kapadockie, czarna i biała, a na nich młoda ujeżdżaczka, która zręcznie, z gardlanym okrzykiem, przeskakiwała z jednego konia na drugi, następnie zaś, wywinąwszy w powietrzu ostatniego koziołka, stanęła na ziemi.

Była ona równie silna, zdrowa i wesoła, jak jej klacze.

Na jej nagiem ciele błyszczały kropelki potu.

Uprzejmie podbiegł ku niej młody, wytwornie ubrany subdyakon bazyliki Świętych Apostołów, Zefiryn, wielki zwolennik cyrku, znawca koni i stały uczestnik gonitw, podczas których czynił znaczne zakłady za „błękitnymi“ (vineta) przeciwko „zielonym“ (prasina).

W skrzypiących safianowych bucikach na czerwonych obcasach, z podmalowanemi oczyma, ubielony i ufryzowany, Zefiryn podobniejszy był do młodej dziewczyny, aniżeli do sługi Kościoła. Z tyłu za nim stał niewolnik, obarczony paskami materyi, pudełkami i wszelkiego rodzaju sprawunkami z najsłynniejszych magazynów.

— Krokalo, oto są perfumy, których żądałaś onegdaj.

To mówiąc, kłaniał się grzecznie i podawał elegancki flakonik, zalepiony błękitnym woskiem.

— Obiegałem sklepy przez cały ranek. Tylko jeden

flakonik znalazłem. To czysty nard. Wczoraj dopiero przywieziono go z Apamei...

— A cóż to za sprawunki?—pytała Krokala.

— Jedwabie z modnym deseniem i różne drobnostki damskie...

— Ciągle dla twej...?

— Tak jest, ciągle dla mojej szlachetnej siostry bogobojnej matrony Blezylli. Trzeba przecie pomagać bliźnim. Ona ma zaufanie tylko do mojego gustu w wyborze materyałów. Od świtu latam z jej poleceniami... Prawie nóg nie czuję. Ale nie skarżę się, o nie! Blezylla jest taka dobra, taka... mogę powiedzieć... święta niewiasta...

— Szkoda tylko, że stara—zaśmiała się Krokala.— Hej, chłopcze, otrzyj pot z czarnej klaczy świeżymi figowymi liśćmi.

— I starość ma swoje zalety — odparł subdyakon, z zadowoleniem zacierając białe dłonie, obciążone pierścieniami.

Poczem szepnął Krokali do ucha:

— Dziś wieczór?...

— Nie wiem, doprawdy... Może... A przyniesiesz mi co?

— Nie obawiaj się, Krokalo. Z pustemi rękoma nie przyjdę. Mam pewną sztuczkę materyi... A co za deseń, żebyś wiedziała!...

Przysunął dwa palce do ust, pocałował, przymrużył oczy i cmoknął.

— Olśniewający!...

— Gdzieżeś ją znalazł?

— Ma się rozumieć, że u Syrmika, opodal łaźni Konstancyusza. Za kogóż mnie masz? Będziesz mogła zrobić sobie długi tarantinidion. Nie możesz sobie wystawić, co to za haft!... Jak ci się zdaje, co też wyobraża?

— Albo ja wiem!.. Kwiaty, albo zwierzęta?

— Nie kwiaty, ani zwierzęta, lecz złotem i jedwabiem dziergana cała historya cynika Dyogenesa, mędrca nędzarza, który mieszkał w beczce!...

— A! to musi być ładne! —zawołała ujeżdżaczka.— Przyjdź, przyjdź koniecznie. Będę czekała na ciebie.

Zefiryn spojrzał na zegar wodny, klepsydrę, ustawioną w zagłębieniu ściany, i zaniepokoił się.

— Aj, spóźnię się stanowczo!... Mam jeszcze zajść do lichwiarza w interesie innej matrony, do jubilera, do patryarchy, potem do kościoła na nabożeństwo... Bądź zdrowa, Krokalo!

— Tylko nie zapomnij! — wołała za nim Krokala i, grożąc mu palcem, dodała: —figlarzu!...

Subdyakon wyszedł, skrzypiąc safianowymi bucikami ze swoim niewolnikiem, dźwigającym pakunki.

Tłum jeźdźców, tancerek, gimnastów, zapaśników, poskramiaczów wpadł do stajni. Gladyator Mirmillon, z twarzą osłonioną siatką drucianą, zaczął rozpalać przy ogniu sztabę żelazną. Poskramiał on lwa, tylko co przywiezionego z Afryki, którego ryk rozlegał się za ścianą.

— Ty mnie do grobu wpędzisz, wnuczko, i sama zasłużysz na potępienie wieczne... Ach, jakże mnie krzyż boli! Sił mi brakuje!

— A, to ty, dziadku Gnyfonie?... Ciągle tylko zrzędzisz! —niezadowolonym głosem zawołała Krokala.

Gnyfon był to nizki starzec o załzawionych, przebiegłych oczach, błyszczących z pod siwych brwi, które poruszały się ciągle, jak dwie myszy białe, i o nosie fioletowym z pijaństwa. Miał na sobie spodnie lidyjskie ze wszystkich stron połatane, na głowie zaś wojłokową czapkę frygijską o śpiczastym wierzchołku, naprzód wygiętym, z dwiema klapami na uszy.

— Znowu się przywlokłeś po pieniądze!— sarkała Krokala. — I w dodatku pijany!...

— Wstydziłabyś się mówić tak, wnuczko. Odpowiesz przed Bogiem za moją duszę... Pomyśl, do czegoś mnie doprowadziła! Mieszkam teraz w dzielnicy Figowej, wynajmuję małą komórkę od rzeźbiarza, to jest fabrykanta bałwanów. Codzień muszę patrzeć, jak wykuwa z kamienia—Panie odpuść! — te bezecne twory. Czy sądzisz, że to przyjemny widok dla chrześcijanina?... Zaledwie oczy otworzę: tok! tok! tok!—gospodarz wali młotem po marmurze i wydaje na świat białych djabłów, bogów przeklętych, którzy się śmieją ze mnie, wykrzywiają gęby bezwstydne. I jak tu nie zgrzeszyć, nie uciec do szyneczku na pociechę? Och! Panie, zmiłuj się nad nami!... Nurzam się we wszeteczeństwie pogańskiem, jak świnia w gnojowisku. A przecie wiem, że wszystko nam policzone będzie... I kto temu winien? co? Ty! Rozrzucasz pieniądze na wszystkie strony, tylko dla biednego staruszka...

— Nie kłam, Gnyfonie — odparła dziewczyna:—biednym nie jesteś, tylko sknerą! Masz pod łóżkiem skarbonkę..

Gnyfon przelękły jął machać rękoma:

— Cicho, cicho!...—i żeby zmienić przedmiot rozmowy, rzekł:

— Wiesz ty, dokąd ja idę?

— Pewnie znowu do szynku...

— Właśnie że nie do szynku, tylko jeszcze gorzej! Do świątyni samego Dyonizosa!... Świątynia ta od czasów błogosławionego Konstantyna była zasypana gruzami, jutro zaś, na rozkaz wspaniałego cesarza Juliana, ma być znowu otwarta. Wynająłem się do oczyszczania, chociaż wiem, że przez to zgubię duszę i będę strącony do gehenny! Ale cóż, dałem się skusić... albowiem nagi jestem

i nędzarz, i głodny. Dożyłem do tego, że u własnej wnuczki miłosierdzia nie znajduję.

— Przestań, Gnyfonie, znudziło mi się słuchać. Masz! wynoś się i nie przychodź więcej, gdy będziesz pijany.

Krokala cisnęła dziadkowi swemu parę monet srebnych, poczem wskoczyła na dzikiego ogiera iliryjskiego i, stojąc na jego grzbiecie, trzaskała z długiego bicza i cwałowała po hipodromie. Gnyfon, klasnąwszy językiem z zadowolenia, zawołał dumnie:

— Na własnych rękach ją wychowałem!

I z tryumfem wskazywał Krokalę.

Jędrne nagie kształty woltyżerki jaśniały w promieniach porannego słońca, a jej rozwiane włosy rude odpowiadały barwą maści ogiera.

— Hej, Zotiku!—zawołał Gnyfon do starego niewolnika, zgarniającego gnój do kosza.—Chodź ze mną oczyszczać świątynię Dyonizosa! Tyś majster do takich rzeczy. Dam ci trzy obole.

— Czemu nie?—odparł Zotik.—Tylko oprawię lampkę przed boginią i zaraz idę z tobą.

Mówił o Hipponie, bogini koniuchów, stajni i gnoju. Wycięta niezgrabnie z drzewa, zakopcona, podobna do kloca, Hippona stała w wilgotnym kącie, ale Zotik, wychowany pomiędzy końmi, czcił ją, modlił się do niej ze łzami rozczulenia, przyozdabiał jej niekształtne nogi wonnymi fjołkami i był pewny, że go ona uleczy z każdej choroby, ochroni w każdej chwili życia i w godzinie śmierci.

Gnyfon i Zotik wyszli na okrągły plac, zwany Forum Konstantyna z podwójną kolumnadą i łukami tryumfalnymi. W samym środku wznosiła się na marmurowym cokóle olbrzymia kolumna z porfiru, dźwigająca na szczycie, wyżej niż na sto dwadzieścia łokci wzniesionym, bron-

zowy posąg Apollina, dzieło Fidyasza, wywiezione z jakiegoś miasta frygijskiego. Głowę boga Słońca odtrącono i z barbarzyńskim brakiem smaku przyprawiono do korpusu bożyszcza głowę cesarza — chrześcijanina Konstantyna Równego Apostołom. Czoło wieńczyły mu promienie złote; w prawej dłoni Apollo—Konstantyn trzymał berło, a w lewej—kulę ziemską. U stóp kolosu stała niewielka kapliozka chrześcijańska, rodzaj Palladium. Odprawiano w niej nabożeństwa jeszcze za czasów Konstancyusza. Chrześcijanie bronili się argumentem, że w bronzowym korpusie Apollina, w samej piersi słonecznego bóstwa, zawarty był talizman, cząstka Przenajświętszego Krzyża, przez Helenę przywieziona z Jerozolimy. Pomimo to cesarz Julian rozkazał zamknąć kaplicę.

Gnyfon i Zotik weszli w długą i wązką ulicę, wiodącą wprost do Schodów Chalcedońskich w pobliżu przystani. Wiele gmachów dopiero stawiano, inne przebudowywano, ponieważ były wzniesione tak pośpiesznie dla przypodobania się Konstancyuszowi, że zdążyły już się rozwalić. Dołem krążyli przechodnie, gromadzili się kupujący przed sklepami, posługacze, niewolnicy, turkotały pojazdy. W górze zaś na drewnianych rusztowaniach postukiwały młoty, skrzypiały windy, ostrze piły zgrzytało na twardych białych komieniach; robotnicy wciągali na sznurach ogromne belki lub czworogranne bloki prokonnezyjskiego lśniącego marmuru. Stamtąd czuć było wilgotny zapach świeżego wapna, i drobny pył biały opadał na głowy. Tu i owdzie, pomiędzy oblanymi słońcem murami oślepiającej białości, w głębi zaułków błękitniały uśmiechnięte fale Propontydy z podobnymi do skrzydeł mew żaglami statków.

Mimochodem usłyszał Gnyfon rozmowę dwóch robot-

ników, rozczyniających zaprawę alabastrową w wielkim kotle.

— Dlaczegoś został galilejczykiem?— zapytywał jeden z nich.

— Zastanów się tylko: chrześcijanie mają pięć razy tyle świąt, co Hellenowie. Któż będzie sam sobie szkodził? I tobie radzę zrobić tak samo. Z chrześcijanami bez porównania swobodniej!...

Na rogu tłum przycisnął Gnyfona i Zotika do ściany. Pośrodku ulicy stłoczyły się wozy; nie można było ani przejść, ani przejechać; krzyki, przekleństwa, śmiganie batów krzyżowały się w powietrzu. Dwadzieścia par zgiętych pod jarzmem wołów ciągnęło na ogromnym wozie o kołach kamiennych, przypominających żarna, kolumnę z jaspisu. Ziemia drżała pod ciężarem.

— Dokąd to wieziecie?— zapytał Gnyfon.

— Z bazyliki Świętego Pawła do świątyni Hery. Chrześcijanie porwali ją byli do swego kościoła. Teraz wraca na swoje miejsce.

Gnyfon spojrzał na brudny mur, o który był oparty i na którym ulicznicy pogańscy wyrysowali węglem zwykłą karykaturę bezecną na chrześcijan...

Gnyfon odwrócił się i plunął z oburzenia.

Obok tłumnego targu spostrzegli na ścianie portret Juliana ze wszystkimi atrybutami władzy cesarskiej. Z obłoków skrzydlaty bożek Hermes zstępował ku niemu. Portret był świeży z nieobeschłemi jeszcze farbami.

Według praw rzymskich, każdy przechodzień winien był złożyć ukłon przed świętym wizerunkiem Augusta.

Urzędnik targowy, agoranom, zatrzymał jakąś staruszkę, niosącą kosz buraków i kapusty.

— Nie kłaniam się bogom — szlochała staruszka.— Mój ojciec i moja matka już byli chrześcijanami.

— Masz złożyć ukłon nie bogu, jeno cesarzowi—odparł agoranom.

— Kiedy cesarz jest razem z bogiem! Więc jakże mam się kłaniać?

— Co mnie to obchodzi! Kazano się kłaniać i tyle. Niema o czem rozprawiać!

Gnyfon pośpiesznie odciągnął w drugą stronę Zotika,

— Szatański podstęp! Albo kłaniaj się przeklętemu Hermesowi, albo będziesz oskarżony o obrazę majestatu. Niema wyjścia! Och, och, och! czasy Antychrysta!... Zastawił czart sidła na prawowiernych ludzi. Ani się człowiek spostrzeże, jak zgrzeszy. Patrzę na ciebie, Zotiku, i zazdroszczę ci. Żyjesz sobie ze swą boginią od gnoju, o nic się nie troszcząc...

Doszli do świątyni Dyonizosa, stojącej w sąsiedztwie klasztoru, którego drzwi i okna były szczelnie pozamykane, jak przed najściem nieprzyjaciół. Poganie oskarżali bogobojnych zakonników o zrabowanie wielu skarbów świątyni.

Kiedy Gnyfon z Zotikiem tam weszli, ślusarze, cieśle i mularze byli już przy robocie. Odwalono zbutwiałe deski, któremi był zabity otwarty czworobok w suficie, i słońce wdzierało się do posępnego gmachu.

— Co tu pajęczyn, patrzcie tylko!

Pomiędzy kapitelami kolumn wisiały strzępy szarej przędzy pajęczej, którą usunięto pośpiesznie za pomocą długich tyk w gałgany owiniętych. Spłoszony nietoperz wypadł z ciemnej szczeliny i rzucił się na wszystkie strony, nie wiedząc gdzie się skryć przed światłem: tłukł się o wszystkie kąty i szeleściał miękkiemi skrzydłami.

Zotik zgarniał gruzy i śmieci i wynosił w koszyku.

— Czego tutaj nie nagromadzili, przeklęci!—mruczał stary pod nosem.

Przyniesiono pęk zardzewiałych kluczów i otwarto

skarbiec: zakonnicy powynosili byli wszystko, co miało wartości. Wprawione w naczynia ofiarne drogie kamienie były powyłupywane, stroje poodzierane z ozdób złotych i purpury. Gdy rozpostarto wspaniałą szatę ofiarnika, ćma molów wyrwała się z fałdów nakształt złotego obłoku. W głębi trójnogu Gnyfon znalazł garść popiołu, szczątki mirry, spalonej przed zwycięstwem chrześcijan przez ostatniego kapłana podczas ostatniej ofiary.

Ze wszystkich tych świętych rupieci, z ubogich gałganów i pogiętych naczyń zalatywał zapach śmierci i zgnilizny, łagodna i smutna woń prochów sprofanowanych bogów.

Słodka melancholia zakradła się w serce Gnyfona. Uśmiechnął się na wspomnienie czegoś, może swego dziecińatwa, smacznych placków jęczmiennych z miodem i tymiankiem, białych stokrótek polnych i żółtego mleczaju, które wespół z matką znosił na skromny ołtarz wiejskiej bogini; swoich modłów dziecinnych nie do dalekiego Boga w niebie, lecz do małych ziemskich bożków, wygładzonych dotykaniem rąk, wyciętych z drzewa bukowego, do Penatów domowych. I żal mu się zrobiło umarłych bogów, westchnął smutno, ale w tejże chwili opamiętał się i szepnął:

— Pokusa dyabelska!

Robotnicy przynieśli ciężką płytę marmurową, starożytną płaskorzeźbę, skradzioną przed wielu laty i odnalezioną w poblizkiej komórce Żyda szewca, który sobie nią komin kuchenny załatał. Filomena, stara żona sąsiada sukiennika, będąc nabożną chrześcijanką, nienawidziła szewcowej, zwłaszcza, że przeklęta Żydowica bezustannie wpuszczała swego osła w jej zagony kapusty. Wojna pomiędzy sąsiadkami trwała przez wiele lat; nakoniec zwyciężyła chrześcijanka. Za jej wskazówkami robotnicy

dostali się do domu szewca i żeby odebrać płaskorzeźbę, cały piec mu rozwalili.

Był to straszliwy cios dla szewcowej, która, potrząsając łopatą, wzywała pomsty Jehowy na niewiernych, wyrywała sobie włosy z głowy i jęczała śród poprzewracanych garnków i zburzonego komina, gdy tymczasem jej dzieciaki piszczały jak pisklęta w zrujnowanem gnieździe. Pomimo to wszystko zabrano płaskorzeźbę, i Filomena wzięła się do jej obmycia.

Sukienniczka gorliwie szorowała marmur zczerniały od ostrego dymu i zaplamiony zupami tłustemi, aż powoli z pod sadzy kuchennych wystąpiły poważne linio starożytnej rzeźby. Dyonizos, młodzieńczy, piękny, nagi, jakby znużony bachanalią, nawpół leżał, opuściwszy na dół dłoń z puharem: pantera zlizywała ostatnie krople wina. I bóg, radością darzący wszystko, co istnieje, z życzliwym i rozumnym uśmiechem spoglądał na to, jak moc dzikiego zwierzęcia poskramia święta wina potęga. Wzniesiono płaskorzeźbę na sznurach i umocowano na dawnem miejscu.

Przed samym posągiem Dyonizosa stojący na drabinie złotnik wprawiał w puste orbity boga dwa wspaniałe przezroczysto-błękitne szafiry, mające wyobrażać źrenice.

— Co to jest? — zapytał Gnyfon z nieśmiałą ciekawością.

— Alboż nie widzisz?... Oczy.

— Przecie. Ale skąd te kamienie?

— Z klasztoru.

— I zakonnicy pozwolili?

— A jakże mieli zabronić! Sam boski August Julian wydał rozkaz. Czyste źrenice boga służyły za ozdobę szaty Ukrzyżowanego. Otóż to! Mówią o miłosierdziu i sprawiedliwości, a sami są pierwszymi rabusiami... Patrz, jak doskonale pasują kamienie do swoich dawnych miejsc!

Bóg, odzyskawszy wzrok, spojrzał na Gnyfona szafirowemi oczyma. Starzec odskoczył i przeżegnał się, zabobonną trwogą przejęty.

— Panie, zmiłuj się nad nami! Co to za obyda!

Trapiły go wyrzuty sumienia. Zamiatając kurz, mówił, według zwyczaju, sam do siebie:

— Gnyfonie, Gnyfonie, jakimże jesteś nędznikiem! Istny z ciebie pies parszywy, że tak powiem. Cóżeś to uczynił na schyłku swego życia! Czemużeś zasłużył na potępienie? Zły duch cię opętał! A teraz pójdziesz w ognie piekielne, i nie będzie dla ciebie zbawienia. Skalałeś duszę i ciało, Gnyfonie, we wszeteczeństwie pogańskiem. Lepiejby ci było nie oglądać świata Bożego!

— Czego tak lamentujesz, stary? — pytała sukienniczka Filomena.

— Bo mnie serce boli, ach, jak boli!

— Jesteś chrześcijaninem?

— Jakim tam chrześcijaninem! Jestem gorszy od żyda. Nie chrześcijaninem jestem, lecz zdrajcą Chrystusa!—odpowiedział Gnyfon, zamiatając zawzięcie.

— Chcesz, to zdejmę z ciebie grzech tak, że nie pozostanie na tobie najmniejszej plamki z niecnoty pogańskiej? I ja jestem chrześcijanką, a widzisz, że nie obawiam się niczego. Alboż byłabym się podjęła tej szkaradnej roboty, gdybym nie wiedziała, jak się oczyścić?

Gnyfon spoglądał na nią z niedowierzaniem.

Sukienniczka, upewniwszy się, że nikt nie słucha, zaczęła szeptać tajemniczo:

— Tak, tak, jest na to środek. Muszę ci się przyznać, że dostałam od jednego pielgrzyma kawałek drzewa egipskiego, zwanego Persis, które rośnie w Hermopolisie w Tebaidzie. Gdy Dzieciątko Jezus z matką swoją wjeż-

dźali na ośle w bramy miasta, Persi ugsięło się przed nimi aż do ziemi, i od tej chwili stało się cudownem i leczy chorych. Posiadam mały wiórek tego drzewa i mogę ci z niego cząstki udzielić. Taką jest potęga jego, że gdy się wrzuci drzazgę do kadzi z wodą, to nazajutrz woda stanie się święconą i nabierze niesłychanej mocy. Obmyjesz się nią od stóp do głowy, i cały brud pogański opadnie z ciebie, jakby go nigdy nie było. Uczujesz się lekkim i czystym. Też powiedziano w Piśmie: „Zanurzysz się w wodzie i staniesz się bielszym od śniegu!"

— Dobrodziejko moja! — błagał Gnyfon. —Ratuj mnie! Daj mi źdźiebełko tego cudownego drzewa!

— Tylko widzisz, ono jest bardzo drogie! Zresztą, kiedy już chcesz koniecznie, odstąpię-ci trochę za drachmę...

— Co ty mówisz, matko! Zmiłuj się! W życiu swojem jeszsze nie miałem drachmy... Dam ci pięć obolów.

— Skąpcze! — oburzyła się sukienniczka. — Żal ci drachmy!... Czyż twoja dusza nie warta tyle?

— Daj-no pokój, niewiadomo jeszcze, czy się oczyszczę—wahał się Gnyfon.—Może złe już tak do mnie przylgnęło, że nic nie pomoże?

— Ręczę ci za to—upewniała sukienniczka.—Teraz jesteś jako pies niechlujny. A gdy się pokropisz wodą święconą, poczujesz, że strupy opadają ci z duszy, która zajaśnieje czysta, jak gołębica.

II

Julian urządził w Konstantynopolu pochód bachiczny. Siedząc na wozie zaprzężonym w dwa muły białe, trzymał w jednej dłoni tyrs złoty, z symbolem płodności — szyszką cedrową na wierzchu, w drugiej zaś czarę spowitą

w bluszcz. Promienie słońca, padając w głąb tej czary kryształowej, napełniały ją światłem po brzegi, jak winem. Obok rydwanu kroczyły oswojone pantery, przywiezione z wyspy Serendiby. Bachantki śpiewały, uderzając w tympanony i potrząsając płonącemi pochodniami, a przez obłoki dymu widać było młodzieńców z rogami faunów na czole, nalewających ze dzbanów wino w puhary. Potrącali się ze śmiechem, i nieraz płyn rubinowy, omijając puhar, padał na krągłe obnażone ramię bachantki, rozpryskując się w mnóstwo kropelek. Na ośle ciągniono otyłego starca, skarbnika nadwornego, wielkiego łotra i kubaniarza, który doskonale grał rolę Sylena.

Bachantki śpiewały, wskazując młodego cesarza:

„W obłoku wiecznie błyszczącym
Zasiadasz, Bachusie błogi...“

Tysiące głosów podchwyciły pieśń z „Antygony“ Sofoklesa:

Zstąp do nas, o Zeusa dziecię!
Zstąp do nas, boże, przywódco
Chórów namiętnie rozgłośnych,
Świateł, płonących w noc ciemną!
Z hałasem, pieśniami, krzykiem
I z tłumem dziewcząt szalonych,
Co, rozognione, w zachwycie
Pląsem bachicznym czczą ciebie,
Zstąp do nas, radosny boże!

Wtem Julian usłyszał śmiechy, pisk kobiecy i drżący głos starca:

— A, śliczna turkaweczko!

To ofiarnik, jowialny staruszek, uszczypnął w łokieć obnażony dorodną bachantkę. Julian zmarszczył brwi i przywołał starca, który nadbiegł w podskokach, kulejąc.

— Przyjacielu,—szepnął mu Julian do ucha—chciej

zachowywać godność, odpowiednią do twego wieku i stanowiska.

Ale ofiarnik spojrzał nań takim bezmyślnym wzrokiem, że Julian mimowoli zamilkł.

— Jam człek prosty i nieoświecony, i pozwolę sobie odpowiedzieć Waszej Cesarskiej Mości, że nie znam się na filozofii, ale bogów szanuję. Zapytaj kogo chcesz: za najcięższych prześladowań od chrześcijan byłem im zawsze wierny. Ale też, che-che-che—gdy zobaczę ładną dziewczynę... krew się we mnie burzy... Stary kozieł ze mnie...

Dostrzegłszy niezadowolenie na twarzy cesarza, urwał, spoważniał, i mina jego przez to stała się jeszcze głupszą.

— Co to za jedna ta młoda dziewczyna? — zapytał Julian.

— Ta, która niesie na głowie naczynia święte?

— Tak.

— Hetera z Chalcedońskiego przedmieścia.

— Jak to! Pozwoliłeś zalotnicy dotknąć nieczystemi rękoma naczyń, poświęconych bogu!

— Ależ, boski Auguście, sam ten pochód nakazałeś! Kogóż wziąć? Wszystkie szlachetne niewiasty są galilejkami. A przytem... żadna z nich nie zgodziłaby się występować pół nago...

— Więc wszystkie one są...

— Nie, nie wszystkie! Co znowu! Są tu i ładne tancerki, i tragiczki, i dziewczyny z hipodromu. Patrz, jakie to wesołe i nie ma fałszywego wstydu. Ludowi to się podoba, możesz mi wierzyć! Tego mu właśnie potrzeba. A otóż i patrycyuszka...

Była to stara panna chrześcijanka, szukająca męża. Na jej głowie wznosiła się peruka w kształcie szyszaka, „galerion,” z modnych w owe czasy włosów germańskich, pudrowanych złotem. Cała w drogich kamieniach, jak

bożyszcze wschodnie, wystawiała skórę tygrysią na swej piersi zwiędłej, wyschłej, bezwstydnie wyróżowanej, i uśmiechała się wyzywająco.

Julian począł się z niesmakiem przyglądać uczestnikom pochodu.

Skoczkowie na linie, legioniści pijani, kobiety rozpustne, jeźdźcy cyrkowi, gimnaści, zapaśnicy, mimicy swawolili dokoła niego.

Pochód doszedł do rogu ulicy. Jedna z bachantek wbiegła do szynku, zionącego wstrętną wonią ryb i zjełczałego tłuszczu, a wyniósłszy stamtąd placuszków tłustych za trzy obole, poczęła jeść chciwie, oblizując się. Skończywszy, otarła ręce o jedwabną szatę szkarłatną, daną jej na uroczystość ze skarbca cesarskiego.

Chór Sofoklesowy znudził się wkrótce, ochrypłe głosy rozpoczęły z zapałem jakąś piosnkę uliczną. Wszystko to zaczęło Juliana wstrętem przejmować. Pijany Celt podtknął się i przewrócił. Towarzysze jęli go podnosić. W tłumie schwytano dwu złodziejów, odgrywających doskonale rolę starożytnych faunów. Ci zaczęli się bronić. Wynikła bójka. Z całego orszaku tylko pantery zachowały wdzięk i powagę.

Wreszcie zbliżano się do świątyni, i Julian zeszedł z wozu.

— Mam więc stanąć przed ołtarzem Dyonizosa w otoczeniu całej tej zgrai?—myślał.

Chłód odrazy przebiegał mu po ciele. Patrzał na postaci zezwierzęcone, wyczerpane rozpustą, z wyglądem trupim pomimo uróżowania, na przykrą nagość ciał, wycieńczonych anemią i postami, grozą gehenny chrześcijańskiej i skrofułami. Zdawała się zalatywać od nich atmosfera lupanarów i szynków. Oddech tłumu, cuchnący

zgniłą rybą i kwaśnem winem, bił mu w twarz przez dymy kadzideł. Ze wszystkich stron wyciągano ku niemu pergaminowe z prośbami.

— Obiecano mi miejsce w twoich stajniach... Wyparłem się Chrystusa, i nic mi nie dano...

— Nie opuszczaj nas, boski Auguście! okaż nam swoją opiekę!... Wyrzekliśmy się wiary ojców, ażeby się przypodobać tobie. Jeżeli ty nas odtrącisz, do kogóż się udamy?

— Dostaliśmy się w pazury czarcie — jęknął ktoś z rozpaczą.

— Milcz, durniu! czego się drzesz? — zakrzyczeli go inni.

Chór przytłumił te głosy:

— Z hałasem, pieśniami, krzykiem
I z tłumem dziewcząt szalonych,
Co, rozognione, w zachwycie
Pląsem bachicznym czczą ciebie,
Zstąp do nas, radosny boże!

Julian wszedł do świątyni i patrzał na marmurowy posąg Dyonizosa. Oczy jego wypoczywały po szkaradzie ludzkiej na dumnych, czystych konturach ciała boskiego. Nie dostrzegał więcej ludzi; zdawało mu się, że jest sam, niby człowiek śród stada bydląt.

Cesarz przystąpił do składania ofiary. Lud patrzał ze zdumieniem, jak cesarz rzymski, Pontifex Maximus, w żarliwości religijnej wykonywał pracę niewolników: łupał drwa, znosił gałęzie, czerpał wodę, czyścił ołtarz, popiół wygarniał, rozdmuchiwał ogień.

Skoczek na linie rzekł szeptem do sąsiada:

— Patrz, jaki czynny! O, ten kocha swych bogów.

— Dalibóg, — odparł zapaśnik w przebraniu satyra,

prostując koźle rogi na czole—niejeden mniej kocha oj i matkę, niż on swoich bogów.

— Patrzcie, — śmiał się z cicha ktoś inny—jak nadyma policzki, chcąc ogień rozniecić! Dmuchaj sobie, dmuchaj—nie rozpali się! Za późno!... Zgasił go twój wujaszek Konstantyn...

Buchnął płomień, oświetlając oblicze cesarza.

Umoczywszy kropidło święte z włosia końskiego (aspergillum) w płaskiem naczyniu srebrnem—paterze, Julian pokropił tłum wodą ofiarną. Wielu się skrzywiło, inni zadrżeli, uczuwszy zimne krople na twarzy.

Po ukończeniu całego obrzędu, Julian przypomniał sobie, że przygotował rozprawę filozoficzną dla tłumu.

— Ludzie! — przemówił—bóg Dyonizos jest początkiem wielkiej wolności serc waszych. Dyonizos kruszy wszelkie łańcuchy, drwi z możnych, wyzwala niewolników...

Ale tu arcykapłan spostrzegł na twarzach słuchaczów takie osłupienie i takie nudy, że słowa zamarły na ustach, a śmiertelna odraza ku ludzkości ogarnęła mu serce. Dał znak kopijnikom, ażeby go otoczyli.

Tłum rozproszył się niezadowolony i zawiedziony.

— Idę zaraz do kościoła ze skruchą! Może mi będzie odpuszczone! — mówił jeden z faunów, zdzierając gniewnie przyprawioną brodę i rogi.

— Nie było za co gubić swej duszy! — zauważyła oburzona ladacznica.

— Co komu do twojej duszy! ... nikt za nią nie da trzech obolów.

— Oszukańcy! — ryczał pijak: — ledwie wąsy umoczyć dali. Dyabły przeklęte!...

W skarbcu świątyni cesarz obmył twarz i ręce, zdjął wspaniały strój Dyonizosa i przywdział skromną tunikę

białą pitagorejczyków. Słońce zachodziło. Czekał, aż mrok zapadnie, ażeby niepostrzeżenie dostać się do pałacu.

Tylnemi drzwiami świątyni wyszedł Julian do świętego gaju Dyonizosa. Tylko brzęczenie pszczół i szmer strumienia mąciły tu ciszę.

Rozległy się kroki, na które Julian odwrócił głowę. Był to jego przyjaciel, jeden z ulubionych uczniów Maksyma, młody lekarz z Aleksandryi, Orybazy.

Szli obok siebie po wązkiej ścieżynie. Słońce przenikało przez szerokie złocone liście winogradu.

— Patrz, — mówił Julian z uśmiechem — jeszcze wielki Pan żyje tutaj.

A potem dodał ciszej, spuszczając głowę:

— Widziałeś, Orybazy?

— Tak jest — odpowiedział lekarz. — Ale kto wie, czy to nie twoja własna wina, Julianie! Czegóż mogłeś się spodziewać?

Cesarz milczał.

Doszli do opanowanych przez bluszcze ruin. Była to zapewne niegdyś mała świątyńka Sylena. Zwaliska leżały w gęstej trawie; tylko jedna kolumna się ostała z kunsztownym kapitelem, podobnym do lilii białej, na którym, konały ostatnie słońca promienie.

Siedli na płytach, wchłaniając balsaminną woń mięty, rumianku i piołunu. Julian odgarnął trawy i, wskazując potłuczoną starą płaskorzeźbę, wyrzekł:

— Oto czego się spodziewałem, Orybazy!

W płaskorzeźbie wyobrażona była starohełeńska „Theoria“—świąteczna procesya Ateńczyków.

— Oto czego chciałem—tego piękna! Dlaczego ludzie codzień stają się szpetniejsi? Gdzie się podzieli ci starcy do bogów podobni, mężowie dzielni, dumni młodzieńcy, niewiasty czyste w białych powiewnych szatach? Gdzie

się podziała ta moc, ta radość? Galilejczycy! Galilejczycy! cóżeście uczynili z nimi?...

Pełnemi bezbrzeżnego smutku i miłości oczyma spoglądał na płaskorzeźbę, rozchylając wysokie trawy.

— Julianie?—zapytał z cicha Orybazy.—Czy ty wierzysz Maksymowi?

— Wierzę...

— We wszystkiem?

— Co chcesz przez to powiedzieć?—zapytał Julian, podnosząc na niego oczy ze zdziwieniem.

— Zawsze mi się zdaje, Julianie, że cierpisz na tę samą chorobę, co i twoi wrogowie chrześcijanie.

— A tą jest?

— Wiara w cuda.

Julian potrząsnął głową.

— Jeżeli niema ani cudów, ani bogów, tedy całe moje życie jest szaleństwem... Nie, nie mówmy o tem. I nie sądź mnie zbyt surowo za moją miłość ku obrzędom i wróżbom starożytnym. Nie wiem, jak ci się wytłómaczyć. Stare naiwne pieśni wzruszają mnie do łez. Wolę wieczór niż rano i jesień aniżeli wiosnę. Kocham wszystko, co ulata... nawet woń więdnących kwiatów... Cóż robić, przyjacielu! Tak mnie stworzyli bogowie. Ten cichy smętek, ten zmierzch złoty i czarodziejski są dla mnie niezbędne. W odległej starożytności było coś niewymownie pięknego i powabnego, czego już nigdzie indziej nie znajduję, jakaś poświata zachodzącego słońca na pożółkłym ze starości marmurze. Nie pozbawiaj mnie szalonej miłości ku temu, czego już niema. Wszystko, cokolwiek było, piękniejszem jest od tego, co jest. Wspomnienie większą ma władzę nad moją duszą, niżeli nadzieja...

Julian zamilkł i w zamyśleniu, z czułym uśmiechem, spoglądał w dal, wspierając głowę o wysmukłą kolumnę,

której kapitel przypominał smutną lilię białą. Blask słońca zagasł już na niej.

— Mówisz jak poeta—odparł Orybazy. — A marzenia poety są niebezpieczne dla tego, w czyich ręku są losy świata. Ten, który rządzi ludźmi, czyż nie powinien być czemś więcej niż poetą?

— A czemże wyższem być można?

— Twórcą nowego życia.

— Nowego, nowego!—wykrzyknął Julian.—Zaprawdę, ta wasza nowość przeraża mnie chwilami! Wydaje mi się zimną i twardą, jak śmierć. Powiadam ci: serce moje lgnie ku temu, co stare. Galilejczycy również poszukują ciągle nowości, depcząc dawne bożyszcza. Wierz mi, nowość istnieje tylko w tem, co stare, ale się nie starzeje, co zmarło, a nieśmiertelne, co pohańbione—a piękne!

Wstał, wyprostował się, z twarzą bladą a dumną, z oczyma błyszczącemi.

— Oni myślą, że Hellada umarła! I ze wszech stron świata czarne mnichy rzucają się jak kruki na jej marmurowe ciało i szarpią je, jak padlinę, kracząc radośnie: „Hellada umarła!“ Ale Hellada umrzeć nie może! Hellada żyje tu—w naszych sercach! Hellada—to boska piękność człowieka na ziemi. Uśpioną jest tylko, a gdy się przebudzi—wtedy biada czarnym krukom Galilei!

— Julianie,—szepnął Orybazy—trwoga mnie przejmuje o ciebie... Podjąłeś zadanie do spełnienia niemożliwe... Kruki nie rozszarpią żywego ciała, a umarli nie zmartwychwstają... Cesarzu, cóż, jeżeli cud się nie spełni?

— Nie obawiam się niczego. Moja zguba będzie tryumfem moim! — zawołał cesarz z takiem rozpromienieniem radości na młodzieńczej twarzy, że Orybazy zadrżał, jak gdyby cud miał się spełnić w istocie.—Chwała potępionym! Zwyciężonym chwała!

— Mim jednakże zginę, — dodał z dumnym uśmiechem—będziemy walczyli jeszcze! Chciałbym, ażeby wrogowie moi byli godnymi mej nienawiści, nie zaś mej pogardy... Zaiste, kocham swych nieprzyjaciół, ponieważ mogę ich zwyciężać i uczuwać moc swoją! Noszę w sercu radość Dyonizosa! Starożytny tytan dźwiga się, kruszy swe łańcuchy — i oto jeszcze raz zapłonie na tej ziemi ogień Prometeusza! Tytan przeciw Galilejczykowi!... Idę dać ludziom wolność i wesołość taką, o jakich marzyć nie śmieli. Galilejczyku! panowanie twoje rozwiewa się, jako cień! Radujcie się, pokolenia i narody ziemi! Jestem zwiastunem życia, jestem wyzwolicielem, jestem... Antychrystem!

III

W sąsiednim klasztorze, przy zamkniętych szczelnie drzwiach i okiennicach, rozlegały się uroczyste śpiewy duchownych. Zdaleka zalatywały odgłosy pieśni bachicznych. By je stłumić, zakonnicy złączyli swe głosy w jeden jęk żałosny:

„Przecz-żeś nas, o Boże, do końca odrzucił? Przecz-że się rozpaliła zapalczywość Twoja przeciwko owcom pastwiska Twego?

„Podałeś nas, jako owce na żer, a między pogan rozproszyłeś nas. Podałeś nas na wzgardę sąsiadom naszym, na szyderstwo i na pośmiechy tym, którzy są około nas.“

Dawne słowa proroka Daniela nabierały nieoczekiwanego znaczenia:

„Wydał nas Pan królowi Odstępcy, na całym świecie najzłośliwszemu!“

Późno w nocy, gdy cisza zapanowała na ulicach, ojcowie popowracali do cel.

Brat Parfeniusz ani myśleć nie mógł o śnie. Miał on twarz bladą i łagodną. W jego wielkich oozach, czystych, jak oczy dziewicy, gdy musiał przemawiać do ludzi, widać było zakłopotanie smutne. To też odzywał się rzadko, niewyraźnie i najczęściej wypowiadał zdania tak nieoczekiwane i dziecinne, że nie można go było słuchać bez uśmiechu. Ozęsto śmiał się bez przyczyny, a na zapytania posępnych mnichów: — Czego szczerzysz zęby dyabłu na uciechę?—odpowiadał bojaźliwie, że „śmieje się ze swych własnych myśli.“ Utrwalało to tem bardziej wszystkich w przekonaniu, że Parfeniusz nie jest przy zdrowych zmysłach.

Miał on za to wielki talent przyozdabiania kart naczelnych i tytułowych liter ksiąg świętych kunsztownemi malowidłami, i tą sztuką pozyskiwał klasztorowi nie tylko pieniądze, lecz i sławę w najodleglejszych prowincyach. Naturalnie, sam wcale się tego nie domyślał, i gdyby nawet był w stanie pojąć, co to znaczy sława, prędzejby się pewnie przeraził, niż uradował.

Zajęć swych artystycznych, wielce mozolnych, gdyż brat Parfeniusz doprowadzał wykonanie szczegółów do ostatecznej doskonałości, nie uważał za pracę, lecz za rozrywkę. Nie mówił: „Idę pracować“ — lecz prosił przełożonego, starca Pamfila, który go kochał tkliwie: — „Pozwól mi, ojcze, pojść się pobawić.“

Wykonawszy jaką zawiłą kombinacyę ornsmentacyjną, klaskał w dłonie i sam sobie winszował.

Brat Parfeniusz polubił do tego stopnia ciszę i spokój nocy, że nauczył się pracować przy świetle lampy. Barwy nabierały wprawdzie nieoczekiwanych odcieni, lecz fantazyjnym rysunkom nie wychodziło to na szkodę.

W swojej małej celce o nizkiem sklepieniu Parfeniusz zapalił niewielką lampę glinianą i postawił ją na półce obok małych flaszek, cienkich pendzelków, puszek z farbami, z cynobrem, z płynnem złotem i srebrem. Przeżegnał się, ostrożnie umoczył pendzelek i począł malować ogony dwu pawi nad tytułem jednej stronicy. Złote pawie na zielonem polu piły u źródła turkusowego, podnosząc dzioby i wyciągając szyje, jak przystało pijącym ptakom. Opodal oczekiwały porozpoczynane inne pergaminy. Był tam cały świat nadnaturalny i wdzięczny. Dokoła tekstów przewijały się śród pomysłów najbajeczniejszej architektury fantastyczne drzewa i zwierzęta. Parfeniusz, stwarzając je, nie myślał o niczem, ale na bladą twarz spływała mu radosna pogoda. Hellada, Asyrya, Persya, Indye i późniejsze Bizancyum, wymyślne i mgliste wizye przyszłych światów — wszystkie narody i wieki wszystkie zlewały się w jeden raj mnicha, migocący blaskiem kamieni drogocennych dokoła inicyałów Pisma Świętego.

Tu był wyobrażony Chrzest. Jan Chrzciciel polewał wodą głowę Chrystusa, obok zaś pogański bożek rzeczny Jordan uprzejmie nachylał amforę z ciekącą strugą, i jako dawny posiadacz strumienia, trzymał przygotowany ręcznik, by go po odbytym chrzcie podać Zbawicielowi.

Brat Parfeniusz w prostocie ducha nie bał się dawnych bogów, bawił się nimi i uważał ich za nawróconych oddawna na wiarę chrześcijańską. Nie zapominał nigdy umieszczać na wierzchołkach wzgórz boga gór w osobie nagiego młodziana. Gdy rysował przejście Żydów przez Morze Czerwone, kobieta z wiosłem w ręku wyobrażała morze, a człowiek nagi z napisem: „Bythos“ miał reprezentować otchłań, która pochłonęła Faraona; na brzegu siedziała kobieta smutna, w tunice piaskowego koloru—to była Pustynia.

Tu i owdzie, w wygięciu szyi końskiej, w fałdach powłóczystej sukni, w naiwnej pozie leżącego bożka, wspartego na łokciu, przebijała wytworność starożytna, wdzięk nagości.

Tej nocy „zabawa“ nie zajmowała artysty. Jego niestrudzone palce drżały, uśmiech nie zjawiał się na ustach.

Nadstawiając ucha, otworzył skrzynię cedrową, wyjął szydło, służące do oprawiania książek, przeżegnał się i zasłaniając zaróżowioną od światła dłonią płomień lampy, cichuteńko wyszedł z celi.

W korytarzu było cicho i duszno; słychać było zaledwie bzyk muchy, zaplątanej w siatce pajęczej.

Parfeniusz wszedł do kościoła, oświetlonego jedyną lampką, stojącą pod starym dyptykiem z kości słoniowej. Dwa wielkie podłużne szafiry z aureoli Jezusa, siedzącego na ręku Bogarodzicy, zostały wyjęte przez pogan i przeniesione na miejsce pierwotne do świątyni Dyonizosa.

Te czarne otwory w pożółkłej kości słoniowej wydały się Parfeniuszowi ranami na żywem ciele.

— Nie, nie mogę! — szepnął, ucałowując dłoń dzieciątka Jezus.—Nie mogę, wolałbym umrzeć.

Te świętokradzkie blizny w kości słoniowej męczyły go i oburzały bardziej, niż jakakolwiek katusza dokonana nad ludzką istotą.

W kącie kościoła wyszukał drabinę sznurową, używaną przy zapalaniu lamp w kopule świątyni. Zabrawszy ją, wszedł do wązkiego korytarza, prowadzącego ku wyjściu, przy którem na słomie chrapał gruby brat odźwierny Chorys.

Parfeniusz prześliznął się jak cień. Zawiasy drzwi skrzypnęły metalicznym dźwiękiem. Chorys podniósł się, zamrugał powiekami i nanowo runął na słomę.

Parfeniusz przelazł przez nizkie ogrodzenie i wy-

dostał się na ulicę przedmiejską, pustą o tej porze. Pełnia świeciła na niebie. Morze szumiało.

Obszedł świątynię Dyonizosa aż do miejsca, pogrążonego w cieniu i zarzucił drabinkę sznurową, chcąc ją zaczepić na metalowym akroterze, zdobiącym róg gmachu. Drabina zawisła na łapie sfinksa. Mnich wdrapał się na dach.

W oddali zapiał kur, pies szczeknął, potem znowu stało się cicho, tylko dochodził nieustanny szum morza.

Parfeniusz przerzucił drabinę i spuścił się do wnętrza świątyni. Panowało tu uroczyste milczenie.

Źrenice boga, dwa podłużne szafiry, jaśniały jak żywe w blasku miesięcznym i wpatrywały się w mnicha. Parfenyusz zadrżał i przeżegnał się.

Wszedł na ołtarz, przy którym Julian niedawno składał ofiarę, i uczuł jeszcze pod stopami ciepło zaledwie wygasłych popiołów.

Mnich wyciągnął szydło z zanadrza. Oczy bożka błyszczały tuż przy jego twarzy. Artysta widział uśmiech bez troski Dyonizosa i całe jego marmurowe ciało, zalane światłem księżyca. I oto przez chwilę zapatrzył się na bożka starożytnego.

Potem zabrał się do dzieła, usiłując ostrzem szydła wydłubać szafiry z otworów. Dłoń jego mimowoli oszczędzała marmur ponętny.

Dokazał wreszcie swego. Oślepiony Dyonizos groźnie spoglądał na mnicha ciemnemi orbitami.

Wtedy Parfeniuszem owładnął przestrach. Wydało mu się, że ktoś go podgląda. Zeskoczył z ołtarza, podbiegł do drabiny, wdrapał się na górę, przerzucił ją, nie nie myśląc o przymocowaniu, to też przy schodzeniu zerwał się na ostatnich stopniach i upadł.

Blady, z włosami w nieładzie, z poszarpaną odzieżą,

ale pomimo wszystkiego mocno trzymając w dłoni drogocenne szafiry, przebiegł ulicę jak złodziej i wpadł do klasztoru.

Odźwierny nie obudził się wcale. Parfeniusz ukradkiem wsunął się do kaplicy. Uspokojony na widok dyptyku, próbował osadzić szafirowe oczy Dyonizosa w otworach; utrzymywały się znakomicie i zajaśniały na nowo w aureoli Dzieciątka Jezus.

Powróciwszy do celi, Parfeniusz zgasił lampę i położył się spać.

Nagle śród ciemności skurczył się, ukrył twarz w dłonie i wybuchnął tłumionym śmiechem, jak czynią dzieci, szczęśliwe ze spłatanego figla i, obawiając się, żeby go nie wykryto. Zasnął ze śmiechem tym w duszy.

Gdy się obudził, poranne fale Propontydy błyszczały przez kraty małego okienka, za którem gruchały gołębie, trzepocąc błękitnawemi skrzydłami.

Nocny śmiech trwał jeszcze w sercu Parfeniusza, który podbiegł do swego stołu i z radością spoglądał na niewykończone arabeski.

Był to raj ziemski. Adam i Ewa siedzieli na łące. Promień słońca wschodzącego padł na malowidło, które zapłonęło rajskim przepychem: złotem, purpurą i lazurem.

Parfeniusz zasiadł do pracy i nie zauważył, że nadaje nagiemu ciału Adama starożytną wspaniałą piękność olimpijską wesołego boga Dyonizosa.

IV

Słynny sofista, nadworny nauczyciel krasomówstwa Hekebolis rozpoczął od najniższego szczebla wspinać się po drabinie dostojeństw państwowych. Niegdyś był służącym

przy świątyni Astarty w Hieropolisie. Mając lat szesnaście, skradł kilka kosztownych przedmiotów i uciekł ze świątyni do Konstantynopola, gdzie przeszedł przez wszystkie męty stolicy, przykładał ręki do wszelkich łotrostw, włóczył się po gościńcach zarówno z czcigodnymi pielgrzymami, jak i z rozbójniczą bandą kastrowanych ofiarników Dindymeny, bogini o piersiach wielu, ulubienicy pospólstwa, z wioski do wioski na ośle przewożonej. Wreszcie dostał się do szkoły retora Proeresa i wkrótce sam został nauczycielem krasomówstwa.

W ostatnich latach panowania Konstantyna Wielkiego, gdy religia chrześcijańska modną się stała u dworu, Hekebolis przyjął chrystyanizm. Kler żywił ku niemu szczególną życzliwość, on zaś odpłacał mu tem samem.

Hekebolis często, a zawsze w odpowiedniej chwili, zmieniał wyznanie, stosownie do tego, skąd wiatr zawiał: z aryanina stał się prawowiernym; z prawowiernego—znowu aryaninem, a każda taka zmiana wynosiła go wyżej o stopień w hierarchii dygnitarzy i, duchowieństwo popierało go, i on popierał duchowieństwo.

Głowa mu szpakowaciała, tusza stawała się coraz okazalszą, rozumne jego mowy nabierały coraz większego wdzięku i słodyczy, policzki zakwitły rumieńcem. Oczy miał łagodne, nie wiadomo, zołzawione, czy maślane, chwilami jednak przebijała w nich iskierka złośliwej ironii, zdradzał się umysł zuchwały i zimny. Wtedy pośpiesznie spuszczał powieki, a iskierka gasła.

Cała powierzchowność znakomitego sofisty nabrała cechy stateczności klerykalnej.

Był to skrupulatny zachowywacz postów i subtelny gastronom. Postne jego potrawy były wymyślniejsze od najzbytkowniejszych dań mięsnych, zupełnie jak jego żarty klasztorne były śmielsze od najswobodniejszych dowcipów

pogańskich. Podawano u niego napój chłodzący z soku buraczanego, zaprawionego szczególnymi korzeniami, który wielu smakował lepiej od wina. Zamiast zwyczajnego chleba z mąki pszennej wymyślił placki postne z nasion pustyni, któremi według podania miał się żywić święty Pachomiusz w Egipcie.

Złośliwi utrzymywali, że Hekebolis był libertynem. Opowiadano sobie w Konstantynopolu następującą anegdotę:

Pewna młoda kobieta wyznała przed spowiednikiem, że dopuściła się zbrodni cudzołóstwa.—„To wielki grzech I z kimże to, córko moja?"—„Z Hekebolisem, mój ojcze!" Oblicze kapłana rozpogodziło się.—„Z Hekebolisem? ach, czy tak? To człowiek świętobliwy, poddany Kościołowi.. Żałuj, córko moja, a Bóg ci przebaczy!"

Niewątpliwie opowiadania podobne były tylko plotkami, jednakowoż na czcigodnem wygolonem obliczu dostojnika dziwnie uwydatniały się wargi zbyt czerwone i zbyt grube, chociaż starał się je zaciskać z wyrazem pokory mniszczej. Kobiety przepadały za nim.

Co jakiś czas Hekebolis znikał na dni kilkanaście i nikt, albo prawie nikt nie mógł wyjaśnić tej tajemniczej strony jego życia. Umiał zacierać za sobą ślady. Nigdy żaden domownik ani niewolnik nie towarzyszył mu w tych zagadkowych wyprawach, z których powracał odmłodzony i uspokojony. Tylko mowy jego potem stawały się jeszcze bardziej pociągające, siwizna jeszcze czcigodniejszą, stateczność mnisza jeszcze uroczystszą.

Przy cesarzu Konstancyuszu otrzymał Hekobolis godność nadwornego mówcy ze wspaniałem uposażeniem, latiklawą senatorską i wstęgą niebieską przez ramię, cechą największych dygnitarzy.

Zmierzał jeszcze wyżej.

Ale właśnie w chwili, gdy się gotował do postanowienia ostatniego krcku, jak cios niespodziewany spadła śmierć Konstancyusza. Na tron wstąpił Julian, wróg Kościoła. Hekebolis nie stracił przytomności nmysłu: uczynił to samo, co wielu innych, ale roztropniej, a przedewszystkiem ani za wcześnie, ani zbyt późno.

Julian w pierwszych dniach panowania urządził w swym pałacu dysputę teologiczną. Młody filozof i lekarz, powszechnie szanowany za prawość i szlachetność, Cezary z Kapadocyi, brat słynnego teologa Bazylego Wielkiego, podjął się obrony wiary chrześcijańskiej przeciwko cesarzowi.

W tych uczonych zapasach Julian dopuszczał zupełną niezależność zdania i lubił nawet, żeby mu odpowiadano gorąco i namiętnie, z pominięciem etykiety dworskiej.

Spór był bardzo ożywiony, zgromadzenie sofistów, mędrców, retorów i kapłanów nader liczne.

Zwykle po niejakim czasie przeciwnik Juliana poddawał się nie tyle logice filozofii greckiej, ile majestatowi cesarza rzymskiego—i ustępował.

Tym razem inaczej się stało: Cezary z Kapadocyi nie myślał ustąpić. Był to młody mężczyzna z wdziękiem niewieścim w ruchach, z jedwabistymi kędziorami, z niezachwianą pogodą w jasnych oczach. Nazywając filozofię Platona „krętą mądrością węża," przeciwstawiał jej niebiańską mądrość Ewangelii. Julian marszczył brwi, odwracał się, przygryzał wargi, powstrzymując się z trudnością. Jak każdy spór szczery, tak i ten zakończył się bez rezultatu.

Cesarz, odzyskawszy panowanie nad sobą, opuścił salę z żartem filozoficznym na ustach, z twarzą uprzejmą, nacechowaną wielkodusznym smutkiem — w istocie zaś z żądłem w sercu.

W tej właśnie chwili postąpił ku niemu retor Hekebolis, którego cesarz za wroga uważał.

— Czego żądasz?—zapytał go.

Hekebolis padł na kolana i rozpoczął pełną skruchy spowiedź. Zdawna już dręczyły go wątpliwości, dopiero wszakże dowodzenia cesarza przekonały go całkowicie. Przeklina posępne przesądy galilejskie, serce jego zwraca się znowu do wspomnień dzieciństwa, ku świetlanym bogom Olimpu.

Cesarz podniósł starca, a nie mogąc mówić ze wzruszenia, przycisnął go z całych sił do piersi i ucałował w wygolone policzki, w soczyste wargi czerwone. Szukał oczyma spojrzenia Cezarego z Kapadocyi, ażeby się napoić jego upokorzeniem.

Przez kilkanaście dni zatrzymywał Julian przy sobie Hekebolisa, co chwila opowiadając o jego cudownem nawróceniu, dumny ze swego ucznia, jak ofiarnik z tucznej ofiary, jak dziecko z zabawki nowej, lub młodzieniec z pierwszej kochanki.

Chciał obdarzyć nowego przyjaciela zaszczytnym urzędem dworskim, ale Hekebolis odmówił wręcz, mówiąc, że jest niegodny takiego odznaczenia. Postanowił przysposobić duszę swą do cnót helleńskich drogą dłuższego umartwienia i pokuty, oczyścić serce z nieprawości galilejskiej w służbie jednego ze starych bogów Olimpu.

Mianował go zatem Julian arcykapłanem Bitynii i Paflagonii. Obdarzony taką godnością, nazywał się u pogan archihiereus.

Arcykapłan Hekebolis zarządzał dwiema wielkiemi prowincyami azyatyckiemi i wstąpiwszy na tę nową drogę, kroczył po niej z tem samem powodzeniem, jak i po dawnej. Spowodował nawrócenie licznych galilejczyków na wiarę helleńską.

Hekebolis został wielkim ofiarnikiem słynnej świątyni bogini fenickiej Astarte—Atagartis, tej samej, której służył za młodych lat. Świątynia ta była zbudowana w połowie drogi z Chalcedomu do Nikomedyi, na wyniosłem urwisku, wysuniętem w fale Propontydy. Miejscowość tę zwano Gargaron, i liczni pielgrzymi dążyli tutaj ze wszystkich krańców świata, by się pokłonić Afrodycie — Astarte, bogini śmierci i rozkoszy.

V

W wielkiej sali swego pałacu w Konstantynopolu Julian zajmował się sprawami państwowemi.

Pomiędzy porfirowemi kolumnami tarasu z widokiem na Bosfor, bladym błękitem jaśniało morze. Młody cesarz siedział za okrągłym stołem marmurowym, zarzuconym papirusami i zwojami pergaminu. Pisarze, pochyliwszy głowy, skrzypieli kalamusami egipskimi. Niektórzy z urzędników mieli zaspane miny, ponieważ nie byli przyzwyczajeni do wstawania o tak wczesnej porze. Trochę z tyłu, za kolumnadą, stali, rozmawiając półgłosem, Hekebolis i Juniusz Mauricus, urzędnik z twarzą suchą i rozumną, z pogardliwemi zmarszczkami na końcach cienkich ust.

W czasach powszechnej zabobonności ten wytworny sceptyk dworski był jednym z ostatnich wielbicieli wielkiego Lucyana, szydercy z Samosaty, autora zjadliwych dyalogów, w których bezlitośnie wyśmiewa wszelkie bóstwa Olimpu i Golgoty, wszystkie podania Hellady i Romy.

Julian dyktował reskrypt do wielkiego kapłana Galacyi Arsacesa:

„Nie pozwalaj ofiarnikom uczęszczać do teatrów, pić po szynkach, zajmować się poniżającemi rzemiosły. Sza-

nuj uległych, karaj opornych. W każdem mieście każ pozakładać domy gościnne dla pielgrzymów, którzyby w nich zapewnioną mieli opiekę, a to nie tylko dla ludzi wiary helleńskiej, lecz dla wszystkich, którzy pomocy potrzebować będą. Przeznaczamy do rozdziału w Galacyi corocznie trzydzieści tysięcy miar pszenicy, sześćdziesiąt tysięcy ksestów wina. Rozdaj piątą część tych zapasów ubogim, zamieszkującym przy świątyniach, resztę pomiędzy pielgrzymów i nędzarzy. Hańbą jest pozbawiać wsparcia hellenów, gdy żydzi żadnego nie mają żebraka, a bezbożni galilejczycy żywią swoich i naszych. Oni postępują jak ludzie, łakociami kuszący dzieci: zaczynają od gościnności, miłosierdzia, zapraszania na uczty miłości braterskiej, które zwą „agapy,“ aż wciągnąwszy wiernych w niemiłe bogom bezeceństwo, kończą na postach, biczowaniu, umartwieniach, grozie gehenny, obłąkaniu i śmierci w strasznych męczarniach. Zwykła to droga nieprzyjaciół rodzaju ludzkiego, zowiących się miłującymi braci chrześcijanami. Zwalczaj ich miłosierdziem, czynionem w imieniu wiekuistych bogów Olimpu. Każ ogłosić po wszystkich miastach i wioskach, że to jest moją troską serdeczną. Skoro się dowiem, że postąpiłeś zgodnie z mojem życzeniem, okażę ci łaskę swoją. Wytłómacz obywatelom, że gotów jestem przyjść im z pomocą w każdej okoliczności i w każdej chwili. Ale jeżeli pragną zasłużyć na szczególne względy moje, niechaj się jednomyślnie ukorzą przed matką bogów Dindymene w Pesynuncie i niechaj ją wielbią przez wszystkie pokolenia na wieki wieków.“

Ostatnie zadanie dopisał ręką własną.

Podano śniadanie: chleb, ser, świeże oliwki i lekkie wino białe. Julian jadł i pił, nie przerywając pracy. Wtem odwrócił się i. wskazując złoty półmisek z oliwkami,

rzekł do swego ulubieńca niewolnika, przywiezionego z Galii, który mu stale posługiwał:

— Dlaczego podałeś na złotym półmisku? Gdzie tamten, gliniany?

— Daruj mi, panie, stłukł się.

— Całkiem?

— Nie, ale się wyszczerbił.

— Przynieś go.

Niewolnik pobiegł po żądane naczynie.

— Nic nie szkodzi. Może jeszcze na długo służyć— rzekł Julian i zwrócił się z uśmiechem do obecnych:

— Zauważyłem, przyjaciele moi, że stłuczone rzeczy trwają dłużej, niż nowe. Przyznaję, że mam do nich słabość. Dziwnie jestem przywiązany do starych sprzętów. Widzę w nich wdzięk jakiś, niby w dawnych przyjaciołach. Nowości się obawiam, nie znoszę zmian. Starego zawsze żal; choćby i złe było, ale wygodne i miłe.

Zaśmiał się wesoło z własnych słów.

— Patrzcie, jakie myśli filozoficzne może czasem wywołać stłuczony półmisek!

Juniusz Mauricus pociągnął za rękaw Hekebolisa.

— Słyszałeś? W tem objawia się cała jego natura!... Z równem nabożeństwem przechowuje swoje stłuczone półmiski i swych półmartwych bogów. Oto, co stanowi o losach świata!

Julian wpadł w zapał. Od edyktów i praw przeszedł do projektów na przyszłość. We wszystkich miastach cesarstwa chciał pozakładać szkoły, katedry, odczyty, wykłady dogmatów helleńskich, ustanowione formuły modlitw i zaklęć, rozprawy filozoficzne, schroniska dla zwolenników czystości i ludzi, poświęcających się rozmyślaniom.

— A co? — mruknął Mauricus do Hekebolisa: — klasztory, poświęcone Afrodycie lub pollinowi! Coraz to lepiej.

— Tak, przyjaciele; wszystko to zaprowadzić musimy z pomocą bogów—zakończył cesarz.—Galilejczycy chcieliby wmówić w świat, iż miłosierdzie ich wyłączny przywilej stanowi, luboć jest ono udziałem każdego filozofa, niezależnie od tego, jakim bogom cześć oddaje. Przyszedłem oznajmić światu nową miłość, nie niewolniczą i przesądną, lecz wolną i radosną, jak samo niebo Olimpijczyków!

Julian potoczył po obecnych badawczym wzrokiem, ale nie odkrył na twarzach dygnitarzy pożądanego wrażenia.

Do sali weszli wysłannicy chrześcijańskich nauczycieli retoryki i filozofii. Przed niedawnym czasem wyszedł edykt, zabraniający nanczycielom galilejczykom wykładać krasomówstwo helleńskie. Retorowie chrześcijańscy byli zmuszeni wyrzec się wiary, albo porzucić szkoły.

Jeden z deputatów, nizki, chudy człowieczek, z miną zmieszaną, przypominający starą papugę, podszedł do cesarza z rulonem w ręku, w towarzystwie dwóch uczniów niezgrabnych i rudych.

— Zlituj się nad nami, najmilszy Bogu Cesarzu.

— Jak się nazywasz?—przerwał mu Julian.

— Papiryan, obywatel rzymski.

— Otóż widzisz, drogi Papiryanie, ja nie życzę wam nic złego... Przeciwnie... zostańcie sobie galilejczykami...

Starzec padł do nóg cesarza i całował je.

— Od czterdziestu lat uczę już gramatyki... Nikt nie zna lepiej ode mnie Homera i Hezyoda...

— Czego żądasz?—zagadnął surowo August.

— Mam sześcioro drobnych dziatek, panie! Nie pozbawiaj mnie ostatniego kęsa chleba!... Uczniowie mnie

kochają. Zapytaj się ich: czy słyszą ode mnie cokolwiek złego?

Wzruszenie nie pozwoliło skończyć Papiryanowi. Wskazywał tylko uczniów, którzy nie wiedzieli, co robić ze swemi rękoma i czerwienili się, wytrzeszczając oczy.

— Nie, moi przyjaciele!—rzekł cesarz łagodnie, ale stanowczo.—Prawo jest słuszne. Uważam za niedorzeczność, żeby chrześcijańscy nauczyciele retoryki wyjaśniali Homera, odrzucając tych właśnie bogów, których opiewał Homer. Jeżeli mniemacie, że nasi mędrcowie poprostu wymyślili bajki o bogach, więc idźcie raczej do kościoła komentować Mateusza i Łukasza. Zważcie, galilejczycy, że czynię to dla naszego własnego dobra...

Któryś z retorów mruknął:

— Dla naszego dobra! Nam grozi śmierć głodowa!...

— Boicie się pokalać mięsem ofiarnem lub wodą, o nauczyciele galilejscy, — ciągnął niezmieszany cesarz — a jakże to nie boicie się kalać czemś o wiele gorszem i niebezpieczniejszem od mięsa i wody, mianowicie kłamliwą mądrością? Mówicie: „Błogosławieni ubodzy duchem!“ Bądźcież nimi! Sądzicie, że nie znam waszej nauki? Znam ją dokładniej, niż wy sami. Odkrywam w za sadach galilejskich takie głębie, o jakich wam się nie śniło. Ale niechaj każdy swoje zachowa: pozostawcie nam naszą płochą mądrość i nędzną wiedzę literacką. Co wam po tych zatrutych źródłach? Toż macie mądrość wznioślejszą! Do nas należy królestwo ziemskie, do was zaś—niebieskie! Pomyślcie tylko: królestwo niebieskie! To przecie nie mało dla takich pokornych i skromnych, jak wy, ludzi! Dyalektyka prowadzi jedynie do wolnomyślnych odszczepieństw... Bądźcie naprawdę prostymi, jak dzieci. Błoga nieświadomość rybaków z Kafarnaum nie jest-że wyższą nad wszelkie dyalogi Platona? Cała mądrość galilejczyków zawiera się

w jednym wyrazie: „Wierz!“ Gdybyście byli prawdziwymi chrześcijanami, wy, retorowie, błogosławilibyście nasze prawo. W tej chwili to nie dusza, jeno ciało wasze się oburza, ciało, które odnajduje słodycz w grzechu. Oto wszystko, co wam powiedzieć chciałem, a spodziewam się, że mi słuszność przyznacie i zgodzicie się na to, że cesarz rzymski bardziej, niż wy sami, stara się o zbawienie dusz waszych!

Julian przeszedł koło rzeszy nieszczęśliwych retorów spokojnie i z zadowoleniem z wypowiedzianej mowy. Papiryan rwał sobie siwe włosy, nie wstając z kolan.

— Przecz-że, Królowo Niebios, coś podobnego dopuszczasz?

Dwaj uczniowie, na widok boleści mistrza, ocierali sobie niezgrabnemi pięściami wytrzeszczone oczy.

VI

Pamiętając o nieskończonych waśniach pomiędzy prawowiernymi a aryanami, jakie się zdarzyły na koncylium Medyolańskiem za Konstancyusza, Julian powziął zamiar wyzyskania tych niesnasek i postanowił za przykładem swych poprzedników, Konstantyna Wielkiego i Konstancyusza, zwołać sobór kościelny.

Pewnego razu w poufnej rozmowie oznajmił zdumionym przyjaciołom, że zamiast prześladować galilejczyków, zamierza dać im całkowitą swobodę wiary i powołać z wygnania donatystów, semiaryanów, cecylianów, marcyonitów, montanistów i innych kacerzy, wypędzonych na zasadzie postanowień synodalnych za Konstantyna i Konstancyusza. Pewnym był, że nie mogło być niezawodniejszego środka na doprowadzenie chrześcijaństwa do zguby

— Zobaczycie, przyjaciele, — mówił — gdy wszyscy powrócą na dawne miejsca, wtedy wybuchnie taka walka pomiędzy tymi braćmi, że się mordować poczną wzajemnie, jak drapieżne zwierzęta, z klatek na arenę cyrku wypuszczone, i wydadzą na pohańbienie imię swego Nauczyciela prędzej, niż mógłbym tego dokazać drogą najokrutniejszego prześladowania i męczenia.

Porozsyłał więc Julian do wszystkich części cesarstwa Rzymskiego edykty i listy, upoważniające do powrotu wygnańców. Ogłoszono całkowitą wolność wyznania. Jednocześnie zaproszono do pałacu konstantynopolitańskiego najuczeńszych nauczycieli galilejskich na dysputę w sprawach Kościoła. Znaczna liczba zaproszonych nie wiedziała dokładnie, w jakim celu, składzie i z jakiemi pełnomocnictwami ma się odbyć zebranie, ponieważ wszystkie te szczegóły umyślnie i podstępnie nie były wyraźnie wymienione w listach. W obawie podejścia Odstępcy, wielu pod pozorem choroby albo oddalenia nie stawiło się zgoła na zebranie.

Lazur poranku wydawał się ciemnym wobec lśniącej białości kolumnady podwójnej, otaczającej dziedziniec rozległy, zwany Atryum Konstantyna. Białe gołębie, radośnie trzepocąc skrzydłami, tonęły w niebie niby płatki śniegu. W środku atryum w przezroczystych kaskadach fontanny stała Wenus Kallipygos. Zroszony marmur posągu srebrzył się w słońcu nakształt żywego ciała. Zakonnicy, mijając statuę, odwracali się, usiłując nie patrzeć; mimo to bogini stała śród nich kusząca i tkliwa.

Nie bez ukrytych zamiarów to właśnie miejsce obrał Julian na zgromadzenie galilejczyków.

Czarne habity duchownych wydawały się tutaj czarniejszymi jeszcze, wychudzone umartwieniem i rozjątrzone twarze wygnańców kacerzy jeszcze posępniejszemi. Prze-

suwali się oni, rzucając na słoneczny marmur bezkształtne czarne cienie.

Wszyscy czuli się zakłopotani. Każdy usiłował nadawać sobie pozór obojętności, nawet pewności siebie, udając, że nie spostrzega w sąsiedzie swym wroga, któremu on, albo który jemu, zwichnął życie, lecz ukradkiem ciskali wszyscy na siebie wejrzenia ciekawej pogardy.

— Święta Matko Boża! Co to jest? Gdzieśmy się dostali?—mówił z głębokiem wzruszeniem stary otyły biskup sebastyjski Eustacyusz.—Chcę wyjść, puśćcie mnie, żołnierze!

— Zwolna, zwolna, przyjacielu—odpowiedział mu centuryon kopijników, barbarzyńca Dagalaif, odsuwając go grzecznie od bramy.

— Duszę się w tej smrodliwości heretyckiej! Puszczajcie mnie!

— Z woli Augusta wszyscy, którzy przybyli na sobór... — przekładał Dagalaif, wstrzymując go z łagodną stanowczością.

— Ależ to nie sobór! — oburzał się Eustacyusz:—to jaskinia zbójców!

Pomiędzy galilejczykami znaleźli się dowcipnisie, którzy się zaczęli wyśmiewać z parafiańskiej powierzchowności, astmy i silnie ormiańskiego akcentu w wymowie Eustacyusza. Biskup, straciwszy do reszty odwagę, uspokoił się i wcisnął do kąta, szepcząc z rozpaczą:

— Panie, Panie! cóżem Ci zawinił?

Euander z Nikomedyi żałował również swego przybycia, jak niemniej tego, że przyprowadził z sobą ucznia Dydymowego, brata Juwentyna, który tylko co przybył właśnie do Konstantynopola.

Euander był jednym z największych dogmatyków swego czasu, człowiekiem głębokiego i przenikliwego umysłu.

Nadwątlił zdrowie i zestarzał się przedwcześnie przy książkach, stracił prawie całkiem wzrok, i w jego oczach krótkowidza znać było wiecznie znużenie. Niezliczone herezye opanowały jego mózg, nie dając mu spokoju, prześladawały go na jawie i dręczyły we śnie, a jednocześnie pociągały swą ponętną zręcznością i subtelnościami. Gromadził je przez długi przeciąg lat w olbrzymim rękopisie pod tytułem: „Przeciw kacerzom,“ z zapałem zbieracza osobliwości. Poszukiwał ich chciwie, wymyślał takie, które mogłyby istnieć; im więcej zaś je potępiał, tem bardziej nim one owładały. Nieraz prosił Boga z rozpaczą o darowanie mu prostej wiary, lecz Pan Bóg odmawiał mu prostoty.

W życiu codziennem był to człowiek nieśmiały, dobroduszny i bezbronny, jak dziecię. Podstępnych ludzi nic nie kosztowało oszukać Euandra, a drwinkarze opowiadali o jego roztargnieniu liczne anegdoty. Zatopiony w marzeniach teologicznych, biskup ustawicznie wpadał w kłopotliwe przygody.

Przez roztargnienie również przybył na ten osobliwy sobór, nie myśląc, dokąd i po co się udaje, pociągnięty w części nadzieją odkrycia jakiej nowej herezyi.

Teraz krzywił się niezadowolony i zasłaniał osłabionemi rękoma oczy chore od jaskrawych promieni słońca. Czuł się bardzo nieswój i pragnął jedynie powrócić jak najprędzej do ciemnej swej izdebki, do swych ksiąg i rękopisów.

Euander nie puszczał na krok od siebie Juwentyna i ostrzegał przed pokusami, krytykując rozmaite herezye.

Pośrodku dziedzińca przechadzał się tęgi, krępy starzec o wydatnych kościach policzkowych, z głową otoczoną wiankiem bujnych szpakowatych włosów. Był to sie-

demdziesięcioletni biskup Purpurys, Afrykanin donatysta, przywołany z wygnania przez Juliana.

Ani Konstantynowi, ani Konstancyuszowi nie udało się stłumić herezyi donatystów. Potoki krwi przelano z powodu, że przed pięćdziesięciu laty w Afryce niesłusznie obrany został biskupem Donat zamiast Cecyliana, czy też odwrotnie Cecylian zamiast Donata — ten bowiem punkt był wiecznie wątpliwym. Pomimo to donatyści i cecylianie zabijali się wciąż wzajemnie i nie można było przewidzieć końca tych bratobójczych mordów, wynikłych nawet nie z powodu dwóch zdań, tylko z powodu dwóch imion.

Juwentyn zauważył, jak pewien biskup cecyliański, przechodząc mimo Purpurysa, otarł się brzegiem ornatu o szaty donatysty. Ten odwrócił się, mrucząc z odrazą, ujął w dwa palce odzież i wstrząsnął nią parokrotnie tak, żeby to widzieli wszyscy.

Euander opowiadał Juwentynowi, że jeżeli wypadkiem cecylianin wejdzie do kościoła donatystów, to go wypędzają, a tafle posadzki, po których stąpał, myją starannie słoną wodą.

Za Purpurysem krok w krok, jak pies, postępował wierny stróż jego, olbrzymi Afrykanin półdziki, bronzowy, o spłaszczonym nosie, i grubych wargach, z zaciśniętą nerwowo w żylastej ręce maczugą, dyakon Leona, członek sekty samodręczycieli. Byli to chłopi getulowie, zwani circumcelliones. Z bronią w ręku przebiegali oni gościńce, ofiarując przechodniom pieniądze z groźbą: „Zabijcie nas, albo my was zabijemy!“ W imię Chrystusa cyrkumcelioniowie zarzynali się, palili i topili, tylko nie wieszali, ponieważ Judasz Iskaryota się obwiesił. Niekiedy całe tłumy ze śpiewem psalmów rzucały się w przepaści. Utrzymywali oni, że samobójstwo na chwałę Bożą oczyszcza duszę od wszystkich grzechów. Naród czcił ich jako męczenni-

ków. Przed śmiercią oddawali się wszelkim przyjemnościom życia: jedli, pili, gwałcili kobiety. Większa część nie używała miecza, ponieważ tego Chrystus zabronił, natomiast ogromnemi maczugami z czystem sumieniem. „według Pisma,“ mordowali kacerzy i pogan. Przelewając krew, wykrzykiwali: „Chwała Panu!“ Spokojni mieszkańcy miast i wiosek afrykańskich obawiali się tego świętego okrzyku bardziej, niż dźwięku surm bojowych lub ryku lwa. Donatyści uważali cyrkumcelionów za swych strażników. Że zaś chłopi getulscy nie rozumieli się na dysputach kościelnych, więc donatyści wskazywali im uprzednio tych, których należało uśmiercić „według Pisma.“

Euander zwrócił uwagę Juwentyna na pięknego młodziana z twarzą delikatną i niewinną jak u dziewczyny. Był to kainita.

— Niech będą pochwaleni bracia nasi niepodlegli, Kain, Cham, mieszkańcy Sodomy i Gomory! — modlili się kainici. — To rodzina wzniosłej Sofii, Mądrości Ukrytej! Przybywajcie do nas, wszyscy prześladowani, zbuntowani, potępieni! Błogosławionym niechaj będzie Judasz! On tylko jeden z pomiędzy apostołów był wtajemniczony w mądrość wyższą, w Gnosis. Wydał Chrystusa, ażeby Chrystus umarł i zmartwychwstał, wiedział bowiem, że śmierć Chrystusa będzie odkupieniem świata. Wtajemniczony w mądrość naszą, powinien przekroczyć wszelkie granice, odważyć się na wszystko, pogardzić materyą, stłumić w sobie trwogę przed nią, i oddając się wszystkim grzechom, wszystkim rozkoszom ciała, dojść do obrzydzenia sobie materyi, do ostatecznej czystości duszy.

— Patrz, Juwentynie, oto człowiek, mający się za wyższego znacznie od archaniołów i serafów—mówił Euander, wskazując młodego wysmukłego Egipcyanina, który

się trzymał na uboczu od wszystkich z rozumnym uśmiechem na ustach wyróżowanych, jak usta zalotnicy.

Ubrany był według najświeższej mody bizantyjskiej z mnóstwem pierścieni na białych palcach.

Nazywał się Kasyodor i był walentynianem.

— Prawowierni, psychicy, — utrzymywali ci dumni odszczepieńcy—mają duszę takie same, jak inne zwierzęta, lecz nie mają ducha, jak my. My tylko posiedliśmy tajemnice Gnosis i Boskiej Pleroma, przeto my tylko jedni jesteśmy godni nazywać się ludźmi. Wszyscy inni są świnie i psy.

Kasyodor mawiał do uczniów ze zwodniczym uśmiechem:

— Macie znać wszystkich, ale was nikt znać nie powinien. Wobec profanów zapierajcie się Gnozy. Milczcie i pogardzajcie dowodami. Pogardzajcie wyznaniem wiary i męczeństwem. Kochajcie milczenie i tajemnicę. Bądźcie niewidzialni i nieuchwytni dla wrogów waszych, jako moce niematerylne. Zwyczajni chrześcijanie, psychicy, potrzebują dobrych uczynków dla zbawienia swego. Ci zaś, którzy zdobyli najwyższą mądrość Bożą—Gnosis—obejdą się bez nich. Jesteśmy synami światłości, oni zaś synami cieniów. Nie obawiamy się grzechu, ponieważ wiemy, że co cielesnego należy się ciału, a co duchowego—duchowi. Postawieni jesteśmy tak wysoko, że nie możemy upaść, jakiekolwiek byłyby błędy nasze. Serce nasze pozostaje nieskalanem w rozkoszach materyalnych, podobnie jak czyste złoto nie traci swego blasku nawet w kałuży.

Zobaczył tam również Juwentyn starca o podejrzanej powierzchowności z oczyma zezowatemi, z wyrazem zmysłowości zwierzęcej, adamitę Prodihusa, który dowodził, że jego nauka odradza pierwotną niewinność Adama. Adamici nago odprawiali swoje nabożeństwa w kościele

ogrzanym jak łaźnia, który nazywali „Edenem.“ Jak praojcowie nasi, nie wstydzili się oni swej nagości, utrzymując, że pomiędzy nimi wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety odznaczają się wzniosłą wstydliwością duszy; wszelako niewinność tych rajskich zgromadzeń była nader wątpliwą.

Obok adamity Prodihusa siedziała na ziemi w odzieży biskupiej niewiasta blada, z piękną posępną twarzą i siwiejącymi włosami, z powiekami nawpół zawartemi ze znużenia. Była to prorokini montanistów. Rzezańcy o żółtych twarzach otaczali ją nabożną pieczołowitością, patrzali na nią tęsknemi zakochanemi oczyma i nazywali „Gołąbką niebiańską.“ Trawieni przez długi przeciąg lat ekstazami niezniszczalnej miłości, głosili oni, że ród ludzki winien dojść do zagłady przez powściągliwość.

Zasiadając licznemi gromadami na skwarnych wzgórzach frygijskich pod zwaliskami Pepuzy, bezkrwiści owi marzyciele wpatrywali się nieruchomo w jeden punkt widnokręgu, skąd miał się zjawić Zbawiciel. W czasie wieczorów mglistych ponad szarą równiną dostrzegali w obłokach śród promieni z roztopionego złota gloryę Bożą, nowy Syon, zstępujący na ziemię. Płynęły lata za latami, oni zaś umierali z nadzieją, że królestwo Boże powstanie w końcu na gruzach Pepuzy. Niekiedy prorokini wznosiła ociężałe powieki, wytężała wdal błędne spojrzenie i szeptała po syryjsku:

— Maran ata, Maran ata! — Zbliża się Pan, zbliża się Pan!

A bladzi rzezańcy nachylali się ku niej, by lepiej usłyszeć.

Juwentynowi prz słuchaniu tych wyjaśnień Euandra wydawało się wszystko jakimś snem dziwacznym i dręczącym. Serce gniótł mu ciężar gorzkiej i jałowej litości.

Zapanowała wreszcie cisza. Wszyscy zwrócili spojrzenia w jedną stronę: na przeciwległym krańcu atryum, na wzniesieniu marmurowem, stał cesarz Julian. Oblicze jego miało wyraz pewności siebie. Starał się wydać obojętnym, jednakże chwilami w oczach świeciła mu iskierka złośliwego tryumfu. Miał na sobie zwykłą białą chlamidę filozofów.

— Starcy i mistrzowie!—rzekł August, zwracając się do zgromadzenia.—Uznaliśmy za dobre okazać poddanym naszym, wyznającym naukę Ukrzyżowanego Galilejczyka, całą pobłażliwość naszą i miłosierdzie. Więcej należy współczucia żywić niż nienawiści ku zbłąkanymi napominaniem kierować upartych ku prawdzie, nie zaś razami, ciemiężeniem i mękami cielesnemi. Pragnąc zatem utrwalić pokój na świecie, niesnaskami religijnemi tak długo mącony, zwołałem was tutaj, mędrcowie galilejscy. Spodziewam się, że pod naszą opieką i strażą dacie przykład cnót wzniosłych, odpowiednich waszym godnościom duchownym i waszej mądrości.

Z giestami wdzięcznymi, jak doświadczony mówca, wygłaszał tę z góry przygotowaną mowę. Ale w pełnych łaskawości słowach przebijały chwilami tchnące ironią napomknienia.

Między innemi zaznaczył, że mu nie wyszły z pamięci nierozumne i nikczemne zwady, które powstały na synodzie Medyolańskim za Konstancyusza. Wspomniał również ze złośliwym uśmiechem o kilku zuchwalcach, co żałując, że nie jest im wolno prześladować, męczyć i zabijać współwyznawców, podburzają obecnie ludność do buntu, rozogniają tłumy, dolewając oliwy do ognia, i szerzą w świecie zapamiętałość bratobójczą. To są prawdziwi wrogowie ludzkości, istotni winowajcy największego zła: anarchii.

Zakończył mowę następującem, iniespodzianemi słowy, w których dźwięczała ironia:

— Przywołaliśmy z wygnania braci waszych, potępionych na synodach Konstantyna i Konstancyusza, pragnąo obdarzyć wolnością obywateli cesarstwa rzymskiego. Żyjcie w pokoju, galilejczycy, według przykazania Nauczyciela waszego. W celu zaś całkowitego usunięcia niezgody, polecamy wam, mądrzy nauczyciele, ażebyście zapomniawszy wzajemnych nienawiści, zjednoczeni w miłości braterskiej, ustanowili dla wszystkich galilejczyków jedno jedyne wyznanie wiary. W tym celu zwołaliśmy was tutaj do naszego domu za przykładem poprzedników naszych Konstantyna i Konstancyusza. Sądźcie i stanówcie mocą władzy, przez kościół wam nadanej. My zaś odchodzimy, pozostawiając wam całkowitą swobodę, i oczekiwać będziemy mądrych postanowień waszych.

Nim ktokolwiek zdążył opamiętać się i odpowiedzieć cokolwiek na tę dziwną mowę, Julian w otoczeniu przyjaciół filozofów wyszedł z atryum.

Milczeli wszyscy. Ktoś westchnął, i wśród ciszy nie było słychać nic, oprócz wesołego trzepotania skrzydeł gołębi i szmeru fontanny.

Wtem na wysokich stopniach marmurowych, które służyły Julianowi za trybunę, pokazał się ów dobroduszny starzec z ruchami parafiańskimi, o silnym akcencie ormiańskim, z którego tylko co naśmiewali się wszyscy.

Miał on twarz zaczerwienioną, oczy błyszczące odwagą; mowa cesarza oburzyła starego biskupa sebastyjskiego. W zapale gorliwości zapomniał o niedawnem onieśmieleniu i zwrócił się do członków soboru:

— Ojcowie i bracia!...—wołał Eustacyusz głosem tak stanowczym, że nikomu śmiać się nie przyszło do głowy.

— Ojcowie i bracia! rozejdźmy się w pokoju! Ten, który nas przywołał na zobelżenie i pokusę, nie zna ani kanonów Kościoła, ani postanowień o synodach, nienawidzi samego imienia Chrystusa! Nie stawajmy się zatem pośmiewiskiem wrogów, powstrzymajmy wyrazy gniewu! Zaklinam was imieniem Przedwiecznego Boga! Rozejdźmy się w milczeniu!

Wypowiedział te słowa głosem donośnym i dźwięcznym, z oczyma skierowanemi na górną galeryę, osłonioną kotarą purpurową; tam, w głębi, pomiędzy kolumnami, ukazał się Julian w gronie filozofów. Szmer zdumienia i trwogi przebiegł po zgromadzeniu. Julian patrzał prosto w oczy Eustacyuszowi, ale starzec nie spuścił oczu, wytrzymując spojrzenie. Cesarz pobladł.

W tejże chwili donatysta Purpurys zepchnął brutalnie biskupa i zajął jego miejsce na trybunie.

— Nie słuchajcie go! — wołał Purpurys.—Nie rozchodźcie się, nie stawiajcie oporu woli Augusta! Cecylianie czują ku niemu nienawiść za to, że nas wyswobodził...

— Nie, zaprawdę, nie, bracia moi!—błagalnie protestował Eustacyusz.

— Odejdźcie od nas, przeklęci! Nie jesteśmy braćmi waszymi! Jesteśmy ziarnem czystem Boga, wy zaś słomą suchą, przeznaczoną na spalenie!

Tu Purpurys wskazał cesarza odstępcę i ciągnął z namaszczeniem, głosem śpiewnym, jak gdyby intonując kościelny hymn pochwalny:

— Patrzcie, oto nasz zbawca! Chwała ci! Chwała najmiłosierniejszemu i przenajmądrzejszemu Augustowi! Po padalcu i bazyliszku deptać będziesz, lwa i smoka podepczesz, albowiem aniołom swoim on przykazał, aby cię strzegli na wszystkich drogach twoich. Chwała ci, chwała!

Wtedy powstała burza śród zebranych. Jedni dowodzili, że należy pójść za radą Eustacyusza i rozejść się, inni domagali się głosu, by nie stracić jedynej w życiu sposobności do wypowiedzenia swych poglądów przed zgromadzeniem duchownem. Twarze się rozpalały, potężniały głosy.

— Niechaj teraz wejdzie do naszego kościoła jaki biskup cecyliański! — tryumfował Purpurys. — Położymy mu dłonie na głowie, ale nie dlatego, żeby go na pasterza obrać, jeno żeby mu roztrzaskać czaszkę!

Wielu, zapomniawszy o celu zebrania, zapuściło się w subtelne dysputy. Przywoływali do siebie, odbijali sobie wzajemnie, obałamucali niedoświadczonych słuchaczów.

Bazylidyanin Tryfon, przybyły z Egiptu, w otoczeniu grona ciekawych pokazywał amulet chryzolitowy, przezroczysty, a na nim tajemniczy wyraz: „Abraxas."

— Ten, który pojmie znaczenie słowa Abraxas, — mówił Tryfon — posiędzie najwyższą wolność, stanie się nieśmiertelnym i, kosztując słodyczy każdego grzechu, żadnym się przecie nie pokala. Abraxas oznacza w literach liczbę górnych niebios: trzysta sześćdziesiąt pięć. Ponad trzystu sześćdziesięciu pięciu sferami nieba, ponad hierarchiami eonów, aniołów i archaniołów, istnieje pewien Mrok Bezimienny, piękniejszy nad wszystkie światła, nieruchomy, niezrodzony...

— Mrok bezimienny i nieruchomy znajduje się w twej tępej głowie! — wybuchnął z oburzeniem jakiś biskup aryański, idąc ku Tryfonowi.

Gnostyk, swoim zwyczajem, zamilkł w jednej chwili, zacisnął wargi z uśmiechem pogardy, przymrużył oczy i, podnosząc wskazujący palec do góry, mruknął:

— Mądrość, mądrość! — i uszedł na stronę.

Prorokini z Pepuzy, wsparta na zakochanych rzezańcach, stanęła straszliwa, blada, wycieńczona, z obłąkanym wzrokiem i jęczała, nie widząc nic, ani nie słysząc:

— Maran ata! Maran ata! Zbliża się Pan! Zbliża się Pan!

Uczniowie młodzieńczego Epifanesa, ni to półbożka pogańskiego, ni to chrześcijańskiego męczennika, którego czczono w bóżnicach cefalońskich, perorowali:

— Braterstwo i równość! Nie istnieją inne prawa. Burzcie wszystko! Niechaj wszystko wspólnem będzie, majątek i kobiety, jako trawa, jako woda, powietrze i słońce!

Ofianie, czciciele węża, wznosili nad głowy krzyż miedziany z owiniętym dokoła niego oswojonym gadem z Nilu.

— Mądrość węża — mówili — daje ludziom wiadomość dobrego i złego. Oto zbawiciel, Omiomorfos, wężokształtny! Nie obawiajcie się niczego, słuchajcie go, skosztujcie owocu zakazanego, a staniecie się równymi bogom!

Ze zręcznością kuglarza wznosząc wysoko w górę puhar kryształowy, napełniony wodą, markuzyanin, uperfumowany i ufryzowany uwodziciel kobiet, zapraszał ciekawych:

— Przypatrzcie się cudowi! Woda zakipi i w krew się przemieni!

Kolarbazyanie, rachująo pośpiesznie na palcach, dowodzili, że wszystkie liczby Pitagorasa, wszystkie tajemnice nieba i ziemi są zawarte w literach alfabetu greckiego:

Alfa i Omega — początek i koniec. A pomiędzy niemi Trójca: Beta, Gamma, Delta — Ojciec, Syn i Duch Święty! Widzicie, jakie to proste!

Ebionici, żarłocy karpokratesiści, rozwiąźli barbelonici głosili takie bezeceństwa, iż ludzie bogobojni uszy sobie zatykać musieli. Wielu wywierało na tłumy wpływ tą

niepojętą siłą pociągającą, z jaką działają na wyobraźnię rzeczy potworne i szalone.

Każdy był przekonany o swej słuszności, i wszyscy byli sobie wrogami.

Nawet drobniutka sekta, w oddalonych Afryki prowincyach zagrzebana, rogacyanie, nawet i ci utrzymywali, że Chrystus po powrocie na ziemię prawdziwe pojmowanie Ewangelii zastanie tylko u nich, w kilku wioskach Maurytanii, a więcej nigdzie.

Euander z Nikomedyi, zapomniawszy o Juwentynie, ledwie mógł nadążyć zapisywać na tabliczkach nowe odcienie herezyi, szczęśliwy, jak amator, który odkrył cacko nieznane.

Tymczasem zaś z górnej galeryi młody cesarz, otoczony filozofami w szatach białych, oczyma pełnemi zadowolonej niechęci spoglądał na tych ludzi obłąkanych. Byli przy nim wszyscy jego przyjaciele: pitagorejczyk Proklos, Nimfidyanus, Eugeniusz Pryskus, Edezyusz, boski Jamblich stary, bogobojny archihiereus Dyndymeny Hekebolis. Nie śmieli się, nie żartowali; oblicza ich nie przestawały być naccchowane spokojem, zachowanie się — godnością mędrców. Chwilami tylko na zaciśnięte usta zabłąkał się uśmiech łagodnego politowania. Były to zaiste gody mądrości helleńskiej. Spoglądali z góry na galilejczyków, ak spoglądają bogowie na walczących ludzi, jak lubownicy cyrku patrzą na arenę, w której rozszarpują się i pożerają zwierzęta.

W cieniu opon purpurowych czuli się doskonale, gdy tymczasem na dole spoceni galilejczycy wyklinali się i nauczali.

Śród powszechnego zamieszania młody, zniewieściały kainita, z piękną delikatną twarzą i smutnemi dziecięcemi oczyma, wskoczył na trybunę i zawołał głosem tak na-

tchniony, że wszyscy się odwrócili i zamilkli, oszołomieni jego bezbożnością:

— Niech będą pochwaleni nieposłuszni Bogu! Niech będą pochwaleni Kain, Cham, Judasz, mieszkańcy Sodomy i Gomory! Niech będzie pochwalony ich rodzic, anioł Otchłani i Mroku!

Zaciekły afrykanin Purpurys, który już od godziny nie mógł dojść do słowa, chcąc ulżyć swemu sercu, rzucił się na kainitę i podniósł nań pięść kudłatą i żylastą, „by zamknąć usta bezbożnikowi!“

Wstrzymano go i starano się uspokoić.

— Ojcze! nie godzi się!

— Puśćcie mnie, puśćcie! Nie zniosę podobnego wszeteczeństwa! — ryczał, szamocąc się, Purpurys.—Masz, nasienie kainowe!

I donatysta plunął w twarz kainity.

Powstał zgiełk, który pewnie byłby przeszedł w bójkę, gdyby nie wdanie się kopijników rzymskich, którzy rozdzielając galilejczyków, przemawiali:

— Nie wypada się tak sprawować u dworu. Czyż mało macie kościołów do bijatyki?

Pochwycono Purpurysa i chciano go wyprowadzić.

Ten krzyknął:

— Leona! Dyakonie Leona!

Dyakon roztrącił żołnierzy, obalił dwu na ziemię, uwolnił Purpurysa, i straszliwa maczuga cyrkumceliona świsnęła nad głowami herezyarchów.

— Chwała Panu!—wył Afrykanin, poszukując ofiary.

Nagle maczuga opadła na dół w osłabionej dłoni. Wszyscy skamienieli. Krzyk przeraźliwy jednego z na-wpół obłąkanych rzezańców prorokini z Pepuzy przeszył ciszę. Padłszy na kolana, z twarzą wykrzywioną przerażeniem, rzezaniec wskazywał trybunę:

— Dyabeł, dyabeł!... patrzcie na samego dyabła!

Na wzniesieniu marmurowem ponad tłumem galilejczyków, z rękoma skrzyżowanemi na piersi, spokojny i wspaniały, w starodawnym białym stroju filozofa, stał cesarz Julian. Oczy płonęły mu straszliwą radością, i wielu w onej chwili odstępca wydał się przerażającym, podstępnym i silnym narówni z szatanem.

— Tak to spełniacie przykazanie miłości, galilejczycy! — odezwał się do struchlałego zgromadzenia. — Teraz widzę, co warte wasze miłosierdzie i przebaczenie. Zaprawdę, zwierzęta dzikie więcej mają dla siebie współczucia, niżeli wy, bracia! Mówiąc słowami Nauczyciela waszego: „Biada wam, nauczeni w Piśmie, iż zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi, albowiem tam sami nie wchodzicie, ani tym, którzyby wnijść chcieli, wchodzić nie dopuszczacie. Biada wam, faryzeuszowie obłudni!“

A korzystając z ich zakłopotanego milczenia, dodał zwolna:

— Że zaś nie potraficie sami pokierować sobą zapowiadam wam, by do gorszych nieszczęść nie dopuścić: mnie bądźcie posłuszni, galilejczycy, i mnie się poddajcie.

VII.

W chwili gdy Julian, wyszedłszy z atryum Konstantyna, zstępował po szerokich schodach, dążąc dla złożenia obiaty do małej świątyni bóstwa Szczęścia—Tyche, w pobliżu pałacu położonej, zastąpił mu drogę zgrzybiały biskup chalcedoński Marys, zgarbiony, siwowłosy, z wypełzłemi ze starości oczyma. Ociemniałego wiodło dziecię małe. Na dole, pod schodami zgromadziła się ciżba. Schody wychodziły na plac Augustejon. Biskup uroczy-

stem skinieniem zatrzymał cesarza i rzekł głosem twardym i wyraźnym:

— Słuchajcie, narody, pokolenia, ludzie wszelkiego wieku, ilu was tylko jest i będzie na świecie! Słuchajcie słów moich, potęgi wyższe, zastępy aniołów, które wkrótce zniszczycie prześladowcę! Nie książę Armorejczyków strącony będzie, ani Oggas, król basański, jeno wąż, Odstępca, Rozum wielki, zbuntowany Asyryjczyk, wróg powszechny, który zdziałał na ziemi mnogość gróźb i przemocy, a górnolotnie przemawiał! Słuchajcie mnie, niebiosa i natchnijcie ziemię! I ty również, cesarzu, słuchaj proroctwa mojego, albowiem dzisiaj Bóg przez usta moje przemawia! Słowo jego przepala mi serce—i milczeć nie mogę! Godziny twoje są policzone. Maluczko, a przepadniesz, zginiesz, jak piasek wichrem miotany, jak świst strzały, jak głos gromu, jak błyskawica bystrolotna! Źródło kastalskie wyschnie na wieczne czasy, i ludzie śmiać się będą, przechodząc koło niego. Apollo stanie się znowu niemym bałwanem, Dafne—drzewem opłakiwanem w baśniach, a trawy mogilne porosną na obalonych świątyniach. O sprosności Sennacheryba! Tak przepowiadamy ci my, galilejczycy, ludzie pogardzani, czciciele Ukrzyżowanego, uczniowie rybaków z Kafarnaum i sami nieuczeni, my, wycieńczeni długimi postami, wpółżywi, którzy nadaremno czuwamy i rozmawiamy podczas całonocnych czuwań, a którzy jednak was zawstydzamy: „Gdzież jest mądry, gdzież jest uczony w Piśmie, gdzie badacz wieku tego?“ Zapożyczam tę pieśń tryumfu od jednego z nieuczonych naszych. Pokaż mi twoje cesarskie sofistyczne mowy, twoje sylogizmy i entymematy! Zobaczymy, jak i u nas mówią rybacy nienauczeni... Niech zaśpiewa znowu z odwagą Dawid, który tajemniczym kamykiem poraził dumnego Goliata, zwyciężył wielu skromnością i słodką muzyką ducha

uleczył opętanego od czarta Saula. Chwała ci, Panie! Kościół w dniu tym oczyszcza się prześladowaniem. Oto Oblubieniec idzie! Zapalcie lampy wasze, mądre dziewice! Obleczcie kapłana w wielką i wspaniałą szatę, w Chrystusa, ozdobę naszą!

Ślepiec wyśpiewał prawie ostatnie słowa, jakby wyrazy liturgii. Wzruszony tłum odpowiedział mu pochwalnym szmerem. Ktoś wyrzekł na głos:

— Amen!

— Skończyłeś, starcze? — zapytał spokojnie Julian.

Cesarz wysłuchał do końca długiej przemowy z zimną krwią niezmąconą, jak gdyby nie o niego chodziło. Tylko w kącikach ust występował mu chwilami uśmiech szyderczy.

— Oto ręce moje, katowie! Wiążcie je! Prowadźcie mnie na śmierć! Panie! przyjmuję koronę Twoją!

Biskup wzniósł ku niebu ociemniałe oczy.

— Sądzisz więc, poczciwcze, że cię na męki skażę? — rzekł Julian.—Mylisz się. Puszczę cię w pokoju. W sercu mem nie czuję gniewu ku tobie...

— Co to? co to? Co on mówi?—pytano w tłumie.

— Nie kuś mnie! Nie wyprę się Chrystusa! Odejdź, wrogu rodzaju ludzkiego! Siepacze, prowadźcie mnie na śmierć... Oto jestem!...

— Tu niema siepaczów, przyjacielu, są tylko ludzie zwyczajni i dobrzy, jak i ty. Uspokój się! Życie jest nudniejsze i powszedniejsze, niż przypuszczasz. Słuchałem ciebie z ciekawością, bo jestem wielbicielem wszelkiego krasomówstwa, nawet galilejskiego. I czego tam nie było! Sprosność Sennacheryba, i król Armorejczyków, i kamyk Dawida, i Goliat!... Prostoty brak w mowach waszych. Czytajcie naszego Demostenesa, Platona, a przedewszystkiem Homera. Oni są naprawdę prości, jako dzieci albo

jako bogowie! Tak, uczcie się od nich wzniosłego spokoju, galilejczycy! Nie w burzach jest Bóg, tylko w ciszy. Oto cała moja nauka, cała zemsta moja, ponieważ ją wyzywałeś.

— Niech cię Bóg porazi, bluźnierco!... — zaczął znowu Marys.

— Pan nie doprowadzi mnie do zaślepienia w gniewie, a tobie wzroku nie przywróci — odparł Julian.

— Dziękuję Bogu za moją ślepotę! — krzyknął starzec: — bo nie pozwala oczom moim patrzeć w przeklęte oblicze Potępieńca!...

— Ileż złości w tem wątłem ciele... Wciąż mówicie o pokorze i o miłości, galilejczycy, a tymczasem w każdem waszem słowie — ileż nienawiści! Powracam z zebrania, gdzie bracia gotowi byli w Imię Boże porozszarpywać się jak dzikie zwierzęta. Teraz znów ty z zaciekłą twą mową... Skąd ta nienawiść? Nie jestem bliźnim waszym? O, gdybyś wiedział, jak w tej chwili serce moje niefrasobliwe jest i dobroci pełne! Życzę ci wszystkiego dobrego i błagam Olimpijczyków, ażeby ułagodzili duszę twą okrutną, ciemną i cierpiącą, ślepcze! Idź w pokoju i zapamiętaj sobie, że nie tylko galilejczycy przebaczać umieją.

— Nie wierzcie mu, bracia!... To podstęp, to przebiegłość węża! Widziałeś, Panie, jako ten Odstępca bluźnił Tobie, Bogu Izraela—przeto nie zamilknij!...

Wtedy, nie zwracając więcej uwagi na przekleństwa starca, Julian przeszedł przez tłum w swej białej szacie, błyszczącej pod promieniami słońca, spokojny i mądry, jak jeden ze starożytnych filozofów.

VIII.

Noc burzliwa. W rzadkich chwilach mdły promień księżyca, przerznąwszy się przez pędzące chmury, zlewa się dziwacznie z przelotnym blaskiem błyskawic. Wiatr ciepły, przesiąkły słonymi wyziewy, chłoszcze igłami pochyłego deszczu. Na brzegu Bosforu jeździec jakiś zbliżył się do samotnych ruin. Za niepamiętnych czasów, kiedy zamieszkiwali tutaj waleczni Trojańczycy, było to miejsce obronne, za strażnicę służące. Teraz pozostały z niego stosy kamieni i nawpół rozwalone mury, wysokiemi trawami porosłe. W dole ocalała izdebka niewielka, schronisko pasterzy i włóczęgów.

Uwiązawszy wierzchowca pod osłoną sklepienia i rozsunąwszy łopiany, jeździec zastukał do nizkich drzwiczek:

— To ja, Merroe, otwieraj!

Egipcyanka odemknęła drzwi i wpuściła go wewnątrz wieży.

Przybyły podszedł do pochodni, która oświetliła mu twarz—był to cesarz Julian.

Poszli dalej. Staruszka, obeznana z miejscowością prowadziła Juliana za rękę. Rozsuwając zarośla suchego ostu, odsłoniła nizkie wejście do groty skalnej i zeszła na dół po stopniach. Morze było blizko, ziemia drżała od huku bałwanów, ale ściany kamienne nie dawały wichrowi dostępu. Egipcyanka skrzesała ogień.

— Oto, Panie, lampka i klucz. Obrócisz go dwa razy. Brama klasztorna stoi otworem. Gdybyś napotkał brata odźwiernego, nie obawiaj się. Przekupiłam go. Tyl-

ko nie omyl się przypadkiem: w korytarzu górnym trzynasta cela na lewo.

Julian otworzył drzwi i długo schodził po spadzistej pochyłości o szerokich stopniach ze starych kamieni ciosowych. Wkrótce podziemie zwęziło się w korytarz tak ciasny, że dwaj ludzie nie mogliby się w nim wyminąć. Ta droga tajemna łączyła niegdyś strażnicę z warownią na przeciwległym brzegu zatoki, obecnie zaś opuszczone zwaliska z nowym klasztorem chrześcijańskim.

Julian wydostał się na wierzch wysoko nad huczącem morzem śród poszczerbionych falami wiszarów i począł wspinać się po drobnych stopniach, w skale wykutych. Na wierzchołku zobaczył murowane ogrodzenie, ale wdrapując się po wystających cegłach, zdołał je przesadzić i znalazł się w małym ogródku klasztornym.

Wszedł na czyściutki, tchnący spokojem dziedziniec, którego ściany okrywały krzewy róż herbacianych, a kwiaty te w ciepłej burzliwej atmosferze pachnęły silnie i niepokojąco.

Jedno okno na dole nie było zasłonione okienicą. Julian otworzył je ostrożnie i wszedł do środka. Ogarnęło go duszne powietrze kobiecego klasztoru. Czuć było wilgoć, kadzidła, myszy, zioła lecznicze i świeże jabłka, przechowywane w śpiżarni przez skrzętne mniszki.

Cesarz udał się długim korytarzem, na który z obudwóch stron wychodziły szeregi drzwi. Policzył je, i trzynaste na lewo uchylił zcicha. Alabastrowa lampka słabo oświecała ciepłą celę. Wstrzymał oddech.

Na nizkiem biało zasłanem łożu leżała kobieta w ciemnej tunice zakonnej. Snadź zasnęła w czasie modlitwy, nie zdążywszy się rozebrać. Długie rzęsy ocieniały jej wybladłe policzki, a brwi miała zmarszczone surowo i majestatycznie, jakby umarła.

Julian poznał Arsinoe.

Zmieniła się ogromnie. Tylko włosy pozostały te same: ciemno-złote u korzeni, płowe ku końcom, jak miód w promieniach słonecznych.

Powieki drgnęły. Westchnęła.

Przed oczyma Juliana przemknęło wspomnienie przezpysznego ciała amazonki, zalanego światłem, oślepiającego jak złotawe marmury Partenonu, i, ogarnięty miłością niepowstrzymaną, wyciągnął ręce ku śpiącej w cieniu czarnego krzyża zakonnicy i wyszeptał:

— Arsinoe!

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała nań bez zdziwienia i przestrachu, jak gdyby się spodziewała jego przyjścia. Ale, odzyskując przytomność, zadrżała i potarła rękę czoło.

Postąpił ku niej.

— Nie obawiaj się niczego. Rzeknij słowo, a pójdę sobie.

— Po coś tu przyszedł?

— Chciałem się przekonać, czy istotnie...

— Co ci potem, Julianie?... My się nie zrozumiemy...

— Więc naprawdę uwierzyłaś w Niego, Arsinoe?

Nic nie odrzekła, na dół opuściwszy oczy.

— Pamiętasz noc naszą w Atenach? — ciągnął cesarz.

— Pamiętasz, jak wtedy kusiłaś mnie, galilejskiego mnicha, zupełnie, jak ja ciebie teraz kuszę? Dawna duma, siła dawna malują się wciąż na twojej twarzy, Arsinoe zamiast niewolniczej pokory galilejskiej!... Dlaczego udajesz? Serca tak zmienić niepodobna. Wyznaj mi prawdę!...

— Pragnę panowania...—odrzekła cichutko.

— Panowania! Zatem pamiętasz jeszcze o naszym spisku!—zawołał radośnie Julian.

Potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem:

— O, nie! Panowanie nad ludźmi nie warte, by się o nie ubiegać. Sam się o tem przekonałeś. Pragnę panowania—nad sobą.

— I dlatego udajesz się na pustynię?

— Tak jest... A także dla wolności.

— Arsinoe! Jak dawniej, kochasz tylko siebie!...

— Pragnęłabym również kochać innych, według Jego przykazania. Ale nie mogę. Pogardzam nimi i pogardzam sobą.

— W takim razie lepiej nie żyć!—zawołał Julian.

— Należy się przezwyciężyć—odpowiedziała zwolna.— Należy pokonać w sobie nie tylko wstręt do śmierci, lecz i wstręt do życia, co jest o wiele trudniejsze, albowiem życie takie, jak moje, straszliwsze jest od śmierci. Ale kto się przezwycięży do końca, dla tego życie i śmierć stają się równie obojętne, ten zdobywa wielką wolność!...

Zmarszczyła brwi delikatne z wyrazem niezłomnej woli.

Julian patrzał na nią z rozpaczą.

— Co oni z ciebie zrobili!—szepnął.— Wszyscy jesteście albo katami, albo męczennikami. Dlaczego sami się udręczacie? Albożnie widzisz tego, że w duszy twojej niema nic, prócz nienawiści i rozpaczy?

Utkwiła w nim gniewne spojrzenie.

— Po coś tu przyszedł? Nie wołałam ciebie. Odejdź! Cóż mnie obchodzi, co ty myślisz o mnie? Dość mi swoich własnych myśli i moich cierpień. Pomiędzy nami jest przepaść, której żyjący przekroczyć nie mogą. Mówisz, że ja nie wierzę... Ale właśnie dlatego gardzę sobą! Znienawidzeniem siebie chcę dosięgnąć Boga. Nie wierzę, ale chcę wierzyć, czy rozumiesz? Chcę i uwierzę! Zmuszę się. Umartwię swe ciało, wysuszę je głodem i pragnie-

niem, uczynię je nieczulszem od martwego głazu. Ale przedewszystkiem—rozum! Rozum zabić muszę, ponieważ on jest szatanem i bardziej kuszącym niż jakakolwiek namiętność. Ale ja go poskromię! To będzie moje ostateczne, największe zwycięstwo, ponieważ ono mnie wyswobodzi. A wtedy zobaczę, czy jeszcze co zbuntuje się we mnie i waży się powiedzieć: „Nie wierzę!"

Wyciągnęła złożone dłonie ku niebu, błagając beznadziejnie:

— Panie! zmiłuj się nade mną!... Gdzie jesteś, Panie? Wysłuchaj mnie i zmiłuj się!...

Julian padł na kolana przy niej, chwycił ją w objęcia, przycisnął do piersi i z blaskiem tryumfu w oczach zawołał:

— Dziewczę! widzę teraz, że nie potrafiłaś nas porzucić. Chciałaś tego, ale nie potrafiłaś! Chodź, chodź ze mną natychmiast! Jutro zostaniesz małżonką cesarza rzymskiego, władczynią świata. Wszedłem tutaj, jak złodziej, wyjdę, jak lew ze swoją zdobyczą. Co za tryumf nad galilejczykami! Co nas powstrzyma? Na wszystko się odważymy, staniemy się równymi bogom!...

Twarz Arsinoe przybrała znowu wyraz smutku i spokoju; spoglądała z litością na Juliana, nie odtrącając go:

— Nieszczęśliwy! i ty jesteś, jak ja, nieszczęśliwy! Nie wiesz sam, dokąd mnie chcesz prowadzić. Na co ty liczysz? Bogowie twoi umarli. Od tej zakały, od tego straszliwego zapachu gnicia uciekam na pustynię. Puść mnie... W niczem ci pomódz nie mogę... Odejdź...

Gniew i namiętność zapłonęły w oczach Juliana.

Ona jednakże z większym jeszcze spokojem i z taką litością, że serce jego zadrżało i zmroziło się w łonie, jak pod wrażeniem śmiertelnej obrazy, mówiła dalej:

— Czemu się łudzisz? Nie jest-żeś chwiejnym i ginącym, jak my wszyscy? Pomyśl, co ma znaczyć twa dobroczynność, twe przytułki, kazania kapłanów helleńskich? To wszystko jest naśladowaniem galilejczyków, to wszystko są nowości, nieznane starym bohaterom Hellady!... Julianie, Julianie! Alboż twoi bogowie są dawnymi Olimpijczykami, promiennymi i nieubłaganymi, okrutnemi dziećmi błękitów, których radowała krew ofiar i cierpienia śmiertelników? Krew i męki ludzkie były ambrozyą starożytnych bogów. Twoi zaś, uwiedzeni wiarą rybaków z Kafarnaum, są słabi, łagodni, chorzy, umierający z litości ku ludziom. Albowiem, widzisz, litość ku ludziom jest dla bogów śmiertelną!...

Burza ucichła. Przez okno widać było śród rozproszonych chmur bezdenny błękit nieba, jaśniejący smutną zorzą, w której konała gwiazda Afrodyty. Julian odczuwał straszne znużenie. Twarz okrywała mu bladość trupia. Czynił niesłychane wysiłki, żeby się wydawać spokojnym, ale każdy wyraz Arsinoe przenikał mu do głębi serca i ranił je.

— Tak jest — ciągnęła nieubłagana.—Jesteście chorzy, jesteście zbyt bezsilni dla waszej mądrości. I to jest klątwą waszą, spóźnienie Hellenowie! Nie macie mocy ani w dobrem, ani w złem. Nie jesteście ani dniem, ani nocą, ani życiem, ani śmiercią. Serce was ciągnie tu i tam; odpłynęliście od jednego brzegu, a do drugiego dotrzeć nie możecie. Wierzycie i nie wierzycie, wiecznie zmienni, wiecznie wahający się; chcecie i nie możecie, ponieważ nie potraficie chcieć. Silnymi są tylko ci, którzy, widząc jedną prawdę, ślepi są na każdą inną. I oni was zwyciężą—was, dwulicowych, mądrych a słabych!

Julian podniósł głowę z wysiłkiem, jak gdyby budząc się z przykrego snu, i rzekł:

— Niesprawiedliwą jesteś, Arsinoe! Dusza moja nie zna trwogi, a moja wola jest niezłomna. Moc przeznaczenia kieruje mną. Jeżeli mi sądzono umrzeć przedwcześnie—wiem o tem—tedy w oczach bogów śmierć moja będzie wspaniałą! Bądź zdrowa. Patrz — odchodzę bez urazy, smutny i spokojny, ponieważ od tej chwili—umarłaś dla mnie!...

IX.

Nad bramą głównego gmachu szpitala Apollina Wdal-Godzącego, dla nędzarzy, pielgrzymów i kalek, na frontonie marmurowym błyszczał rzeźbiony w języku greckim wiersz Homera:

..Wszyscy od Zeusa, pochodzim
Biedni pielgrzymi. Niewiele daję, ale z serca ofiara..

Cesarz wszedł pod portyki wewnętrzne. Wysmukła... kolumnada jońska okalała dziedziniec. Szpital ten był dawną palestrą. Nastawał wieczór łagodny i jasny; słońce jeszcze nie zaszło.

Z portyków szpitalnych, z pomieszczeń wewnętrznych szedł zaduch ciężki.

Tam, w jednej gromadzie, tłoczyli się dzieci i starcy, chrześcijanie i poganie, zdrowi i chorzy, kalecy, dziwotwory, paralitycy, chromi, trędowaci, dotknięci puchliną wodną, trawieni gorączką, ludzie, noszący na twarzach piętna wszelkich nałogów i cierpień wszelakich.

Jakaś staruszka półnaga, w łachmanach, ze skórą ogorzałą barwy liści zwiędłych, tarła swe plecy owrzodziałe o delikatny marmur kolumny jońskiej.

Na środku dziedzińca wznosił się posąg Apollina Pityjskiego z łukiem w ręku i kołczanem na ramieniu.

U stóp posągu siadła zmarszczona poczwara, ni to dziecko, ni starzec. Oplótłszy rękoma kolana i podbródek na nich oparłszy, kołysała się to na prawo to na lewo, i bezmyślnie wyśpiewywała ciągle tę samą żałosną zwrotkę:

— Jezu Chryste, Synu Boży! zmiłuj się nad nami grzesznymi

Zjawił się wreszcie dozorca główny, Markus Auzoniusz, blady i drżący.

— Najuczeńszy i najmiłosierniejszy cesarzu, racz wejść do mego mieszkania!.. Tutaj powietrze niezdrowe... Przytem są choroby zaraźliwe... W pobliżu oddział trędowatych...

— Nic nie szkodzi, nie obawiam się. Ty jesteś głównym dozorcą?

Auzoniusz skłonił się nizko, powstrzymując oddech, by nie wciągać zatrutego powietrza.

— Czy rozdają codziennie chleb i wino?

— Tak jest, wedle rozkazu twego, boski Auguście...

— Jak tu brudno!

— To galilejczycy. Dla nich myć się jest grzechem. Niepodobna ich zmusić do kąpieli.

— Każ podać księgi rachunkowe — rozkazał Julian.

Dozorca padł na kolana i przez długą chwilę nie mógł słowa przemówić. Wreszcie wyjąkał:

— Panie, wszystko w porządku... Ale... stało się nieszczęście.. Księgi spłonęły...

Cesarz spochmurniał.

W tej chwili rozległy się okrzyki śród tłumu chorych.

— Cud, cud!.. Patrzcie!.. Paralityk wstaje!..

Julian odwrócił się i ujrzał człowieka wysokiego wzrostu, z obłąkaną z radości twarzą, który wyciągając ku nie-

mu ręce z dziecinną wiarą w oczach, powstawał ze słomianego zgniłego posłania.

— Wierzę, wierzę!—mówił paralityk.—Wierzę, żeś ty nie człowiek, lecz bóg, który zstąpił na ziemię!... Twarz twoja, jako twarz boga! Dotknij się mnie, uzdrów mnie, cesarzu!

— Cud, wielki cud!—tryumfowali ułomni. — Chwała cesarzowi! Chwała Apollinowi-Uzdrowicielowi!

— Przyjdź do mnie! przyjdź do mnie!... — wołali nieszczęśliwi. — Rzeknij słowo, a wyzdrowieję!

Zachodzące słońce zajrzało przez odemkniętą bramę i łagodnem światłem oblało marmurową twarz Apllina W dal Godzącego. Julian spojrzał na boga, i po raz pierwszy to wszystko, co się działo w szpitalu, wydało mu się świętokradztwem. Jasne oczy boga olimpijskiego nie powinny były patrzeć na tę całą szkaradę. Julian uczuł rodzącą się chęć oczyszczenia starożytnej palestry, w której niegdyś mocowali się potężni atleci, z tej całej plugawości galilejskiej i pogańskiej, tego cuchnącego gnoju ludzkiego. O, gdyby bóg starożytny się ocucił, jakie błyskawice ciskałyby jego oczy, jakżeby świstać poczęły jego strzały, godząc w tych ułomnych i paralityków, oczyszczając to powietrze zatrute!

Julian z pośpiechem i w milczeniu opuścił przytułek Apollina, zapominając nawet o książkach rachunkowych Auzoniusza. Przekonał się, że doniesienie było słuszne, że główny dozorca był łupiezcą; ale takie znużenie i taki wstręt opanowały mu serce, że nie miał odwagi zagłębiać się w tej nikczemności w celu sprawdzania.

Późno już było, gdy powrócił do pałacu. Wydał rozkaz, aby nikogo nie przyjmowano, i udał się na taras wzniesiony nad Bosforem.

Cały dzień zbiegł mu na nudnych drobiazgowych sprawach, na sporach kancelaryjnych i sprawdzaniach rachunków.

Odkryto wielką liczbę nadużyć; cesarz mógł się przekonać, że oszukiwanym był nawet przez najlepszych przyjaciół. Wszyscy ci filozofowie, retorowie, poeci i panegiryści, którym oddał panowanie nad światem, okradali skarb tak samo, jak eunuchowie i biskupi chrześcijańscy za rządów Konstancyusza.

Przytułki, schronienia dla filozofów w rodzaju klasztorów, szpitale Apollina i Afrodyty—wszystko było pretekstem do bogacenia się dla ludzi zręcznych, tem bardziej, że zarówno w oczach pogan, jak i chrześcijan wydawało się jedynie dziwacznym i świętokradzkim kaprysem cesarza.

Julian czuł, że mu się ciało ugina pod ciężkiem i bezowocnem znużeniem. Zgasiwszy lampę, wyciągnął się na łożu obozowem.

— Należy rozważyć wszystko w milczeniu i spokoju— rzekł, spoglądając na nocne niebo.

Ale ochota do rozważania nie nadchodziła. Wielka gwiazda błyszczała pośród ciemnego, bezdennie głębokiego eteru, i Julian przez wpół przymknięte powieki widział jej światło, przenikające go aż do serca, niby zimna pieszczota.

Ocknął się i wzdrygnął, poczuwszy, że ktoś wchodzi do komnaty. Promienie księżyca padały pomiędzy kolumny. Nad łożem jego stał wysoki starzec z długą, siwiuteńką brodą, z twarzą zoraną głębokiemi ciemnemi zmarszczkami, które nie wyrażały cierpień, jeno wytężenie niezłomnej woli i myśli. Julian podniósł się na łożu i wyszeptał:

— To ty, mistrzu?

— Tak jest, Julianie. Przyszedłem pomówić z tobą na osobności.

— Słucham cię...

— Dziecię moje, zginiesz, ponieważ przeczysz sobie...

— I ty, Maksymie!... i ty przeciwko mnie?

— Pamiętaj o tem, Julianie, że boskie jabłka Hesperyd są wieczyście młode i twarde. Miłosierdzie — to miękkość i słodycz gnijących owoców. Tyś poszczący, tyś wstrzemięźliwy, tyś posępny, tyś litościwy, mienisz się być wrogiem galilejczyków, a tyś sam galilejczykiem. Powiedz mi: czem zamierzasz zwyciężyć Ukrzyżowanego?

— Pięknością i weselem bogów—odpowiedział Julian.

— Czujesz-że w sobie dosyć siły?

— Czuję...

— Potrafisz znieść całkowitą prawdę?

— Potrafię...

— Dowiedz się zatem, że *oni* nie istnieją.

Julian z przerażeniem spojrzał w spokojne, rozumne oczy mistrza.

— O kim powiadasz, jako „nie istnieje“?...—zapytał drżącym głosem, blednąc.

— Mówię, że olimpijczycy nie istnieją. Sam jesteś.

Cesarz, nic nie odpowiedziawszy, spuścił głowę na piersi w wyczerpaniu.

Wtedy czułość głęboka zatliła się w oczach Maksyma. Kładąc dłoń na ramieniu Juliana, przemówił:

— Uspokój się! Więc nie zrozumiałeś? Chciałem cię doświadczyć. Bogowie istnieją. Widzisz, jakiś ty słaby. Nie możesz pozostać sam. Bogowie istnieją i miłują ciebie. Ale zapamiętaj sobie — nie ty zjednoczysz prawdę okutego Tytana z prawdą Ukrzyżowanego Galilejczyka! Chcesz, abym ci powiedział, jakim będzie Ten, który nie przyszedł jeszcze, Niewiadomy, Pojednawca dwóch światów?

Julian milczał, wciąż jeszcze wylękły i blady.

— Oto się zjawi — ciągnął Maksym — jako piorun z chmur, niosący śmierć i opromieniający wszystko. Straszny i nieustraszony, wyższy nad powinność i prawo, wyższy nad dobro i zło. W nim zleje się w jedno—dobro i zło, pokora i duma, tak samo, jak światło i cień zlewają się w jedno w zmroku porannym. I ludzie błogosławić go będą nie tylko za miłosierdzie, lecz i za nielitościwość, w której nadludzka potęga będzie i piękno

— Mistrzu!—zawołał cesarz:—oto widzę to wszystko w oczach twoich. Rzeknij, iż jesteś Niewiadomym, a pójdę za tobą i błogosławić ci będę!...

— Nie, mój synu. Jestem światłem Jego światła, duchem Jego ducha. Ale nim jeszcze nie jestem. Jam nadzieją, jam zwiastunem.

— Dlaczego, Maksymie, ukrywasz się przed ludźmi? Objaw się im, ażeby i oni poznali cię, jako ja...

— Godzina moja nie nadeszła—odpowiedział hierofant;—nieraz już przychodziłem na świat i jeszcze przyjdę nieraz. Ludzie boją się mnie, nazywając mnie to wielkim mędrcem, to uwodzicielem, to czarownikiem, Orfeuszem, Pitagorasem, Maksymem z Efezu. Ale ja jestem Bezimienny. Przechodzę koło tłumu z niememi usty i słoneczną twarzą. Cóż bowiem powiedzieć mógłbym tłumom? Nie zrozumieliby nawet mego pierwszego słowa! Tajemnica mojej mądrości jest dla nich nad śmierć straszniejsza. Są tak dalecy ode mnie, że nawet nie krzyżują mnie i nie kamienują, jak swe proroki; jedynie tylko nie poznają mnie. Mieszkam w podziemnych jaskiniach i rozmawiam z gwiazdami, przysłuchuję się, jak rośnie trawa, jak szemrzą fale mórz, jak bije serce ziemi —wyglądam, czy godzina moja nie nadchodzi. Ale nie,—więc znów odchodzę jako cień z niememi usty i zasłonioną twarzą...

— Nie odchodź, mistrzu, nie porzucaj mnie!...

— Nie obawiaj się, Julianie: duch mój nie porzuci ciebie do końca. Kocham cię, ponieważ musisz zginąć przeze mnie, umiłowany synu mój—i niema już dla ciebie ocalenia!... A nim przyjdę na świat i objawię się ludziom, wielu jeszcze zginie ludzi wielkich, wyklętych, zbuntowanych przeciwko Bogu, z sercem głębokiem na dwoje rozdartem, skuszonych moją mądrością, odstępców, podobnych tobie. Ludzie przeklną cię, ale nie zapomną nigdy, bowiem nosisz na sobie piętno moje, jako mój twór, jako dziecię mądrości mojej! Ludzie najdalszych przyszłych pokoleń mnie poznają w tobie, moje nadzieje w twej zgubie i przez życie twoje dopatrzą się mej wielkości, jak słońca przez mgłę!

— O, jeżeli zwodzisz mnie, Boski, jeżeli słowa twe są kłamstwem, pozwól mi umrzeć za to kłamstwo, ponieważ piękniejsze jest ono, niż prawda!

— Błogosławiłem cię nigdyś na życie i panowanie, cesarzu Julianie, dziś błogosławię cię na śmierć i nieśmiertelność. Idź ginąć za Niewiadomego, za Przyszłego, za Pojednawcę dwóch prawd!...

Z pełnym namaszczenia uśmiechem, jak patryarcha starożytny albo jak ojciec, błogosławiący syna, położył starzec swe dłonie na głowie odstępcy, pocałował go w czoło i rzekł:

— Oto znowu kryję się w mroku podziemnym, i nikt mnie nie pozna. Duch mój niech będzie z tobą!

X.

W Antyochii Wielkiej, stołecznem mieście Syryi, w pobliżu pierwszorzędnej ulicy, Syngonu, znajdowały się wykwintne łaźnie gorące, tak zwane termy.

Były to kąpiele modne i nader kosztowne. Tłumy publiczności schodziły się tam dla usłyszenia najświeższych nowin miejskich.

Pomiędzy apodyteryum (w którem się rozbierano) a frygidaryum (pokojem do ochładzania) była wspaniała sala o posadzce z mozaiki i różnobarwnego marmuru, przeznaczona do pocenia się—„sudatorium“ albo „laconicum“. Z sąsiednich sal dochodził bezustanny szum szerokich strug wody, spływających do wanien i obszernych zbiorników, pluskania i okrzyki kąpiących się. Kręcili się smagli niewolnicy i łaziebnicy nadzy, otwierając amfory z aromatami. W Antyochii kąpieli nie uważano za rozrywkę albo potrzebę, lecz za główną uciechę życia, za wzniosłą i pełną rozmaitości sztukę. Bo też stolica Syryi słynną była na świecie z obfitości, przedziwnego smaku i czystości wód swoich. Zbiornik czy kubeł napełniony wydawał się pustym, do tego stopnia woda z wodociągów antyocheńskich była przezroczysta.

Skroś gorących mlecznych obłoków pary, wydobywających się z marmurowych otworów, widać było w sudatoryum nagie zaczerwienione ciała znakomitych obywateli Antyochii. Ci nawpół leżeli, tamci siedzieli, innych służący nacierali oliwą, wszyscy zaś rozmawiali poważnie i pocili się, z namaszczeniem oddając się tej modnej wykwintnej sztuce. Wobec piękności umieszczonych w niszach starożytnych posągów Antynousów i Adonisów tem wyraźniej występował brzydota ciał żywych.

Z gorącej wanny wyszedł gruby starzec, majestatyczny pomimo niezgrabności, kupiec Buzyrys, w którego ręku spoczywał handel całem zbożem Antiochii. Wysmukły młodzian z szacunkiem prowadził go pod ramię.

Chociaż obaj byli nadzy, nie trudno było od pierwszego rzutu oka odgadnąć, kto z nich jest patronem, a kto klijentem.

— Puść parę!—rozkazał Buzyrys ochrypłym głosem. Z samej głębokości tego głosu można było powziąć wyobrażenie o niesłychanej liczbie milionów, którymi obracał kupiec.

Odkręcono kurki u dwóch rur metalowych, i para gorąca z sykiem buchnęła przez otwory, otaczając kupca mgłą gęstą. Jak potworny jakiś bożek w apotezie stał śród białego obłoku, sapiąc, pochrząkując z lubością i klepiąc się tłustemi dłońmi po czerwonym mięsistym brzuchu, który dudnił jak bęben.

Tuż obok siedział na piętach dawny dozorca przytułków i szpitali Apollina, urzędnik kwestury, Markus Auzoniusz. Drobny, szczupły, wyglądał obok tłustego ogromu kupca jest oskubany i zziębły kurczak.

Szyderczy Juniusz Mauricus nie mógł wywołać potów na swem ciele żylastem, suchem jak kij, żółcią przesiąkłem.

Gargilian leżał rozciągnięty na posadzce mozaikowej, odęty, zwiędły i miękki, jak żelatyna, a ogromny jak cielsko kiernoza. Niewolnik Paflagończyk, dysząc z wytężenia wycierał mu grzbiet otyły kawałkiem mokrego sukna.

Poeta Publiusz Porfiryusz Optacyanus, obecnie wzbogacony, rzucał melancholijne spojrzenia na swoje nogi, zeszpecone podagrą.

— Czy znacie, przyjaciele,—zapytał poeta—odę byków białych do cesarza rzymskiego?

— Nie. Powiedz nam.

— Jeden wiersz tylko: „Jeżeli zwyciężysz Persów, zginęliśmy.“

— I to wszystko?

— Czegóż więcej potrzeba?

Białe połcie Gargliana zatrzęsły się od śmiechu.

— Na Palladę! zwięźle, ale trafnie. Jeżeli cesarz powróci z Persyi w tryumfie, wtedy w ofierze bogom poświęci taką mnogość białych byków, że zwierzęta te staną się rzadsze za egipskiego Apisa!... Krzyż, niewolniku, nacieraj krzyż, a silniej!

Przewrócił się na drugi bok, przyczem jego ciało klapnęło na mozaikę z dźwiękiem rzuconego na ziemię tłomoka mokrej bielizny.

— Ha! ha! ha!—zaśmiał się cienko i żółciowo Juniusz.—Mówią, że z wyspy Taprobany w Indyach wysłano niezliczoną ilość ptaków białych bardzo niezwykłych, skądciś z lodowatej Scytyi—duże łabędzie dzikie. Wszystko dla bogów! Cesarz rzymski tuczy olimpijczyków. Prawda że od czasów Konstantyna mieli czas się wygłodzić!

— Bogowie się objadają,—zawołał Gargilian — a my pościmy! Od trzech dni nie można dostać na targu znośnego bażanta z Kolchidy, ani żadnej ryby jadalnej!

— To młokos!—krótko i dobitnie ozwał się handlarz zboża.

Wszyscy umikli, z szacunkiem zwracając się ku niemu.

— Młokos! — powtórzył Buzyrys jeszcze poważniej i głośniej.—Powiadam wam, że gdyby tak ścisnąć za nos waszego cesarza rzymskiego, toby mu się pokazało mleczko, jak u dwutygodniowego dziecka! Chciał zniżyć ceny na zboże, zabronił sprzedawać po cenie, którą myśmy ustanowili. 400000 miar pszenicy zamówił w Egipcie...

— No i co? Spadły ceny?

— Aha! zaraz! Wziąłem i podburzyłem kupców. Zamknęli śpichrse. Lepiej—powiadamy—niech sobie zgnije pszenica, a nie ustąpimy. Zboże egipskie wkrótce się zjadło, a my swojego nie dajemy. Nawarzyłeś piwa, wypijże teraz.

Buzyrys tryumfalnie poklepał się rękoma po brzuchu

— Dość pary... Lej!—rozkazał kupiec.

Hoży niewolnik długowłosy, podobny do Antinousa, odkorkował nad jego głową cienką amforę drogocennej kasyi arabskiej. Płyn aromatyczny rozlał się po czerwonem spotniałem ciele; Buzyrys z zadowoleniem rozcierał grube wonne krople. Następnie starł tłuste palce o złocistą czuprynę pochylonego nad nim niewolnika.

— Wasza Łaskawość doskonale zauważyła, że cesarz jest poprostu młokosem!—powiedział z głębokim ukłonem jakiś darmozjad klijent.—Nie tak dawno ogłosił paszkwil przeciwko mieszkańcom Antyochii pod tytułem: „Nienawidzący brody" (Mizopogon), w którym na obelgi motłochu odpowiada jeszcze większem wymyślaniem i wprost oznajmia: „Wyśmiewacie się z mojej rubaszności, z mej brody? Śmiejcie się dowoli! I ja się z wami będę śmiał. Nie potrzebuję ani sądów, ani doniesień, ani więzień, ani kar!.." Jest-że to godnem cesarza rzymskiego?...

— Świętej pamięci cesarz Konstancyusz—zauważył mentorskim tonem Buzyrys—był nieto, co Julian. W jego stroju, w każdym ruchu znać było cesarza. A ten, Boże odpuść, poroniony płód bogów, małpa kulawa, niedźwiedź kuternoga, włóczy się po ulicach nieogolony, nieuczesany, nieumyty, z palcami poplamionymi atramentem. Przykro na niego patrzeć! A książki, a erudycya, a filozofia—poczekaj—zapłacisz ty za to drogo! Tu niema żartów. Lud trzeba krótko trzymać. Wypuścić go łatwo, ale złapać napowrót się nie da...

Markus Auzoniusz, który milczał do tej pory, szepnął w zamyśleniu:

— Wszystko wybaczyć można, ale dlaczego nas pozbawiają ostatniej przyjemności w życiu, cyrku, walk, gladyatorów? Przyjaciele, widok krwi sprawiał ludziom roz-

kosz niewypowiedzianą. To radość święta i tajemnicza. Niema wesela bez krwi, ani wielkości na tej ziemi. Zapach krwi to zapach Rzymu!

Ostatni potomek Auzoninszów powiódł po zgromadzomadzonych naiwnemi, starczo-dziecięcemi oczyma.

Wzdęte ciało Gargiliana poruszyło się na posadzce; właściciel jego, podniósłszy głowę, popatrzał na Auzoniusza.

— Wybornie to wyraziłeś: zapach krwi, zapach Rzymu... Nie przerywaj, Marku, jesteś dzisiaj w natchnieniu...

— Mówię, co czuję, moi drodzy. Krew tyle ma powabu dla ludzi, że nawet chrześcijanie obejść się bez niej nie mogą. I oni chcą oczyścić świat krwią! Julian popełnia gruby błąd. Zamykając ludowi cyrk, pozbawia go uciechy krwawej. Pospólstwo wszystko przebaczy, ale tego jednego nie!

Marek wymówił uroczyście ostatnie wyrazy, poczem nagle przesunął ręką po plecach, i twarz mu zajaśniała.

— Pocisz się? — zapytał troskliwie Gargilian.

— Pocę się! — odpowiedział Auzonyusz z radosnym uśmiechem.—Trzyj, niewolniku, trzyj prędzej grzbiet, póki nie ochłodłem...

Położył się. Łaziebnik wziął się do nacierania nędznych, bezkrwistych członków, powleczonych sinością, jak członki umarłego.

Z nisz pofirowych, przez mleczne kłęby pary pyszne rzeźby helleńskie z ubiegłych czasów spoglądały ze wzgardą na szpetne ciała żyjących.

A tymczasem u zbiegu ulic, przy wejściu do term gromadziły się tłumy.

Nocą Antyochia błyszczała tysiącami świateł, szczególnie Syngon, ulica pierwszorzędna, całkowicie prosta, przecinająca miasto na przestrzeni trzydziestu sześciu sta-

dyów, zdobna portykami i podwójną kolumnadą ze wspaniałymi magazynami.

Przed schodami łazien płonęły rozdmuchiwane wiatrem pochodnie uliczne, oświetlając pstre tłumy. Kopeć smolny rozpościerał się kłębami z podstaw żelaznych.

W ciżbie krążyły dowcipy na cesarza. Ulicznicy wałęsali się pomiędzy gromadkami, wykrzykując satyryczne anapesty, jakaś stara wyrobnica, pochwyciwszy jednego urwisa i podkasawszy mu koszulinę, zdjęła sandał i podeszwą biła po różowem ciele, dogadując:

— Masz, masz, masz! a nie wyśpiewuj bezeceństw!

Smagłolicy chłopak darł się przeraźliwym głosem.

Inny, wdrapawszy się na plecy kolegi, rysował na białym marmurze kawałkiem węgla długobrodego kozła w dyademie cesarskim; zaś trzeci, starszy nieco, widocznie uczeń szkolny, wypisywał u spodu wielkiemi literami: „To jest bezbożny Julian“—i najgrubszym, na jaki się mógł zdobyć głosem, wrzeszczał:

Idzie rzeźnik, przytupuje,
Ostrym nożem wymachuje,
Głową trzęsie, okiem mruga,
Jak u kozła broda długa.

Przechodzący starzec w czarnem ubraniu, zapewne duchowny, zatrzymał się, wysłuchał śpiewu malca i kiwając głową, podniósł oczy ku niebu i rzekł do niewolnika tragarza:

— Powiedziane jest: z ust dziatek prawda wychodzi! Czyż nie lepiej się żyło pod Kappa i Chi?

— Co to znowu za Kappa i Chi?

— Nie rozumiesz? Grecka litera Kappa to początek imienia Konstancyusza, a Chi—to pierwsza litera w słowie: Chrystus. Chciałem przez to powiedzieć, że

Konstancyusz i Chrystus nie uczynili nic złego mieszkańcom Antyochii, nie tak, jak filozofowe... przybłędy...

— Co prawda, to prawda. Lepsze było życie pod Kappa i Chi!

Pewien pijak podsłuchał tę rozmowę i pomknął, by ją roznieść po wszystkich ulicach.

— Pod Kappa i Chi nieźle się żyło!—krzyczał.—Niech żyją Kappa i Chi!...

Ten dowcip miał obiedz całą Antyochię i spodobać się motłochowi dzięki swej niezbitej bezmyślności.

Jeszcze większe ożywienie panowało w szynku, położonym naprzeciwko term, który należał do Ormianina Syrofeniksa. Oddawna już przeniósł on swój zakład z poblizkiej zamku Macellum Cezarei do Antiochii.

Z pękatych łagwi i amfor olbrzymich strumieniami lało się wino do cynowych kubków. I tu, jak wszędzie, mówiono o cesarzu. Szczególną wymową odznaczał się mały żołnierz Syryjczyk, Strombix, ten sam, który brał. udział w pochodzie Juliana na barbarzyńskich Gallów Przy nim był nieodstępny towarzysz i przyjaciel, olbrzymi Sarmata Aragarys.

Strombix czuł się jak ryba w wodzie, nadewszystko bowiem lubił zamieszki i bunty.

Zabierał się do wypowiedzenia mowy.

Wtem jakaś gałganiarka stara przyniosła nowinę:

— Zginęliśmy ze szczętem! Pan Bóg nas karze!... Wczoraj sąsiadka opowiadała mi takie straszne rzeczy, że w pierwszej chwili wierzyć nie chciałam!..

— Powtórz nam, staruszko...

— W Gazie, moi drodzy, stało się to w Gazie. Poganie wtargnęli do klasztoru żeńskiego. Powywlekali zakonnice, poprzywiązywali je do słupów na placu, zaćwiczyli

je na śmierć, a potem wytarzali drgające jeszcze wnętrzk ności w jęczmienia i rzucili wieprzom...

— Widziałem na własne oczy — dodał młody tkacz o bladej zaciętej twarzy — w Heliopolisie poganina, który jadł na surowo wątrobę zabitego dyakona.

— Co za zgroza!—rzekł kotlarz, marszcząc brwi.

Wielu przeżegnało się.

Strombix z pomocą Aragarysa wdrapał się na stół brudny, z kałużami rozlanego wina, i przybierając pozę mówcy, zwrócił się do tłumu Aragaris, potakując mu głową, z dumą nań wskazywał.

— Obywatele! — rozpoczął Strombix — dokądże będziemy zwlekali z powstaniem? Czy nie wiecie o przysiędze Juliana, że skoro tylko powróci jako zwycięzca Persów, natychmiast zgromadzi świętych obrońców Kościoła i rzucili ich na pastwę dzikich zwierząt w amfiteatrach! Kruchty bazylik zamieni w składy siana, a wnętrze kościołów w stajnie!...

W tej chwili przez drzwi wtoczył się jak kłębek staruszek garbaty, blady ze strachu; był to mąż gałganiarki, szklarz. Stanął, trzepnął się z rozpaczą po udach, i spojrzawszy błędnym wzrokiem dokoła, wyjąkał:

— Słyszeliście? Ładna sprawa!... Dwieście trupów w studniach i kanałach!

— Gdzie? Kiedy? Jakie trupy? Co takiego?..!

— Ciszej, ciszej...—szeptał szklarz, machając rękoma i ciągnął tajemniczo: — Mówią, że Odstępca oddawna już wróży na wnętrznościach żywych ludzi wiecznie o tej wojnie z Persami i zwycięstwie nad chrześcijany.

I nie mogąc złapać tchu z zadowolenia, ciągnął jeszcze ciszej:

— W lochach pałacu antyochijskiego wykryto skrzynie kości — kości ludzkie!... a w mieście Karra, w pobli-

żu Edesy, chrześcijanie znaleźli w podziemnej świątyni trupa kobiety ciężarnej, powieszonej za włosy z rozprótym brzuchem! Julian szukał w wątrobie dziecięcia wróżby na tę wojnę przeklętą...

— Hej, Gluturynie! Prawda to, że znajdują kości ludzkie w kloakach?... Tyś powinien o tem wiedzieć?—pytał szewc, wielki sceptyk.

Gluturyn, czyściciel kloak, trzymał się u drzwi, nie mając odwagi wejść, ponieważ bardzo cuchnął. Usłyszawszy zwrócone do siebie zapytanie, począł swoim zwyczajem uśmiechać się wstydliwie i mrugać zaczerwienionemi powiekami.

— Nie, godni przyjaciele—opowiedział łagodnie. Znajdowaliśmy nowonarodzone dzieci, czasem szkielety osła lub wielbląda, ale człowieczych bodaj że nie było...

Gdy Strombix znowu rozpoczął swą mowę, czyściciel kloak patrzał na niego z uwielbieniem i słuchał nabożnie, trąc gołą nogą o futrynę drzwi.

— Mężowie! bracia! —z niezwykłym ogniem wykrzykiwał mówca—pomścijmy się! Umrzyjmy, jak starożytni Rzymianie!..

— Przestałbyś drzeć sobie gardziel! — oburzył się szewc.—Gdy do czego dojdzie, pierwszy zemkniesz, a innych na śmierć wysyłasz!...

— Wszyscy jesteście tchórze—rzekł, wtrącając się do rozmowy wyróżowana kobieta zwiędła, w nędznym kostiumie pstrokatym, ladacznica uliczna, przezywana od swych wielbicieli poprostu wilczycą.—Wiecie,—ciągnęła z oburzeniem—co odpowiedzieli swym katom święci męczennicy Macedoniusz, Teodul i Tacyan?

— Nie wiemy... Mów, Wilczyco!

— Sama to słyszałam. W mieście Mirra, we Frygii trzech młodzieńców, Macedoniusz, Teodul i Tacyan, zakradli się

do świątyni helleńskiej i zburzyli bałwany na chwałę Bożą. Prokonsul Amachiusz rozkazał ich pojmać, rozciągnąć na rusztach żelaznych i rozpalić pod nimi ogień. A trzej męczennicy powiedzieli: „Jeżeli chcesz, Amachiuszu, skosztować pieczonego mięsa, to odwróć nas na drugi bok, ażebyśmy nie byli do połowy tylko upieczeni.“ I wszyscy trzej zaśmieli się i plunęli w twarz prokonsula. I widziano anioła spuszczającego się z trzema koronami. Wybyście tak nie odpowiedzieli! Za bardzo drżycie o swoją skórę... Litość bierze patrzeć na was!...

Wilczyca odwróciła się z pogardą.

Z ulicy doleciały krzyki...

— Może burzą bałwany? — ucieszył się szklarz.

— Naprzód, obywatele! Za mną! — zawołał Strombi, wymachując rękoma.

Ale pośliznął się i byłby upadł ze stołu, gdyby nie Aragaris.

Wszyscy pośpieszyli ku wyjściu. Olbrzymi tłum nadchodził z głównej ulicy i, zalawszy wązki zaułek, zatrzymał się przed termami.

— Stary Pambas! Stary Pambas! — mówili jedni do drugich.

— Przybył z pustyni karcić lud, obalić wielkich, oswobadzać poniżonych.

XI

Starzec miał twarz pospolitą, o szerokich kościach policzkowych, i cały był kudłaty. Worek lniany z mnóstwem łat zastępował mu tunikę, a zakurzona skóra barania z kapturem służyła za chlamidę. Idąc, pobrząkiwał długim kijem z ostrem żelazem na końcu. Od lat dzie-

cinnych nie mył się Pambas, uważając ochędóstwo za grzech i wierząc w istnienie specyalnego dyabła czystości cielesnej. Żył na straszliwej pustyni Beridzie w Chalibonii na wschód od Antyochii, gdzie żmije i skorpiony roiły się na dnie wyschłych studni. Mieszkał w takim pustym dole studziennym, zwanym po syryjsku „kubba", karmiąc się pięciu łodyżkami miejscowej trzciny mącznej i słodkiej, wskutek czego o mało nie umarł z wycieńczenia. Uczniowie zaczęli mu zatem spuszczać na sznurach pożywienie do studni. Przez siedm lat żywił się półmiarką soczewicy wymoczonej w wodzie. Wzrok mu osłabł, skóra pokryła się wrzodami i liszajami. Zaczął więc dodawać trochę oliwy do soczewicy, wymawiając sobie obżarstwo.

Usłyszawszy od uczniów, że owieczki Chrystusowe prześladuje okrutny Antychryst, cesarz Julian, Pambas opuścił swe schronienie i przybył do Antyochii, by podtrzymywać wiernych, słabnących w wierze.

— Słuchajcie! Słuchajcie! Starzec mówić będzie!

Pambas wszedł na schody przed termami i stanął na przedsieniu marmurowem u podnóża świecznika. W oczach płonął mu ogień ponury. Wyciągnął ręce, wskazując ludowi pałace, świątynie pogańskie, termy, magazyny, gmachy sądowe, pomniki Antyochii.

— Kamień na kamieniu tutaj nie zostanie. Wszystko runie, wszystko przepadnie. Ogień święty pochłonie świat cały. Niebiosa skręcą się z hałasem, jak wiór suchy. Oto straszliwy sąd Chrystusów, widok nieogarniętyl Dokądże zwrócę spojrzenie? Co podziwiać będę, okrom jęczenia królów, strąconych w otchłanie mroku? Okrom przerażenia bogini miłości, Afrodyty, drżącej w nagości swojej z synkiem maleńkim Erosem przed obliczności, Ukrzyżowanego? Okrom ucieczki Jowisza z zagasłym piorunem i wszystkich bogów Olimpu przed gromami Naj-

wyższego? Tryumfujcie, męczennicy! Cieszcie się, którzy znosicie prześladowania! Gdzie są wasi sędziowie, naczelnicy rzymscy, prokonsulowie? Oto ogarniają ich płomienie straszniejsze od tych, w których sami palicie chrześcijan! Filozofowie, dumni ze swej płochej mądrości, zczerwienieją ze wstydu, widząc swych uczniów rzuconych w gehennę, których nie ocalą ani sylogizmy Arystotelesa, ani dowodzenia Platona. Aktorowie tragiczni zawyją, jak nie wyli nigdy, w żadnej tragedyi Sofoklesa i Eschylosa! Zakręcą się tancerze na linie w ogniu piekielnym z niewidzianą jeszcze zwinnością! Natenczas my, ludzie nieokrzesani i nieuczeni, zadrżymy z radości i rzekniemy do silnych, mądrych, dumnych: „Patrzcie, oto wyśmiany—oto Ukrzyżowany, syn cieśli i służebnicy, oto Król Żydowski odziany w purpurę, w koronie cierniowej. Oto Ten, któregoście napoili żółcią i octem!“ I usłyszymy w odpowiedzi płacz i zgrzytanie zębów, a my śmiać się będziemy, serca nasze przepełnimy radością. Przybywaj, przybywaj, Panie Jezusie!

Glaturyn, czyściciel kloak, padł na kolana i mrugając rozognionemi powiekami, jak gdyby widział zstępującego Chrystusa, wyciągał ręce ku Niemu. Kotlarz zaciskał silnie pięści i wyprężał się, jak byk przed wściekłym skokiem. Blady, wymokły tkacz dygotał wszystkimi członkami, uśmiechał się głupkowato i szeptał: „Panie, dopuść mi cierpieć!“

Zwierzęce postacie włóczęgów i wyrobników wyrażały tryumf złośliwy słabych nad silnymi, niewolników nad ich panami. Wilczyca, wyszczerzając zęby, śmiała się z cicha, a nieposkromiona żądza zemsty iskrzyła się w jej oczach pijackich i dzikich.

ków, żebyśmy im nowych stwarzać mieli. Oni lecą na śmierć, jak pszczoły do miodu!

Człowiek w odzieży filozofa wystąpił naprzód i krzyknął głosem donośnym, jak dowódca, przyzwyczajony do komendy:

— Rozproszyć tłum! Pochwycić przewódców!

Odwrócili się wszyscy, i rozległ się krzyk przerażenia:

— August! August Julian!

Natarli żołnierze z obnażonymi mieczami. Obalono starą gałganiarkę, która wiła się pod nogami legionistów, jęcząc; wielu umknęło, a śród nich pierwszy mały Strombix. Wynikła utarczka. Gwizdnęły w powietrzu kamienie. Kotlarz w obronie starego Pambasa cisnął głazem w legionistę i ugodził Wilczycę, która upadła z krzykiem, zalana krwią i przekonana, że umiera śmiercią męczeńską.

Jeden z żołnierzy pojmał Gluturyna. Czyściciel kloak poddał się tak ochoczo—ponieważ możność zostania uwielbianym przez wszystkich męczennikiem zdała mu się rajem w porównaniu z jego nędznem życiem, ale łachmany jego wydawały odór tak nieznośny, że legionista z obrzydzeniem puścił co prędzej swego więźnia.

Pomiędzy tłumem znalazł się wypadkiem poganiacz z osłem, objuczonym kapustą. Cały czas z rozdziawioną gębą słuchał on starego Pambasa. Spostrzegłszy niebezpieczeństwo, chciał zbiedz, ale osieł się uparł. Daremnie poganiacz tłukł go kijem i krzyczał. Oślisko, oparte na nogach przednich, ze zgiętemi uszyma i zadartym ogonem stało, rycząc przeraźliwie.

I przez długą chwilę górował nad wszystkiem ten ryk tryumfujący a bezmyślny, zagłuszając jęki konających. przekleństwa żołdaków i modły galilejczyków.

Z pomiędzy towarzyszów Juliana wystąpił lekarz Orybazy i zbliżył się do cesarza.

— Co czynisz, Julianie? Jest-że to godnem mądrości twojej?

Cesarz spojrzał nań surowo, i Orybazy umilkł, nie śmiejąc dokończyć.

Julian zmienił się, a nawet zestarzał w ostatnich czasach; jego twarz wychudła nabrała smutnego i strasznego wyrazu, trafiającego się u ludzi powolną, nieuleczalną chorobą dotkniętych, albo opanowanych jakąś myślą blizką szaleństwa. Targał bezwiednie silnemi rękoma wypadkowo trzymany zwój papirusu.

Nakoniec rzekł głuchym głosem, patrząc prosto w oczy Orybazego:

— Idź precz ode mnie i wy wszyscy precz idźcie z waszemi radami głupiemi! Wiem, co czynię... Z tą hołotą, która nie wierzy w bogów, niepodobna rozmawiać, jak z ludźmi; trzeba ich tępić, jak dzikie zwierzęta. A wreszcie, cóż w tem złego, jeżeli kilkunastu galilejczyków padnie z ręki Hellena?

— Jaki on podobny w tej chwili do swego brata Konstancyusza w chwili wybuchu wściekłości! — mimowoli pomyślał Orybazy.

Julian zawołał do tłumu głosem, który jemu samemu wydał się obcym i straszliwym:

— Do tej pory z łaski bogów jestem jeszcze cesarzem! Bądźcie mi posłuszni, galilejczycy!... Możecie drwić z mojej brody i odzieży, ale nie z prawa rzymskiego! Pamiętajcie, że karzę was za bunt, nie za wiarę! W kajdany tego łotra!

Drżącą ręką wskazał Pambasa, którego pochwyciło dwóch jasnowłosych Batawów o twarzach dobrodusznych.

— Kłamiesz, bezbożniku! — wołał tryumfująco Pambas.—Za wiarę nas karzesz! Czemuż mi nie przebaczasz, jak ongi Marysowi, ślepcowi z Chalcedonu? Czemu zwy-

czajem swoim nie pokrywasz przemowy łaskawością, wędki — przynętą! Gdzie twoja filozofia? Czy zmieniły się czasy? Czy przebrałeś miarę? Bracia, trwóżmy się nie cesarza rzymskiego, lecz Wszechmocnego Boga!

Nikt już nie myślał o ucieczce. Wszystkich opanowała gorączka męczeństwa. Batawowie i Celtowie przerażeni byli zapałem, z jakim ci wszyscy ludzie uśmiechnięci i pobożni wystawiali się na śmierć. Nawet dzieci rzucały się na miecze i dzidy. Chciał Julian powstrzymać rzeź—ale było już za późno: pszczoły zleciały się do miodu. Mógł tylko wykrzyknąć z rozpaczą i wzgardą:

— Nieszczęśliwi! Jeżeli życie wam cięży, czy mało wam sznurów i przepaści?

A skrępowany, w silnych rękach w górze niesiony Pambas wołał jeszcze radośniej:

— Wytępiajcie, wytępiajcie nas, Rzymianie! ażebyśmy się rozmnażali!... Kajdany są nam wolnością, słabość potęgą, śmierć naszem zwycięstwem!...

XII.

Idąc wzdłuż łożyska Orontu ku jego źródłom, o czterdzieści stadyów od Antyochii natrafiało się na słynny gaj Dafny, poświęcony Apollinowi.

Onego czasu—opowiadali poeci — dziewicza nimfa uciekła przed natarczywością Apollina z nad Penejosu i stanęła wyczerpana na brzegu Orontu. Nie widząc obrony przed ścigającym bogiem, ubłagała matkę swą Latonę, która, by uwolnić córkę od uścisków Słońca, przemieniła ją w drzewo wawrzynowe—Dafne. Od tej chwili Apollo nad wszystkie inne drzewa umiłował Dafnę, której dumną zielenią, nie przepuszczającą promieni słonecznych, a przecie ustawicznie pieszczoną nimi, oplata sobie kędziory i lirę.

Febus nawiedza miejsce przemiany Dafny, gęsty gaj wawrzynowy w dolinie Orontu, tęskni i upaja się wonią ciemnych krzewów, ogrzanych, ale nie zwyciężonych słońcem, tajemniczych i smutnych nawet w najgorętszy czas południowy. Ludzie wznieśli mu tutaj świątynię i corocznie urządzają obchody uroczyste, „Panegirye“ na cześć Boga-Słońca.

Nie uprzedziwszy umyślnie nikogo, Julian o świcie wszedł z Antyochii. Chciał przekonać się osobiście, czy mieszkańcy pamiętają o święcie Apollina. Przez całą drogę marzył o tej uroczystości, spodziewając się ujrzeć liczne rzesze pobożnych, chóry na cześć Apollina, ofiary, dymy kadzideł, młodzieńców i dziewice, wstępujących po stopniach świątyni w białych szatach, symbolu niepokalanej młodości.

Droga była uciążliwa. Od skalistych wzgórz Bereidy chalibońskiej dął silny, skwarny wicher. W powietrzu czuć było ostry czad pożaru leśnego, z głębokiej gardzieli góry Cazius szedł tuman sinawy. Kurz drażnił oczy i gardło, trzeszczał pomiędzy zębami. Światło słoneczne przez dymy i mgłę świeciło chorobliwie i czerwono.

Zaledwie jednak Julian wszedł do gaju Dafne, owionęło go świeże i wonne powietrze. Trudno było uwierzyć, żeby o kilka kroków od upalnej drogi mógł istnieć taki rajski kątek. Lasek miał rozległości osiemdziesiąt stadyów, i pod nieprzeniknionemi sklepieniami olbrzymich stuletnich wawrzynów panował wieczny mrok.

Zadziwiała cesarza cisza śród gaju: ani wiernych, ani ofiar, ani kadzideł—żadnych przygotowań do święcenia panegiryów. Pomyślał, że tłumy zgromadziły się dokoła świątyni, i podążył dalej.

Z każdym krokiem las stawał się bardziej samotnym. Dziwnego spokoju żaden szmer nie mącił, jakby na

opuszczonym cmentarzu. Nawet ptaki nie śpiewały, ponieważ niewiele ich tu przebywało dla zbytniego cieniu wawrzynów. Konik polny począł ćwierkać w trawie, ale ucichł wkrótce, jakby przestraszony własnym głosem. Tylko tam, gdzie wązką szparą przeciskało się słońce, brzęczały z cicha i senne owady, nie mogąc się odważyć na przelecenie z pasma promieni do sąsiedniego mroku.

Kiedy niekiedy Julian dostawał się w szersze aleje, obrzeżone dwiema aksamitnemi tytanicznemi ścianami odwiecznych cyprysów, od których padał cień czarny nocy bezksiężycowej.

Tu i owdzie podziemne wody zwilżały mech miękki, zewsząd wiły się źródła zimne, jak roztopiony śnieg, ale głuche, nie szemrzące, oniemiałe ze smutku, jak wszystko w tym zaczarowanym lesie. W jednem miejscu z rozpadliny skalnej zwolna wybłyskiwały jedna po drugiej kropelki jasne, ale mchy tłumiły szmer ich upadku, i krople sączyły się w milczeniu, jak łzy niemej miłości.

Były tam całe łany dzikich narcyzów, stokroci, lilii, a nad nimi mnóstwo motyli czarnych, nie różnokolorowych. Promienie południowego słońca, przecisnąwszy się z trudem przez gęste sklepienia laurów i cyprysów, stawały się blade, prawie księżycowe, przyćmione i żałobne, jak gdyby przepuszczone przez czarną tkaninę albo przez dymy pochodni pogrzebowej.

Zdawało się, że Febus zbladł na zawsze, niepocieszony po stracie Dafny, która pod najognistszymi pocałunkami boga nie przestając być wiecznie posępną i nieprzeniknioną, przechowywała pod konarami swymi wieczny chłód i cienie nocy.

Tak wszędy w tym lesie znać było pustkę i spokój, łagodny smutek zakochanego boga.

Już marmurowe stopnie, frontony i kolumny świątyni

Dafny, wzniesionej za czasów Diadochów, błysnęły oślepiającą bielą skroś cyprysów, a Julian żadnego jeszcze wiernego nie napotkał.

Ujrzał wreszcie dziesięcioletniego chłopca, który szedł ścieżyną, zarosłą hiacyntami. Było to słabowite, chore zapewne dziecię. Czarne jego oczy dziwnie jakoś błyszczały na bladej twarzyczce o wdzięku helleńskim. Złote włosy miękkimi puklami opadały mu na cienką szyję, na skroniach, niby na przejrzystych płatkach kwiatu rozkwitłego w cieniu, krzyżowały się niebieskawe żyłki.

— Czy nie wiesz, chłopczyno, gdzie są ofiarnicy i lud?—zapytał Julian

Dziecko nie odpowiedziało nic, jak gdyby nie słyszało zapytania.

— Słuchaj, maleńki, czy nie mógłbyś mnie zaprowadzić do kapłana Apollina?

Zagadnięty pokręcił głową z uśmiechem.

— Dlaczego mi nie chcesz odpowiedzieć?

Wtedy urocze dziecko położyło palec na ustach, następnie na obydwóch uszach i, nie uśmiechając się tym razem, potrząsnęło poważnie główką.

Julian domyślił się.

Widocznie głuchoniemy od urodzenia.

Chłopiec, przytknąwszy palec do bladoróżowych ust, z pod oka przyglądał się cesarzowi.

— Złowroga wróżba — szepnął Julian i uczuł niemal trwogę w ciszy, pustce i mroku zapadłego lasu, w towarzystwie głuchoniemego chłopca, pięknego, jak bożek mały, co się weń wpatrywał uparcie i zagadkowo. Wskazał wreszcie cesarzowi starca w łatanej i brudnej szacie, po której Julian poznał natychmiast ofiarnika. Zgarbiony i niedołężny starzec szedł, chwiejąc się jak podchmielony, uśmiechał i mruczał coś do siebie. Miał nos czerwony

i łysinę, rozciągającą się na cały wierzch głowy, okoloną krótkimi kosmykami siwych włosów, podobnymi do wełny baranka, a tak lekkimi i puszystymi, że nie opadając, stały dokoła łysego czerepu. Słabe i załzawione oczy wyrażały dziecinną dobroduszność. Niósł dość wielki kosz z wikliny.

— Jesteś kapłanem Apollina? — zapytał Julian.

— Jam jest. Nazywam się Gorgias. Czego sobie życzysz, zacny człowiecze?

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, gdzie się znajduje arcykapłan tej świątyni i gdzie są pobożni?

Gorgias nie odpowiedział odrazu, ale najpierw postawił kosz na ziemi, potarł łysinę, wziął się oburącz pod boki, przechylił głowę, przymrużył figlarnie lewe oko i dopiero zapytał:

— Dlaczegóż to ja nie miałbym być arcykapłanem Apollina? I o jakich to pobożnych mówisz, mój synu?.. łaska bogów Olimpu niech będzie z tobą!...

Czuć było od niego silnie zapach wina. Julianowi postępowanie ofiarnika wydało się nieprzyzwoitem, i już chciał mu dać surowe napomnienie.

— Upiłeś się widać, starcze...

Gorgias niezmieszany głaskał się po łysinie i jeszcze figlarniej przymrużył oko.

— Upić, nie upiłem się, ale zawsze pięć czarek wychyliłem na cześć Panegiryów. Powiem nawet, że bardziej ze strapienia, niż z radości. Tak, mój synu! Łaska bogów Olimpu niech będzie z tobą! Co zacz jesteś? Sądząo z twych szat, snadź jesteś wędrownym filozofem, albo nauczycielem jakiej szkoły w Antyochii?

Cesarz uśmiechnął się i potakująco kiwnął głową. Chciał wybadać staruszka.

— Zgadłeś. Jestem nauczycielem.

— Chrześcijanin?

— Nie, Hellen.

— Aha, to dobrze! Bo to tutaj włóczy się wielu tych... bezbożników.

— Nie odpowiedziałeś mi do tej pory: gdzie jest lud? Czy dużo ofiar przysłano z Antyochii? Czy chóry są gotowe?

— Ofiar? Dobry sobie jesteś!—rzekł starzec, śmiejąc się i zataczając tak silnie, że o mało nie upadł. — Dawno już, mój bracie, nic podobnego nie widzieliśmy... od czasów Konstantyna.....

Machnął rozpaczliwie ręką i gwizdnął.

— Bądź zdrów! Fiut! Ludzie zapomnieli o bogach. Co tam ofiar!... garstki mąki nieraz braknie, by upiec placek dla boga, szczypty kadzidła, kropli oliwy do lamp! — choć głowę trać! Tak, tak, mój synu, — łaska bogów Olimpu niech będzie z tobą!... Mnichy zagarnęły wszystko. I jeszcze się biją pomiędzy sobą,... waryują z otłuszczenia. Nasza rola skończona. Nędzne czasy!... A ty mówisz: nie pij! Nie można nie pić, kiedy się ma strapienie, mój łaskawco. Gdybym nie pił, dawnobym się już obwiesił...

— Czy nikt nie przybył z Antyochii na to uroczyste święto? — zapytał Julian.

— Nikt, prócz ciebie, mój synu. Ze mnie kapłan, z ciebie lud, razem poświęcimy ofiarę bogu.

— Mówiłeś, żeś żadnej nie dostał?

Gorgias potarł się po łysinie ze śmiechem.

— Nie dostaliśmy żadnej, ale mam własną. Pościliśmy trzy dni z Euforyonem (tu wskazał głuchoniemego chłopca), żeby zebrać potrzebną sumę. Patrz!

Podniósł pokrywę kosza, z którego wysunęła łeb gęś związana i zagęgała, usiłując się wydostać.

— He he he! Cóż? zła ofiara? — pytał dumnie starzec.—Wprawdzie gęś nie młoda i nie tłusta, ale zawsze

to ptak święty! Apollo na razie musi na tem poprzestać. Bogowie przepadają za gęsiną — dodał znowu, złośliwie przymrużając oko.

— Czy dawno już mieszkasz przy tej świątyni? — zagadnął Julian.

— Oj, dawno! Od czterdziestu lat, a może i dłużej.

— To syn twój?—pytał cesarz, wskazując Euforyona, który przypatrywał się im uważnie z miną myślącą, jak gdyby odgadując treść rozmowy.

— Nie, ja nie mam krewnych, ani przyjaciół. Euforyon jest moim pomocnikiem przy odprawianiu nabożeństwa.

— Kto są jego rodzice?

— Ojca nie znam i mocno wątpię, czy go zna ktokolwiek, matką zaś jego jest wielka sybilla Diotyma, która przez dłuższy czas mieszkała przy tej świątyni. Nie rozmawiała ona z nikim i nie podnosiła zasłony z twarzy wobec mężczyzn i była czysta, jak westalka. Gdy wydała na świat to dziecię, byliśmy wszyscy zdumieni i nie wiedzieliśmy co myśleć... Ale rozumny jeden hierofant stuletni powiedział nam...

Tu Oorgias z miną tajemniczą zasłonił dłonią usta i szepnął Julianowi do ucha, jak gdyby w obawie, że go chłopiec usłyszeć może:

— Hierofant nam powiedział, że to nie jest syn człowieczy, jeno syn boga, który nocą zstąpił w objęcia sybilli, śpiącej wewnątrz świątyni. Spojrzyj, jaki on piękny!

— Syn boga głuchoniemy!...—szepnął zdumiony cesarz.

— W czasach takich, jak obecne, syn boga i sybilli, któryby nie był głuchoniemym, musiałby umrzeć ze strapienia. Patrz, jaki on i tak chudy jest i blady!

— Kto wie? — rzekł Julian ze smutnym uśmiechem. Może masz słuszność, starcze. Za naszych czasów wróżbiarzowi lepiej być głuchoniemym.

Wtem dziecię podeszło do Juliana i, nie spuszczając z niego uporczywego spojrzenia, szybko chwyciło go za rękę i pocałowało.

Julian drgnął.

— Synu mój! — rzekł z namaszczeniem starzec: — Łaska bogów Olimpu niech będzie z tobą! Snadź jesteś dobrym człowiekiem. Dziecko nigdy nie pieści się ze złymi ani bezbożnikami, a od mnichów ucieka, jak od zarazy! Mnie się wydaje, że on widzi i rozumie więcej od nas obydwóch, tylko nie potrafi tego wyrazić. Zastawałem go nieraz w świątyni samego: długie godziny przesiaduje przed posągiem Apollina i patrzy nań z taką radością, jak gdyby rozmawiał z bogiem.

Euforyon spochmurniał na twarzy i odszedł. Gorgias z niezadowoleniem uderzył się ręką w łysinę, mówiąc:

— Ja tu sobie gawędzę z tobą, a słońce już wysoko. Trzeba odprawić ofiarę. Chodź ze mną!

— Wstrzymaj się — rzekł cesarz.—Jeszcze o coś chciałem cię zapytać. Czy słyszałeś o cesarzu Julianie, że pragnie przywrócić do świetności kult dawnych bogów?

— Szłyszałem, słyszałem — odparł Gorgias, machnąwszy ręką i z niedowierzaniem potrząsając głową. — Ale cóż on, biedak, zrobić może?... Nie uda mu się. Powiadam ci—dla nas wszystko przepadło!

— Nie masz wiary w swych bogów—odparł Julian.— Mogąż Olimpijczycy tak nas na zawsze opuścić?

Starzec westchnął ciężko i, spuściwszy głowę, odrzekł:

— Młody jeszcze jesteś, mój synu, choć białe pasma przeświecają w ciemnych włosach, a na czole masz zmarszcz-

ki. Ale w czasach, gdy moje włosy były czarne, a młode dziewczęta mile spoglądały na mnie, raz przepływałem pamiętam, na statku, w pobliżu Tesaloniki, i widziałem z morza Olimp. Podnoże i środek góry świętej rozpływały się w błękitnej mgle, jeno śnieżny wierzchołek było widać jak gdyby zawieszony w powietrzu, panujący nad niebem i ziemią, niedostępny, złocisty. Myślałem sobie, „Oto mieszkanie bogów!“ I byłem wzruszony. Ale na tym samym statku znajdował się starzec szyderca, który się podawał za epikurejczyka. Ten wskazał Olimp i rzecze: „Przyjaciele, sporo lat już upłynęło od chwili, gdy podróżnicy wdrapali się na szczyt Olimpu. Otóż przekonali się oni, że to jest góra zwyczajna, jako i inne góry, i że na niej nic niema prócz śniegu, lodów i głazów!“ Słowa te zapadły mi głęboko w serce, i pamiętać je będę przez całe życie.

Cesarz uśmiechnął się.

— Starcze, wiara twoja jest dziecinna. Jeżeli bogów niema na Olimpie, dlaczegóż nie miałoby ich być wyżej, w państwie Idei wiecznych, w państwie duchowego świata?

— Zapewne! zapewne...—mówił Gorgias, jeszcze niżej spuszczając głowę i beznadziejnie gładząc się po łysinie.

— A jednak już po wszystkiem. Olimp opustoszał...

Julian spojrzał na niego zdziwiony.

— Widzisz — ciągnął Gorgjas:—ziemia rodzi już tylko ludzi zarówno słabych, jak zatwardziałych. Bogowie mogą tylko śmiać się z nich, nie zaś gniewać. Wytępiać ich nie warto. Zginą sami przez choroby, rozpustę i zniechęcenie. Bogowie znudzili się i odeszli.

— Wierzysz zatem, Gorgiaszu, iż rodzaj ludzki zginąć musi?

Ofiarnik pokiwał łysą głową.

— Och, och, och! synu mój! Łaska bogów Olimpu niech będzie z tobą! Ziemia starzeje się. Rzeki powolniej płyną, kwiaty na wiosnę nie mają już tego zapachu, co wprzódy. Niedawno mówił mi żeglarz stary, że podjeżdżając do Sycylii, nie widać już Etny z takiego oddalenia, jak niegdyś. Powietrze zgęstniało i stało się ciemniejsze. Słońce gaśnie. Zbliża się koniec świata...

— Powiedz mi, Gorgiasie, czy pamiętasz lepsze czasy?

Starzec ożywił się, oczy zabłysły mu ogniem wspomnień.

— Kiedy przybyłem tutaj za pierwszych lat panowania Konstantyna, — rzekł wesoło — wielkie Panegirye odprawiano jeszcze co rok na cześć Apollina. Ilu zakochanych młodzieńców i dziewic schodziło się w tym świętym gaju! Jak błyszczał księżyc! jaką woń roztaczały cyprysy! jak słowiki śpiewały! A gdy milkły ich śpiewy, powietrze drżało od całunków nocnych i miłosnych westchnień, jak od poruszania niewidzialnych skrzydeł! To były czasy!

Gorgias umilkł, zadumany smutnie.

W tej chwili z poza drzew doleciały posępne dźwięki śpiewu kościelnego.

— Co to znaczy?—zapytał Julian.

— To mnichy—odpowiedział kapłan.—Codzień modlą się u zwłok zmarłego galilejczyka.

— Jak to! zmarły galilejczyk tutaj w świętym gaju Apollina?

— Tak jest; oni zowią go „męczennikiem Babilianem“... Przed dziesięciu laty brat cesarza Juliana, cesarz Gallus, kazał przewieźć kości tego Babiliana z Antyochii do tego gaju i zbudował mu wspaniały sarkofag.

Od tego czasu wyrocznie milczą. Świątynia została splamioną, i bóg się oddalił.

— To świętokradztwo!...— zawołał oburzony cesarz.

— W tym właśnie roku—ciągnął starzec—dziewica sybilla Diotyma wydała na świat syna głuchoniemego, co było złą wróżbą. Wody strumienia Kastalskiego, zawalone gruzami, zmalały i straciły swą siłę proroczą. Jedno tylko źródło święte nie wyschło; zowie się ono „Łzy Słońca.“ O, tam, gdzie teraz usiadło dziecię... Kropla spływa po kropli z omszonego głazu. Powiadają, że to Helios opłakuje nimfę w laur zamienioną. Euforyon przesiaduje tam całymi dniami.

Julian odwrócił się. Pod omszoną skałą siedziało chłopię nieruchomo, zbierając na rozpostartą dłoń ręki ociekające krople. Promień słońca przedarł się przez wawrzyny, i zaiskrzyły się w nim łzy powolne, nieutulone i ciche. Cienie chwiały się dziwnie, i przez chwilę wydało się Julianowi, że dwa przezroczyste skrzydełka drgnęły za plecyma pięknego, jak bożek mały, chłopca. Był tak blady, tak smutny i tak uroczy, że cesarz pomyślał mimowoli:

— To sam Eros, mały dawny bożek miłości, cierpiący i skonania blizki w naszym wieku galilejskiego przygnębienia. Zbiera on ostatnie łzy miłości, łzy boga po Dafne, po umarłem pięknie.

Głuchoniemy siedział nieruchomo, a wielki motyl czarny, aksamitny, żałobny, siadł mu na głowie. Nie zauważył tego i nie drgnął. Jak cień złowieszczy trzepotał się motyl nad schyloną główką chłopczyny, a łzy słońca kapały jedna po drugiej na różową rękę Euforyona, i śpiewy kościelne żałobne, beznadziejne, rozlegały się coraz silniej a silniej.

Wtem za cyprysami usłyszano spierające się głosy:

— August jest tam.....

— Pocóż miałby iść sam do Dafne?

— Jak to! Przecież dzisiaj wielkie panegirye Apollina! Patrzcie, oto on! Julianie! Szukamy cię od rana.

Byli to sofiści grecy, uczeni i retorowie, zwykli towarzysze cesarza. Między nimi był i wstrzemięźliwy nowoplatoniczyk Pryskus z Epiru i żółciowy sceptyk Juniusz Maurykus, i mądry Salustyusz Sekundus i najchełpliwszy człowiek pod słońcem, słynny mówca antyocheński Libaniusz. Julian nie zwrócił na nich żadnej uwagi i nawet żadnego nie powitał.

— Co się z nim dzieje?—szepnął Juniusz do Pryskusa.

— Pewnie jest niezadowolony z braku przygotowań do uroczystości. Postąpiliśmy nieopatrznie. Żadnej ofiary...

Julian zwrócił się do byłego retora chrześcijańskiego obecnie arcykapłana Astarty, Hekebolisa:

— Idź do sąsiedniej kaplicy i oznajmij mą wolę galilejczykom, modlącym się tam przy trupie. Chcę, ażeby przyszli tutaj.

Hekebolis oddalił się.

Gorgias, trzymając swój kosz z gęsią, stał jak skamieniały z rozwartemi ustami i wytrzeszczonemi oczyma, gładząc czerep łysy desperackim ruchem.

Zdawało mu się, że wypił za wiele wina i widzi we śnie to wszystko. Ale skoro sobie przypomniał wszystko, co mówił o cesarzu Auguście i o bogach do mniemanego nauczyciela, zimny pot oblał mu czoło, i nogi ugięły się pod nim z przerażenia. Padł na kolana, wołając:

— Przebacz mi, cesarzu!.. Zapomnij o mych słowach zuchwałych... Nie wiedziałem...

Jeden z usłużnych filozofów chciał odepchnąć starca.

— Odejdź stąd, głupcze! Nie pchaj się!..

Julian wstrzymał go:

— Nie obrażaj kapłana! Powstań, Gorgiasie! Masz dłoń moją. Nie obawiaj się niczego. Dopóki ja żyję, nikt nie uczyni nic złego ani tobie, ani twemu chłopczynie. Przyszliśmy obaj na panegirye, obaj kochamy dawnych bogów. Bądźmy zatem przyjaciółmi i sercem wesołem obchodźmy święto Słońca.

Śpiewy kościelne umilkły. W alei cyprysowej ukazali się bladzi i zmieszani zakonnicy, dyakoni i sam przeor, który nie zdążył nawet zdjąć z siebie szat kapłańskich. Prowadził ich Hekebolis. Przeor, otyły człowiek z twarzą czerwoną, spocony, szedł chwiejnym krokiem, sapał, ocierał sobie czoło. Doszedłszy do Augusta, złożył mu głęboki ukłon, dotykając rękoma ziemi, i rzekł przyjemnym głosem basowym, który mu zjednywał szczególną życzliwość parafian:

— Racz, dobrotliwy Auguście, przebaczyć niegodnym niewolnikom twoim.

Pokłonił się niżej jeszcze, a gdy stękając, prostował się, dwóch zwinnych nowicyuszów, podobnych do siebie jak dwie krople wody, wysokich, z wydłużonemi żółtemi jak wosk twarzami, pomagali mu z dwóch stron, podtrzymując za ręce. Jeden z nich zapomniał zostawić kadzielnicy, z której wydobywała się cieniutka smuga dymu.

Euforyon, zdaleka zobaczywszy mnichów, uciekł śpiesznie.

— Galilejczycy! — przemówił Julian — rozkazuję wam, abyście do jutrzejszego wieczoru oczyścili święty gaj Apollina z kości waszego umarłego. Nie chcemy używać przeciwko wam przemocy, jeżeli jednak woli naszej nie spełnicie, będziemy zmuszeni sami postarać się o to, żeby Helios był uwolniony od świętokradzkiego sąsiedztwa popiołów

galilejskich. Wyślę tutaj moich żołnierzy, którzy wykopią kości, spalą je i popioły z wiatrem puszczą. Taka jest wola nasza, obywatele!

Przeor kasznął cichutko, zasłaniając ręką usta, i wreszcie wymówił pokorniutkiem głosem:

— Najmiłosierniejszy cesarzu! jest to dla nas niewątpliwie rzecz przykra, ponieważ relikwie spoczywają z dawien dawna w miejscu poświęconem z woli cezara Gallusa. Jednak nie nasza tu rządzić wola; zawiadomimy o tem biskupa.

Szmer rozległ się w tłumie. Jakiś ulicznik, ukryty w krzaku wawrzynowym, zaczął śpiewać.

— Idzie rzeźnik, przytupuje,
Wielkim nożem wymachuje....
Głową trzęsie! okiem mruga...

Ale otrzymał taki policzek, że uciekł, wyjąc.

Przeor pomyślał, że dla przyzwoitości należy mu wstawić się za relikwiami, kaszlnął więc cichutko i zaczął znowu:

— Jeżeli Wasza Mądrość raczyła wydać rozkaz niniejszy z powodu bałwana.....

Poprawił się natychmiast:

— To jest bożka helleńskiego Heliosa....

Cesarzowi gniew błysnął w oczach.

— Bałwana!... — przerwał:—bałwana!.. oto są wasze słowa! Za jakichże to głupców nas macie, utrzymująo, że my ubóstwiamy sam materjał, który nam boga wyobraża: metal, kamień lub drzewo?.. Wszyscy wasi kaznodzieje chcą o tem przekonać innych, i nas, i samych siebie. Ale to jest fałsz. Nie czcimy martwego kamienia, metalu albo drzewa, tylko duszę, żyjącą duszę piękna we wzorach najczystszej piękności ludzkiej. To nie my jesteśmy bałwochwalcami, lecz wy, wy, którzy pożeracie się wzajemnie, jak

zwierzęta z powodu jednej joty, wy, którzy całujecie spróchniałe kości przestępców, skazanych za pogwałcenie prawa rzymskiego; wy, którzy bratobójcę Konstancyusza nazywacie „wiekuistym i świętobliwym“ Uoóśtwiać wspaniałe rzeźby Fidyaszowe, olimpijskiem pięknem i mądrością tchnące, nie jestże rozsądniejsze, aniżeli się kłaniać dwóm skrzyżowanym belkom drewnianym, ohydnemu narzędziu tortury? Nie wiem, czy się rumienić za was, litować się nad wami, czy też was znienawidzieć! To szczyt szaleństwa i hańby dla naszej ojczyzny widzieć, jak potomkowie Hellenów, którzy czytywali Platona i Homera, rzucają się—o wstydzie!—w objęcia ludu, skazanego na zagładę, prawie już wytępionego przez Wespazyana i Tytusa, aby ubóstwić zmarłego Żyda! I wobec tego śmiecie jeszcze nam zarzucać bałwochwalstwo!

Przeor spokojnie rozczesywał pięciu palcami czarnosrebrzystą miękką brodę i spoglądał z ukosa na Juliana, ocierając grube krople potu z błyszczącego czoła.

Cesarz zaś wyrzekł do filozofa Pryskusa:

— Znasz, przyjacielu, starodawne obrzędy Hellenów. Odpraw misterye Deloskie, niezbędne do oczyszczenia świątyni Apollina od świętokradzkiego sąsiedztwa zwłok. Bóg powróci do swego mieszkania, wznowią się wyrocznie stare, jak tylko odwalą kamień, który źródło Kastalskie zakrywa.

Przeor zakończył posłuchanie głębokim ukłonem z tą samą czołobitnością, w której czuć było upór niezwalczony.

— Niech się wola twoja stanie, potężny Auguście! Myśmy dzieci, tyś ojcem naszym. Powiedziane jest w Piśmie: „Każda dusza niech będzie zwierzchnościom wyższym poddana: toć niemasz zwierzchności, tylko od Boga!“

— O, obłudnicy! — zawołał cesarz — znam ja wasze posłuszeństwo i waszą pokorę. Buntujcie się przeciwko mnie i walczcie przynajmniej, jak ludzie! Wasza pokora jest żądłem żmii, niewolnicy! Kąsacie nią tych, przed którymi się poniżacie. Własny wasz Nauczyciel Nazarejczyk osądził was dobrze, mówiąc: „Biada wam, faryzeuszowie obłudni, iżeście podobni grobom pobielanym, które się zdadzą z wierzchu być cudne, ale wewnątrz pełne są kości umarłych i wszelakiej nieczystości!“ Zaiste, przepełniliście świat tymi grobami pobielanymi i nieczystością. Kłaniacie się kościom i od nich oczekujecie zbawienia! Jak robaki, żywicie się zgnilizną. Czy tego was Jezus nauczył? Czy kazał wam nienawidzieć swych bliźnich, tych—których zowiecie heretykami, ponieważ inaczej wierzą, niż wy? Niech usta moje powtórzą słowa Galilejczyka: „Biada wam, faryzeuszowie obłudni!“ Żmije, jakże się uchronicie przed potępieniem gehenny?

Julian odwrócił się i chciał odejść, gdy wtem z tłumu wystąpili staruszek i staruszka, którzy się rzucili do nóg cesarza. Oboje ubogo, ale czysto przyodziani, nadzwyczajnie podobni do siebie, z twarzyczkami ptasiemi, z potulnemi zmarszczkami dokoła zamglonych oczu, przypominali Filemona i Baucydę.

— Broń nas, sprawiedliwy cesarzu! — szeplenił staruszek.—Mamy domek niewielki pod Antyochią u podnóża Staurinusa. Mieszkamy w nim od lat dwudziestu. Tymczasem onegdaj przychodzą dekuryoni...

Tu starzec załamał rozpaczliwie dłonie, a staruszka, naśladując męża, uczyniła to samo.

— Przychodzą dekuryoni i mówią nam: „Ten domek do was nie należy“—Jak to? Pan Bóg z wami! Od lat dwudziestu go posiadamy...—„Być może, ale nieprawnie. Ziemia stanowi własność świątyni boga Eskulapa, i dom

wasz zbudowano z głazów świątyni. Ziemię wam odbiorą i oddadzą Eskulapowi." — Co to wszystko ma znaczyć?.. Miej litość, wszechpotężny Auguście!..

Staruszkowie klęczeli przed nim, schludni i grzeczni, jak dwoje dzieci, i płacząc, całowali mu nogi.

Julian zauważył na szyi kobiety krzyżyk bursztynowy.

— Jesteście chrześcijanami?—zapytał chmurny.

— Tak jest.

— Chciałbym spełnić waszą prośbę... Ale cóż robić? Ziemia należy do bogów! Jednakżę każę wam zapłacić za wasz majątek.

— Nie trzeba!nie trzeba!—błagali staruszkowie.—Myśmy się tam do wszystkiego przyzwyczaili. Nie chodzi o pieniądze. Tam wszystko nasze, każda trawka znajoma...

— Tam wszystko nasze — powtórzyła staruszka, jak echo.—Winnica, oliwki, kury, i krówka, i świnki, wszystko jest nasze. I schodki są tam, na których od lat dwudziestu, siedząc przy sobie, wygrzewamy stare kości na słońcu...

Cesarz, nie słuchając, zwrócił się do przerażonego tłumu:

— Galilejczycy w ostatnich czasach zarzucają mnie prośbami o zwrot gruntów, należących do kościołów. Naprzykład, walentynianie z Edesy oskarżali aryan o zabór własności. Chcąc przeciąć ten spór, oddałem część tych posiadłości moim weteranom galijskim, a drugą skarbowi. Postanowiłem tak samo postępować na przyszłość. Zapytacie: jakiem prawem? Ale wszakże mówicie sami, że „snadniej wielbłądowi przejść przez Ucho Igielne, niż bogatemu wnijść do Królestwa Bożego!" Postanowiłem zatem dopomagać wam w spełnieniu tego trudnego a mądrego przykazania. Wiadomo światu, że wy-

sławiacie ubóstwo, galilejczycy, czegóż więc szemracie przeciwko mnie? Pozbawiając was dóbr, zabranych przez was braciom heretykom, albo świątyniom olimpijskim, zwracam was jedynie na drogę zbawiennego ubóstwa, prowadzącą wprost do królestwa niebieskiego!

Złośliwy uśmiech wykrzywił mu usta.

— Krzywdzą nas niesłusznie! — lamentowali staruszkowie.

— To i cóż?... więc znoście krzywdę!—odparł Julian. — Powinniście się radować z prześladowania, jak was Nazarejczyk nauczał. Cóż znaczą te cierpienia doczesne wobec wiecznego szczęścia?

Starzec nie był przygotowany na podobny zarzut, zmieszał się i z resztką nadziei wyjąkał:

— Jesteśmy wiernymi niewolnikami twymi, Auguście. Mój syn służy jako pomocnik stratega w oddalonej twierdzy na granicy rzymskiej, i przełożeni jego są z niego zadowoleni...

— Także Galilejczyk?—przerwał Julian.

— Tak jest — westchnął starzec, przerażony nagle swem wyznaniem.

— Dobrze zrobiłeś, żeś mnie zawiadomił. Galilejczycy, niewątpliwi wrogowie rzymskiego Augusta, nie powinni odtąd zajmować wyższych urzędów cesarstwa, zwłaszcza zaś w armii. Znowu pod tym względem jestem bardziej w zgodzie z nauczycielem waszym, niż wy sami. Jestże to słuszna, żeby uczniowie Jezusa wymierzali sprawiedliwość według praw rzymskich, skoro On powiedział: „Nie sądźcie, ażebyście nie byli sądzeni!”—lub, ażeby chrześcijanie otrzymywali od nas miecz ku obronie cesarstwa, gdy Nauczyciel przestrzega: „Kto mieczem wojuje, od miecza zginie,” zaś w innem miejscu równie wyraźnie: „Powiadam wam, żebyście się nie przeciwili złemu!”

Oto dla czego, w troskliwości o zbawienie dusz galilejczyków, odejmujemy im sprawiedliwość rzymską i miecz rzymski, ażeby bez opieki, bezbronni, obcy wszystkiemu, co ziemskie i błahe, łacniej mogli się dostać do królestwa niebieskiego.

Z głuchym wewnętrznym śmiechem, przez który jedynie choć w części nasycał swą nienawiść, cesarz oddalił się śpiesznie ku świątyni Apollina. Staruszkowie łkali, wyciągając ręce ku niemu.

— Cesarzu! Nie wiedzieliśmy... Bierz nasz domek, naszą ziemię, wszystko, co posiadamy, tylko ulituj się nad synem naszym!...

Filozofowie chcieli wejść do świątyni za cesarzem. Wstrzymał ich ruchem ręki.

— Sam przyszedłem na uroczystość, sam tylko złożę ofiarę!

— Wejdźmy — dodał, zwracając się do kapłana.— Zamknij podwoje, niech nikt z niepoświęconych się nie wkradnie...

Zawarto drzwi przed nosem przyjaciół-filozofów...

— Niepoświęceni? Jak wam się to podoba?—pytał strapiony Gargilian.

Libaniusz milczał nadąsany.

Maurykus z miną tajemniczą pociągnął przyjaciół w kąt portyku i szepnął coś do nich, stukając się w czoło.

— Rozumiecie?

Zmieszali się wszyscy.

Maurykus zaczął wyliczać na palcach.

— Po pierwsze: twarz blada, spojrzenie gorączkowe, włosy w nieładzie, krok nierówny, mowa bez związku. Powtóre: niezwykła surowość i rozdrażnienie. Potrzecie: ta niedorzeczna wojna z Persami! Na Palladę! To już oczywiste szaleństwo!...

Przyjaciele skupili się jeszcze bardziej i szeptem radośnie plotkować zaczęli.

Salustynsz, stojąc na uboczu, patrzał na tę naradę gorzkim uśmiechem.

Wewnątrz świątyni Julian zastał Euforyona. Dziecko ucieszyło się na jego widok i podczas nabożeństwa powielekroć zatapiało swój wzrok we wzroku cesarza, uśmiechając się zagadkowo, jak gdyby ich łączyła jakaś wspólna tajemnica.

Oświetlony słońcem ogromny posąg Apollina wznosił się pośrodku świątyni; ciało miał z kości słoniowej, draperye ze złota, jak Zeus Fidyasza w Olimpii. Zlekka nachylony bóg wylewał nektar ze swego kielicha na Matkę-ziemię, prosząc ją o powrócenie mu Dafny.

Lekki obłok przepłynął nad świątynią; zadrgały cienie na kości słoniowej, przez czas wyzłoconej, a Julianowi się wydało, że bóg nachyla się jeszcze bardziej z życzliwym uśmiechem, ażeby przyjąć ofiarę ostatnich czcicieli: zgrzybiałego kapłana, cesarza-renegata i głuchoniemego syna sybilli.

— Oto moja nagroda!—modlił się z dziecinną radością Julian.—Nie chcę innej chwały, Apollinie! Dziękuję ci za to, że tłum wyklina mnie i odtrąca, jak ciebie, i za tę łaskę, którą mi okazujesz, pozwalając żyć i umrzeć samotnie, jak ty. Tam, gdzie się modli motłoch, niemasz boga! Ty jesteś tutaj, w sprofanowanej świątyni! Boże! od ludzi wyszydzony, piękniejszy jesteś teraz, aniżeli wtedy, gdy cię czczono! W dniu, który Parki dla mnie przeznaczyły, pozwól mi złączyć się z tobą, o Promienisty! pozwól mi umrzeć w tobie, o Słońce, jak na ołtarzu ogień ostatniej obiaty umiera w blasku twoim!...

Tak modlił się cesarz, i ciche łzy toczyły mu się po policzkach, a podobne do łez krople krwi ofiarnej padały jedna po drugiej na węgle nawpół strawione.

XIII.

Głęboka ciemność zewsząd ogarnęła gaj Dafny. Skwarny wiatr rozpędzał chmury. Ani jedna kropla dżdżu nie spadała na zeschłą, popękaną ziemię. Wawrzyny potrząsały czarnemi gałęziami, sterczącemi ku niebu. W olbrzymich alejach szemrały cyprysy, a szum ich przypominał rozhowor starców.

Dwaj ludzie przemykali się chyłkiem w cieniu ku świątyni Apollina — mały i duży. Mały, o kocich, zielonych źrenicach, które mu pozwalały doskonale widzieć w ciemności, prowadził dużego za rękę.

— Och, och, siostrzanie, jeszcze skręcimy kark w jakim rowie!

— Niema tu żadnego rowu. Czego ty się boisz? Od czasu, jakeś chrzest przyjął, stałeś się podobny do starej baby.

— Do starej baby! Serce moje ani razu nie stuknęło silniej, gdy w lesie Hirkańskim wychodziłem z oszczepem na niedźwiedzia. Ale tutaj to co innego! Zawiśniemy przy sobie na jednej szubienicy, zobaczysz, siostrzanku

— Cichobyś był, głupcze!

Mały pociągnął dalej dużego, który niósł na plecach ogromny pęk słomy i bosak.

Podeszli pod tylną ścianę świątyni.

— Tutaj. Bierz się do drąga! — szepnął mały, obmacując rękoma szczeliny w murze. — Potem przerąbiesz belki siekierą...

Wicher tłumił odgłos uderzeń łomu. Nagle rozległ się krzyk, przypominający kwilenie chorego dziecka.

Duży zadrżał.

— Co to jest?

— Zły duch! — wykrzyknął mały, wybałuszając zielone oczy ze strachu i czepiając się odzieży towarzysza.— Nie porzucaj mnie, wujaszku!

— Aha, to sowa!.. Ależ nam napędziła strachu!..

Ogromny ptak nocny, spłoszony z kryjówki, odleciał, wydając głośne jęki.

— Dajmy temu pokój—rzekł duży.—To się z pewnością nie zapali.

— Co się nie ma zapalić? Drzewo spróchniałe, zeschłe na słońcu, stoczone przez robaki... dotknij, to się rozsypie. Od jednej iskry ci wybuchnie. No, no, nie marudź! do roboty!

I mały popychał dużego niecierpliwie.

— Teraz napchaj słomy w dziurę... Jeszcze, jeszcze! Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu!..

— Czego się wijesz, jak węgorz?—burczał gniewnie duży.—Masz się z czego radować!

— Czemu nie? Aniołowie radują się w tej chwili w niebie! Tylko pamiętaj, wujaszku, gdyby nas złapano, nie zapieraj się niczego! Ja nie wiem o niczem... Rozpalimy sobie ogieniek. Bierz krzesiwo, krzesaj!

— Idź do dyabła!—odparł tamten, próbując go odepchnąć. —Nie skusisz mnie, wężu przeklęty! Tfy!.. Sam sobie podpalaj!

— To tak, chcesz się cofnąć... Zobaczymy, bratku.

I drżąc ze wściekłości, mały wpił się w ryżą brodę dużego.

— Ja pierwszy na ciebie doniosę! Mnie uwierzą...

— No, no, odczep się, dyabliku... Dawaj krzesiwo! Niema rady. Raz trzeba skończyć.

Posypały się iskry. Mały, dla większej dogodności, legł na brzuchu i stał się jeszcze podobniejszym do węża.

Języki płomienne poczęły lizać słomę, oblaną dziegciem; zakłębił się dym, zatrzeszczała słoma. Wreszcie buchnął wielki płomień, oświetlając purpurowym blaskiem przerażoną twarz olbrzyma Aragarisa i złośliwy małpi pyszczek małego Syryjczyka Strombixa, który w tej chwili przypominał potwornego dyablika, klaskał w dłonie, skakał, śmiał się, jak waryat lub pijany.

— Wszystko zburzymy, wyszystko zburzymy, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! He! he! he! pyszny ogieniek, mój wujaszku!..

W namiętnym jego śmiechu czuć było wieczną dzikość tłumu, rozkosz niszczenia.

Aragaris, wskazując w ciemność, szepnął:

— Słyszysz?

Gaj był podawnemu pusty, ale w wycie wiatru szmerze cyprysów podpalacze słyszeli coś, niby szeptanie i głosy. Aragaris począł uciekać.

Strombix złapał go za róg tuniki i piszczał:

— Wujaszku! weź mnie na plecy! Masz długie nogi! Słuchaj, bo jak mnie schwytają, wszystko na ciebie spędzę!

Aragaris zatrzymał się na chwilę. Strombix jak wiewiórka wskoczył na plecy Sarmaty, i umknęli obaj. Mały Syryjczyk ścisnął drżącemi kolanami boki towarzysza i ręce owinął mu koło szyi, ażeby nie upaść. Pomimo strachu, śmiał się i wydawał radosne okrzyki.

Podpalacze przebiegli gaj i dostali się na pole, gdzie zakurzone płonne kłosy chyliły się ku spieczonej ziemi. Pośród obłoków na horyzoncie błyszczał zachodzący księżyc. Wiatr świszczał przenikliwie. Skurczony na plecach olbrzyma, mały Strombix o zielonawych kocich oczach wydawał się złym duchem lub wilkołakiem, wczepionym w swą ofiarę. Zabobonna trwoga ogarnęła Aragarisa; przywidziało

mu się nagle, że to bies w postaci ogromnego kota siadł mu na grzbiet i drapie go po twarzy, strącając go ze śmiechem w otchłań. Olbrzym jął czynić rozpaczliwe skoki, by się uwolnić od ciężaru. Włosy stanęły mu dęba na głowie, zawył z przerażenia. Czerniejąc podwójnym ogromnym cieniem na bladym nieboskłonie, pędzili tak po martwem polu, śród zakurzonych traw, zgiętych ku spieczonej i stwardniałej ziemi...

. . . .

Tymczasem w sypialni pałacu antyocheńskiego Julian odbywał tajemną naradę z prefektem Wschodu, Salustyuszem Sekundem.

— Skądże weźmiemy, miłościwy cesarzu, chleba dla takiej armii?

— Powysyłałem tryremy do Sycylii, do Egiptu, do Apulii, wszędy, gdzie tylko są obfite zbiory—odparł cesarz.—Mówię ci, że chleb będzie.

— A pieniądze?—zapytał Salustyusz.—Może byłoby lepiej odłożyć tę wyprawę do przyszłego roku... zaczekać trochę...

Julian chodził wielkimi krokami po komnacie; nagle zatrzymał się przed starcem.

— Czekać!—zawołał gniewnie.—Czyście się zmówili wszyscy ciągle mi to samo powtarzać! Czekać! Jak gdybym ja mógł jeszcze teraz czekać! Alboż galilejczycy czekają? Zrozum, starcze, że ja muszę dokonać czegoś niemożliwego, muszę powrócić z Persyi wielkim i groźnym, albo nie wracać wcale. Porozumienia już być nie może. Wyboru nie mam. Co mi mówicie o rozsądku? Czy sądzisz, że Aleksander Macedoński rozsądkiem świat zwyciężył? Ten młodzik gołowąsy, wyruszający z garścią ludzi naprzeciw monarsze azyatyckiemu, czyż nie wydawał

się szaleńcem ludziom roztropnym, jak ty? I któż mu dał zwycięstwo?

— Nie wiem — wymijająco odpowiedział prefekt z uśmiechem.—Sądzę, że przymioty bohatera...

— Nie! —zawołał Julian—bogowie! Słyszysz, Salastyuszu? Bogowie Olimpu mogą i mnie taką łaskę okazać, albo i większą nawet, skoro im się spodoba. Rozpocząłem od Gallów, skończę na Indyach. Przebiegnę świat cały, ze wschodu na zachód, jak wielki Macedończyk, jak bóg Dyonizos. Zobaczymy wtedy, co rzekną galilejczycy; zobaczymy, czy będą drwili z miecza cesarza rzymskiego, jak drwią obecnie z jego skromnej odzieży filozofa, skoro powróci z Azyi w tryumfie!...

Oczy jego miały błyski szaleństwa. Salustyusz chciał coś odpowiedzieć, ale zmilczał. Gdy Julian znowu chodzić zaczął, prefekt pokiwał głową, i litość głęboka zajaśniała w rozumnem spojrzeniu starca.

— Wojsko niech będzie w pogotowiu do wyruszenia—ciągnął Julian.—Ja tak chcę, rozumiesz? Nie zniosę wybiegów ani zwłoki! Mamy trzydzieści tysięcy ludzi. Król armeński Arsaces przyobiecał swą pomoc. Chleb będzie. Czegóż jeszcze potrzeba? Muszę mieć pewność, że mogę w każdej chwili wyruszyć na Persów. Od tego zawisła nie tylko moja sława, lecz bezpieczeństwo cesarstwa Rzymskiego i zwycięstwo bogów nad galilejczykami...

Wielkie okno było otwarte. Gorący wiatr, wdzierając się do pokoju, chwiał trzema językami ogni potrójnego świecznika. Gwiazda spadająca błysnęła, przeszywając mroczne niebo, i zgasła. Julian zadrżał; była to wróżba niepomyślna.

Ze drzwiami rozległy się głosy. Ktoś zastukał.

— Kto tam? Wejdźcie!—rzekł cesarz.

Byli to przyjaciele filozofowie. Na ich czele kroczył Libaniusz, jeszcze bardziej napuszony i nadąsany, niż zazwyczaj.

— Czego żądacie?—chłodno zapytał Julian.

Libaniusz ukląkł, nie zmieniając aroganckiej miny.

— Pozwól mi wyjechać, Auguście! Nie mogę dłużej znosić życia na twym dworze. Cierpliwość moja wyczerpana. Dzień każdy przynosi niesłychane obelgi...

Mówił długo o jakichś podarunkach, o nagrodach pieniężnych, które go ominęły, o niewdzięczności, o swych zasługach, o wspaniałych panegirykach, w których wysławiał cesarza rzymskiego.

Julian, nie słuchając, patrzał ze znudzeniem i odrazą na słynnego mówcę i myślał w duchu:

— Jest-że to ów Libaniusz, którego mowami tak się zachwycałem w młodości? Jakaż nikczemność! Jakie samochwalstwo!

Następnie wszyscy filozofowie poczęli mówić jednocześnie. Sprzeczali się, krzyczeli, oskarżali wzajem o bezbożność, rozpustę, przekupstwo, przytaczając najniedorzeczniejsze plotki. Była to haniebna wojna domowa, nie mędrców już, lecz darmozjadów, wściekłych z otłuszczenia, gotowych rozszarpać się wzajem z pychy, zawziętości lub nudów.

Wreszcie cesarz wymówił zcicha jeden wyraz, który ich zmusił do opamiętania:

— Mistrze!

Zamilkli wszyscy, jak przestraszone stado srok gadatliwych.

— Mistrze!—powtórzył Julian z gorzką ironią w głosie — dosyć się was nasłuchałem. Pozwólcie mnie teraz opowiedzieć wam bajkę. Pewien król egipski miał oswojone małpy, które umiały wykonywać wojowniczy taniec

piryjski. Ubierano je w hełmy i maski, ukrywano ogony pod purpurą cesarską, tak, iż kiedy tańczyły, trudno było uwierzyć, że to nie byli ludzie. To widowisko podobało się czas długi. Ale pewnego razu jednemu z widzów przyszło do głowy rzucić na scenę garść orzechów. I cóż się stało? Aktorowie zdarli purpurę i maski, obnażyli ogony, stanęli na czterech łapach, zawyli i poczęli się gryźć o orzechy. Tak samo ludzie niekiedy wykonywają z godnością piryjski taniec mądrości—aż do pierwszego datku. Wystarczy jednak cisnąć garść orzechów, ażeby uczeni przemienili się w piszczące i gryzące się małpy. Jak wam się ta bajka podoba, mistrzowie?

Nikt nie odpowiedział.

Wtem Sallustyusz chwycił cesarza za rękę i wskazał mu otwarte okno.

Na tle ciemnych obłoków rozwłóczyła się zwolna łuna czerwona, miotana gwałtownym wichrem.

— Pożar! pożar! — krzyknęli wszyscy obecni.

— Za rzeką! — przypuszczali jedni.

— Nie za rzeką, tylko w Garandamie! — zapewniali inni.

— Nie, nie! w Gezireh, u Żydów.

— Ani w Gezireh, ani w Garandamie! — krzyknął ktoś z ową nie dającą się stłumić radością, która opanowywa ludzi na widok pożaru.— To w gajn Dafny!

— Świątynia Apollina! — szepnął cesarz, czując, że krew nabiega mu do serca.

— To galilejczycy!—ryknął szalonym głosem, rzucając się ku drzwiom i na schody.

— Niewolnicy!.. Prędzej!.. Wierzchowca mego i pięćdziesięciu legionistów!

W parę chwil wszystko było gotowe. Wyprowadzono na dziedziniec czarnego ogiera, drżącego na całem

ciele, niebezpiecznego, łyskającego nabiegłemi krwią oczyma.

Galopem przebiegł Julian ulice Antyochii, a w ślad za nim pięćdziesięciu legionistów. Przerażone tłumy pierzchały przed nimi. Kogoś stratowano, innego zaduszono, ale grzmot kopyt i brzęk broni zagłuszył krzyki. Wydostano się na pole. Dwie godziny trwało to zawrotne cwałowanie; trzech legionistów padło z ochwaconymi rumakami.

Łuna stawała się coraz żywszą. Czuć było dym. Na pole i zakurzone chwasty padał odblask krwawy. Ze wszystkich stron dążyli ciekawi, jak ćmy do ognia. Byli to mieszkańcy sąsiednich wiosek i przedmieści Antyochii. Julian spostrzegał radość na twarzach i słyszał ją w głosach, jak gdyby wszyscy owi ludzie śpieszyli na świąteczną zabawę.

Wreszcie z pomiędzy gęstych kłębów dymu wyskoczyły ogniste języki nad czarną koronką wierzchołków gaju Dafny.

Cesarz wjechał w ustroń poświęconą, w której obecnie huczała ciżba. Wielu dowcipkowało i śmiało się głośno. Zgiełk panował w cichych alejach, od tylu lat opuszczonych. Tłuszcza profanowała gaj, łamała gałęzie starych wawrzynów, mąciła źródła, rozdeptywała delikatne, senne kwiaty. Konające narcyzy i lilie daremnie walczyły świeżą swą wonią z gorącym zaduchem pożogi i oddechem gawiedzi.

— Cud boski!... Cud boski! — radośnie szemrały tłumy.

— Sam widziałem, jak piorun spadł z nieba i zapalił dach...

— Łżesz, nie tak było! Ziemia rozstąpiła się wewnątrz świątyni i wyrzuciła płomienie tuż pod bałwanem...

— Jeszczeby też!.. Po takiem bezeceństwie! Niepokoić relikwie święte!.. Myśleli, że im to ujdzie bezkarnie... Masz teraz swoją świątynię Apollina i wyrocznie źródeł Kastalskich! Dobrze ci tak! dobrze!..

Julian dojrzał w tłumie rozczochraną i półodzianą kobietę, która widocznie tylko co z łóżka wyskoczyła i teraz podziwiała ogień bezmyślnym śmiechem, tuląc dziecinę u piersi. Łzy błyszczały jeszcze na rzęsach niemowlęcia, uspokoiło się jednak i ssało chciwie śniadą, pełną pierś, cmokając i przyciskając ją jedną rączką, drugą zaś pulchniutką, z dołeczkami, wyciągało ku ogniu, jak gdyby chciało pochwycić cacko błyszczące.

Cesarz wstrzymał konia. Nie można było jechać dalej, ponieważ żar walił w twarz, jak z pieca. Legioniści czekali rozkazu. Julian zrozumiał, że świątynia jest stracona.

Był to wspaniały widok. Gmach płonął z góry do dołu, tworząc jeden olbrzymi stos; ściany, belki, krokwie, futryny zawalały się z trzaskiem, a miliony iskier wzlatywały ku niebu, które coraz się bardziej zniżało, złowieszcze i krwawe. Płomienie lizały obłoki, wiły się w uściskach wiatru, szeleszcząc, jak ciężkie zasłony.

Liście wawrzynowe, jak z bólu, kurczyły się i skręcały od gorąca. Wierzchołki cyprysów zajmowały się, jak olbrzymie czarne pochodnie, wydając dym biały, jakby ofiarny. Padały gęste krople żywicy, jak gdyby stuletnie drzewa, rówieśniki świątyni, opłakiwały boga złocistemi łzami. Julian dzikim wzrokiem przyglądał się pożarowi. Chciał wydać jakiś rozkaz legionistom, wyciągnął miecz z pochwy i wspiął rumaka, ale zdołał tylko z zaciśniętymi zębami w bezsilnej wściekłości wymówić:

— O, nędznicy, nędznicy!..

Zdala doleciały wycia motłochu. Julian przypomniał sobie, że z tyłu świątyni znajduje się wejście do skarbca, i przyszło mu na myśl, że galilejczycy rabują pewnie bogactwa boga.

Dał znak: popędził w tę stronę, a za nim żołnierze Wstrzymał ich smutny orszak.

Kilkunastu strażników rzymskich, nadbiegłych pośpiesznie z wioski Dafny, niosło mary.

— Co to?—zapytał Julian.

— Galilejczycy zabili kamieniami kapłana Gorgiasa.

— A skarb?

— Nietknięty. Kapłan u progu bronił wejścia. Nie porzucił stanowiska, dopóki nie dostał kamieniem w głowę i nie padł na ziemię. Potem zabili i dziecko. Chałastra galilejska, stratowawszy obudwóch, byłaby się wdarła do skarbca, gdybyśmy nie byli nadbiegli w porę.

— Żyje jeszcze?

— Ledwie dyszy.

Cesarz zeskoczył z konia. Zniżono zwolna nosze. Julian zbliżył się, nachylił i ostrożnie podniósł brzeg starej chlamidy ofiarnika, którą oba ciała były nakryte.

Starzec leżał na pościeli ze świeżych liści laurowych, z zamkniętemi oczyma, ciężko pracując piersiami.

Serce Juliana drgnęło współczuciem na widok tego czerwonego nosa opoja, który parę dni temu wydał mu się tak nieprzyzwoitym, ponieważ przypomniał sobie chudą gęś w łozinowym koszyku, ostatnią ofiarę, złożoną Apollinowi. Na śnieżnobiałych włosach starca występowały krople krwi, a liście wawrzynu splotły się w kształt wieńca na głowie ofiarnika.

Obok niego spoczywało drobne ciałko Euforyone, którego zsiniała twarzyczka w jasnych włosach, krwią przy-

prószonych, jeszcze piękniejszą się wydawała. Z główką na ręce opartą wydawał się śpiącym—i Julian, patrząc nań, pomyślał:

— Takim właśnie być musi Eros, syn bogini miłości, ukamienowany przez galilejczyków.

I cesarz rzymski ze czcią ukląkł przed męczennikami bogów olimpijskich. Pomimo straty świątyni, pomimo bezmyślnego tryumfu gawiedzi, Julian czuł w tej śmierci obecność boga. Serce przejęła mu tkliwość, nawet nienawiść znikła, i ze łzami rozczulenia ucałował świętą dłoń starca.

Konający otworzył oczy.

— Gdzie chłopiec?—zapytał słabym głosem.

— Tu... przy tobie...

Julian delikatnie położył dłoń starca na głowie Euforjona.

— Żyje? — zapytał Gorgias, gładząc po raz ostatni kędziory dziecka.

Z osłabienia nie mógł odwrócić ku niemu głowy, a Julian nie miał odwagi odsłonić mu prawdy. Kapłan utkwił w cesarza błagalne spojrzenie:

— Cesarzu... powierzam ci go... Nie opuszczaj go...

— Uspokój się, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy dla tego chłopczyny.

Tak Julian wziął pod swą opiekę tego, któremu nawet cesarz rzymski nie mógł już nic uczynić dobrego, czy złego.

Gorgias wciąż trzymał kostniejącą rękę na głowie Euforyona. Twarz jego nagle się rozjaśniła; chciał coś powiedzieć i wybełkotał parę oderwanych wyrazów:

— Oni! oni!.. Wiedziałem o tem... Radujcie się

Spojrzał szeroko rozwartemi oczyma prosto przed siebie, westchnął, utknął w połowie westchnienia, i wzrok mu zamgliło. Julian zamknął oczy zmarłemu.

Wtem zabrzmiały tony uroczystej pieśni kościelnej. Odwrócił się cesarz i ujrzał w głównej alei cyprysowej rozwijającą się procesyę długą, niezliczone rzesze starych kapłanów w dalmatykach z materyi złocistej, wyszywanej drogimi kamieniami, dyakonów, kołyszących kadzielnice, czarnych mnichów z płonącemi świecami, dziewice i młodzianów w szatach białych, dzieci, powiewające gałęziami palmowemi, a ponad całym tłumem we wspaniałym rydwanie relikwie Świętego Babiliana w skrzyni srebrnej, w której rozdrabiały się płomienie pożaru. Były to relikwie, z rozkazu cesarza wypędzone z Dafny do Antyochii. Wygnanie przeistaczało się w pochód tryumfalny. Lud śpiewał starożytny psalm króla Dawida, sławiący Boga Izraela: „Obłok i ciemność około niego!“ Nad jękami i wrzawą pożaru tryumfalny śpiew galilejczyków wzlatywał ku rozjaśnionym pożogą niebiosom:

„Obłok i ciemność około niego.

„Ogień przed obliczem Jego idzie i zapala nieprzyjaciół Jego.

„Góry, jak wosk rozpływają się przed obliczem Pańskiem, przed obliczem Pana wszystkiej ziemi!“

I Julian pobladł, słysząc, jakiem zuchwalstwem i weselem brzmiał okrzyk ostatni:

„Niechże będą zawstydzeni, którzy się chlubią w bałwanach! Kłaniajcież Mu się wszyscy bogowie!“

Wtedy cesarz wskoczył na koń, wyciągnął miecz z pochwy i zawołał:

— Za mną, żołnierze!

Chciał rzucić się w środek tłumu, rozpędzić ten motłoch tryumfujący, wywrócić trumnę i rozproszyć na cztery wiatry kości świętego.

Ale jakaś silna dłoń chwyciła za uzdę cesarskiego konia.

— Precz z drogi! — krzyknął Julian ze wściekłością i podniósł miecz, by uderzyć.

Ale dłoń opadła mu w tejże chwili. Przed nim stał mądry starzec o twarzy smutnej i spokojnej, Salustyusz Sekundus, przybyły w porę z Antyochii.

— Cesarzu! nie napastuj bezbronnych! Opamiętaj się!

Julian włożył miecz do pochwy.

Hełm piekł mu głowę, jakby rozpalony do czerwoności. Zerwał go, rzucił o ziemię i ocierał grube krople potu, które mu wystąpiły na czole. Następnie sam, bez żołnierzy, z gołą głową podjechał ku tłumom i skinieniem pochód zatrzymał.

Poznano go. Śpiew umilkł.

— Mieszkańcy Antyochii! — rzekł prawie spokojnie, strasznym wysiłkiem woli panując nad sobą — wiedzcie o tem, że podburzacze tłumu i podpalacze świątyni Apollina będą ukarani bez litości. Drwicie z mojego miłosierdzia? Zobaczymy, jak drwić będziecie z mojego gniewu! August rzymski mocen jest zgładzić z powierzchni ziemi wasze miasto tak, iż ludzie zapomną, że Antyochia Wielka niegdyś istniała. Ja wszakże odchodzę tylko od was. Wyruszam w pochód przeciwko Persom. Ale jeżeli bogowie mi pozwolą powrócić zwycięzcą, biada wam, buntownicy! Biada tobie, Nazarejczyku, synu cieśli!..

Wywinął mieczem ponad tłumem.

Nagle wydało mu się, że słyszy wyraźnie jakiś głos dziwny, nadczłowieczy:

— Nazarejczyk, syn cieśli, gotuje ci grób!

Julian zadrżał i odwrócił się: nie było nikogo. Przesunął rękoma koło oczu.

— Co to jest?.. Co za przywidzenie?..—wyjąkał.

W tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk wewnątrz świątyni: część sklepienia runęła na statuę Apollina. Bałwan stoczył się ze swego piedestału, i czara złota, którą trzymał w dłoni, zadźwięczała żałośnie. Gęstą mgławicą trysnęły iskry ku niebu. Zachwiała się kolumna portyku, i kapitel koryncki z łagodnym wdziękiem, nawet w chwili ruiny, jak lilia odłamana od łodygi, pochylił się i zwalił na ziemię. Julianowi się zdawało, że płonący gmach zapadnie się w tej chwili i zagrzebie go pod sobą. A starożytny psalm króla Dawida, wielbiący Boga Izraela, tryumfalnie wzlatywał ku niebu, głusząc huk pożaru i upadek bałwana:

„Niechże będą zawstydzeni, którzy się chlubią w bałwanach! Kłaniajcież Mu się wszyscy bogowie!"

XIV.

Zima przeszła Julianowi na pośpiesznych przygotowaniach do wyprawy przeciwko Persom. Z początkiem wiosny, 5 marca, opuścił Antyochię na czele sześćdziesięciopięciotysięcznej armii. Śnieg topniał na górach. W sadach młode, bezlistne morele okryły się kwieciem różowym. Żołnierze wesoło szli na wojnę, jak na zabawę.

Cieśle samosateńscy, z olbrzymich cedrów, sosen i dębów, ściętych w wąwozach Taurusu, zbudowali flotę z tysiąca dwustu okrętów, która popłynęła Eufratesem do miasta Kallinika.

Julian pośpiesznym marszem podążył przez Hieropolis do Karrów i szedł wzdłuż Eufratu na południe ku granicy Persyi. Na północ wysłał drugą trzydziestotysięczną armię pod dowództwem komesów Prokopa i Sebastyana. Ci mieli za zadanie, połączywszy się z królem armeńskim Arsacesem, spustoszyć Anadiabene, Chiliocum, i przebywszy Korduanę, złączyć się z armią główną na brzegach Tygrysu pod murami Ktezyfonu.

Cesarz do najdrobniejszych szczegółów przewidział wszystko, rozważył i obmyślił z zamiłowaniem. Wtajemniczeni w plan wyprawy słusznie zdumiewali się jego mądrością, ogromem i prostotą.

W pierwszych dniach kwietnia przybyto do Circesium, ostatniego miasta rzymskiego, znakomicie obwarowanego przez Dyoklecyana na granicy Mezopotamii u zbiegu rzek Aboru i Eufratu. Zbudowano most łyżwowy, i Julian wydał rozkaz przekroczenia granicy nazajutrz rano.

Późnym wieczorem, gdy już wszystko był zarządził, powrócił cesarz do swego namiotu znużony, ale kontent z siebie, zapalił lampę i zamierzał oddać się ulubionej pracy, której stale część nocy poświęcał. Było to obszerne dzieło filozoficzne „Przeciwko chrześcijanom.“ Pisał je urywkami przy dźwięku surm wojennych, pieśni obozowych i nawoływań straży. Cieszyła go myśl, że stacza walkę z Galilejczykiem wszelkimi możliwymi środkami: na polu bitwy i w księdze, mieczem rzymskim i mądrością Hellenów. Nigdy nie rozstawał się cesarz z dziełami świętych Ojców, kanonami kościelnymi i symbolami synodów. Na marginesach Nowego Testamentu, który studyował niemniej gorliwie, niż Platona i Homera, własną ręką pisał złośliwe uwagi.

Julian zdjął zakurzoną zbroję, umył się, siadł za stołem i umaczał trzcinę w atramencie, przygotowując się do

pisania. Ale samotność jego przerwało przybycie do obozu dwóch gońców: jednego z Italii, drugiego z Jerozolimy. Julian wysłuchał obudwóch. Wiadomości nie były wcale pomyślne. Trzęsienie ziemi zburzyło miasto Nikomedyę w Azyi Mniejszej. Drgnienia podziemne wywołały niesłychane przerażenie w mieszkańcach Konstantynopola. Księgi Sybilli zabraniały w ciągu roku przekraczać granice.

Poseł z Jerozolimy przywiózł list od dostojnego Alipa Antyocheńskiego, któremu Julian polecił odbudowanie świątyni Salomona. Dziwna sprzeczność: czciciel wielobożnego Olimpu postanowił odbudować zburzoną przez Rzymian świątynię Jedynego Boga Izraela! Czynił to zaś w tym celu, ażeby wobec świata i wieków przyszłych zadać kłam przepowiedni ewangelicznej „Nie zostanie tu kamień na kamieniu, któryby nie był rozwalony“ (Mat. XXIV. 2

Żydzi z zapałem odpowiedzieli na wezwanie Juliana, i ze wszystkich stron zaczęły napływać ofiary. Plan odbudowy był wspaniały. Wkrótce rozpoczęto roboty, których dozór ogólny powierzył Julian przyjacielowi swemu, pełnemu ogłady i szlachetności komesowi Alipowi Antyocheńskiemu, dawnemu namiestnikowi Brytanii.

— Co się zdarzyło? — zapytał niespokojnie Julian, zauważywszy przed rozpieczętowaniem listu ponurą twarz gońca.

— Wielkie nieszczęście, ukochany cesarzu!

— Mów! Nie obawiaj się.

— Dopóki robotnicy pracowali nad usuwaniem gruzów i rozwalaniem starych ruin, wszystko szło pomyślnie. Zaledwie jednak przystąpiono do położenia pierwszego głazu pod gmach nowy, gdy płomienie w kształcie kul ognistych wybuchnęły z podziemi, rozrzucając kamienie i osmalając robotników. Nazajutrz z rozkazu szlachetnego Alipa wznowiono roboty. Cud się powtórzył. I po raz trzeci

tak samo. Chrześcijanie tryumfują teraz. Hellenowie są przerażeni, i żaden robotnik nie chce spuścić się w podziemia. Nie pozostało nic z budynku, ani jednego kamienia! Wszystko rozwalone.

— Milcz, niegodziwcze! Pewnie sam jesteś galilejczykiem! — zawołał cesarz popędliwie, podnosząc dłoń na klęczącego posła.—To same kłamstwa!.. Plotki!.. Że też Alip nie wybrał rozumniejszego posłańca!

Rozłamał pośpiesznie pieczęć i, rozwinąwszy list, począł czytać. Goniec prawdę powiedział: Alip potwierdzał jego słowa. Julian oczom nie wierzył; przeczytał powtórnie list z uwagą, zbliżywszy go do lampy; rumieniec gniewu i wstydu oblał mu twarz. Wreszcie, do krwi przygryzając wargi, zmiął papirus i cisnął go lekarzowi Orybazemu, który się przy nim znajdował.

— Czytaj! ty, co w cuda nie wierzysz! Albo komes Alip stracił zmysły, albo też... Ale nie!.. to być nie może!

Młody uczony aleksandryjski podniósł list i przeczytał ze spokojem, który go w żadnej okoliczności nie opuszczał. Następnie rzekł, wpatrując się w Juliana wzrokiem jasnym i rozumnym:

— Żadnego tu nie widzę cudu. Uczeni dawno już opisali ten fenomen. W podziemiach starych gmachów, zamkniętych i przez ciąg wieków pozbawionych powietrza, gromadzą się gęste palne gazy. Dosyć zejść do nich z płonącą pochodnią, ażeby wywołać wybuch. Wówczas nagły ogień zabija nierozważnych. To się wydaje nieukom cudem. Ale i w tym razie, jak zawsze, światło wiedzy rozprasza mroki przesądów i umysłowi ludzkiemu wolność daje. Wszystko jest wspaniałe, ponieważ wszystko jest naturalne i zgodne z prawami przyrody.

Położył spokojnie list na stole, a po wązkich ustach przesunął mu się uśmiech pedantycznego zadowolenia.

— Tak, tak, niewątpliwie! —mówił Julian z gorzkim uśmiechem. — Trzebaż się w jakiś sposób pocieszać. Wszystko się da wytłómaczyć, wszystko jest naturalne: i trzęsienie ziemi w Nikomedyi i Konstantynopolu, i przepowiednie ksiąg sybilińskich, i posucha w Antyochii, i pożary w Rzymie, i powodzie w Egipcie. Wszystko jest naturalne! Tylko... to trochę dziwne, że wszystko sprzysięga się przeciwko mnie: ziemia, niebo, woda, ogień, nawet, jak myślę, sami bogowie!

Wszedł do namiotu Salustyusz Sekundus.

— Wzniosły Auguście! Wróżbiarze etruscy, którym poleciłeś zbadać wolę bogów, zaklinają cię, ażebyś jutro nie przekraczał granicy. Wieszcze kury haruspicyów, na żadne zachęty nie zważając, odwracają się od jadła, ciągle są osowiałe i nawet ziarn jęczmiennych nie dziobią— to bardzo zły znak!

Zrazu Julian zmarszczył brwi gniewnie, ale w jednej chwili oczy mu zajaśniały, i zaśmiał się tak niespodziewanie, że wszyscy spojrzeli nań ze zdumieniem.

— Czy tak, Sallustyuszu? Nie dziobią? Co? Cóż więc poczniemy z uporem tych stworzeń? Możeby lepiej było ich posłuchać, powrócić do Antyochii, stać się pośmiewiskiem galilejczyków? Wiesz co, drogi przyjacielu, wracaj natychmiast do wróżbiarzy etruskich i zanieś im naszą wolę cesarską. Niechaj kapłani wezmą swoje głupie kury i wrzucą do rzeki. Rozumiesz? Jeżeli tym obżartym kapryśnicom jeść się nie podoba, to może im się pić zachce... Nieś moje rozkazy.

— Żartujesz chyba, cesarzu! Może niedobrze zrozumiałem. Chciałżebyś pomimo wszystkiego przejść jutro granicę?

— Tak jest, i klnę się na me przyszłe zwycięstwa, na wielkość Rzymu, że się żadnego wieszczego ptaka nie ulęknę, ani też wody, ani ognia, ani nieba, ani ziemi, ani bogów nawet. Za późno! Kości rzucone! Przyjaciele, w całej naturze jest-że coś bardziej boskiego nad wolę ludzką? We wszystkich księgach sybilińskich jest-że coś potężniejszego od słów: „*Ja tak chcę!*“ Lepiej niż kiedykolwiek czuję tajemnicę mego życia. Były czasy, kiedy wieszcze znaki oplątywały mnie, jak matnią, i czyniły swym niewolnikiem. Dzisiaj nie wierzę im—i drwię sobie z nich Może to jest bluźnierstwem? Tem gorzej! Nie mam nic do stracenia! Jeżeli bogowie mnie opuszczą, wyrzeknę się bogów!

Skoro wyszli wszyscy, Julian zbliżył się do małego posążka Merkurego, mając zamiar, według zwyczaju, pomodlić się i rzucić parę ziarn kadzidła na trójnóg, ale nagle odwrócił się z uśmiechem, legł na skórę lwią, która mu za łoże służyła, i zgasiwszy lampę, zasnął snem spokojnym i bez troski, jak to się często zdarza ludziom w przededniu wielkiej klęski.

Świtało zaledwie, gdy się obudził, jeszcze weselszy niż wczoraj. Obóz powstawał ze snu. Zabrzmiały trąby.

Julian dosiadł konia i pojechał na brzeg Aboru.

Był świeży poranek kwietniowy. Senny wiatr nawiewał chłód nocny od brzegów wielkiej rzeki azyatyckiej. Wzdłuż rozlanego szeroko na wiosnę Eufratu, od baszt Circesium aż do obozu rzymskiego, na przestrzeni dziesięciu stadyów, ciągnęła się flota. Od panowania Kserksesa nie widziano takiego nagromadzenia sił.

Błysnęły pierwsze promienie słońca z za piramidalnego mauzoleum, wzniesionego zwycięzcy Persów Gordianusowi, zabitemu w tem miejscu przez Filipa Araba. Brzeg purpurowego kręgu zapłonął u spodu cichego nieboskłonu

pustyni, jak żarząca się głownia, i wnet wszystkie wierzchołki masztów i żagli zaróżowiły się w mgłach poranku.

Cesarz dał znak—i osiem pięciotysięcznych gromad ludzi ruszyło równym krokiem, od którego zadrżała i zadudniła ziemia.

Armia rzymska zaczęła przechodzić most, który ją oddzielał od granicy perskiej.

Koń przeniósł Juliana na brzeg przeciwny, na wysoki piaszczysty pagórek ziemi nieprzyjacielskiej.

Na czele kohorty palatynów szedł centuryon tarczowników, Anatol, wielbiciel Arsinoi.

Anatol spojrzał na cesarza. Wielką zmianę wywołał w Julianie ten miesiąc, spędzony na świeżem powietrzu śród zbawiennych dla zdrowia zajęć obozowych, W męskim wojowniku z ogorzałem obliczem, z młodzieńczem i pełnem radości wejrzeniem, trudno było poznać filozofa o wychudłej i żółtej twarzy, o oczach smutnych, z rozczochranymi włosami i brodą, z gorączkowymi ruchami, z palcami i togą cyniczną, zaplamionymi atramentem, owego retora Juliana, pośmiewiska uliczników Antyochii.

— Słuchajcie! słuchajcie! Cesarz chce przemówić.

Umilkli wszyscy. Słychać było tylko słaby chrzęst broni, szmer fal, rozbijających się o statki i szelest jedwabnych sztandarów.

— Najwaleczniejsi z walecznych rycerze—silnym głosem przemówił Julian.—Czytam w twarzach waszych tyle zapału i męstwa, że nie mogę się powstrzymać od powitania was radosnemi słowy. Zapamiętajcie sobie, towarzysze: losy świata spoczywają w waszych rękach, idziemy wznowić dawną świetność cesarstwa Rzymskiego! Więc zahartujcie serca wasze, bądźcie na wszystko gotowi Powrót nie jest już możliwy. Będę na waszem czele lub w szeregach waszych, na koniu lub pieszo, w każdem nie-

bezpieczeństwie i w każdej pracy, narówni z ostatnim żołnierzem, albowiem od tej chwili nie jesteście już niewolnikami moimi, ale przyjaciołmi, ale dziećmi! Jeżeli zaś los nieuchronny każe mi paść wśród boju, szczęśliwym będę, że umieram za Wieczną Romę, jak wielcy mężowie starożytni, Scewole, Kurcyusze i najszlachetniejsi potomkowie Decyuszów. Zatem—odwagi, towarzysze, i pamiętajcie, że silni zwyciężają zawsze!

Wyciągnął miecz, z uśmiechem wskazując wojsku odległy horyzont pustyni. Żołnierze zgodnym ruchem podnieśli i zestawili puklerze, wykrzykując z zapałem:

— Sława! Sława zwycięskiemu cesarzowi!

Galery bojowie próć poczęły fale Eufratu, orły rzymskie wzleciały nad kohortami, i biały rumak poniósł cesarza w stronę wschodzącego słońca.

A od piramidy Gordyana zimny cień siny padał na białe piaski, i po krótkiej chwili Julian przejść musiał z pod świetlanych promieni w ten długi złowieszczy cień samotnego grobowca.

XV.

Wojsko kroczyło lewym brzegiem Eufratu po rozległej równinie, jednostajnej, jak morze, srebrzystymi piołunami pokrytej. Nigdzie nie było widać drzewa. Z krzewów i traw zionęły ostre zapachy. Kiedy niekiedy stada dzikich osłów zjawiały się na widnokręgu, wzbijając tumany kurzu, albo przebiegały strusie. Lekko, powiewnie, prawie nie dotykając się ziemi, mknęły zwinne gazele o cienkich nogach z oczyma fałszywie łagodnemi, jak u pięknych kobiet. Tłuste i delikatne mięso dropi dymiło się u ognisk żołnierzy. Żarty i śpiewy nie milkły do

późnej nocy. Pochód wydawał się przechadzką. Pustynia witała chciwych sławy, łupów i krwi wojowników niemą pieszczotą, gwieździstemi nocami, cichymi wschodami i zachodami słońca, wonną mgłą nocy, przesyconą zapachem gorzkiego piołunu.

Szli coraz dalej, nie spotykając nieprzyjaciela.

A zaledwie przeszli, spokój znowu zwierał się nad równiną, jak morze nad pochłoniętym statkiem, i łodygi traw, zdeptanych przez legionistów, powstawały zwolna.

Nagle pustynia zaczęła się stawać groźną. Chmury pokryły niebo. Lunął deszcz. Piorun poraził jednego żołnierza, prowadzącego konie do wodopoju.

W końcu kwietnia rozpoczęły się upały. Żołnierze jęli zazdrościć towarzyszom, idącym w cieniu dromadera lub krytego płótnem wozu. Ludzie Północy, Gallowie i Scytowie, padali od porażenia słonecznego. Równina stawała się ponurą, gołą, ledwie tu i owdze przetykaną kępkami spalonej trawy. Nogi grzęzły w piasku.

Raptowny pęd wichury porywał sztandary z drzewiec i zdzierał nawet płótna namiotów, obalając ludzi i konie. Potem znowu nastawała dziwna, niespodziana cisza, która przerażonym żołnierzom wydawała się straszniejszą niż burze. Ustały żarty i śpiewy. Ale wojska szły wciąż dalej, ciągle nie spotykając nieprzyjaciela.

W początkach maja dotarli do asyryjskich lasów palmowych...

Pod Maceprakten, w pobliżu zwalisk olbrzymiego muru, wzniesionego przez starożytnych królów asyryjskich po raz pierwszy ujrzano wrogów. Ale Persowie cofnęli się z nieoczekiwanym pośpiechem.

Pod gradem strzał zatrutych Rzymianie przebyli kanał szeroki, łączący Eufrates z Tygrysem. Wspaniała ta droga wodna, cegłami babilońskiemi wykładana i z geome-

tryczną prawidłowością przecinająca wpoprzek całą Mezopotamię, zwała się Nagar Malka, rzeka Królewska.

Nagle Persowie zniknęli i poziom Nagar Malki począł się wznosić, wezbrana woda zalała okoliczne pola. Persowie urządzili pawódź, pootwierawszy śluzy i tamy kanałów, których sieć zagmatwana zraszała pulchne grunta Asyryi.

Piesi żołnierze brnęli po kolana w wodzie, nogi grzęzły im w lepkiej, ciężkiej glinie. Całe manipule zapadały się w niewidzialne rowy; nawet jeźdźcy z końmi i objuczone wielbłądy ginęli niespodzianie w dolach. Trzeba było drągami szukać brodu. Pola zamieniły się w jeziora, na których tu i owdzie sterczały, jak wysepki, gaje palmowe.

— Dokąd-że to idziemy?—szemrali bojaźliwsi. — Dlaczego nie wracamy natychmiast do rzeki i nie wsiadamy na statki? Żołnierzami jesteśmy, nie żabami, żeby pływać w kałużach.

Julian szedł razem z piechotą nawet w najtrudniejszych przejściach. Pomagał wyciągać za koła wozy ładowne, ugrzęzłe w mule i ze śmiechem pokazywał żołnierzom swą zmoczoną i zabłoconą purpurę. Robiono faszyny z pni palmowych, urządzano mosty pływające na olbrzymich pęcherzach.

Za nadejściem nocy wydostało się wreszcie wojsko na suche miejsce. Zmordowanych żołnierzy zmorzył sen niespokojny.

Rankiem ujrzeli twierdzę Perizabor.

Persowie szydzili z nieprzyjaciół z po za murów i z wież niedostępnych, okrytych szerokiemi zasłonami ze skór kozich w celu ochrony przed uderzeniami machin oblężniczych. Cały dzień przeszedł na wymianie przekleństw i pocisków.

Korzystając z cienia bezksiężycowej nocy, Rzymianie śród najgłębszej ciszy ściągnęli ze statków katapulty i taran i ustawili je naprzeciwko murów Perizaboru. Fosy zasypano ziemią. Z pomocą „malleoli,“ to jest strzały olbrzymiej w kształcie wrzeciona, wypełnionej zapalną masą ze smoły, siarki, oliwy i żywicy ziemnej, udało się Rzymianom podpalić skórzaną zasłonę.

Rzucili się Persowie do gaszenia pożaru, a cesarz, korzystając z zamieszania, kazał przytoczyć taran.

Był to bal sosnowy, na dwóch łańcuchach zawieszony w piramidalnej wieży z bierwion, a na końcu bala był umocowany metalowy łeb barani. Setki silnych legionistów ze zgodnym śpiewnym okrzykiem: „Raz, dwa, trzy!“— naprężając muskuły obnażonych ramion, ciągnęły grube liny ze skręconych żył wołowych i zwolna rozkołysywały ogromny pień.

Nastąpiło pierwsze uderzenie z hukiem, podobnym do grzmotu.

Odgrzmiała ziemia, wstrząsnęły się mury. Zatem szły dalsze, coraz częstsze razy; wściekły taran, rozbujany z zajadłością i uporem tłukł w mury czołem metalowem. Trzasło wreszcie, zagruchotało—i cały bok muru zawalił się z łoskotem. Persowie pierzchnęli, wydając rozpaczliwe krzyki.

Błyszcząc hełmami śród tumanów pyłu, rozradowany i straszliwy jak bóg wojny, wpadł Julian do zdobytego miasta.

Przez dwa dni wojsko wypoczywało w chłodnym cieniu drzew, rozkoszując się kwaskowatym płynem w rodzaju wina z palmowego soku i aromatycznymi daktylami babilońskimi, barwy i przezroczystości bursztynu.

Potem wyruszono w dalszą drogę i dostano się na jałową kamienistą równinę. Był niezmierny upał. Marli ludzie i zwierzęta. W południe powietrze wirowało dokoła skał falistemi rozpalonemi strugami. Po szaro popielatej pustyni wił się Tygrys, połyskując srebrzystym nurtem, jak wąż leniwy, wygrzewający w słońcu giętkie pierścienie.

Nad Tygrysem ujrzeli Rzymianie skałę potężną, różową, nagą, najeżoną urwiskami. Była to druga warownia, broniąca południowej stolicy Persyi, Ktezyfonu, jeszcze niedostępniejsza od Perizaboru, istne gniazdo orle pod obłokami.

Szesnaście baszt i podwójny pierścień szańców otaczał Maomagalkę; były zbudowane ze słynnych surówek babilońskich, wysuszonych na słońcu i spojonych za pomocą smoły ziemnej, na wzór wszystkich starożytnych pomników Asyryi, które wiekom czoła stawiają.

Rozpoczęło się oblężenie. Znowu zgrzytnęły ciężko potworne balisty, zaskrzypiały koła, drągi i bloki skorpionów, świsnęły płonące „malleole.”

O godzinie, w której jaszczurki śpią w rozpadlinach skał, promienie słońca padały na plecy i głowy żołnierzy, jak ciężar dławiący. Blask ich był straszliwy. Zrozpaczeni legioniści, wbrew zakazom dowódców zdejmowali, pomimo niebezpieczeństwa, rozpalone naramienniki i hełmy, przekładając rany nad gorąco.

Ponad brunatnemi basztami i blankami Maogamalki, skąd wylatywały chmury strzał zatrutych, dzirytów, kamieni, kul ołowianych i glinianych, płomiennych falaryk perskich, zatruwających powietrze siarką i naftą — zawisło niebo w kurzawie, z nieuchwytnym prawie odcieniem lazuru, groźne, oślepiające, jak śmierć nieubłagane.

Niebo przezwyciężyło nienawiść ludzką. Oblężeni i oblegający, wyczerpani znużeniem, musieli zaprzestać walki.

Nastała cisza, dziwna śród jaskrawego południa, posępniejsza niż podczas najczarniejszej nocy.

Rzymianie nie tracili otuchy.

Po zdobyciu Perizaboru uwierzyli w niezwyciężoność cesarza, porównywali go z Aleksandrem Wielkim i cudów po nim się spodziewali.

W ciągu dni kilkunastu po wschodniej stronie Maogamalki, gdzie skały były mniej strome, żołnierze wykuli podkop, który przechodził pod murami twierdzy do samego środka miasta. Podziemie to miało szerokości trzy łokcie; dwaj żołnierze mogli niem postępować obok siebie. W pewnych odstępach grube słupy podpierały sklepienie. Kopacze pracowali raźno; chłód i cień po nadmiarze słońca sprawiały im wielką przyjemność.

— Niedawno byliśmy żabami, teraz dla odmiany zrobiono z nas krety!—mówili, śmiejąc się, żołnierze.

Trzy kohorty, Mattiarianów, Laccinarianów i Victorianów, półtora tysiąca co najdzielniejszych rycerzy weszło, zachowując ścisłe milczenie, do tej podziemnej galeryi i wyczekiwało niecierpliwie od wodzów rozkazu wtargnięcia do miasta.

Z nastaniem dnia skierowano umyślnie szturm w dwie przeciwległe strony, by odwrócić uwagę Persów. Julian prowadził żołnierzy wązką ścieżką u brzegu urwiska pod ulewą strzał i kamieni.

— Zobaczymy,— rozmyślał, lubując się w niebezpieczeństwie — zobaczymy, czy bogowie mnie ochraniają, czy stanie się cud, czy uniknę obecnie śmierci.

Niepohamowana ciekawość i żądza nadnaturalności parły go do wystawiania się na niebezpieczeństwo, do wy-

zywania losu ze wzgardliwym uśmiechem. Nie obawiał się śmierci, lecz jedynie przegrania tych bezcelowych, ale upajających zapasów z siłami wyższemi.

Żołnierze szli za nim oczarowani, zarażeni jego szaleństwem.

Persowie, śmiejąc się z wysiłków oblegających, rozgłośnym śpiewem sławili syna słońca, króla Sapora, i wykrzykiwali do Rzymian z podobłocznych baszt Maogamalki:

— Prędzej dostanie się Julian do pałacu Ormuzda, aniżeli do naszej twierdzy!

W ogniu potyczki Julian cichym głosem polecił zanieść wodzom rozkazy.

Ukryci w podkopie legioniści weszli do środka miasta przez piwnicę jakiegoś domu, w którym stara piekarka perska, rozczyniająca ciasto, wydała okrzyk przerażenia na widok żołnierzy rzymskich. Zabito ją.

Następnie, skradłszy się niepostrzeżenie, wpadli ztyłu na oblężonych. Persowie, porzucawszy broń, rozproszyli się po ulicach Maogamalki. Wtedy Rzymianie otwarli zewnątrz bramy, i miasto z dwóch stron było wzięte.

Od tej chwili żaden legionista nie wątpił już o tem, że cesarz za przykładem Aleksandra Macedońskiego podbije całe państwo perskie aż do Indu.

Wojsko zbliżyło się do Ktezyfonu, południowej stolicy Persyi. Okręty pozostawały na Eufracie.

Julian z tą samą szybkością gorączkową, prawie czarodziejską, która nie dawała nieprzyjacielowi czasu do opamiętania, odnowił starą budowlę rzymską, kanał przekopany przez Trajana i Septymiusza Sewera, a zasypany przez Persów.

Kanałem tym flota wypłynęła na Tygrys, nieco powyżej Ktezyfonu. Zwycięzca znalazł się w samem sercu azyatyckiego cesarstwa.

Nazajutrz wieczorem Julian, zgromadziwszy radę wojenną, oznajmił, że wojska mają się przeprawić nocą na brzeg przeciwny pod mury stolicy. Dagalaif, Hormizda, Sekundyn, Wiktor, Salustyusz, wszyscy mężowie wypróbowani w bojach, przerażeni byli tym projektem i długo zaklinali cesarza, aby się zrzekł myśli tak zuchwałej. Wystawiali mu znużenie żołnierzy, szerokość rzeki, gwałtowność prądu, stromość brzegów, blizkość Ktezyfonu i niezliczonej armii króla Sapora, wreszcie nieuniknione niebezpieczeństwo natarcia Persów w chwili przeprawy. Julian nie chciał słyszeć o niczem.

— Przez czas naszego wyczekiwania—zawołał wreszcie zniecierpliwiony — rzeka nie zwężeje, brzegi nie staną się mniej strome, armia zaś Persów powiększa się z dniem każdym nowymi posiłkami. Gdybym rad waszych słuchał, bylibyśmy dotychczas jeszcze w Antyochii.

Wodzowie wyszli z namiotu zaniepokojeni.

— Nie wytrzymał—szepnął z westchnieniem wytrawny i przebiegły Dagalaif, barbarzyńca, osiwiały w służbie rzymskiej. — Przypomnicie sobie moje słowa! Wydaje się wesołym, śmieje się nawet, ale jego twarz nic dobrego nie zapowiada. Widziałem taki wyraz u ludzi blizkich rozpaczy, znużonych śmiertelnie. Złowróżbna to wesołość!

Gorący, mglisty zmrok zapadał szybko na gładkie fale wspaniałej rzeki. Dano sygnał. Pięć galer odbiło od brzegu, wioząc czterystu żołnierzy. Przez długi czas słychać było miarowe uderzenia wioseł. Potem ucichło wszystko. Ciemności stały się nieprzeniknione. Julian wpatrywał się łacznie z brzegu, uśmiechem pokrywając wzru-

szenie. Wodzowie szeptali pomiędzy sobą. Nagle śród mroku zabłysnął ogień. Wszyscy wstrzymali oddech i zwrócili wzrok na cesarza. Zrozumiał on, co ten ogień oznacza: to Persom udało się podpalić statki rzymskie za pomocą płonących pocisków, zręcznie rzuconych z przeciwnego brzegu.

Julian zbladł, ale opanował się w jednej chwili, i nie dając żołnierzom czasu do namysłu, skoczył na pierwszy okręt, który mu się nawinął, i z uśmiechem tryumfu zawołał do wojska:

— Wygrana! wygrana! Widziałem ogień! Wyszli na ląd i opanowali wybrzeże. Ja to wydałem rozkaz wysłanej kohorcie, ażeby rozpaliła ogień na znak zwycięstwa. Za mną, towarzysze!

— Co czynisz?—szepnął mu do ucha roztropny Salustyusz.—Jesteśmy zgubieni. To jest pożar...

— Cesarz dostał obłąkania! — wyjąkał struchlały Hormizda do Dagalaifa.

Przebiegły barbarzyńca wzruszył ramionami w niepewności.

Wojsko w nieprzepartym pędzie rzuciło się ku rzece z okrzykiem zapału: „Wygrana! wygrana!“ Potrącając się wzajemnie, wpadając do wody i wyciągając się ze śmiechem, wsiadali wszyscy na statki. Kilka mniejszych czółen o mało nie poszło na dno. Na galerach zabrakło miejsca.

Wielu jeźdźców rzuciło się odważnie wpław, przerzynając bystry prąd piersiami rumaków. Celtowie i Batawowie puszczali się na rzekę na ogromnych swych tarczach skórzanych w kształcie łodzi—i nieustraszenie płynęli śród mgieł, chociaż tarcze szybko kręciły się w wartkim wirze. Nie spostrzegając niebezpieczeństwa, żołnierze wołali radośnie:

— Wygrana! wygrana!

Siła prądu osłabła na chwilę dzięki statkom, które zatarasowały rzekę. Pożar pięciu przednich galer stłumiono z łatwością.

Wtedy dopiero zrozumieli wszyscy śmiały podstęp cesarza. Ale żołnierzy wprawiło to w jeszcze większy zapał. Teraz wszystko już wydawało im się możliwem po uniknięciu takiego niebezpieczeństwa.

Na krótko przed jutrzenką stali się panami wybrzeża. Ale nie zdążyli jeszcze Rzymianie, nie zdejmując uzbrojenia, wypocząć, gdy ujrzeli na wschodzie armię olbrzymią, występującą z za murów Ktezyfonu na równinę przed miastem.

Dwanaście godzin trwała bitwa. Persowie walczyli z odwagą rozpaczy. Wojsko Juliana pierwszy raz ujrzało tutaj wielkie słonie wojenne, mogące stratować całą kohortę, jak zagon kłosów.

Podobnego zwycięstwa nie odnieśli Rzymianie nigdy od czasów wielkich cesarzów Trajana, Wespazyana i Tytusa.

O wschodzie słońca Julian postanowił poświęcić w ofierze dziękczynnej bogu wojny Aresowi dziesięć byków białych, pięknością przypominających starożytne płaskorzeźby greckie. Całe wojsko było w świątecznym nastroju. Tylko augurowie etruscy, jak zawsze, trwali w zawziętej i źle wróżącej posępności. Po każdem nowem zwycięstwie Juliana stawali sieę coraz bardziej ponurzy, niemi, zagadkowi.

Podprowadzono pierwszego byka do spowitego w wawrzyny dymiącego ołtarza. Szedł zwolna, biernie, gdy wtem potknął się, padł na kolana z rykiem żałosnym, do ludzkiego jęku podobnym, na który dreszcz przejął wszystkich, zanurzył pysk w piasku, i nim topór wikty-

maryusza dotknął się jego szerokiego czoła, wstrząsnął się i umarł.

Sprowadzono drugiego byka, ale i ten padł również. Tak samo trzeci, po nim czwarty. Wszystkie szły do ołtarza osłabione, bezsilne, ledwie trzymające się na nogach, jakby śmiertelną chorobą dotknięte, i ryczały posępnie.

Szmer przerażenia przebiegł w wojsku. Było to straszliwą wróżbą.

Utrzymywali niektórzy, iż kapłani etruscy otruli byki przez zemstę za to, że cesarz gardził ich radami.

Dziewięć byków padło w ten sposób. Dziesiąty, zerwawszy pęta, uciekł, z rykiem pomknął na pole i nie dał się złapać.

Rozprzęgło się całopalenie. Augurowie uśmiechali się złośliwie.

Kiedy przystąpiono do rozplatania martwych zwierząt, Julian doświadczonem okiem wróżbiarza ujrzał we wnętrznościach niewątpliwe znaki złowieszcze. Odwrócił się z twarzą wybladłą, nadaremnie próbując się uśmiechnąć. Nagle zbliżył się do ołtarza i z całej siły kopnął go nogą. Zachwiał się ołtarz, ale nie upadł. Tłum, jak jeden człowiek, wydał ciężkie westchnienie. Prefekt Salustyusz podbiegł do cesarza i szepnął mu do ucha:

— Żołnierze patrzą... Lepiej przerwać składanie ofiary...

Julian odsunął go i znowu pchnął ołtarz nogą tak silnie, że go obalił. Rozleciały się węgle, ogień zagasł, tylko dymy wonne wzniosły się gęstszymi kłębami.

— Biada nam! biada!.. Znieważono ołtarz!..—jęknął jakiś głos w tłumie.

— Mówię ci, że zwaryował! — mruknął przerażony Hormizda, ściskając dłoń Dagalaifa. — Spojrzyj tylko na niego! Że też inni tego nie widzą...

Augurowie etruscy stali nieruchomi, niewzruszeni, poważni i obojętni.

Julian wzniósł ręce do sieba. Oczy mu błyszczały.

— Klnę się radością wieczną, zawartą tu, w mem sercu,—krzyknął gromkim głosem— że się was wyrzekam tak, jakoście się wy mnie wyrzekli! Porzucam was, jak wyście mnie opuścili, bezsilne bożyszcza! Sam jeden jestem przeciwko wam, widma Olimpu! Jestem wam podobny, ale nie równy, ponieważ jestem człowiekiem, wy zaś bogami tylko. Zdawna już serce moje tęskni do tego wyzwolenia—i oto w tej chwili zrywam nasz sojusz. Śmieję się z mej przesądnej trwogi, waszych dziecinnych wyroczni. Żyłem jak niewolnik i mogłem umrzeć tak samo. Ale obudziłem się, zrozumiałem, żem silniejszy od bogów, gdyż będąc śmierci podległy, zwyciężyłem śmierć! Dość smutku, bojaźni, dość ofiar i modłów! Skończyłem z nimi! Odtąd w życiu mem nie będzie żadnego cienia, żadnych drżeń, jedno wieczny śmiech olimpijski, który wam zabieram, o martwi, jedno święty ogień, który wam porywam, o nieśmiertelni! Żywot mój będzie jako lazur bez chmur, w którym wyście przebywali niegdyś i w którym konacie teraz, by ustąpić miejsca nam, ludziom — bogom podobnym! Maksymie! Maksymie! miałeś słuszność: duch twój wstępuje we mnie!

Zgarbiony dziewięćdziesięcioletsi augur z długą białą brodą i zagiętą laską kapłańską w ręku, zbliżył się do cesarza i kładąc mu dłoń na ramieniu, przemówił:

— Ciszej, mój synu, ciszej! Jeżeli odgadłeś tajemnicę, raduj się w milczeniu. Nie gorsz tłumu. Ci, którzy słuchają, nie mogą ciebie zrozumieć.

Szmer oburzenia wzmagał się ciągle.

— Bredzi—rzekł Hormizda do Dagalaifa.—Trzeba go odprowadzić do namiotu, bo to się może źle skończyć!

Orybazy z miną troskliwego i oddanego lekarza ujął za rękę Juliana i począł mu przekładać łagodnie:

— Trzeba ci spocząć, ukochany Auguście! Nie spałeś od dwóch nocy. Ręce masz gorące. W tym kraju panuje febra niebezpieczna. Idź do namiotu. Słońce ci szkodzi. Choroba może się pogorszyć

Cesarz patrzał nań z roztargnieniem.

— Zaczekaj, Orybazy. Zapomniałem o czemś... Aha, tak, tak... To najważniejsze!.. Słuchaj, nie mów nigdy: „Niema *już* bogów!“ ale raczej: „*Jeszcze* niema bogów.“ Bogowie nie istnieją, ale będą istnieli, nie w niebiosach, ale tu, na ziemi. My wszyscy staniemy się bogami, tylko do tego potrzeba wielkiej odwagi, jakiej nikt nie miał jeszcze dotychczas, nawet bohater Macedoński!

Wrzenie wojska stawało się niebezpiecznem. Szemrania i okrzyki zlały się w jeden niewyraźny pomruk oburzenia. Nikt nie rozumiał tego dokładnie, czuli jednak wszyscy, że się coś niedobrego dzieje. Jedni krzyczeli w przesądnej grozie:

— Świętokradztwo!.. Podnieście ołtarz!.. Na co czekają kapłani?..

Inni odpowiadali:

— Kapłani otruli cezara za to, że ich nie słuchał... Zabić kapłanów!.. Oni nas zgubią!..

Galilejczycy, korzystając ze sposobności, kręcili się z pokorną miną pomiędzy gromadkami żołnierzy, śmieli się i szeptali do siebie, tworzyli plotki i, jak żmije, podrażnione w gnieździe, syczeli:

— Czyż nie widzicie? To kara Boska!.. Dyabli go opętali i zwichnęli mu rozum. Dlatego to buntuje się przeciwko tym samym bożkom, dla których zaparł się Jedynego Boga.

Niby z ciężkiego snu zbudzony, powiódł Julian zwolna wzrokiem po tłumie i z obojętną miną zapytał Orybazego:

— Co to jest?.. Czego oni krzyczą?.. Co się stało?.. A, tak... Ołtarz się wywrócił!

I patrząc ze smutnym uśmiechem na wystygłe węgle, dodał:

— Czy wiesz, uczony mój przyjacielu, że ludzi niczem tak obrazić nie można, jak prawdą? Biedne, nierozumne dzieci!.. Mniejsza o to, niech pokrzyczą, niech popłaczą—znajdą sobie pociechę... Chodźmy więc, Orybazy, chodźmy w cień... Masz słuszność: słońce musiało mi zaszkodzić... Oczy mnie bolą, czuję się znużonym...

Odszedł zwolna, wsparty na ramieniu lekarza. Przybywszy do namiotu, omdlałym ruchem ręki oddalił wszystkich. Zapuszczono zasłonę na drzwi, namiot pogrążył się w mroku.

Cesarz padł wyczerpany na swoje twarde łoże polowe ze skóry lwiej. Długo leżał tak, ściskając głowę w dłoniach, jak w czasie dzieciństwa, gdy doznał wielkiej krzywdy lub zmartwienia.

— Ciszej, ciszej! cesarz chory—mówili wodzowie, by uspokoić wzburzonych żołnierzy.

I wszyscy milkli natychmiast.

W obozie rzymskim, jak w pokoju konającego, zapanowała cisza, pełna dręczącego wyczekiwania.

Nie słuchali tylko Galilejczycy, którzy przesuwali się ukradkiem, wciskali wszędzie, roznosząc ponure pogłoski, i jak gady, ze snu zimowego przebudzone i słońcem ogrzane, syczeli bez ustanku:

— Czy nie widzicie? To kara Boska!.. Straszna to rzecz ściągnąć na siebie gniew Pana!..

XVI.

Po wielekroć uchylał Orybazy zasłonę namiotu, proponując choremu ochładzający napój. Julian odmawiał i prosił, by go zostawiono w spokoju. Bał się twarzy ludzkich, hałasu i światła. Wciąż cisnąc głowę w dłoniach i przymykając oczy, usiłował nie myśleć o niczem, zapomnieć o tem, gdzie się znajduje i co odczuwa.

Nadnaturalny wysiłek woli, na który się przez te trzy miesiące zdobywał, wyczerpał go, pozostawił słabym i złamanym, jak po długiej chorobie. Nie wiedział już, czy śpi, czy czuwa. Powtarzające się, piętrzące jeden nad drugim obrazy przebiegały mu przed oczyma z niesłychanym pośpiechem i męczącą wyrazistością. Zdawało mu się, że leży w wielkiej zimnej sali na zamku Macellum. Stara Labda pobłogosławiła go na noc, a rżenie uwiązanych w pobliżu namiotu koni przeistoczyło się w pocieszne chrapanie Mardoniusza.

Z radością czuł się znowu małym chłopcem, nieznanym nikomu, zakopanym zdala od ludzi, w górach Kapadocyi.

To znowu czuł delikatną i świeżą woń hiacyntów, ogrzanych zlekka słońcem marcowem w zacisznym dziedzińcu kapłana Olimpiodora, słyszał srebrzysty śmiech Amarylidy i szmer fontanny, dźwięk metaliczny kottabosu i wołanie Diofany: „Dzieci! placuszki z imbierem są gotowe!"

Potem zniknęło wszystko...

Słyszał jedynie brzęczenie wiosenne pierwszych muszek w osłonionym od wiatrów zakątku na białym słonecznym murze u brzegu morza. U stóp jego konają jasno-

zielone fale bez piany. Patrzy z uśmiechem na żagle, ginące w bezbrzeżnej ciszy Propontydy, i wie, że jest sam w czarownem pustkowiu, dokąd nikt przyjść nie może, i jak te muszki wesołe na białym murze, odczuwa jedynie błogość niewinną życia, słońca i spokoju.

Zbudziwszy się nagle, przypomniał sobie Julian, że się znajduje w głębi Persyi, że jest cesarzem rzymskim, odpowiedzialnym za sześćdziesiąt tysięcy legionistów, że niema już bogów, że z bluźnierstwem na ustach zburzył ołtarz ofiarny! Zadrżał. Lodowaty chłód zatrząsł mu ciałem. Zdawało mu się, że leci w otchłań i nie ma się za co zatrzymać.

Nie umiał sobie zdać sprawy, czy spędził w tym półśnie godzinę, czy też dobę całą.

Wreszcie nie we śnie już, lecz na jawie, usłyszał głos wiernego niewolnika, który, wsunąwszy głowę przez zasłonę, mówił do niego:

— Boję się przeszkodzić ci, cesarzu, ale nie śmiem być nieposłusznym. Rozkazałeś, by ci dano znać bez zwłoki... Wódz Aryntsusz przybył do obozu...

— Arynteusz!—zawołał, zrywając się, Julian.—Arynteusz! Sprowadź go, sprowadź natychmiast!

Był to jeden z najdzielniejszych dowódców, wysłany z oddziałem na północ dla dowiedzenia się, czy armia posiłkowa z trzydziestu tysięcy ludzi złożona, zostająca pod wodzą komesów Prokopa i Sebastyana, nie przybywa, według rozkazu, z wojskami sprzymierzeńca Arsacesa, aby się złączyć z cesarzem pod murami Ktezyfonu. Julian oddawna wyczekiwał tych posiłków, od których zawisły losy armii głównej.

— Sprowadź go!—zawołał cesarz—sprowadź go... Co prędzej! Albo nie... Ja sam...

Ale osłabienie jego nie ustąpiło jeszcze, pomimo chwilowego podniecenia. Uczuł zawrót głowy, zamknął oczy i musiał się oprzeć o płócienną ścianę namiotu.

— Daj mi wina... mocnego... z zimną wodą...

Stary niewolnik pośpiesznie wykonał rozkaz i podał cesarzowi puhar, który Julian wychylił zwolna i pokrzepiony wyszedł z namiotu.

Było już późno wieczorem. Zdala za Eufratem przeciągnęła nawałnica, i wiatr niósł jeszcze świeżość i zapach deszczu. Pośród chmur czarnych drżały rzadkie gwiazdy, jak kaganki, zdmuchywane wiatrem. Z pustyni dochodziły poszczekiwania szakali.

Julian odsłonił pierś, wystawił czoło na wiatr i z rozkoszą poddawał się pieszczotom cichnącej burzy.

Uśmiechnął się, myśląc o swojem zniechęceniu. Osłabienie jego przeszło, wracało przyjemne wytężenie sił ducha, podobne do upojenia winem. Nerwy miał napięte, jak czułe struny. Chciało mu się dowodzić, działać, nie sypiać po nocach, potykać się, igrać z życiem i ze śmiercią, zwalczać niebezpieczeństwa. Jedynie niekiedy czuł dreszcz, przeszywający mu ciało.

Nadszedł Arynteusz.

Wiadomości były opłakane. Znikła cała nadzieja na pomoc ze strony Prokopa i Sebastyana. Cesarza opuścili sprzymierzeńcy w niezbadanej głębi Azyi. Przebąkiwano o zdradzie podstępnego Arsacesa.

W tej chwili doniesiono cesarzowi, iż zbieg z obozu Sapora pragnie z nim pomówić.

Przyprowadzono go.

Pers rzucił się do nóg Juliana i ziemię całował.

Była to poczwara. Ogolona głowa, zeszpecona torturami azyatyckiemi, z obciętemi uszyma i przedartemi noz-

drzami, przypominała czaszkę trupią. Ale oczy miał błyszczące rozumem i stanowczością.

Odziany był w kosztowną suknię z sogdyańskiego jedwabiu barwy ognistej i mówił łamanym językiem greckim. Towarzyszyli mu dwaj niewolnicy.

Pers nazwał się Artabanem. Opowiedział, że jest satrapą, którego oszkalowano przed Saporem i okaleczono na torturach, i że przybył do Rzymian szukać pomsty na królu.

— O Panie świata!—mówił Artaban z przesadą i pochlebstwem — wydam ci Sapora ze skrępowanemi rękoma i nogami, niby jagnię ofiarne. Doprowadzę cię nocą do obozu, cichutko, cichutko nakryjesz ręką króla, złapiesz go, jak dzieci łapią w dłoń pisklęta. Tylko posłuchaj Artabana! Artaban wszystko może! Artaban zna tajemnice królu...

— Czegóż ode mnie oczekujesz?—zapytał Julian.

— Zemsty!.. Chodź ze mną!

— Dokąd?

— Na północ... przez pustynię... trzysta dwadzieścia pięć parasang, potem przez góry na wschód, prosto na Suzę i Hekbatanę!

I Pers wskazywał ręką widnokrąg.

— Tam! tam! — powtarzał, nie spuszczając oczu z Juliana.

— Cesarzu!—szepnął Hormizda Julianowi do ucha:— strzeż się!.. Człowiek ten ma złe wejrzenie! To czarownik... zbój, albo—kto wie — może co gorszego.. Nieraz nocą w tych stronach dzieją się złe rzeczy... Odpędź go, nie słuchaj!

Cesarz na słowa Hormizdy nie zwrócił uwagi.

Czuł na sobie dziwną władzę błagalnego i przenikliwego spojrzenia Persa.

— Czy znasz dokładnie drogę do Hekbatany?

— Tak jest, tak, tak!—zawołał Pers ze śmiechem zadowolenia. — akżebym jej znać nie miał! Każde źdźbło na stepie... każdą studnię... Artaban wie, co śpiewają ptaki, słyszy, jak trwa rośnie, jak płyną podziemne źródła. Stara mądrość Zaratustry jest w sercu Artabana. On przed twą armią pobieży, węsząc ślady, wytykając drogę... Wierz mi, za dni dwadzieścia cała Persya do ciebie będzie należała aż do Indyi, aż do znojnego Oceanu!

Julianowi serce uderzało gwałtownie.

— „Byłżeby to cud, na który oczekiwałem?"—myślał.—Za dni dwadzieścia Persya do mnie będzie należała!"

I tchu mu brakło z radości.

— Nie odpędzaj mnie!—szeptała poczwara. — Będę leżał jak pies u nóg twoich. Odkąd cię ujrzałem, panie świata, ukochałem cię nad własną duszę, ponieważ jesteś piękny! Chcę, żebyś stąpał po mojem ciele, żebyś mnie deptał nogami, a ja będę zlizywał kurz twoich stóp i śpiewał: „Chwała, chwała synowi Słońca, królowi Wschodu i Zachodu, chwała Julianowi!"

Całował nogi cesarza, a dwaj niewolnicy, klęcząc również, powtarzali za nim:

— Chwała, chwała, chwała!

— Cóż jednak począć z okrętami?—przemówił Julian w zamyśleniu.—Oddać je bez obrony w ręce nieprzyjaciół, czy też zostać przy nich?

— Spal je!—podszepnął Artaban.

Julian zadrżał i spojrzał badawczo na Persa.

— Spalić je? Co ty mówisz?..

Artaban podniósł głowę i zatopił spojrzenie w oczach cesarza.

— Boisz się? Ty?.. Nie, nie, tylko ludzie mogą się bać; ale nigdy bogowie!.. Spal okręty, a będziesz swobodny, jak wiatr: okręty nie wpadną w moc nieprzyjaciół, a wojsko twoje się zwiększy o liczbę żołnierzy, zajętych przy flocie. Bądź wielkim i nieustraszonym do końca! Spal je, a w dziesięć dni będziesz pod murami Hekbatany, za dwadzieścia—cała Persya twoją będzie! Staniesz się większym niżeli syn Filipowy, zwycięzca Daryusza! Tylko... spal okręty i pójdź za mną. Nie śmiesz?..

— A jeżeli to jest kłamstwem? Jeżeli czytam w twem sercu, że mnie oszukujesz? — zawołał cesarz, chwytając Persa jedną ręką za gardło, drugą zaś zamierzając się nań sztyletem.

Hormizda odetchnął z ulgą.

Przez parę minut Pers i Julian patrzali, na siebie w milczeniu. Artaban wytrzymał spojrzenie cesarza, i Julian uczuł się znowu pokonanym urokiem tych oczu rozumnych, zuchwałych a służalczych.

— Niech umrę z twej ręki, skoro mi nie wierzysz!— powtarzał Pers.

Puścił go Julian, chowając sztylet do pochwy.

— Strasznie i słodko jest spoglądać w twe oczy— ciągnął Artaban, wciąż wpatrując się dziwnie w cesarza.—Oblicze masz boskie!.. Nikomu nie wiadomo jeszcze, prócz mnie, że ty jesteś... Nie odtrącaj niewolnika swego, Panie!..

— Zobaczymy—mruknął Julian w zamyśleniu.—Sam przecie zdawna pragnąłem zapuścić się w głąb pustyni, szukać bitwy z królem. Ale okręty...

— Tak, tak, okręty!—szeptał Artaban.—Trzeba wyruszyć jak najwcześniej... tej nocy jeszcze, przed świtem,

póki ciemno, żeby mieszkańcy Ktezyfonu się nie spostrzegli... Musisz je spalić!..

Julian nic nie odpowiedział.

— Weźcie ich — rzekł, wskazując legionistom zbiegów — i nie spuszczajcie z nich oka!

Powracając do namiotu, Julian zatrzymał się u wejścia i wzniósł oczy:

— Więc w samej rzeczy? Tak zwyczajnie i tak szybko! Czuję, że wola moja jest jako wola bogów. Zaledwie pomyślałem, a oto spełnia się!

Rosła mu radość w duszy i zrywała się, jak burza. Z uśmiechem położył rękę na sercu, by stłumić gwałtowne bicie. Dotychczas przechodziły go dreszcze i w głowie czuł ciężar jak po dniu na skwarnym słońcu spędzonym.

Przywoławszy do siebie do namiotu wodza Wiktora, ślepo uległego i bez granic przywiązanego do niego starca wręczył mu sygnet złoty z pieczęcią cesarską.

— Dowódcom floty, komesom Konstantynianowi i Lucylianowi — rozkazał krótko Julian: — przededniem mają podpalić statki, z wyjątkiem pięciu naw z żywnością i dwunastu czółen, które nam posłużą do stawiania mostów ruchomych. Te wziąć na wozy. Wszystkie inne spalić. Kto się temu rozkazowi sprzeciwi, głową odpowie. Zachować najściślejszą tajemnicę. Idź!

Podał mu kawałek papirusu, na którym szybko wypisał lakoniczny rozkaz do dowódców floty.

Wiktor, swoim zwyczajem niczemu się nie dziwiąc i nic nie mówiąc, ucałował brzeg purpury cesarskiej i wyszedł spełnić rozkazy.

Pomimo pory spóźnionej, Julian zwołał radę wojenną. Zebrali się w namiocie wodzowie chmurni, rozgniewani skrycie i niedowierzający.

W kilku słowach wyłożył im Julian swój plan udania się na północ w głąb Persyi, ku Suzie i Hekbatanie, aby zaskoczyć króla znienacka.

Sprzeciwili się wszyscy, mówiąc jednocześnie i prawie nie starając się ukryć, że projekt Juliana wydaje im się istnem szaleństwem. Na surowych twarzach starych i doświadczonych wojowników znać było znużenie, brak ufności i zawód.

Większość odpowiadała sucho.

— Dokąd idziemy? Czego jeszcze potrzeba?—mówił Salustyusz Sekundus. — Sam pomyśl, miłościwy cesarzu zdobyliśmy pół Persyi. Sapor ofiarowuje ci pokój pod takimi warunkami, jakich nigdy monarcha azyatycki nie proponował żadnemu zdobywcy rzymskiemu, ani wielkiemu Pompejuszowi, ani Septymiuszowi Sewerowi, ani Trajanowi. Zawrzyjmy zatem pokój zaszczytny, dopóki nie jest za późno i powracajmy do ojczyzny!

— Żołnierze szemrzą!—zauważył Dagalaif.—Nie doprowadzaj ich do rozpaczy. Są znużeni. Mnóstwo ranionych i chorych. Jeżeli ich powiedziesz dalej, w nieznaną pustynię, za nic odpowiadać nie można. Miej litość nad nimi. I ty sam czyż nie pożądasz odpoczynku? Więcej może od nas wszystkich musisz się czuć znużonym...

— Powracajmy!— zadecydowali wszyscy wodzowie.— Byłoby szaleństwem iść dalej!

W tej chwili głuchy i groźny szmer rozległ się za namiotem, szmer, przypominający szum wzburzonego morza. Julian nadstawił ucha i pojął odrazu: był to bunt.

— Poznaliście mą wolę—przemówił z wyniosłym chłodem do wodzów, dając im znak odejścia.—Jest ona niezłomna. Nic więcej mi nie potrzeba. Za dwie godziny wyruszamy w pochód. Dopilnujcie, ażeby wszystko było gotowe.

— Ukochany Auguście —odpowiedział Salustyusz ze spokojem pełnym uszanowania, ale głos drżał mu zlekka:— nie wyjdę z tego namiotu, nie wypowiedziawszy tego, co mi nakazuje obowiązek. Przemawiałeś do nas, równych tobie nie władzą, ale męstwem, w sposób niegodny Rzymianina, wykształconego na Sokratesie i Platonie; możemy ci wybaczyć te słowa tylko dlatego, że przypisujemy je chwilowemu rozdrażnieniu, które zamroczyło twój boski umysł.

— A więc—zawołał z sarkazmem Julian, blednąc od hamowanego gniewu — tem gorzej dla was, przyjaciele!.. Jesteście we władzy szaleńca w takim razie! Wydałem rozkaz spalenia statków, i rozkaz ów spełnia się w tej chwili. Przewidziałem waszą roztropność i przeciąłem wam drogę do odwrotu. Teraz życie wasze jest w moich ręku i zmuszę was, ażebyście uwierzyli w cud!..

Osłupieli wszyscy; tylko Salustyusz skoczył ku cesarzowi i zawołał, chwytając go za rękę:

— To niepodobna, cesarzu!.. Tyś nie mógł przecie...

Nie dokończył i puścił dłoń Juliana. Zerwali się wszyscy, nasłuchując.

Coraz silniejsze okrzyki żołnierzy rozlegały się za płócienną ścianą namiotu; szum buntu zbliżał się na podobieństwo burzy, pędzącej po wierzchołkach drzew olbrzymiego boru.

— Niech sobie krzyczą!—rzekł Julian z wielkim spokojem.—Biedne, głupie dzieci!.. Gdzież się udadzą beze mnie?.. Słyszycie?.. Dlatego to kazałem spalić okręty, ostatnią ucieczkę tchórzów i próżniaków. Odwrót jest niemożliwy. Spełniło się. Tylko cud może nas ocalić. Teraz jesteście złączeni ze mną na śmierć i życie. Za dwadzieścia dni Azya będzie naszą! Otoczyłem was grozą i zagubą, ażebyście przezwyciężyli wszystko, stając się po-

dobnymi do mnie... Cieszcie się!.. Poprowadzę was, jak Dyonizos, przez świat cały, będziecie panami ludzi i bogów. Sami bogami będziecie!..

Zaledwie wymówił te wyrazy, gdy po całem wojsku rozległ się okrzyk bezgranicznej rozpaczy:

— Palą się!.. Palą się!..

Wodzowie śpiesznie wybiegli z namiotu, za nimi Julian.

Ujrzeli łunę pożaru. Wiktor sumiennie spełnił rozkaz cesarza. Flotę ogarniały płomienie, a Julian przyglądał się temu widokowi z niemym i dziwnym uśmiechem.

— Cesarzu! Bogowie niech nas strzegą! Uciekł!!.

Z temi słowy setnik padł blady i drżący do nóg Juliana.

— Uciekł?.. Kto?.. O kim mówisz?

— Artaban! Artaban! Biada nam! Zwiódł ciebie, cesarzu!..

— To niemożliwe!.. A jego niewolnicy?..— wyjąkał zdrętwiały Julian.

— Przed chwilą zeznali na torturach, że Artaban nie jest wcale satrapą, jeno celnikiem w Ktezyfonie. Uknuł ten podstęp, ażeby ocalić miasto, i zwabiwszy cię na pustynię, oddać w ręce Persów. Wiedział, że spalisz okręty. Powiedzieli również, iż Sapor zbliża się na czele znacznego wojska...

Cesarz puścił się pędem ku brzegom na spotkanie Wiktora:

— Gaście, gaście co prędzej!..

Ale głos mu zamarł w gardle. Zobaczywszy flotę w ogniu, zrozumiał Julian, że wydał rozkaz szalony, że teraz żadna już siła ludzka nie była w możności stłumić płomieni, które wiatr silny rozniecił.

W najwyższem przerażeniu chwycił się rękoma za głowę, i aczkolwiek nie miał już ani wiary, ani modlitwy w sercu, wzniósł oczy ku niebu, jak gdyby stamtąd jednak oczekiwał pomocy.

W górze blade gwiazdy zaledwie migotały przez łunę.

Wojsko burzyło się, groźniejsze co chwila...

— Persowie podpalili okręty!—jęczeli jedni, wyciągająo ramiona ku ginącej ostatniej swojej ucieczce.

— Gdzie tam! to sprawa wodzów, by nas zaciągnąć na pustynię i tam porzucić!—mówili w szale inni.

— Śmierć kapłanom!— wyli trzeci.—Kapłani zadali cesarzowi truciznę i odjęli mu rozum!

— Sława Augustowi Julianowi zwycięzcy! — wołali wierni Gallowie i Celtowie.—Milczcie, zdrajcy!.. Dopóki on żyje, możemy się nie obawiać niczego...

Tchórze lamentowali:

— Do ojczyzny! Do ojczyzny! Nie pójdziemy dalej! Nie chcemy iść na pustynię! Kroku dalej nie zrobimy! Raczej niech nas zabiją!..

— Nie zobaczymy więcej kraju rodzinnego, jak uszu swoich! Jesteśmy zgubieni, bracia! Persowie zwabili nas w zasadzkę.

— A co?.. nie widzicie?—tryumfowali galilejczycy.— Dyabli go opanowali!.. Bezbożny Julian zaprzedał im swą duszę, a oni go w przepaść wloką. Dokądże nas może poprowadzić szaleniec opętany od dyabłów?..

Tymczasem Julian, nie widząc nic i nie słysząc, jak we śnie, szeptał z uśmiechem bezsilnym i błędnym:

— Mniejsza o to... Cud spełnić się musi!.. Nie teraz, to później... Wierzę w cud!

XVII.

Był to pierwszy biwak nocny w odwrocie, szesnastego dnia po kalendach czerwcowych. Wojsko odmówiło dalszego pochodu. Ani prośby, ani rozkazy i groźby cesarza nie wywierały skutku. Celtowie, Rzymianie, poganie, chrześcijanie, śmiałkowie i tchórze—wszyscy odpowiadali jednym okrzykiem:

— Wracajmy do ojczyzny!

Wodzowie cieszyli się kryjomo, wróżbici etruscy tryumfowali otwarcie.

Po spaleniu okrętów powstali wszyscy.

Obecnie już nie tylko galilejczycy, ale nawet czciciele bogów Olimpu nabrali przekonania, że klątwa ciąży nad głową cesarza, że go ścigają Eumenidy.

Gdy przechodził przez obóz, ustawały rozmowy, wszyscy unikali go bojaźliwie.

Księgi sybilińskie i Apokalipis, augurowie etruscy i przebiegli chrześcijanie, bogowie i aniołowie łączyli się na zgubę wspólnego wroga.

Wtedy cesarz oznajmił, iż poprowadzi ich do ojczyzny przez prowincyę Korduanę, w kierunku żyznego Chiliocum.

Odwrót tą drogą dokonywany dawał nadzieję połączenia się z oddziałem Prokopa i Sebastyana. Julian pocieszał się myślą, że nie opuszcza bądź co bądź Persyi, że jeszcze może napotkać króla Sapora, wydać mu bitwę i osiągnąć zwycięstwo, które naprawi wszystko.

Ale Persowie się nie ukazywali. Chcąc osłabić armię rzymską przed rozstrzygającą walką, popodpalali

niwy bogate, złotym jęczmieniem i pszenicą okryte, tudzież śpichrze i stodoły wiejskie.

Żołnierze Juliana postępowali martwą pustynią śród nierozproszonego jeszcze dymu pożarów. Wszczął się głód.

W celu większego spustoszenia Persowie rozkopali groble kanałów i zatopili wypalone pola. Dopomagały im w tem strumienie i potoki, które wystąpiły z brzegów z powodu gwałtownego tajania śniegów na górach Armeńskich.

Woda wysychała szybko pod promieniami słońca czerwcowego. Na nieostygłej po pożodze ziemi pozostawały kałuże tłustego błota. Wieczorem z mokrych popielisk wydobywały się dymy trujące, wstrętna słodkawa woń gnijących zgliszcz przejmowała wszystko: powietrze, wodę, nawet odzież i pożywienie żołnierzy.

Ze zgniłych bagnisk podnosiły się miryady owadów: moskitów, jadowitych szerszeni, bąków i much rozmaitych, które tworzyły prawdziwe obłoki nad pociągowemi zwierzętami, lgnęły do spoconej skóry legionistów. Dniem i nocą słychać było ich usypiające brzęczenie. Konie ponosiły, woły łamały jarzma i wywracały wozy.

Po uciążliwych marszach żołnierze liczyć nie mogli na odpoczynek. Nawet pod namiotem nie można było znaleźć schronienia przed owadami, które wciskały się przez szpary. Chcąc zasnąć, trzeba się było z głową zawijać w duszne nakrycia.

Ukąszenia jakichś drobnych muszek przezroczystych, koloru gnoju, wywoływały obrzmienia i plamy, świerzbiące zrazu, które następnie jątrzyły się i przeistaczały w straszliwe ropne rany.

W ciągu ostatnich dni nie pokazało się słońce. Nizkie, gęste i duszne, jak sklepienie łaźni gorącej, niebo zdawało

się być porkyte jednostajną białą oponą obłoków, których nieruchomy blask jeszcze bardziej męczył oczy, niż słońce.

Tak szli wychudli, osłabieni, omdlałym krokiem, ze spuszczonemi głowami, pod nieubłaganem, białem, jak wapno, niebem, po czarnej zwęglonej ziemi.

Zdawało im się, że sam Antychryst, człowiek potępiony od Boga, doprowadził ich naumyślnie do tego przeklętego miejsca, ażeby ich zgubić. Oi szemrali, oczerniali wodzów, niewyraźnie jednak, niby w majaczeniu. Owi modlili się i płakali jak chore dzieci, wyżebrując od towarzyszów kawałek chleba albo łyk wina. Wielu padało z osłabienia po drodze.

Cesarz kazał rozdać pomiędzy wycieńczonych żołnierzy resztki zapasów, przechowywanych dla niego i jego świty. Sam zadowalał się cienką polewką mączną z kawałeczkiem łoju—strawą, od której odwróciłby się najmniej wybredny legionista. Dzięki nadmiernej wstrzemięźliwości pozostawał ciągle w niespokojnem podniecenia i jednocześnie cznł lekkość ciała, jak gdyby mu wyrosły skrzydła. Ta lekkość podtrzymywała go i wzmagała mu siły. Zmuszał się do niemyślenia o przyszłości. Powrócić do Antyochii lub Tarsu jako zwyciężony, wystawić się na naigrawania galilejczyków—czuł doskonale, że nie wytrzyma, jeżeli choć na chwilę tej myśli uwierzy.

Tej nocy żołnierze spali, ponieważ wiatr północny rozpędził owady. Oliwa, mąka i wino z ostatnich zapasów cesarza zaspokoiły głód. Nadzieja powrotu odżyła. Obóz ogarnęła cisza. Julian udał się do swego namiotu.

Obecnie wcale już nie sypiał, tylko nad ranem zapadał w lekką drzemkę. Jeżeli zdarzało mu się zasnąć głęboko, budził się przerażony z zimnemi kroplami potu na czole. Musiał się czuć w posiadaniu całkowitej świado-

mości, ażeby zagłuszyć trwogę, która nurtowała mu w duszy.

Wszedłszy do namiotu, rozjaśnił szczypcami małą lampkę, miedzianą, zawieszoną w pośrodku namiotu. Dokoła leżały w nieładzie zwoje pergaminu, a śród nich i Ewangelie. Zabierał się do pisania ulubionej swej pracy „Przeciw chrześcijanom,“ którą rozpoczął dwa miesiące temu na początku wyprawy. Położywszy się tyłem do drzwi, odczytywał rękopis, gdy wtem usłyszał lekki szelest.

Odwrócił się, krzyknął i zerwał na nogi. Zdawało mu się, że zobaczył widmo: na progu stał młodzieniec w nędznej brunatnej tunice z sierści wielbłądziej, na ramiona miał zarzuconą melotę pustelników egipskich, to jest zakurzoną skórę baranią, nogi bose w sandałach palmowych.

Cesarz patrzał i czekał, nie mając sił przemówić słowa. Była cisza godziny północnej.

— Czy pamiętasz...—ozwał się znany głos—czy pamiętasz, Julianie, jak przybyłeś do mnie do klasztoru? Odtrąciłam cię wtedy, ale zapomnieć nie mogłam, ponieważ dziwnie blizcy sobie jesteśmy...

Młodzieniec zrzucił kaptur czarny z głowy. Julian ujrzał złociste włosy i poznał Arsinoę.

— Skąd? Po coś tu przyszła? Dlaczego w tem przebraniu?

Wciąż jeszcze się obawiał, żeby to nie było widmo, które pierzchnie tak samo niespodzianie, jak powstało.

Arsinoe w kilku słowach opowiedziała mu o tem, co się z nią działo po ich rozstaniu.

Opuściwszy opiekuna Hortensyusza i rozdawszy ubogim znaczną część majątku, żyła długo pomiędzy anachoretami na południe od jeziora Mareotyckiego, na jałowej

wyżynie Libijskiej, w straszliwych pustyniach Netryi i Scetyi. Towarzyszył jej młody Juwentyn, uczeń ślepego starca Dydyma. Wspólnie odwiedzali anachoretów.

— I cóż? — pytał Julian z pewnem zalęknieniem: — i cóż, dziewczyno?. znalazła-żeś u nich to, czego szukałaś?

Zaprzeczyła ruchem głowy i rzekła smutno:

— Nic, tylko przebłyski światła, tylko napomknienia i zapowiadania, jak wszędzie.

— Mów, mów wszystko! — zakrzinał cesarz z oczyma, błyszczącemi nadzieją i wdzięcznością.

— Nie wiem, czy potrafię —odpowiedziała zwolna.— Widzisz, przyjacielu, ja szukałam wolności duszy, a jej tam niema...

— Tak!.. tak?.. nie prawdaż? — tryumfował Julian.— Mówiłem ci przecie, Arsinoe! Pamiętasz?

Siadła na stołku, okrytym skórą lamparcią, i mówiła dalej spokojnie z tym samym smutnym uśmiechem. Julian pochłaniał każde jej słowo radośnie i chciwie.

. . . .

— Powiedz mi, w jaki sposób opuściłaś tych nieszczęśliwych?—pytał Julian.

— I na mnie przyszła pokusa — odparła Arsinoe.— Raz w pustyni pomiędzy głazami napotkałam okruch białego marmuru. Podniosłam go i długo napawałam się jego blaskiem w słońcu, aż nagle przyszły mi na myśl Ateny, młodość, sztuka moja i ty! Ocknęłam się i postanowiłam powrócić do świata, by żyć i umrzeć tem, czem Bóg mnie stworzył—artystką. W tej samej chwili Dydym miał sen proroczy, w którym godziłam ciebie z Galilejczykiem...

— Z Galilejczykiem!.. —wykrzyknął cesarz.

I wnet sposępniała mu twarz, zgasło spojrzenie, uśmiech tryumfalny skonał na ustach.

— Ciekawość parła mnie do ciebie—ciągnęła Arsinoe.—Pragnęłam się dowiedzieć, czyś znalazł prawdę na swej drodze i do czego doszedłeś. Przywdziałam męską odzież zakonną. Z bratem Juwentynem popłynęliśmy Nilem do Aleksandryi, stamtąd statek przeniósł nas do Seleucyi Antyocheńskiej, poczem z wielką karawaną syryjską wyruszyliśmy przez Apameę, Epifanię i Edesę ku granicy. Śród tysiąca niebezpieczeństw i trudów przebyliśmy pustynie Mezopotamii, od Persów opuszczone. W pobliżu miasteczka Abuzatu, po zwycięstwie pod Ktezyfonem, ujrzeliśmy twój obóz. I oto jestem. A ty cóż mi powiesz, Julianie?

Westchnął i, nie odpowiadając, spuścił głowę na piersi.

Potem rzuciwszy na nią bystre, błagalne i podejrzliwe spojrzenie, zapytał:

— Obecnie... i ty go nienawidzisz, Arsinoe?

— Nie. Dlaczego?—odpowiedziała z prostotą.—Za cóż go nienawidzieć? Czyż mędrcowie Hellady nie zbliżali się do tego, co głosi Galilejczyk? Ci, którzy w pustyni umartwiają ciało swe i duszę, dalecy są od łagodnego syna Maryi. On kochał dzieci, wolność, wesołość uczt i pyszne lilie białe. On kochał piękno, Julianie! To my tylko oddaliliśmy się od niego, pogrążyli w mgle i mroku. Ciebie wszyscy nazywają odstępcą — otóż oni sami na tę nazwę zasłużyli...

Cesarz klęczał przed Arsinoe i wznosił ku niej błagalnie oczy pełne łez, które spływały zwolna po wychudłych policzkach.

— Nie trzeba! — szeptał.—Nie mów! Po co? Daj pokój temu, co było! Nie stawaj się znów nieprzyjaciółką moją!

— Nie, nie! muszę ci wszystko powiedzieć!—zawołała Arsinoe.—Posłuchaj! Wiem, że ty Go kochasz!.. Milcz... tak jest w istocie i w tem przekleństwo twoje! Przeciw komu powstałeś? Jakim-że to wrogiem jesteś dla Niego? Gdy usta twoje złorzeczą Ukrzyżowanemu, serce wyrywa się do Niego. Walcząc z Jego imieniem, bliższym Go jesteś w duchu od tych, których zmartwiałe wargi powtarzają: „Panie, Panie!“ Oto kto są twoi wrogowie, ale nie On. Dlaczego udręczasz się bardziej, niż mnichowie galilejscy?

Cesarz wyrwał się z objęć Arsinoi i powstał blady, jak śmierć. Twarz mu się wykrzywiła kurczowo, w oczach błysnęła zadawniona nienawiść. Z bolesnym, dumnym i złośliwym uśmiechem zaczął mówić:

— Odejdź... zdala ode mnie!.. Znam się na podejściach galilejskich!

Arsinoe spoglądała nań z przerażeniem i rozpaczą, jak na szalonego.

— Julianie... Julianie!.. Co tobie? Czy podobna, żeby jedno imię...

Ale on już się opanował.

Oczy mu zagasły, twarz stała się obojętną, prawie wzgardliwą. Cesarz rzymski przemawiał do galilejki:

— Oddal się, Arsinoe. Zapomnij o wszystkiem, coś słyszała ode mnie. Była to chwila słabości, która przeminęła. Odzyskałem spokój. Jak widzisz, jesteśmy wciąż obcy sobie. Cień Ukrzyżowanego pada wciąż pomiędzy nas. Tyś Go się nie wyrzekła. Kto nie jest Jego wrogiem, nie może mi być przyjacielem.

Padła na kolana przed nim.

— Dlaczego? Dlaczego? Co czynisz? Ulituj się nad sobą, dopóki nie jest za późno!... To szaleństwo! Powróć, lub....

Urwała, ale on dokończył za nią z wyniosłym uśmiechem.

— Lub zginę—to chciałaś powiedzieć, Arsinoe? Niech i tak będzie! Pójdę swoją drogą do końca, dokądkolwiek mnie doprowadzi. Jeżeli zaś, jak utrzymujesz, byłem niesprawiedliwy względem mądrości galilejskiej, przypomnij sobie, co przecierpiałem z ich winy, jak niezliczonych i pogardy godnych miałem wrogów! Słuchaj: raz żołnierze rzymscy w moich oczach znaleźli w pewnem bagnie w Mezopotamii lwa, napadniętego przez zjadliwe muchy. Wciskały mu się do gardła, do uszu, do nozdrzy, tamowały mu oddech, zalepiały oczy i ukłóciami swemi zwolna opanowywały moc lwią. Taką będzie śmierć moja, takiem zwycięstwo galilejczyków nad cesarzem rzymskim!

Dziewczyna nie przestawała wyciągać ku niemu z mroku rąk bladych, bez słowa, bez nadziei, jak przyjaciel do umarłego przyjaciela. Ale pomiędzy nimi była przepaść, której żywi nie przekraczają...

. . . .

Około 20 lipca wojsko rzymskie, po długim pochodzie przez wypalone stepy, napotkało w głębokiej dolinie rzeki Durus nieco trawy ocalałej od pożaru.

Niewymownie uszczęśliwieni legioniści wylegiwali się, wciągali w płuca wonną wilgoć ziemi i przyciskali chłodne łodygi wysokiej trawy do swych zakurzonych twarzy.

W pobliżu znajdowało się pole dojrzałej pszenicy. Żołnierze sprzątnęli zboże. Odpoczynek w tej miłej dolinie trwał przez trzy dni.

Rankiem dnia czwartego straże ujrzały na szczytach okolicznych wzgórz obłoki dymu czy kurzu. Jedni przypuszczali, że to osły dzikie, które zwykły gromadzić się w stada dla bezpieczeństwa przed napadem lwów; inni utrzymywali, że to Saraceni, których zwabiła wieść o oblężeniu Ktezyfonu; niektórzy wyrażali obawę, że to być może główna armia króla Sapora.

Cesarz nakazał otrąbić apel. Kohorty w surowym szyku obronnym, w kształcie wielkiego koła (orbiculata figura), pod osłoną zsuniętych w jeden mur metalowy puklerzy, ustawiły się na brzegu rzeki. Obłok dymu czy kurzu stał na widnokręgu do wieczora, co zaś kryło się za nim, tego nikt nie umiał odgadnąć.

Noc była chmurna i spokojna. Ani jedna gwiazda nie świeciła na niebie.

Rzymianie nie spali. Stojąc dokoła wielkich ognisk, wyczekiwali rana w milczącym niepokoju.

XVIII.

O wschodzie słońca ujrzeli Persów. Nieprzyjaciel posuwał się zwolna. Doświadczeni wojownicy obliczali jego siły na blizko dwakroć sto tysięcy. Co chwila wyłaniały się z za wzgórz nowe szeregi. Połysk zbroi był tak silny, że go znieść nie było można pomimo gęstego kurzu.

Rzymianie w milczeniu występowali z doliny i stawali w szyku bojowym. Twarze mieli poważne, ale nie smutne.

Niebezpieczeństwo stłumiło nienawiść, oczy wszystkich zwracały się na cesarza. Galilejczycy i poganie jed-

nakowo starali się odgadnąć z wyrazu jego twarzy, czy pozostała jaka nadzieja.

Julian zaś promieniał radością. Oczekiwał spotkania z Persami jako cudu, wiedząc, że zwycięstwo naprawi wszystko i da mu taką sławę i potęgę, której galilejczycy oprzeć się nie będą mogli.

Wyglądał wspaniale, jak starożytny bohater Hellady. Niebezpieczeństwo uskrzydliło go, w oczach iskrzył mu się ogień straszliwy i radosny.

Duszny i kurzliwy poranek 22 lipca zapowiadał dzień upalny.

Cesarz nie chciał przywdziać pancerza i pozostał w lekkiej jedwabnej tunice.

Zbliżył się do niego wódz Wiktor z kolczugą, mówiąc:

— Miałem zły sen, cesarzu. Nie wyzywaj przeznaczenia. Nałóż zbroję.

Julian odtrącił go ręką w milczeniu.

Starzec padł na kolana:

— Włóż ją! Miej litość nad twym niewolnikiem! Bój będzie zażarty.

Julian wziął tarczę okrągłą, zarzucił na ramię powłóczystą purpurę chlamidy i, wskakując na konia, rzekł:

— Daj mi pokój, starcze! Nic mi nie trzeba.

I pomknął, błyszcząc w słońcu złotym grzebieniem hełmu beockiego, a Wiktor, zaniepokojeny, ze smutkiem śledził go oczyma.

Persowie zbliżali się. Nie było czasu do stracenia.

Julian ustawił armię w szyku osobliwym, zwanym „lunaris acies,—sinuatis lateribus," w kształcie półksiężyca z powyginanymi końcami. Olbrzymie półkole miało w dwóch miejscach wbić się klinem w zastępy Persów i ścisnąć ich

z dwóch stron. Na prawem skrzydle dowodził Dagalaif, na lewem — Hormizda; Julian z Wiktorem objęli środek.

Zagrzmiały trąby.

Ziemia zadrżała i zahuczała od miękkich i ciężkich kroków słoni perskich, ozdobionych na czole piórami strusiemi. Silne rzemienie przytrzymywały na ich grzbietach wieżyczki skórzane, a z każdej czterech łuczników miotało falaryki—pociski płonące, z pakuł i smoły.

Jazda rzymska nie dotrzymała pola w pierwszem natarciu. Z ogłuszającym wrzaskiem, z podniesionemi trąbami roztwierały słonie paszcze wilgotne, i legioniści czuli na twarzach oddech potworów, doprowadzonych do wściekłości za pomocą specyalnego napoju z wina, pieprzu i kadzidła, którym barbarzyńcy odurzali je przed bitwą.

Pomalowanymi na czerwono kłami, zaopatrzonymi na końcu w skówki stalowe, słonie rozdzierały brzuchy koniom, trąbami zaś obejmowały jeźdźców, ściągały z siodeł i ciskały o ziemię. Skwar popołudniowy zwiększał jeszcze cierpki odor potu tych szarych, chwiejących się cielsk z kłapiącemi fałdami skór. Konie, poczuwszy ten zapach, drżały i stawały dęba.

Jedna kohorta już tył podała do ucieczki.

Byli to chrześcijanie.

Julian pobiegł ich dognać; wymierzywszy policzek głównemu dekuryonowi, krzyknął wściekły:

— Podli tchórze! Tylko modlić się umiecie!

Oddział lekkich łuczników trackich i procarzy paflagońskich wystąpił naprzeciwko słoni. Poza nimi szli zręczni Illiryjczycy, miotacze dzirytów ołowiem obciążonych, „martiobarbule.“ Julian wydał rozkaz kierowania w nogi potworów strzał, kamieni i dzirytów. Jedna strzała trafiła w oko olbrzymiego słonia indyjskiego, który z ry-

kiem stanął dęba. Trzasnęły popręgi, ześliznęło się siodło, podtrzymujące wieżyczkę skórzaną, i łucznicy perscy wysypali się jak pisklęta z gniazda.

Powstał zamęt pomiędzy gruboskórcami. Rażone w nogi, padały, i wkrótce utworzyła się góra czarnych cielsk. Popodnoszone w powietrze nogi, zbroczone krwią trąby, połamane kły, powywracane wieżyczki, konie napół zmiażdżone, Rzymianie i Persowie poranieni lub martwi—wszystko zmieszało się z sobą.

Wreszcie słonie pierzchły, rzuciły się na Persów i tratować ich zaczęły. Ale niebezpieczeństwo to było przewidziane w taktyce barbarzyńców. Doświadczenie, nabyte w bitwie pod Nisibis, przekonało ich, że wojsko może być wytępione przez własne swe słonie.

Wnet więc kornacy zagiętymi nożami, uwiązanymi u prawej ręki, poczęli uderzać potwory pomiędzy dwa najbliższe mózgu kręgi kości pacierzowej. Jeden taki cios wystarczał na zabicie największego i najsilniejszego słonia. Kohorty martiobarbulów rzuciły się naprzód, przełażąc przez ciała ranionych zwierząt i ścigając uciekające.

Julian zaś poskoczył na pomoc lewemu skrzydłu. Z tej strony nacierali „klibanaryusze" perscy, słynny oddział jeźdźców, związanych, skiejonych z sobą za pomocą silnego łańcucha, pokrytych od stóp do głów łuską metalową, nietykalnych, prawie że nieśmiertelnych w boju, podobnych do posągów, ulanych z bronzu. Nie można ich było zranić inaczej, tylko w otwory do ust i oczu pozostawione.

Przeciw kilbanaryuszom skierował Julian kohorty starych i wiernych swych przyjaciół, Batawów i Celtów. Ci szli na śmierć za jeden uśmiech cesarza, spoglądając nań oczyma, pełnemi dziecięcego zapału.

Prawemu skrzydłu Rzymian zagrażały wozy perskie, ciągnione przez pasiaste cienkonogie zebry. Do osi były poprzyczepiane kosy cienkie a długie, które, obracając się ze straszną szybkością, od jednego zamachu odrzynały nogi koniom, głowy żołnierzom, przecinając ciała z taką łatwością, z jaką sierp żniwiarza kosi cienkie łodyżki kłosów.

Na schyłku dnia klibanaryusze osłabli, nie mogąc znieść dłużej rozpalonej zbroi.

Julian skierował na nich wszystkie siły.

Zachwiali się, zamieszanie powstało w ich szeregach. Z ust cesarza wyrwał się okrzyk tryumfu.

Rzucił się naprzód, ścigając uciekających, i nie zauważył, że wojsko pozostało w tyle. Kilkunastu tylko obrońców towarzyszyło cesarzowi, a w ich liczbie sędziwy wódz Wiktor. Starzec pomimo rany w ręce nie czuł bólu, nie opuszczał ani na chwilę cesarza, broniąc go przed śmiertelnymi ciosami i osłaniając swą długą tarczą. Wiedział wódz doświadczony, że zbliżać zbytnio do wojska w ucieczce równie jestni ebezpiecznie, jak podchodzić do budynku, grożącego ruiną.

— Co czynisz, cesarzu? — wołał:—strzeż się! Weź moją kolczugę!

Julian, nie słuchając, pędził naprzód ze wzniesionemi rękoma, z piersią odsłonioną, jak gdyby sam, bez wojska, własną swą twarzą i straszliwymi ruchami rozpraszał niezliczonych wrogów. Wesoły uśmiech igrał mu na ustach; śród tumanu kurzu, wzbitego zapamiętałym galopem rumaka, błyszczał jego hełm beocki, a na wolę wiatru puszczone zwoje chlamidy wyglądały jak dwa szkarłatne skrzydła olbrzymie, unoszące cesarza wciąż dalej a dalej.

Przed nim pierzchał oddział Saracenów. Jeden z jeźdźców odwrócił się, poznał cesarza po stroju i wskazał go towarzyszom z okrzykiem gardlanym, przypominającym klekot orła:

— Malek!.. Malek!.. Król!.. Król!..

Odwrócili się wszyscy i, nie wstrzymując koni, wskoczyli z nogami na siodła, całkiem biali w swych długich szatach, z dzidami wzniesionemi ponad głowy.

Cesarz ujrzał bronzową twarz rozbójnika. Było to dziecko prawie. Podbiegał do niego na wielbłądzie baktryańskim, u którego sierci chwiały się grudki zeschłego błota...

Wiktor tarczą swą odwrócił dwie dzidy saraceńskie, wymierzone na cesarza.

Wtedy zmierzył młodzieniec na swym wielbłądzie, i wzrok jego drapieżny błysnął, gdy szczerząc białe zęby, krzyczał radośnie:

— Malek! Malek!..

— Jaki on szczęśliwy! — pomyślał Julian. — A ja jeszcze...

Nie miał czasu dokończyć myśli, gdy dzida świsnęła, trafiła go w dłoń prawą, z której zdarła naskórek,ześliznęła się wzdłuż bioder i utkwiła powyżej wątroby. Julian sądził, że rana jest lekka, chwycił ostrze obosieczne, chcąc je wydobyć, i obciął sobie palce. Trysnęła krew. Julian krzyknął, zarzucił w tył głowę, utkwił oczy szeroko rozwarte w bladem niebie i spadł z konia w ramiona towarzyszów.

Wiktor podtrzymywał go ze czcią i miłością, a wargi mu drżały, gdy mętnem z żałości wejrzeniem spoglądał na zamykające się oczy władcy.

Nadjeżdżały spóźnione kohorty.

XIX.

Zaniesiono cesarza do namiotu i złożono na łożu obozowem. Nie wracał do przytomności, wydając jęki co chwila.

Lekarz Orybazy wyciągnął żeleźce dzidy z głębokiej rany, którą obmył i opatrzył. Wiktor spojrzeniem zapytywał: czy jest nadzieja? Orybazy smutno potrząsnął głową. Po przewiązaniu rany Julian westchnął i otworzył oczy.

— Gdzie jestem? — zapytał zdziwiony, rzucając dokoła spojrzenia.

Usłyszawszy dalekie odgłosy bitwy, przypomniał sobie wszystko i z wysiłkiem podniósł się na posłaniu.

— Dlaczego mię odprowadzono? Gdzie mój koń? Prędzej, Wiktorze!..

Nagle twarz wykrzywiła mu się z bólu. Rzucili się wszyscy, by go podtrzymać. Odtrącił Wiktora i Orybazego.

— Puśćcie mnie! Muszę być z nimi do końca!

Dusza jego walczyła ze śmiercią. Zwolna powstał blady uśmiech, błąkał mu się po ustach, oczy płonęły.

— Widzicie, że mogę jeszcze... Prędzej, miecz mój, puklerz i konia!

Wiktor podał mu puklerz i miecz. Julian wziął oręż i, chwiejąc się, jak dziecię, co jeszcze chodzić nie umie, postąpił kilka kroków.

Ale rana się otworzyła. Upuścił broń, padł na ręce Orybazego i Wiktora, i podniósłszy oczy do góry, zawołał ze spokojną pogardą:

— Skończyło się. Zwyciężyłeś, Galilejczyku! Nenikekas, Galilaîe!

I nie stawiając już oporu, oddał się w ręce otoczenia. Ułożono go znowu na pościeli.

— Tak, przyjaciele — powtórzył zcicha: — umieram...

Orybazy nachylił się nad nim i pocieszał go, zapewniając, że rana da się zagoić.

— Nie zwódź mnie — oparł Julian łagodnie. — Na co? Ja się nie boję....

Poczem dodał uroczyście:

— Umrę śmiercią mędrców.

Wieczorem stracił przytomność.

Upływały godziny.

Słońce zaszło. Ustała walka. Zapalono lampę w namiocie. Noc zapadła szybko.

Julian nie wracał do przytomności. Oddech mu osłabł. Sądzono, że kona. Wreszcie powoli otworzył oczy i utkwił wzrok nieruchomy w jednym kącie namiotu. Z ust wybiegł mu szept prędki. Majaczył:

— Ty? Tutaj? Po co?.. Przecie już! po wszystkiem. Czy nie widzisz? Odejdź!.. Nienawidziłeś śmiechu. Tego ci nie przebaczymy...

Potem odzyskał na krótką chwilę zmysły i zapytał Orybazego:

— Która godzina? Czy ujrzę jeszcze słońce?

I po namyśle dodał ze smutnym uśmiechem:

— Orybazy, więc naprawdę rozum tak jest bezsilny? Wiem, iż to osłabienie ciała... Krew, przepełniając mózg, stwarza widziadła... Należy przezwyciężyć... Trzeba, żeby rozum...

Tu myśli znowu mu się splątały, wzrok stawał się nieruchomym.

— Nie chcę... Czy słyszysz? Odejdź, kusicielu! Nie wierzę... Sokrates umierał, jak bóg... Trzeba, żeby rozum... Wiktorze, ach, Wiktorze!.. Czego chcesz odem-

mnie, nieubłagany? Miłość twa straszniejsza od śmierci Brzemię twoje najcięższem brzemieniem... Czemu na mnie tak spoglądasz?.. Jak ja cię kochałem, dobry Pasterzu!.. Ciebie tylko! Nie, nie!.. Nogi przeszyte?.. Krew? Śmierć Hellady?.. Ciemności?.. Ja chcę słońca, złocistego słońca... na marmurach Partenonu!.. Dlaczego zasłoniłeś słońce?

Było już po północy...

Legiony powróciły z pola. Zwycięstwo nie radowało ich. Pomimo znużenia prawie nikt nie spał. Wyczekiwano wiadomości z namiotu cesarskiego. Wielu, wspartych na długich włóczniach, drzemało, stojąc przy nawpół zagasłych ogniskach. Słychać było, jak spętane konie parskały i żnły owies.

Pomiędzy ciemnymi namiotami zajaśniały białawe smugi na widnokręgu. Gwiazdy zapadły w głąb nieba i stały się chłodniejsze. Wstała w powietrzu wilgoć, ostrza dzid i tarcze zamgliły się od szarej jak pajęczyna rosy. Zapiały kury wróżbitów etruskich, ptaki wieszcze, których kapłani nie utopili wbrew rozkazowi cesarza. Cichy smutek zawisnął w niebiosach i nad ziemią. Wszystko wydawało się złudnem: dalekie—blizkiem, blizkie—dalekiem.

U wejścia do namiotu Juliana tłoczyli się przyjaciele, wodzowie, dworzanie, wyglądający jak blade cienie w półmrokach przedświtu.

Uroczyste milczenie panowało w namiocie. Lekarz Orybazy z miarowym stukiem rozcierał w moździerzu zioła lecznicze na uspokajający napój. Chory był spokojny, maligna ustąpiła. O świcie po raz ostatni odzyskał przytomność i niecierpliwie zapytał:

— Kiedyż wreszcie pokaże się słońce?

— Za godzinę—odpowiedział Orybazy, spojrzawszy na poziom wody w klepsydrze.

— Przywołajcie wodzów—rozkazał Julian. — Muszę do nich przemówić.

— Ukochany cesarzu,—zauważył uczony—to ci może zaszkodzić.

— Mniejsza o to. Nie umrę przed wschodem słońca... Podnieś mi głowę, Wiktorze! Tak. Dobrze.

Zawiadomiono go o zwycięstwie nad Persami, o ucieczce wodza jazdy nieprzyjacielskiej Merona i dwu synów króla Sapora, o śmierci pięćdziesięciu satrapów.

Julian nie okazywał zdziwienia, ani też radości. Pozostał obojętnym.

Weszli Dagalaif, Hormizda, Newitta, Arynteusz, Lucylian i prefekt Wschodu Salustyusz. Na przedzie szedł komes Jowian. Większość w przewidywaniu przyszłości pragnęła mieć na tronie tego niedołężnego i bojaźliwego człowieka, który dla nikogo nie mógł być niebezpiecznym. Spodziewano się odpocząć za jego rządów po troskach zbyt burzliwego panowania Juliana. Jowian miał dar podobania się wszystkim. Był wysoki, przystojny, ale nie wyrastał ponad tłumy. Twarz miał pospolitą, serce poczciwe i nijakie.

Śród poufałych znajdował się również młody centuryon nadwornych tarczowników, w przyszłości słynny dziejopis, Ammianus Marcellinus. Wiadomo było wszystkim, że pisze pamiętnik wyprawy i gromadzi materyały do wielkiego dzieła historycznego. Wszedłszy do namiotu, Ammianus wydobył z kieszeni tabliczki woskowe i stylus. Przygotowywał się do zapisania słów konającego cesarza, i na męskiej twarzy jego można było wyczytać głębokie a bezstronne zaciekawienie artysty lub uczonego.

— Podnieście zasłonę!—rozkazał Julian.

Odrzucono kotarę. Wszyscy odeszli na stronę. Świe-

że powietrze poranku owionęło twarz konającego. Drzwi wychodziły na wschód, nic nie zasłaniało widnokręgu.

Julian ujrzał na końcu horyzontu jasne obłoki, jeszcze zimne i przezroczyste, jak lód. Westchnął i rzekł:

— Dobrze. Teraz zgaście lampę.

Wykonano rozkaz. Ciemność zapanowała w namiocie. Wszyscy oczekiwali w milczeniu.

— Posłuchajcie mnie, przyjaciele... — zaczął Julian.

Mówił cicho, ale wyraźnie i spokojnie. Cała jego istota tchnęła tryumfem rozumu, w oczach błyszczała nieugięta wola.

Amian zapisywał drżącą ręką. Czuł, że kreśli na tablicy Dziejów, przekazując potomności ostatnie słowa wielkiego cesarza.

— Posłuchajcie, przyjaciele. Godzina moja nadeszła, być może za wcześnie, ale widzicie, że się raduję, jak sumienny dłużnik, zwracając swój żywot naturze, i w duszy mej nie gości smutek ani trwoga, jeno spokojne zadowolenie mędrców, przeczucie wiecznego spoczynku. Spełniłem obowiązek, i wspominając przeszłość, nic sobie nie wyrzucam. Zarówno w onych dniach, gdy zewsząd prześladowany, wyglądałem śmierci w pustyni Kapadockiej na zamku Macellum, jak i później, na szczycie wielkości, w purpurze cesarza rzymskiego, zachowywałem duszę bez zmazy, dążąc do celów wzniosłych. Jeżeli nie spełniłem wszystkiego, com był zamierzył, to nie zapominajcie, że sprawy ziemskie są w zależności od przeznaczenia. Dziś składam dzięki Przedwiecznemu, że mi pozwala umierać nie wskutek długiej choroby, ani też z ręki złoczyńcy lub kata, lecz na polu bitwy, w rozkwicie młodości, pośród nieukończonych przedsięwzięć. . . . . Opowiedzcie, ukochani, przyjacio-

łom moim i wrogom, jak umierają Hellenowie, boską mądrością pokrzepieni...

Zamilkł. Wszyscy poklękali.

Wielu płakało.

— Co czynicie, biedni przyjaciele moi? — zapytał Julian z uśmiechem.—Nie godzi się opłakiwać tych, którzy powracają do ojczyzny. Uspokój się, Wiktorze.

Starzec chciał odpowiedzieć, ale nie mógł, tylko ukrył twarz w dłoniach i załkał jeszcze głośniej.

— Ciszej, ciszej!—rzekł Julian, kierując wzrok w niebo.—Oto ono!

Zapłonęły obłoki. Mrok w namiocie pożółkł i pociepłał. Błysnął pierwszy promień słońca. Konający zwrócił oblicze swe ku niemu.

Wtedy prefekt Wschodu, Salustyusz Sekundus, zbliżył się do Juliana i, całując go w dłoń, zapytał:

— Kogo przeznaczasz na swego następcę, ukochany Augnście?

— Wszystko jedno— odrzekł cesarz.—Los rozstrzygnie. Sprzeciwiać mu się nie należy. Niech tryumfują galilejczycy. My zwyciężymy — później. Nastąpi na ziemi panowanie istot równych bogom, uśmiechniętych wiecznie, jak słońce! Patrzcie, oto ono!..

Lekki dreszcz wstrząsnął mu ciałem. Ostatnim wysiłkiem Julian podniósł ręce, jak gdyby chciał się rzucić na spotkanie wschodzącego światła. Czarna krew trysnęła z rany. Na skroniach i szyi żyły nabrzmiały.

— Pić... pić!..—szepnął, dusząc się.

Wiktor zbliżył mu do ust puhar złoty, napełniony po brzęgi wodą zdrojową, a Julian wpatrywał się w słońce i pił chciwie płyn przezroczysty i zimny, jak lód.

Potem głowa mu opadła w tył, a z wpółotwartych ust wybiegło ostatnie westchnienie, szept ostatni:

— Radujcie się!.. Śmierć... to słońce... O Heliosie!.. bierz mnie... Jestem jako ty!..

Wzrok zagasł. Wiktor zamknął Julianowi oczy.

Oblicze cesarza w blasku słońca wyglądało jak oblicze śpiącego boga Olimpu.

XX.

Ubiegły trzy miesiące od zawarcia przez Jowiana haniebnego pokoju z Persami.

Na początku października wojsko rzymskie, wyczerpane głodem i uciążliwym marszem przez skwarną Mezopotamię, powróciło nareszcie do Antyochii.

W czasie tego smutnego odwrotu trybun tarczowników Anatol związał się przyjaźnią z młodym historykiem Amianem Marcelinem. Obaj przyjaciele postanowili udać się do Italii, ażeby tam w zacisznej willi w Bajach, dokąd ich zapraszała Arsinoe, wypocząć po trudach wojennych i goić swe rany w źródłach siarczanych.

W przejeździe zatrzymali się na kilka dni w Antyochii, gdzie właśnie przygotowywano wspaniałe uroczystości z powodu wstąpienia na tron Jowiana i powrotu armii. Pokój, zawarty z królem Saporem, był niezaszczytny dla cesarstwa: pięć bogatych prowincyi rzymskich po tamtej stronie Tygrysu, a pomiędzy niemi Korduana i Regimena, piętnaście warowni granicznych, miasta Syngara, Castra Maurorum i stare, niezdobyte Nisibis, który trzy oblężenia Persów wytrzymał—wszystko to przechodziło w ręce króla Sapora.

Ale galilejczyków mało obchodziło niepowodzenie Rzymu. Kiedy do Antyochii nadeszła wiadomość o zgonie cesarza Odstępcy, zastraszeni obywatele podejrzewali

w tem na razie nowy podstęp szatański, nowe sidła, nastawione na uwikłanie wiernych. Ale gdy wiadomość została stwierdzona, radość ich doszła do szaleństwa.

Wczesnym rankiem gwar świąteczny i krzyki ludzkie wdarły się przez zamknięte szczelnie okienice do ciemnej sypialni Anatola. Postanowił przez cały dzień nie wychodzić z domu. Wesołość pospólstwa budziła w nim odrazę.

Próbował zasnąć znowu, ale napróżno, gdyż opanowała go dziwna ciekawość. Nie mówiąc nic Ammianusowi, ubrał się śpiesznie i wyszedł na ulicę.

Był świeży poranek jesienny. Wielkie krągłe obłoki na ciemnem tle lazuru zlewały się z marmurami niezliczonych kolumnad i portyków Antyochii. Na forum i innych placach szemrały fontanny. W słonecznie kurzliwej perspektywie ulic widać było przecinające się, jak ruchome nici z kryształu, szerokie strugi z wodociągów miejskich. Gołębie z gruchaniem dziobały ziarnka jęczmienia. Z wielkich, otwartych naoścież podwojów kościelnych wydobywał się zapach kwiatów, kadzideł i mokrego kurzu. U cystern smukłe dziewczęta, śmiejąc się, spryskiwały wodą koszyki bladych róż październikowych i przy śpiewie wesołych psalmów oplatały girlandami kwiecia kolumny bazylik chrześcijańskich.

Hałaśliwy tłum przepełniał ulice. Środkiem, po wspaniałym bruku antyocheńskim, stanowiącym dumę rady miejskiej dekuryonów, zwolna posuwały się wozy i lektyki. Co chwila rozlegały się okrzyki:

— Sława Jowianowi Augustowi! Wielkiemu i szczęśliwemu!

Niektórzy dodawali: „Zwycięzcy!“ niepewnym wszakże głosem, ponieważ wyraz ten za bardzo wyglądał na drwiny.

Ten sam ulicznik, który dawniej rysował na ścianach karykatury Juliana, obecnie gwizdał, klaszcząc w dłonie, wywracał koziołki w piasku i krzyczał:

— Zginął, zginął dzik okrutny, pustoszyciel winnicy Pańskiej!

Powtarzał te zasłyszane wyrazy, które wydawały mu się tem większą obelgą, że znaczenia ich nie rozumiał.

Jakaś zgarbiona staruszka w łachmanach, mieszkająca w wilgotnej norze na brudnem przedmieściu, jak stonoga, wypełzła również na słońce, używając święta, potrząsała kijem i wykrzykiwała drżącym głosem:

— Zginął Julian! Zginął ten nędznik!

Wesołość świąteczna odbijała się nawet w szeroko otwartych ze zdziwienia oczętach niemowlęcia, które trzymała na ręku śniada wychudła robotnica z fabryki purpury. Matka dała mu placuszek z miodu. Widząc jaskrawe stroje w słońcu, dziecię machało rączkami w zachwycie i nagle odwracało szybko pulchną zamazaną miodem twarzyczkę i uśmiechało się figlarnie, jak gdyby rozumiało wszystko, tylko powiedzieć nie chciało. A matka z dumą myślała, że rozumny chłopiec bierze udział w radości pobożnych z powodu zgonu Potępionego.

Smutek bezbrzeżny ogarniał serce Anatola. Szedł jednak coraz dalej, ciekawością zdjęty. Idąc Singonem, zbliżył się do świątyni katedralnej. Tam ujrzał wychodzącego z bazyliki urzędnika kwestury, Marka Auzoniusza, w towarzystwie dwóch niewolników, którzy kułakami torowali mu drogę w tłumie.

— Co to jest?—dziwił się Anatol.— I ten wróg galilejczyków tutaj?

Fijoletową chlamidę Auzoniusza i nawet pantofle jego ponsowe zdobiły wyszywane złotem krzyże.

Junius Mauricus, drugi przyjaciel Anatola, podszedł do Auzoniusza.

— Jak się miewacie, czcigodny panie?—zapytał, spoglądając z udanem drwiącem zdziwieniem na nowy kostium chrześcijański dostojnika.

Juniusz był człowiekiem niezależnym i zamożnym, dla którego zmiana wyznania żadnej nie mogła przynieść korzyści. Nie dziwił się bynajmniej nagłem nawróceniom swych współtowarzyszów urzędników, jednakże znajdował przyjemność w tem, żeby im przy każdem spotkaniu dokuczać pytaniami i odgrywać wobec nich rolę człowieka dotkniętego, który pod maską ironii ukrywa oburzenie.

Tłum śpieszył się zająć miejsce w świątyni, więc na pustym placyku przed kościołem przyjaciele mogli swobodnie rozmawiać. Anatol stanął za kolumną i przysłuchiwał się rozmowie.

— Dlaczego nie zostałeś do końca nabożeństwa?— pytał Mauricus.

— Dostałem bicia serca. Duszno mi było. Cóż robić?.. nie jestem przyzwyczajony...

Po chwili zaś dodał:

— Jednakowoż ten nowy kaznodzieja ma styl niezwykły! Jego hyperbole zanadto mi działają na nerwy. To mi styl... Jakbyś drapał żelazem po szkle!

— Doprawdy! To wzruszające! — cieszył się Mauricus.—Człowiek —zdradził wszystko, ale co się tycze dobrego stylu...

— Nie, nie! widocznie, jeszcze w tem nie zdążyłem zasmakować!—przerwał Auzoniusz.—Nie sądź tylko, Maurykusie... ja przecie szczerze...

Z miękkiej lektyki wysiadł, stękając, sam wielki kwestor Gargilian.

— Zdaje mi się, że się spóźniłem... Ale to nic nie szkodzi... postoję w przedsionku... Pan Bóg jest Duchem wszechobecnym...

— Cud! — śmiał się Mauricus: — słowa Pisma Świętego w ustach Gargiliana!

— Niech ci Chrystus przebaczy, mój synu! — odrzekł niezmieszany kwestor.—Czego ty się wiecznie miotasz i docinasz?

— Ależ bo nie mogę się dotąd oswoić... Tyle nawróceń, tyle przeistoczeń!.. Co do ciebie, naprzykład, byłem najpewniejszy, że przynajmniej twoje przekonania...

— Co za niedorzeczność, mój przyjacielu! Mam tylko jedno przekonanie, że kucharze galilejscy nie są gorsi od helleńskich. Jak ci przyprawią postną potrawę—no—rozchorować się można! Nawrócę cię wnet na swoją wiarę. Palce lizać będziesz. Boć ostatecznie, czyż to nie to samo zjeść dobry obiad na cześć boga Merkurego, albo świętego Merkurego? Przesądy! Co komu zawadzać może takie ładne cacko?

Tu wskazał mały krzyżyk bursztynowy, kołyszący mu się na wspaniałym brzuchu pomiędzy uperfumowanemi fałdami kosztownej tuniki z purpury ametystowej.

— Patrzcie, patrzcie, to Hekebolis, arcykapłan bogini Astarty Dindymeny! Pokutujący hierofaut w ciemnej szacie galilejskiej! O, czemuż ciebie tu niema, śpiewaku Metamorfoz!— tryumfował Mauricus, wskazując pokaźnego siwowłosego starca, z cichą powagą na rumianej twarzy, siedzącego w odsłonionej lektyce.

— Co on tam czyta?

— Z pewnością nie prawa bogini z Pesynontu.

— Co za święta pokora! Zmizerniał od postów!.. Patrzcie, jak wzdycha, wznosząc oczy ku niebu!

— A znacie historyę jego nawrócenia? — pytał Gargilian z wesołym śmiechem.

— Poszedł pewno do cesarza Jowiana i rzucił mu się do nóg jak ongi Julianowi.

— O nie! Wynalazł coś nowego. Niespodzianą skruchę publiczną! Padł krzyżem u drzwi bazyliki w chwili, gdy Jowian wychodził, krzycząc: „Depczcie mnie, depczcie! Jam jest sól niesłona!“ I z płaczem całował stopy przechodniów.

— Tak, to naprawdę coś nowego. I cóż? podobało się?

— Jeszcze jak! Mówią, że miał osobne posłuchanie u cesarza. O, ludzi takich, jak on, nie ima się ogień ani woda! Ze wszystkiego wyciągną korzyść. Odmładzają się, zrzucając starą skórę. Uczcie się, moje dzieci...

— Co też mógł powiedzieć cesarzowi?..

— Czego nie mógł nagadać! — westchnął Gargilian nie bez tajemnej zazdrości. — Mógł powiedzieć naprzykład tak: „Trzymaj się mocno chrześcijaństwa, żeby jeden poganin nie ostał się na świecie. Religia sprawiedliwych jest podstawą twego tronu.“ Teraz ma zapewnione powodzenie Bardziej niż za czasów Juliana. Niepodobna go naśladować!.. Święta mądrość!..

— Dobrodzieje moi, brońcie mnie! Wyrwijcie pokornego waszego niewolnika Cykumbryka ze szponów lwich!

— Co się stało?—zapytał Gargilian koślawego szewca suchotnika o prostodusznej, wylękłej, twarzy, którego ciągnęło dwóch dozorców więzienia rzymskiego.

— Wloką do ciemnicy!

— Za co?

— Za zrabowanie kościoła...

— Jak to? Więc ty...?

— Nie, nie! Byłem tylko w tłumie i krzyknąłem raz czy dwa razy: „Bijcie ich!“ To było jeszcze za Augusta Juliana. Mówiono wtedy: „Cesarz sobie życzy, żeby burzyć kościoły galilejskie.“ Tośmy burzyli. A teraz źli ludzie donieśli, jakobym ukradł z pod ołtarza puhar srebrny. A ja nawet nie wchodziłem do kościoła, tylko z ulicy krzyknąłem ze dwa razy: “Bij, bij“! Że mnie człowiek spokojny. Mam sklepik nędzny, ale na placu bardzo ludnym, i niech tylko się co najmniejszego stanie, zaraz mnie zaplątają. Albo to ja dla siebie? A mnie co po tem? Mówili: „Taki rozkaz!“ Ach, obrońcie mnie, zlitujcie się nade mną!

— Jesteś chrześcijaninem, czy poganinem?—pytał Juniusz.

— Kiedy sam nie wiem! Przed cesarzem Konstantynem składałem ofiary bogom. Potem ochrzcili mnie. Za Konstancyusza, nastąpił aryanizm, więc i ja zostałem oryaryaninem. Potem olimpijczyey panowali. Byłem hellenem. Obecnie widać znowu wracają do tego, co było na początku. Chciałbym okazać skruchę i powrócić do kościoła aryańskiego, ale boję się znowu pomylić. Burzyłem świątynie bogów, potem je odbudowywałem, a potem burzyłem znowu! Więc mi się wszystko pomieszało w głowie!.. Sam nie wiem, czem jestem. Słucham zwierzchności, ale nigdy nie mogę utrafić na prawdziwą religię. Wiecznie albo za wcześnie, albo za późno! Nie mam chwili spokoju; już taki mój los widać:biją za Chrystusa i biją za bogów... Żal mi dzieci... Brońcie mnie, dobrodzieje moi, wyswobódźcie Cykumbryka, pokornego sługę waszego!..

— Nie obawiaj się, mój drogi — rzekł Gargilian z uśmiechem:—będziesz uwolniony. Postaramy się o to.

Szyłeś mi dobre buty skrzypiące, więc nie zapomnę o tobie...

Cykumbryk padł na kolana, wyciągając ręce w kajdanach, a po chwili, uspokojony nieco, zapytał nieśmiało:

— A co do religii? Jakże mam postąpić? Czy trzeba okazywać skruchę i odtąd już trzymać się tego aż do końca? Nie będzie więcej zmian? Bo ja się wciąż boję, że jeżeli znowu...

— Nie obawiaj się niczego! — rzekł Gargilian. — Już teraz nie będzie zmian.

Anatol, nie pokazując się przyjaciołom, wszedł do świątyni. Chciał posłuchać młodego i słynnego kaznodziei Teodoryta.

W chwiejnych obłokach dymu kadzideł drżały błękitnawe snopy promieni słonecznych, przedostając się przez wązkie górne okna wielkiej kopuły, do złotego nieba podobnej, symbolu światowładnego Kościoła Powszechnego. Jeden promień padał na rudą brodę stojącego na ambonie mówcy. Miał on wychudłe ręce, przezroczyste w słońcu jak wosk, oczy mu błyszczały tryumfem, a głos grzmiał, wstrząsając tłumy, napełniał kościół i wzlatywał ku niebu z okrzykiem pomsty:

— Chcę, niby na pręgierzu haniebnym, wyryć dla przyszłych pokoleń dzieje niecnego odstępcy Juliana! Niech po wszystkie wieki naród wszelki odczytuje mój napis i drży przed wyrokami sprawiedliwości Bożej Przyjdź, przyjdź tutaj, kacie, wężu przebiegły! Dzisiaj my nad tobą naigrawać się będziemy; zjednoczmy się w duchu, bracia, i radujmy się, uderzajmy w cymbały i wznieśmy hymn zwycięski, który śpiewała Miriam po zagładzie Egipcyan w morzu Czerwonem! Niech się raduje pustynia i zakwitnie jako lilia, niech się raduje Kościół, co wczoraj i onegdaj był wdowi i sierocy! Patrzcie, mnie radość

upaja!.. Ale jakiż głos, jaka wymowa godną jest takiego cudu! Gdzież twe ofiary, twe obrzędy, gdzie twe misterya, cesarzu? Gdzie twe zaklęcia i znaki wróżbiarzy? Gdzie sztuka wróżenia z rozdartych wnętrzności ludzi żywych? Gdzie chwała Babilonu? Gdzie Persowie i Medowie? Gdzie towarzyszący ci bogowie, obrońcy twoi, Julianie? Wszystko znikło, wszystko cię zawiodło, wszystko się rozwiało!

— Ach, moja droga, cóż za broda!— zauważyła do sąsiadki stara i uróżowana patryoyuszka, stojąca obok Anatola.— To czyste połyskujące złoto!

— Tak, ale za to zęby... — odparła tamta.

— Co tam zęby!.. Nic nie znaczą przy takiej piękności!

— A, nie, Weroniko! Jak można! Nie mów tego.

— A zresztą, co za porównanie z bratem Teofaniuszem...

Teodoryt grzmiał dalej:

— Pan skruszył mięśnie niegodziwego! Darmo Julian krzewił w sobie niecnotę, jak najgorsze i najdziksze stworzenia i gady gromadzą jad. Bóg czekał, aż całe okrucieństwo Juliana wyjdzie na wierzch, jak trąd zabójczy...

— Żeby się tylko nie spóźnić do cyrku!—szeptał inny sąsiad Anatola, rzemieślnik, do ucha towarzysza. — Będą niedźwiedzice brytańskie.

— Nie może być! Niedźwiedzice?..

— A jakże! Jedna zowie się „Złota okruszyna"— (Mica Aurea), a druga „Niewinność" (Innocentia). Karmią je mięsem ludzkiem... Będą także gladyatorowie!

— Chryste Jezu! I gladyatorowie także!.. Żeby tylko nas to nie ominęło! Wszystko jedno, i tak nie do-

czekamy się końca. Wynośmy się, bracie, co prędzej, bo nam pozabierają miejsca.

Obecnie Teodoryt wychwalał poprzednika Juliana Konstancyusza, jego chrześcijańską dobroczynność, jego życie bez zmazy, jego miłość względem wszystkich swych krewnych.

Anatol dusił się w tłumie. Wyszedł z kościoła i z radością wciągał powietrze czyste, w którem nie było czuć kadzideł, ani swędu lamp olejnych; patrzał na błękitne niebo, którego żadna złocona kopuła nie kryła.

W przedsionku rozmawiano głośno, nie krępując się. Krążyła ważna nowina: za chwilę miano przewozić przez miasto w żelaznej klatce obie niedźwiedzice do amfiteatru. Kto tę wieść usłyszał, wychodził z kościoła, nie doczekawszy się końca kazania, i zapytywał z niepokojem:

— Co? Jak?

— Nie spóźniliśmy się? Czy to prawda, że Złota Okruszyna jest chora?

— Nie, to Niewinność... Objadła się. Ale już przeszło. Obie są zdrowe.

— Bogu dzięki! Bogu dzięki!

Chociaż słodką była wymowa Teodoryta, nie potrafiła jednak zwyciężyć pokusy ujrzenia gladyatorów i brytańskich niedźwiedzic. W kościele zrobiło się pusto.

Anatol widział, jak ze wszystkich krańców miasta, ze wszystkich bazylik, przez ulice, zaułki i place ludzie zdyszani pędzili w kierunku cyrku. Przewracali się, popychali, przeklinali, gnietli dzieci, przeskakiwali przez wywrócone kobiety, gubili sandały, ale na nic nie bacząc, biegli dalej. Na spoconych i zaczerwienionych twarzach widać było pośpiech tak gwałtowny, jak gdyby chodziło o ocalenie życia. I dwa czułe imiona, niby słodkie obietnice uciech nieznanych, były na ustach wszystkich:

— Mica Aurea!... Innocentia!

Anatol za tłumem udał się do amfiteatru.

Według zwyczaju rzymskiego, zlane wonnościami „velarium“ osłaniało publiczność przed promieniami słońca, szerząc chłód i mrok różowy. Roiła się już ciżba tysiącogłowa na biegących kołem stopniach.

Przed rozpoczęciem igrzysk najwyżsi dostojnicy Antyochii wnieśli do loży cesarskiej bronzowy posąg Jowiana, by dać ludowi możność nacieszenia się widokiem nowego władcy. W prawej dłoni August trzymał jabłko z krzyżem na wierzchu. Olśniewający promień słońca, przedarłszy się przez purpurowe płótna „velarium,“ padł na czoło cesarza, i tłum ujrzał na płaskiem obliczu bronzowem uśmiech zadowolenia. Dygnitarze całowali stopy posągu. Pospólstwo wykrzykiwało z radości:

— Chwała zbawcy ojczyzny, Augustowi Jowianowi! Zginął Julian! Dosięgła kara dzikiego wieprza, pustoszyciela winnicy Pańskiej!

Mnóstwo wyciągniętych dłoni powiewało barwnemi chustkami i pasami. Pospólstwo witało w Jowianie swego przedstawiciela, swą duszę, obraz i podobieństwo swoje, panujące nad światem. Wielu miało w oczach łzy zachwytu.

Do zmarłego cesarza zwracano urągowiska, jak gdyby znajdował się w amfiteatrze i mógł je słyszeć:

— I cóż, filozofie?.. Nie na wiele ci się przydała mądrość Platona i Chryzypa! Nie obronili cię Jowisz Gromowładny ani Febus W dal-godzący!.. Dostałeś się w szpony dyabelskie, które cię rozszarpią, bezbożniku!.. Gdzie proroctwa twoje, głupi Maksymie? Zwyciężył Chrystus i Bóg Jego, myśmy zwyciężyli, my, pokorni!

Panowało ogólne przekonanie, iż Julian padł z ręki galilejczyka, i wszyscy dziękowali Bogu za ten „cios

zbawczy,“ sławiąc królobójcę. Ale rozbestwienie tłumu doszło do szczytu, gdy ujrzano gladyatora pod pazurami Złote Okruszyny i Niewinności. Oczy występowały z orbit, nie mogąc się nasycić widokiem krwi; rykom dzikich zwierząt odpowiadał jeszcze dzikszy ryk ludzki. Tłum śpiewem wielbił Boga, jak gdyby w tej dopiero chwili ujrzał całkowity tryumf swej wiary:

— Chwała świętobliwemu cesarzowi Jowianowi! Chrystus zwyciężył! Chrystus zwyciężył!..

Anatol z obrzydzeniem czuł tchnienie pospólstwa, zapach stada ludzkiego. Przymknąwszy oczy i wstrzymując oddech, wybiegł pędem na ulicę, wrócił do domu, zamknął drzwi, okienice i, rzuciwszy się na łóżko, przeleżał na niem do nocy.

Ale i tu nie było ucieczki przed motłochem.

Zaledwie zapadł zmrok, cała Antyochia zajaśniała tysiącami ogni. Na rogach bazylik i wysokich frontonów gmachów państwowych płonęły olbrzymie pochodnie, na ulicach pozapalano lampy, i do izby Anatola przez szpary okienne wdzierał się blask ogni ze swędem smoły i łoju. Z sąsiednich szynkowni zalatywały śpiewy pijanych legionistów i majtków, śmiechy, pisk i kłótnie ladacznic ulicznych, a nad tem wszystkiem unosiły się, podobne szmerom wód, niemilknące pochwały Jowiana i przeklinanie Juliana Odstępcy.

Anatol z gorzkim uśmiechem podniósł ręce ku niebu zawołał:

— Zaiste, zwyciężyłeś, Galilejczyku!